



SKAT

AGNIESZKA PESZEK

www.peszek.pl

3kąt

AGNIESZKA
PESZEK

Copyright by Agnieszka Peszek 2024

Copyright by 110 procent 2024

Wydanie 1

Redakcja: Dominika Kamyszek – OpiekunkaSlova.pl

Projekt graficzny okładki: Andrzej Peszek

Skład: Agnieszka Peszek

Wersja elektroniczna: Mateusz Cichosz | [@magik.od.skladu.ksiazek](https://magik.od.skladu.ksiazek)

ISBN: 978-83-969384-4-2

Wydawnictwo 110 procent

Cymuty 4, 05-825 Czarny Las

www.peszek.pl

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku

JamaNiamy

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Cytat

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3 ONA

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6 ONA

Rozdział 7

Rozdział 8 ONA

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11 ONA

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14 ONA

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18 ONA

Rozdział 19

Rozdział 20 ONA

Rozdział 21

Rozdział 22 ONA

Rozdział 23

Rozdział 24 ONA

Rozdział 25

Rozdział 26 ONA

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29 ONA

Rozdział 30

Rozdział 31 ONA

Rozdział 32

Rozdział 33 ONA

Rozdział 34

Rozdział 35 ONA

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39 ONA

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42 ONA

Rozdział 43

Rozdział 44 ONA

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49 ONA

Rozdział 50

Rozdział 51 ONA

Rozdział 52

Rozdział 53 ONA

Rozdział 54

Rozdział 55 ONA

Rozdział 56

Rozdział 57 ONA

Rozdział 58

Rozdział 59 ONA

Rozdział 60

Rozdział 61 ONA

Rozdział 62

Rozdział 63 ONA

Rozdział 64

Rozdział 65 ONA

Rozdział 66

Rozdział 67 ONA

Rozdział 68

Rozdział 69 ONA

Rozdział 70

Rozdział 71

EPILOG

Kilka słów na koniec

O, mój drogi d'Artagnanie – rzekł Aramis z lekkim odzieniem goryczy w głosie – wierzaj mi, ukrywaj swoje rany. Milczenie jest ostatnią radością nieszczęśliwych; strzeż się, by ktokolwiek poznał twoje cierpienie, bo ciekawość ludzka pije nasze łzy jak muchy krew rannego jelenia.

Aleksander Dumas, „Trzej muszkietierowie”

Prolog

Dwadzieścia pięć lat wcześniej

Stali na małej polanie w środku lasu. Od zgiełku miasta odgradzały ich drzewa i krzaki, które tworzyły gęsty mur. Najbliższy dom znajdował się ponad pięćset metrów od ich kryjówki, a mieszkająca tam starsza kobieta nie zapuszczała się w te rejony. Zresztą w ogóle mało kto podejmował to wyzwanie, bo każda taka próba kończyła się obtarciami, ranami lub uszkodzonym ubraniem. Nikt bez odpowiedniej motywacji nie chciał tak ryzykować.

Ale im to zupełnie nie przeszkadzało – oni to uwielbiali. Im trudniej, im bardziej się umorusali czy nawet pokaleczyli, tym fajniej.

Stali w ich tajnej bazie, jak określali to miejsce, i nasłuchiwali. Jak zawsze panowała cisza, która niektórych mogłaby przerażać, ale nie ich. Stanowiła zapewnienie, że nikt im nie przeszkodzi i że chociaż na kilka krótkich chwil zdołali uwolnić się od harmidru, który towarzyszył im na co dzień. Od krzyków, wrzasków, klaksonów czy robót, które zawsze gdzieś ktoś skuteczniał. Od kłopotów, które ścigali na siebie każdego dnia, za co dostawali często kablem od prodiża lub skórzanym pasem.

Wyjątkowo nie wdrapali się na drzewo, które stało obok i niczym parasol rozpościerało swoje gałęzie, dając im latem upragniony cień.

Nawet tego nie zaproponowali.

Patrzyli tylko na biały bandaż gęsto oplatający rękę jednego z nich. Zdążyli już złożyć na nim podpisy, wiedząc, że to nie gips i że opatrunek niebawem zostanie zmieniony na czysty.

Jednak nie miało to jakiegokolwiek znaczenia.

Najważniejsze, że nadal stali razem, a kolega zyskał status bohatera. Każdy wiedział, że gdyby nie jego poświęcenie, los pozostałej dwójki mógłby wyglądać zupełnie inaczej.

Po chwili najwyższy z nich uniósł rękę, a dwóch pozostałych zrobiło to samo.

Wyjątkowo unieśli lewe.

– Atos, Portos i Aramis. – Dźwięk rozszedł się po okolicy i w tym samym momencie trzech chłopców, stykając się czubkami palców, powtarzało te same słowa. – Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Postali jeszcze kilkanaście sekund w takiej pozycji i opuścili ręce.

Może dla kogoś obcego byłyby to nic nieznaczące słowa, ale nie dla nich. Mimo młodego wieku przetestowali swoją przyjaźń już na wiele sposobów i wiedzieli, że razem mają moc jak nikt inny, dlatego chcieli ją uwiecznić.

Szykowali się do tego długo, zastanawiając się, jak to zrobić, aż w końcu Portos, który z reguły stanowił źródło większość pomysłów, przedstawił im plan.

Niekontaktująca już za bardzo babcia Atosa na trzech kawałkach białego materiału, które zwinęli z pracowni w szkole, wyhaftowała im znak skrzyżowanych szabli, a na każdym dodatkowo ich sekretne imiona: Atos, Portos i Aramis.

To od niej chłopcy dowiedzieli się o trójce przyjaciół żyjących kilka wieków wcześniej. Żaden z nich nie pałał do tej historii taką miłością, aby ją samemu przeczytać, ale z rozdziawionymi buziami słuchali relacji starszej kobiety, gdy opowiadała im o krwawych bitwach mężczyzn, którzy wyznawali zasadę „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Zasadę, która tak idealnie wpisywała się w ich relacje.

Teraz, stojąc pośrodku polany z trzema wyszytymi skrawkami materiału, Portos wydobyl małą finkę, którą ukradł podczas ostatniej wyprawy na targ Rózyckiego, zwany przez wielu Różanem.

Każdy wiedział, co to oznacza.

Pierwszy zaczął nowy właściciel noża. Szybkim ruchem naciął sobie wewnętrzną część dłoni. Momentalnie pojawiła się krew – najpierw kilka kropli, a po kilku sekundach już całą wewnętrzną część ręki ozdabiała czerwona ciecz, która spływała po palcach na ziemię. Zupełnie się nie spiesząc, jakby delektował się tą chwilą, wytarł dłoń przygotowaną tkaniną z wyszytym swoim imieniem. Chwilę później zrobili to pozostali dwaj chłopcy.

Cały czas w totalnej ciszy, ale z dumą na twarzach schowali skrawki do metalowej puszki i zakopali ją pod drzewem.

To było przypieczętowanie ich przyjaźni, oddania – pomimo młodego wieku liczyli, że będą je one łączyć aż do śmierci.

Cała trójka wiedziała, że po tym, jak siedem dni wcześniej każdy z nich zatopił ostrze noża w ciele starszego człowieka, ich losy spleta się ze sobą na zawsze.

Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, aż po życia kres.

Rozdział 1

Już wielokrotnie spędzał noc w pokoju hotelowym.

Już wielokrotnie korzystał z usług prostytutek, co nie napawało go dumą, ale po którymś razie zupełnie przestał się wstydzić. Nie krzywdził tym nikogo poza żoną, ale tym średnio się przejmował. Już dawno temu umówili się, że dopóki pełni zajmowane stanowisko lub podobne, jak było nieprzerwanie od kilkunastu lat, ona od niego nie odejdzie. Będzie grała swoją rolę w szopce, którą razem stworzyli. W szopce, w której prezentowali się jako szczęśliwa rodzina z dwójką idealnych dzieci, które nie dostają innych ocen niż piątki, udzielają się społecznie i chcą zmieniać świat. Grali rodzinę, która się wspiera, kocha i szanuje. Tylko za każdym razem, gdy udzielał wywiadów i o tym mówił, śmiał się w duchu, wiedząc, jak dalekie jest to od prawdy. A tak właściwie nawet obok niej nie stało.

Pociechy, jak myślał o nich ironicznie, widziały w nim, bo to on przede wszystkim przynosił pieniądze, skarbonkę bez dna, która nie ma uczuć, można ją lekceważyć, a kłamstwo w relacjach jest standardem. Sam nie wiedział, które z dzieci jest gorsze.

Syn wyciągał im ukradkiem z portfela pieniądze, a potem, bezczelnie patrząc mu w oczy, zrzucał winę na wszystkich dookoła, a z reguły na panią do sprzątania, mówiąc, że to ona kradnie. Kilka razy zastanawiał się nawet, czy młody nie mówi prawdy, chociaż

wiedział, że jego wersja jest grubymi nićmi szyta, bo gotówka zniknęła również w dni, kiedy kobiety u nich nie było. Prawda wyszła na jaw, gdy zamontował kilka niewielkich kamerek. Syn został nagrany na gorącym uczynku, jak jego ręka wślizguje się do torebki matki, a później płaszcza ojca, który w wewnętrznej kieszeni zawsze przechowywał portfel wypchany banknotami. Chwilę po obejrzeniu tego poszedł do niego z pytaniem, czy to on stoi za zniknięciem pieniędzy. Syn z pokerową twarzą powiedział, że nie, i zaproponował mu pomoc w znalezieniu sprawcy. Z jednej strony czuł dumę z potomka, że tak dobrze się maskuje i jest rewelacyjnym graczem, ale z drugiej nie chciał, aby syn skończył jak on. Jako człowiek, który czuje do siebie wstręt i pogardę, który często nie może spojrzeć na siebie w lustrze.

Długo liczył, że córka będzie inna, lepsza, ale niestety zawiódł się i tym razem. Dziewczynka potrafiła się na niego obrazić, bo nie zrobił jej blika na siedemset złotych na ciuchy. Twierdziła, że ją upokorzył przed koleżankami, które razem z nią buszowały po sklepach i które rzekomo mogły liczyć na spore wsparcie ze strony swoich rodziców, a ona nie. Wiedział dobrze, że to nieprawda, bo znał niektórych i żadne z nich nie zarabiała tyle co on, ale jakiegokolwiek próby racjonalnego wyjaśnienia córce faktu, że pieniądze nie biorą się z kosmosu i nie spadają z nieba razem z deszczem, kończyły się histerią i trzaskaniem drzwiami. Potem następowały ciche dni, które robiły na nim coraz mniejsze wrażenie.

Z żoną sprawa wcale nie prezentowała się lepiej. Od lat nie spali ze sobą, a od jakiegoś czasu komunikował się z nią głównie za pośrednictwem SMS-ów lub maili, co w sumie mu nie przeszkadzało. Nie musiał słuchać jej piskliwego głosu, który przy każdej roz-

mowie wkurzał go tak bardzo, że wyjście z pokoju stanowiło najmilsze zachowanie.

Dlatego od jakiegoś czasu stawiał na płatny seks. Dawał mu wszystko, czego pragnął: doznania na najwyższym poziomie i dyskrecję, której potrzebował niczym tlenu.

Gdyby ktoś dowiedział się, jak spędza wieczory przechodzące w noc, jego kariera ległaby w gruzach niczym ustawiany godzinami domek z kart. Jego deklaracje o rodzinie jako fundamentalnej jednostce społeczeństwa przestałyby być wiarygodne, nikt nie słuchałby go na wiecach, nie stawiał na piedestale niczym bohatera. Wiedział, że nim nie jest, ale życie w ciągłym zakłamaniu stanowiło gwarant jego sukcesu.

„Pielęgnowanie wykreowanej iluzji to nasze najważniejsze zadanie” – powtarzał przy każdej nadarzającej się okazji jeden z jego przyjaciół, a on zgadzał się z tym w stu procentach. Nawet stu dziesięciu.

Dlatego noc z prostytutką, dziewczyną do towarzystwa, wszetecznicą, kobietą lekkich obyczajów, latawicą, rozpustnicą, królową nocy, kurwiszonem czy jakkolwiek inaczej by ją nazwać, nie stanowiła niczego specjalnego, jednak wiedział, że to spotkanie zapadnie mu w pamięć na zawsze.

Usiadł na wielkim łóżku. Pościel na nim nie przypominała tej, którą zastał dwie godziny wcześniej. Tamta była pięknie wyprasowana, o lekkim zapachu, który znał, a którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć. Prześcieradło tak mocno naciągnięto na materac, że przez chwilę zastanawiał się, ile osób musiało je nakładać. Dwie raczej nie dałyby rady. Na to ktoś ułożył wielką narzutę, przykrył nią puchate poduchy, a na środku zwinął ręczniki w oryginalną kon-

strukcję przypominającą lwa. Resztki tej ozdoby leżały teraz byle jak na łóżku, jednak nie one przyciągały uwagę, ale krew. Nie było jej dużo, wyglądało to tak, jakby kołdrą ją skądś wytarto. Zwinął pościel tak, by przykryć plamę, i rzucił ją na podłogę, jakby tym próbował wymazać fakt czegoś okropnego, co musiało się wydarzyć, a czego jego pamięć zupełnie nie zanotowała.

Gdy obudził się kilka minut wcześniej, leżał w łóżku nagi. Wszystko go bolało, jakby ktoś potraktował jego ciało kijem bejsbolowym. Generalnie może by się tym nie przejął, bo stres często generował ból, ale tym razem nie pamiętał niczego z tego wieczora. Ostatnie to moment, gdy do pokoju hotelowego wchodziła zamówiona przez niego prostytutka.

Kazała na siebie mówić Olga, choć szczerze wątpił, żeby tak wpisano jej w dowodzie. Zupełnie go to jednak nie interesowało – mogła nawet nazywać się Fiona czy Hermenegilda. Wynajął ją w konkretnym celu – miała zapewnić mu chwilową ulgę, odcięcie od tego całego szajsu życia codziennego, które coraz bardziej go denerwowało. Dlatego zupełnie ignorował wszystko, co wypływało z jej pomalowanych czerwona szminką ust.

Teraz pamiętał jedynie jej twarz. Pociągłą, z małym noskiem, wielkimi błękitnymi oczami, które okolone były mocno wytuszowanymi rzęsami. Jej głos również nie zapadł mu w pamięć, ale jej piersi już tak. Zresztą dlatego ją wybrał. Wielkość, jaką wskazała u chirurga plastycznego, zdecydowanie należała do jego ulubionych. Jak mawiał – nienachalnie duże. Wyróżniały się, ale jednocześnie nie wyglądały jak u gwiazdy porno, napompowane niczym arbuzy, takie, że człowiek, patrząc na nie, boi się, że w każdym momencie mogą wybuchnąć, a on dostanie w twarz ich fragmentem.

I tyle. Nic więcej.

Gdy się obudził, w pokoju panowała totalna ciemność, którą zakłócała tylko niewielka lampka świecąca pod olbrzymim telewizorem zawieszonym naprzeciwko łóżka. Uniósł się na łokciach i rozejrzał, modląc się o ratunek w postaci mocnych tabletek przeciwbólowych, najlepiej takich zapisywanych na receptę. Niestety w jego przypadku nawet niewielka ilość alkoholu powodowała, że tylko mocne pigułki były w stanie uśmierzyć ból. Nigdy nie czekał, jak jego małżonka, aż samo przejdzie. Połykał dawkę zdecydowanie ponad zalecaną, aby ucisk czaszki odszedł w zapomnienie jak za dotknięciem magicznej różdżki.

Powoli wstał, czując się jak stary dziadek, i spionizował, od razu zataczając się od zawrotów głowy. Najchętniej ponownie usiadłby na łóżku, a jeszcze bardziej położył się, ale nie wiedział, która jest godzina, a od rana kalendarz pękał w szwach.

Zupełnie nie pamiętał układu pomieszczeń, dlatego po omacku ruszył przed siebie, wyciągając dłonie jak lunatyk, aby to one jako pierwsze trafiły na przeszkodę. Po chwili dotknął ściany. Ruszył w prawo, aż znalazł włącznik. Trochę pożałował, gdy pomieszczenie oświetliło jasne światło sufitowych lamp. Moc żarówek zdecydowanie nie współgrała z jego samopoczuciem i tylko spotęgowała ból głowy. Poczul, jakby ktoś uderzył go w potylicę młotkiem.

Wrócił na łóżko i usiadł. Ściany pokoju zdawały się ruszać, zbliżały się i oddalały, jakby chciały go zgnieść. Zdawał sobie sprawę, że to dzieje się tylko w jego umyśle i nie ma czego się bać, ale czuł się nieswojo.

Powoli obracając głową, rozejrzał się po pomieszczeniu, aż znalazł to, czego potrzebował.

Picie.

Obok bólu głowy Sahara w ustach stanowiła drugi zasadniczy problem, który powitał go po przebudzeniu i którego chętnie by się pozbył, najlepiej w trybie natychmiastowym.

Przysunął się do stolika nocnego ustawionego po lewej stronie od łóżka i sięgnął po stojącą tam szklankę. Wiedział, że może się to źle skończyć, a mimo to wlał w siebie całą jej zawartość.

Żołądek w reakcji na płyn zrobił podwójne salto, a jego treść wbrew grawitacji zmieniła kierunek. To nie była woda, ale przygotowany kilka godzin wcześniej drink. Whisky na lodzie, którą tak uwielbiał, w tym momencie stanowiła zabójczą broń, która natychmiast go pokonała.

Zacisnął mocno wyschnięte usta i mimo niemocy w nogach wstał i ruszył do łazienki. Uderzył we włącznik światła, popchnął drzwi do środka i wszedł.

W tej samej chwili pomysł na pozbycie się zawartości żołądka prysnął. Przełknął to, co sekundę wcześniej napłynęło mu do ust, i pobladł.

W wannie trzy metry od niego leżała Olga.

Do tego momentu nawet przez ułamek sekundy o niej nie pomyślał. Nie zastanowił się, gdzie kobieta, która kręcąc ponętnie biodrami, weszła do wynajętego na fałszywe nazwisko pokoju kilka godzin wcześniej, może teraz przebywać ani kiedy go opuściła. Wszystkie jego myśli skupiły się wokół cierpienia, które go zaatakowało, kiedy uwolnił się z objęć Morfeusza.

W ułamku sekundy wrócił do rzeczywistości. Olga nie wyglądała już tak atrakcyjnie jak na stronie, na której wybrał ją niczym model

butów w sklepie internetowym. Jej wybałuszone oczy patrzyły gdzieś obok niego, a otwarte usta przywodziły na myśl dmuchaną lalkę.

Dopiero teraz spojrział na podłogę.

Znaczyły ją pojedyncze czerwone krople, jedną z nich właśnie rozmazał stopą po płytkach. Nie brzydził się krwi, za dużo razy z nią obcował, aby wywoływała w nim nadmierne emocje.

Obrócił się raz jeszcze w stronę kobiety i zrobił kolejny krok. Nigdy nie pociągał go widok śmierci, ale jakiś wewnętrzny sadomasochizm kazał mu to zrobić. Zobaczył wtedy, że w wannie jest zdecydowanie więcej krwi.

Wlepił wzrok w nagie piersi prostytutki, które w tej pozycji wyglądały nieapetycznie. Wypychające skórę silikonowe wkładki przesunęły się, powodując nieanatomiczny kształt. Mimo że zdecydowanie ten element kobiecego ciała najbardziej go podniecał, nie to nim teraz kierowało. Nie była to też ciekawość.

Liczył na cud. Liczył, że klatka kobiety chociaż minimalnie ruszy się do góry, a jej wyraz twarzy i bladość skóry są tylko wynikiem upojenia alkoholowego, spożycia zbyt dużej ilości narkotyków lub niebezpiecznej mieszanki, a może choroby. Spotkał dziewczynę pierwszy raz i mogła przecież ukrywać straszne tajemnice, o których nie miał prawa wiedzieć i które w normalnych okolicznościach wcale by go nie interesowały.

Sekundy dłużyły się niemiłosiernie. Westchnął przeciągle i podszedł bliżej. Z tej perspektywy też niczego nie dostrzegł. Leżała w bezruchu, z głową opartą o rant wanny, rękoma bezwładnie leżącymi wzdłuż ciała i nogami skrzyżowanymi tak, że widział tylko fragment spojenia łonowego, na którym włoski wygolona w kształt serduszka.

Postać chwilę i wrócił do pokoju, gdzie oparł się o ścianę.

Dopiero w tym momencie dostrzegł plamy krwi na łóżku. Jej też wcześniej nie zauważył. Uniósł swoje dłonie, mając wrażenie, jakby nie należały do niego, i z zaskoczeniem stwierdził, że nie ma na nich ani odrobiny czerwonej substancji.

„Musiałem je wymyć”, pomyślał i odwrócił wzrok od poplamionej krwią kołdry. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciał, było patrzenie na nią.

Usiadł na łóżku i sapnął. Musiał skontaktować się z osobą, która jak zawsze będzie wiedziała, co ma zrobić.

A bardziej... jak wyjść z gówna, w które się wpakował.

Niestety nie był to pierwszy raz, gdy zrobił coś takiego pod wpływem alkoholu wymieszanego z narkotykami. Jednak pierwszy, kiedy zupełnie nic nie pamiętał.

Mimo to liczył, że i tym razem, jak zawsze, uda się wyjść z tego bez szwanku.

Rozdział 2

Przejechał dłonią po udzie leżącej obok niego kobiety i poczuł rosnące podniecenie. Najchętniej obudziłby ją i zrealizował chodzące mu po głowie kosmate myśli, jednak wiedział, że nie może. Ostatnio Beata słabo spała, a widząc, jak cały czas pochrapuje, nie miał serca jej budzić, mimo przeolbrzymiej ochoty na seks. Przykrył ją kołdrą i powoli wyslizgnął się z łóżka. Na palcach opuścił pokój i zamknął drzwi, które na jego szczęście nie wydały żadnego dźwięku.

W salonie odetchnął i uśmiechnął się. Przytulne pomieszczenie spodobało mu się od pierwszej wizyty. Po trzech wspólnych miesiącach, podczas których czasami bywał u swojej dziewczyny codziennie, nadal czuł się tu gościem. Gościem, który coraz bardziej liczył na to, że szybko się to zmieni, chociaż na drodze do ich szczęścia stał jeden człowiek.

Obrębski.

Komisarz Maksymilian Obrębski.

Jego mentor.

Człowiek, któremu zawdzięczał realizację marzenia. W końcu nie jeździł radiowozem, nie ścigał pijaków, nie interweniował podczas kłótni rodzinnych. Teraz mógł poświęcić się pracy w wydziale kryminalnym, o czym marzył już od wczesnego dzieciństwa.

Ten sam człowiek stanowił delikatny problem w ich związku. Fakt, że Bartek Bogucki związał się z byłą swojego partnera, z którą ten spędził pięć lat życia, komplikowało ich relacje. Szczególnie że nie znalazł jeszcze odpowiedniego momentu, aby poinformować Obrębskiego o swoim nowym związku. Dlatego aby się nie narażać, nie pokazywali się na mieście razem, obawiając się, że wpadną na niego lub jakiegoś znajomego, który przekaże wiadomość w świat. Tylko dwa razy wybrali się do restauracji, i to umyślnie pojechali aż do podwarszawskiego Konstancina, a innym razem Grodziska Mazowieckiego, chcąc chociaż trochę czuć się bezpiecznie i nie oglądać się nerwowo na boki, cały czas lustrując otoczenie.

Z tego powodu spotykali się przede wszystkim u niej w domu, bo u niego nie mogli.

Kamil Jaworski wiedział o nich, ale również u niego Bogucki był gościem. Dodatkowo ostatnimi czasy ich relacja się delikatnie skomplikowała. Kolega z radiowozu w końcu zrealizował swoje marzenie i rzucił papierami. Bogucki do końca liczył, że to się nie stanie, ale gdy Jaworski wyszedł z uśmiechem na twarzy z gabinetu komendanta, przekonał się, że jego nadzieja na nic się zdała.

Dlatego upojne chwile z nową dziewczyną musieli spędzać w jej czterech ścianach, których ku ich radości z nikim nie dzieliła. Przy najmniej tam mogli delectować się swoim towarzystwem bez obawy, że ich sekret się wyda, i bez sarkastycznych docinków ze strony kolegi.

Bogucki usiadł na fotelu, który Beata zabrała z domu dziadków po ich śmierci, po czym odnowiła i zmieniła obicie na bardziej nowoczesne. Zawsze z namaszczeniem opowiadała o rodzicach swojej mamy, którzy po skończeniu życia zawodowego poświęcili się swoim

wnukom. Jej i jej dwóm młodszym braciom. Zabierali ich do muzeów, na wycieczki po Kampinosie, a corocznym stałym punktem stały się wyjazdy w góry, podczas których niczym wprawni taternicy wspinali się na szczyty Tatr. Gdy po latach okazało się, że jeden z braci Beaty ma astmę, lekarka z niedowierzaniem patrzyła na starszą kobietę, która ze spokojem mówiła, że faktycznie jej wnuczek czasami posapuje, wchodząc na szczyty. Definitywnie tego zabroniła, twierdząc, że to może się źle skończyć. Szybko opuścili gabinet lekarski, bo przyjmująca w nim otyła kobieta nie wyglądała, jakby w życiu wspięła się na jakikolwiek szczyt, a tym samym nie znała tego uczucia, gdy przed człowiekiem nie ma niczego poza rozpościerającymi się w oddali górami. Nie znała chwil wzruszenia i dumy, gdy jako grupa zdobywali obrany wcześniej cel, a podczas drogi wspierali się i motywowali nawzajem.

Dlatego gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, babcia powiedziała wnukowi, że nie odpuści i nie pozwoli, żeby ich pasja została zburzona. Znalazła innego lekarza, którego wybrała przede wszystkim dlatego, że sam chodził po górach. Od razu znalazł rozwiązanie, a nie straszył, twierdząc, że chłopiec już nigdy nie zdobędzie żadnego szczytu.

Gdy dziadkowie zmarli w wypadku samochodowym, Beata wraz z braćmi zorganizowała wycieczkę. Wyjechali do Tanzanii, a tam wspięli się na Kilimandżaro i tym samym spełnili marzenie starszych ludzi, którego im nigdy nie udało się zrealizować. Po drodze opowiadali sobie niesamowite historie, których byli częścią tylko dzięki dziadkom. Gdy w końcu skonani drogą dotarli na szczyt, zawiesili na maszcie ukochaną chustę babci, a do niej przypięli spinkę, którą dziadek wpinał w klapę marynarki.

Bartosz pogłaskał oparcie, na którego przedniej części Beata przyszyła ozdobne guziki z rysunkiem gór. Ułożył pod plecami poduszkę i odblokował komórkę. Zegarek pokazywał szóstą trzydzieści, więc do wyjścia do pracy miał jeszcze godzinę. Posiedział chwilę, delektując się ciszą i spokojem, których tak rzadko doświadczał, a ostatnimi czasy coraz bardziej potrzebował.

Włączył urządzenie i przeszedł do wyszukiwarki. Postanowił zrobić Beacie niespodziankę i zorganizować wyjazd, na początek tylko na weekend. Nigdy tego nie robił, bo w poprzednim związku, jedynym poważnym w jego życiu, to Ala się tym zajmowała. Zresztą jak wszystkim. Ona decydowała, co, kiedy i gdzie robią. Do pewnego momentu odpowiadało mu to, ale z czasem doszedł do wniosku, że wynikało to z potrzeby kontrolowania go na każdym etapie jego życia, począwszy od wyjścia ze znajomymi, co może jeszcze nie stanowiło problemu, po pomysł na jego karierę, co nie współgrało z jego wizją. Na szczęście w końcu wyszedł z tego toksycznego związku i mógł cieszyć się wolnością, jak nazywał możliwość decydowania o sobie.

Wpisał do przeglądarki hasło „aktywny weekend we dwoje” i czekał. Od kilku dni internet w telefonie mu szwankował. Wykorzystał limit przesyłu z lepszą prędkością, dlatego teraz wszystkie strony ładowały się w żółtym tempie. Patrzył na pojawiające się niespiesznie elementy wybranej strony, gdy nagle na ekranie wyświetliło się nazwisko partnera, jak coraz częściej myślał o komisarzu Obrębskim.

Szybko odebrał, żeby nie obudzić śpiącej w pokoju obok kobiety, i przystawił urządzenie do ucha.

– No co tam?

- Mamy morderstwo i chyba, co dość zaskakujące, od razu i sprawcę. Jedzie po ciebie samochód, więc wciągaj gacie i zapierdzielaj do mnie. - Obrębski swoim zwyczajem powiedział, co chciał, i nie czekając na reakcję rozmówcy, rozłączył się.

Bartosz Bogucki wstał na równe nogi i podrapał się po głowie. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić. Powinien zadzwonić do kolegi i wyjaśnić, że nie ma go w mieszkaniu Jaworskiego, które ten znał jako jego adres. Tylko co wtedy? Co odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest? Nie czuł, żeby to była właściwa chwila na zjedzenie żaby, jak ostatnio przeczytał o tym, co musiał zrobić. Z rozbawieniem pochłaniał tekst o często spotykanym zjawisku odwlekania rzeczy nieprzyjemnych, a określenie to pochodziło z książki jakiegoś amerykańskiego coacha, którego nazwiska zupełnie nie pamiętał.

Zdecydowanie nie chciał jeść jej teraz.

Zamiast tego wybrał jeszcze inne rozwiązanie, które nagle wpadło mu do głowy. Podszedł do torby stojącej przy drzwiach, wyjął z niej spodnie do biegania, koszulkę i buty. Planował po pracy wpaść na siłownię. Zmotywowany aktywnym trybem życia Beaty, chciał zacząć znowu dbać o siebie, co przez ostatnie miesiące wdrażania się na nowym stanowisku zeszło na dalszy tor.

Naskrobał notatkę do ukochanej i wybiegł z jej bloku. Na szczęście dystans dzielący go od mieszkania Jaworskiego wynosił zaledwie trzy kilometry. Nigdy nie należał do wytrawnych biegaczy. W podstawówce każdy dystans powyżej pięciuset metrów stanowił wyzwanie, ale teraz czuł motywację, żeby przyspieszyć.

Pokonał trasę w zaledwie piętnaście minut z haczykiem i zadowolony z siebie podbiegł do zaparkowanego przed klatką radiowozu.

- Cześć, daj mi chwilę – rzucił do funkcjonariusza, który opierając się o auto, palił papierosa. Znali się od trzech lat i nie czuł się komfortowo, że ten przez chwilę będzie pełnił funkcję jego szofera.

- Mogę i dwie, ale nie wiem, czy Obrębski będzie z tego powodu szczęśliwy.

- Jestem za trzy minuty. Trup chyba nie ucieknie! – Wpisał kod do drzwi klatki schodowej, po czym pognął niczym struś pędziwiatr do mieszkania przyjaciela.

Rozdział 3

ONA

Gdybym miała zrobić ranking miejsc, których nie znoszę, zdecydowanie na pierwszym miejscu uplasowałby się szpital.

Ten jego charakterystyczny zapach. Sterylność. Bezosobowość, jakby każda próba nadania mu jakiejś twarzy, okazania życzliwości zalewana była dużą ilością chloru i wypalana w zarodku.

Nienawidzę go za szepty, które tylko potęgują niewiedzę i niepewność.

Ale chyba to, co najbardziej mnie denerwuje, to brak empatii. Informowanie pacjentów o diagnozach w sposób okropny, wręcz nie-ludzki.

Unikam jak ognia przebywania w takich miejscach.

Nigdy z własnej woli nie chodzę do lekarzy. Nie pcham się do szpitali.

Niestety życie postanowiło kolejny raz mnie przetestować. Dopieprzyć, jakby dotychczas za rzadko pokazywało mi środkowy palec.

Od jakiegoś czasu bolało mnie całe ciało, ale – jak to ja – nikomu nic nie powiedziałam.

Zresztą komu?

Gabrysi i Wioli nie chciałam stresować, one za każdym razem bardzo biorą to wszystko do siebie. Ta ich troska czasami mnie przeraża, choć wiem, że nie jest podszyta złymi intencjami.

Lekarza pierwszego kontaktu, do którego podobno powinnam była się wybrać, nie odwiedziłam, bo człowiek w kitlu równa się wróg.

Więc czekałam, aż samo przejdzie, sporadycznie wspomagając się tabletkami przeciwbólowymi, gdy mnie wręcz paraliżowało z bólu, bo leków unikam podobnie jak białego personelu.

Aż przyszedł dzień, gdy moje ciało odmówiło posłuszeństwa. Ręce i nogi przestały reagować na impulsy wysyłane przez mózg. Moja kontrola nad nimi została ograniczona do minimum. Ostatkiem sił podniosłam telefon z nocnej szafki, wybrałam numer do Gabi i włączyłam tryb głośnomówiący.

Jak zwykle odebrała rozbawionym głosem:

– Cześć, młoda. Jak leci? Widzimy się jutro? – usłyszałam, ale nie potrafiłam wydobyć z siebie ani jednego dźwięku. Jakby ktoś wcisnął mi do gardła wielkie jajko, które uniemożliwiało pracę strun głosowych. Próbowałam się zmusić, wykrzesać z siebie jeszcze resztki sił i przełożyć je na jakieś słowa, ale nic to nie dawało.

Rozłączyłam się i wysłałam SMS. Pięć liter, a wysiłek, jakbym przebiegła co najmniej dziesięć kilometrów.

Pomóż.

Nie oddzwoniła już, tylko napisała:

Gdzie jesteś?

Napisanie odpowiedzi zajęło mi sporo czasu.

W domu.

Wiedziałam, że z pracy do mnie ma jakieś dwadzieścia minut i najpewniej tam teraz jest. „Niewiele”, pomyślałam. W normalnej sytuacji wystarczyłoby, żebym wstała z łóżka, z kanapy czy odeszła od stołu w momencie, gdy dzwoniłaby do drzwi wejściowych, ale teraz musiałam to zaplanować z wyprzedzeniem. Zsunęłam się z materaca niczym jakiś stwór z mrocznej krainy i powoli pełzając po podłodze, podążyłam do drzwi. Na chwilę pozwoliłam sobie na przystanek na wysokości łazienki. Odpoczęłam kilka minut i ruszyłam dalej.

Całe ciało mnie piekło, bolało, ale musiałam o tym zapomnieć, chociaż na chwilę.

Gdy usiadłam w przedpokoju, odetchnęłam. Jednak to nie był koniec. Decydujące starcie jeszcze na mnie czekało.

Od zwycięstwa dzieliły mnie tylko drzwi. Chociaż teraz to były aż drzwi. Podniosłam wzrok i zamarłam. Zamek zamontowano na wysokości około metra pięćdziesięciu, a ja z moim niskim wzrostem nie miałam szansy dosięgnąć go, siedząc na zimnych kaflach. Mój krótki korpus i niedługie ręce stanowiły w tym momencie nie lada problem.

Musiałam wstać albo chociaż dźwignąć się na kolana. I jedno, i drugie na ten moment jawiło się jak wyczyn z pogranicza tych z filmów o Bondzie, gdzie główny bohater zeskakuje z pędzącego samochodu, spada na dwie nogi i tylko kurz na jego spodniach można traktować jako ślad po tym zdarzeniu.

Powoli przekręciłam się przodem do drzwi i położyłam dłonie na zimnej podłodze, a następnie się odepchnęłam. Będąc w klęku podpartym, przeniosłam ręce na oddzielającą mnie od świata drewnianą płytę i zbierając całą siłę, jaką miałam w sobie, wypchnęłam biodra do góry. Powoli zaczęłam przesuwając dłonie w stronę zamka. Ręka za ręką, bez zbędnych nerwowych ruchów. Nigdzie się nie spieszyłam. Musiałam tylko klęknąć i sięgnąć do zamka, a następnie przekręcić klucz. Ten niewielki kawałek metalu, a bardziej jego ułożenie, dzielił mnie od Gabrysi, która w ciągu kilku minut powinna stanąć po drugiej stronie.

Ból znowu się wzmógł, a ja poczułam głęboki pulsujący ucisk, który chciał mnie powalić. Nie wiem, skąd pojawiła się moc na ostatniej prostej, ale wyprostowałam ręce i dotknęłam go. Szybko, na jednym wydechu, przekręciłam klucz i dopiero wtedy opadłam. W tym momencie usłyszałam pukanie.

I znowu ta gula w gardle.

– To ja – zza drzwi dobiegł znajomy głos. Brzmiał tak kojąco jak wtedy, gdy się poznałyśmy. Chciałam coś powiedzieć, ale poza stęknieniem nic nie wyszło z moich ust.

Przesunęłam się na bok jak żołnierz w okopach. Uniosłam nogę i lekko stuknęłam nią o podłogę. Nie wiem, czy usłyszała, czy po prostu chciała sprawdzić, czy drzwi są otwarte, ale nacisnęła klamkę i weszła.

Mimo że medycyna jest mi bliska, to nie rozumiem tego, co się ze mną stało, i nie wiem, jaki proces zaszedł, ale odpłynęłam. Jakby świadomość, że jestem bezpieczna, spowodowała, że organizm przestał walczyć. Oddalił się do krainy spowitej ciemnością, odcinając mnie od bólu.

Otworzyłam oczy dopiero po dwudziestu godzinach. Dziewczyny siedziały przy moim łóżku, czekając, aż się wybudzę. Gdy przyszedł lekarz, spodziewałam się najgorszego, diagnozy typu rak, tętniak.

Ale nie. Powiedział, że nie ma pojęcia, co mi jest, a ja wiedziałam, że takie rzeczy to tylko mnie mogą spotkać. Już dawno temu pogodziłam się z faktem, że co złe, to się mnie ima. Przylega do mnie jak gówno do buta, którego ocieranie o trawę niewiele daje. Wzera się tak głęboko, że tylko długi program w pralce może dać ostateczne rozwiązanie. Chociaż i to nie zapewniało ostatecznej ulgi, bo zawsze mikrokawałki osiadały w bębnie, filtrach czy gumach i zostawały z nami na zawsze, a gdyby ktoś chciał pozbyć się tego definitywnie, musiałby wyczyścić wszystko lub pozbyć się pralki. U mnie tym rozwiązaniem była tylko śmierć. Czułam, że już do końca życia będę się z tym przepychać.

Jakbym miała na czole napis: „Zapraszam wszelkie nieszczęścia”.

Dostałam tonę tabletek i przykaz, żebym się obserwowała. Czyli jak zawsze rozwiązanie do bani, a jak mawia Gabryśia – z dupy, a Wiola – do dupy.

– Proszę, bierz je – powtarzały zamiennie dziewczyny, gdy lekarz w końcu wyszedł. Wiedziały, jaki mam stosunek do leków. – Pomozemy ci. Nie będziesz sama.

Miałam pewność, że niezależnie od wszystkiego nie opuszczą mnie. Że jak zwykle staną na wysokości zadania, a nawet jeszcze wyżej. Tylko pytanie zasadnicze, które kołatało mi się w głowie, brzmiało: „Czy ja tego chcę?”. Czy maraton po lekarzach, który zapewne mnie czeka, należy do rzeczy, które chcę zrobić? Czy znowu chcę wpaść w tryby systemu, który mnie ignorował i powodował, że czułam się jeszcze gorzej?

Zbyłam je i lekarzy, zapewniając, że postaram się być dobrą pacjentką. One odpuściły, ale wiedziałam, że nie potrwa to długo. Zdawałam sobie sprawę, że wkrótce zaczną zadawać pytania, czy już odhaczyłam jakiegoś lekarza z listy, którą dostałam w szpitalu i której nie omieszkały przeczytać, a Gabrysia nawet zrobiła zdjęcie.

Jednak teraz starałam się o tym nie myśleć. Leżałam w szpitalnym łóżku na przymusowych wakacjach, delektując się chwilą bez piekącego bólu dochodzącego gdzieś ze środka mnie, i zastanawiałam się, co teraz.

Co mam ze sobą zrobić?

Wszyscy, których nienawidziłam, zniknęli z mojego życia, a niektórych z nich dosięgła sprawiedliwość w dość okrutnym wydaniu. Może nie taka, jaką ktoś opisał w przepastnych katalogach z przepisami prawa, ale mnie to satysfakcjonowało. Nawet o wiele bardziej, niż gdyby trafili na długie lata za kraty. Bo w sumie co to za pokuta: siedzenie w niewielkim pomieszczeniu, dostawanie jedzenia, rozrywek i respektowanie praw, które często poza murami więziennymi niektórzy mają w głębokim poszanowaniu.

Teraz, gdy w końcu mogłam powiedzieć, że dałam radę i zrobiłam wszystko, co zaplanowałam, a nawet i więcej, w mojej głowie powstała pustka.

I zupełnie nie wiedziałam, jak ją wypełnić.

Rozdział 4

– Zamordowana to Olga Kowalonek. W tym momencie nasi sprawdzają dokładnie jej historię w kartotece – zaczął komisarz Maksymilian Obrębski, gdy po trzydziestu dwóch minutach od telefonu stanął przed nim młodszy stażem policjant.

Bogucki, gdy tylko wszedł do mieszkania Kamila Jaworskiego, wziął najszybszy prysznic w życiu i z mokrymi włosami wsiadł do radiowozu, mimo że panująca na dworze temperatura raczej nakłaniała do nakrycia głowy czapką, a nie do chadzania bez niej, na dodatek z niewysuszonymi włosami i cały czas spływającą po uszach wodą.

Spojrzał na Obrębskiego, który do niedawna był jego przełożonym, i pierwsza myśl, jaka pojawiła się w jego głowie, to pytanie, jak on to robi, że zawsze wygląda schludnie. Momentalnie poczuł lekką niechęć do siebie, gdy kątem oka dostrzegł swoje odbicie: czerwone policzki, włosy w nieładzie, sweter z jakąś plamą, której nie pokonał proszek do prania, a na tym czarna kurtka z dziurą pod pachą. Nie tak chciał wyglądać, ale zawsze coś przeszkadzało mu w zaprezentowaniu się lepiej. Z reguły pośpiech i pęd życia, ale jak już się nigdzie nie spieszył, to najzwyczajniej w świecie zapominał o tym, żeby poświęcić dłuższą chwilę na dopracowanie swojego wyglądu.

Odwrócił wzrok od lustra i spojrzał w stronę ofiary. Zganił się w myślach, że to na niej powinien się teraz skupić całą swoją uwagę i myśli.

– Znaleźliście przy niej dokumenty? – Zmarszczył brwi, jakby z opóźnieniem doszedł do niego sens wypowiedzianych przez kolegę słów.

– Nie, Olga to dość popularna osoba.

– Aktorka, celebrytka? – On sam zupełnie nie kojarzył twarzy kobiety, ale w tej pozycji mogła nie przypominać siebie za życia.

– Nie. Osoba do towarzystwa, jak to kiedyś określiła, gdy rozmawialiśmy.

Bartosz Bogucki musiał zrobić dziwną minę, bo jego kolega zareagował głośnym śmiechem.

– Nie, nie korzystałem z jej usług, jakby coś. Kiedyś rozpracowywałem gang zajmujący się handlem ludźmi, głównie sprowadzaniem zza wschodniej granicy kobiet, które następnie szprycowano narkotykami, robiono im rozbierane zdjęcia, a później je gwałcono. Upokorzone, z dala od rodziny, były zmuszane do prostytucji. Informowano je, że tylko oddając się przypadkowym mężczyznom, mogą zbierać na powrót do domu. Oczywiście to nigdy nie następowało, a one coraz bardziej wpadały w prostytucyjno-narkotykowe bagno. Gdy pierwszy raz na nią wpadłem, Olga była dziewczyną jednego z gangusów, których próbowaliśmy udupić. Pomagała nam dyskretnie. Jej udział w sprawie nigdy nie wypłynął, a ona po wszystkim na trochę zniknęła z rynku. Niestety okazało się, że... – Komisarz Obrebski na chwilę przerwał i podrapał się po głowie. – Nie wiem, czy to lubiła, czy wizja zarobków ją zaślepiła, ale wróciła do tego. Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkiem od kolegi z obyczajówki ja-

kiś miesiąc temu. Tylko już nie stała na ulicach, nie ganiała za klientami. Z tego, co mi opowiadał, to można było się z nią umówić za pomocą jakiejś aplikacji. Smutne, że tak skończyła. – Głową kiwnął w stronę wykrzywionego ciała dziewczyny. – Wiem, że to dziwnie zabrzmie w kontekście jej pracy, ale kurczę, była naprawdę sympatyczną dziewczyną. Rozmawiałem z nią kilkakrotnie, próbując jakoś pomóc, ale to ten typ, co wszystko wie lepiej i da sobie radę. No i tak skończyła.

– Przykre. – Bogucki rozejrzył się po pomieszczeniu. – Ale w tym całym nieszczęściu może jest jakaś nadzieja i może tym razem też została użyta aplikacja. Jeśli tak, to powinniśmy być w stanie sprawdzić, kto ją... wynajął.

– Gdyby tak się dało, to byłoby super, ale niestety dzisiaj nie dostaniemy prezentu świątecznego. Aplikacja gwarantuje prywatność, czym się szczycą. Powtarzają to na każdym kroku i są pod tym względem nieustępliwi. Nasi już próbowali przy innej sprawie dostać się do danych klientów i ich kobiet, ale dupa. Właściciele tłumaczą się, że aplikacja nie doprowadziła bezpośrednio do niebezpieczeństwa. Jest niczym Facebook, który pomaga nawiązywać relacje. Poza tym mają tak napisany regulamin, że nie odpowiadają za to, co dzieje się później. W sumie to się nie dziwię, bo gdyby nie to, mielibyśmy wysyp spraw typu: „Poznałam pana przez aplikację, on mnie okradł lub pobił, a potem zniknął”. A następnie obciążano by za wszystko aplikacje lub wymagano pomocy w znalezieniu winnego. Nic innego by nie robili, tylko angażowali się w te sprawy. – Obrębski przerwał i poprawił mankiet niebieskiego stroju ochronnego, który założył, i wyszedł z łazienki, a kolega za nim. – Dość o pierdołach. I tak nie będziemy mieli tutaj za dużo do roboty. Wszystko

wskazuje na to, że mamy sprawcę, co raczej nie jest typową sytuacją. Więc może nasza praca ograniczy się do zebrania dowodów, przesłuchania świadków i kolejny sukces zapisze się na naszych kontach. – W jego głosie nie brzmiała jednak ani nadzieja, ani radość, ale smutek.

Bartosz Bogucki rozejrzał się po pomieszczeniu. Centralne miejsce pośrodku salonu zajmował gigantyczny telewizor. Przed nim stała czarna skórzana kanapa z białymi włochatymi poduszkami. Wnętrze wskazywało, że mieszka tu mężczyzna, ale styl, jaki wybrał, zdecydowanie nie przypadł policjantowi do gustu.

Wszystko prezentowało się zbyt nachalnie. Było zbyt błyszczące, zbyt duże, zbyt świecące. Nawet szklany regał na kieliszki podświetlono taką liczbą lampek, że wyglądał niczym latarnia wskazująca marynarzom drogę do portu.

– Kim jest nasz potencjalny sprawca? – Przeniósł wzrok na kolegę.

– Błażej Zaremba. Perkusista. Znany kobieciarz i z tego, co na szybko sprawdziłem, raz już był oskarżony o pobicie kobiety. Twierdził wtedy, że wcale jej nie dotknął, a ona zrobiła to z zemsty, bo ją zdradził z jej najlepszą przyjaciółką. Trzeba koniecznie to sprawdzić. Ale do brzegu. – Sam siebie ponaglił i lekko sapnął pod nosem. – Ktoś zadzwonił na numer alarmowy. Nie zostawił danych, zupełnie nic. Powiedział, że słyszał podejrzane dźwięki dochodzące z mieszkania, i tu podał adres. Drzwi były lekko uchylone, denatka leżała w wannie, a gość w łóżku. Oboje się nie ruszali. Początkowo myślano, że jedno i drugie nie żyje. I nagle on się zerwał jak oparzony. Podobno taki młody z naszych wydarł się z przerażenia. W sumie się nie dziwię, też bym narobił w gacie. Właściciel mieszkania po pierw-

szym szoku powiedział, że nie wie, o co chodzi. Nie zna dziewczyny i nie pamięta jej przyjścia. Totalnie...

Nie zdążył skończyć, bo w tym momencie do pomieszczenia wszedł prokurator, zupełnie nic sobie nie robiąc z obowiązującego na miejscu zbrodni dress code'u. Był w eleganckim garniturze, który opinał całkiem sporych rozmiarów brzuch, i tak wypastowanych butach, że można było się w nich przeglądać. Tak zachowywała się tylko jedna osoba w warszawskiej prokuraturze – Marcin Borowicz. Postać, której zdecydowana większość nie lubiła, a niektórzy nawet i nienawidzili, a to przede wszystkim za sprawą nepotyzmu. Nikt nie mógł zaakceptować tego, że na tak ważnym stanowisku działa człowiek, który nie objął go dzięki swoim umiejętnościom czy osiągnięciom, ale tylko i wyłącznie za sprawą faktu, że jego ojciec pracował od wielu lat w Ministerstwie Sprawiedliwości, gdzie, jak wiele osób mówiło, był szycią.

Może gdyby Borowicz chociaż się starał, wkładał serce w pracę, którą wykonywał, sprawa nie wyglądałaby tak tragicznie. On jednak zdecydowanie nie przykładał się do pełnionych obowiązków, pokazując to na każdym kroku i przy każdym spotkaniu.

– Co macie? – Mężczyzna skinął im głową, co prawdopodobnie w jego mniemaniu miało stanowić namiastkę przywitania, chociaż mogło oznaczać też zupełnie co innego, na przykład jakiś nerwowy tik.

– Nie ma co gadać, pokażę panu – zwrócił się do niego Obrębski i ruszył.

Bartosz Bogucki pomimo braku zaproszenia poszedł za nimi. Szli korytarzem, którego jedną ścianę przyozdobiono biało-czarną tapetą

w geometryczne wzory, a po przeciwnej stronie zawieszono kolekcję zdjęć, którą poprzekładano złotymi płytami w wielkich ramach.

Policjant nigdy nie słyszał o podejrzanym, ale ściana chwała, jak od razu nazwał ją w głowie, świadczyła o tym, że Zaremba radził sobie całkiem nieźle i znał różne sławy. Wisiało tam zdjęcie z jednym z najbardziej znanych wokalistów ostatnich lat, Andrzejem Gąsowskim, z całym składem zespołu Ale Abba oraz z gwiazdą piłki nożnej, Michałem Ogórkowskim, który od lat regularnie zgarniał tytuł najlepszego piłkarza w kraju i nic nie wskazywało na to, by w najbliższym czasie ktoś mógł mu zagrozić.

Skręcili w prawo i znaleźli się łazience. W jej centralnym miejscu stała wanna, w której leżała kobieta. Całość można byłoby uznać za kadr z horroru lub filmu kryminalnego, gdyby nie fakt, że aktorka nie żyła i nic nie mogło zmienić tego stanu rzeczy. Jej głowa spoczywała na brzegu wanny, a twarz wyglądała jak porcelanowa – była nienaturalnie jasna, niczym u gejszy chwilę przed wyjściem na miasto.

Dla aspiranta Bartosza Boguckiego ten widok nie należał do najprzyjemniejszych, ale stanowił nieodzowny element jego pracy, który akceptował i który w dziwny sposób go ekscytował i powodował, że nie umiał oderwać od niego wzroku. Nie znał nikogo wśród znajomych niepolicjantów, komu praca przynosiłaby tyle emocji, i to niezwykle skrajnych, zarówno tych pozytywnych, gdy łapie przestępcę, jak i negatywnych, gdy patrzy na czyjegoś bliskiego, kogoś, kto był kochany, a teraz poza ciałem nic już z niego nie zostało.

Zupełnie inaczej sprawa się miała z prokuratorem, który wkroczył do łazienki sekundę przed nim. Gdy tylko zobaczył kobietę, obrócił się na pięcie i wyszedł szybkim krokiem z pomieszczenia, zo-

stawiając za sobą Obrębskiego, na którego twarzy zagościł diabelski uśmiech. Komisarz poczekał chwilę i ruszył za mężczyzną, który z wkurzoną miną stanął ponownie na środku salonu.

– Proszę powiedzieć, co się wydarzyło. – Marcin Borowicz podniesionym głosem starał się odwrócić uwagę zgromadzonych od tego, co się przed chwilą stało. Od tego, że nie udźwignął ciężaru widoku martwej kobiety, co dla osoby na jego stanowisku raczej nie powinno stanowić problemu. – Co wiemy?

Obrębski powtórzył wszystko, co chwilę wcześniej opowiedział koledze, założył ręce na brzuchu i czekał na dyspozycje. Dobrze wiedział, że akurat w tym prokurator spełnia się w stu procentach – jest niczym dowódca w wojsku, który zawsze ustawia wszystkich do pionu i wydaje rozkazy tak naturalnie, jak większość osób oddycha.

– Przeskanujcie tego mężczyznę. Jego przeszłość. Co go łączy z zamordowaną i takie tam. Sprawdźcie kamery przed wejściem do budynku.

– Nie działają – wtrącił Obrębski, który od razu dostał informację na ten temat.

– To niedobrze. Wyślijcie mi raport patologa i technika.

– To nie pojedzie pan na... – zaczął Bartosz Bogucki, ale nie skończył, widząc minę kolegi, który pokręcił głową, dając znać, żeby nie ciągnął wątku.

Marcin Borowicz słynął z niechęci do pełnionego zawodu na wielu poziomach. Między innymi nie pojawiał się na sekcjach zwłok, a kontakty z osobami związanymi ze śledztwem najchętniej ograniczał do mailowych. Nawet rozmów telefonicznych unikał jak ognia, jakby wtedy mogło paść problematyczne pytanie, na które nie znałby odpowiedzi lub w danej chwili nie chciał jej udzielić z siebie

tylko wiadomego powodu. To on rozdawał karty i nikt nie mógł dyskutować, bo pisząc maile, ciężko było prowadzić rozsądną wymianę zdań. Dlatego wielu najzwyczajniej w świecie rezygnowało i robiło grzecznie to, co mężczyzna kazał.

– Nie będę już was odrywać od śledztwa. – Prokurator poprawił kosmyk włosów, który zsunął mu się na czoło i drażnił od dłuższej chwili. – Działajcie. Mamy już sprawcę, więc nie musicie się męczyć. – Wypowiadając ostatnie zdanie, uśmiechnął się delikatnie, przez co wokół oczu zrobiły mu się zmarszczki. Skinał im lekko i wyszedł. Nikt go nie zatrzymywał. Każdy patrzył z lekkim wyrzutem, a zarazem smutkiem. Taka postawa osoby, od której często zależało życie ludzi, stanowiła cios dla osób wierzących w sens wykonywanej pracy.

– Chodźmy! – rzucił Obrębski, gdy plecy Borowicza zniknęły z pola widzenia, i ruszył ponownie do łazienki. – Nasi znaleźli ją w tej dziwnej pozycji. Medycy od razu stwierdzili zgon.

Powtórzył raz jeszcze informacje, które już wcześniej przekazywał. Skończył, gdy przekroczyli próg pomieszczenia. Przy ceramicznej wannie na masywnych nóżkach prężył się nowy technik, który zasilił ich szeregi raptem dwa tygodnie temu. Komendant zrobił inauguracyjne przedstawienie, jakby prezentował nowy sprzęt czy radiowóz. Marcel Wolski, bo tak nazywał się mężczyzna, zupełnie tym się nie przejmował. Stał wtedy koło nowego przełożonego, szczerząc się od ucha do ucha i kiwając głową na każdy szczegół swojego opisu padający z jego ust. Okazało się, że szkolił się w Stanach Zjednoczonych, co u większości wywołało pomruk zadowolenia, bo cenili napływ nowej wiedzy. Niestety jak zwykle bywa w takich sytuacjach, kilku, na szczęście nielicznych, sapnęło z dezaprobatą, jakby fakt, że

człowiek dobrze się wykształcił i do tego chętnie pracował, źle o nim świadczył. Jednak gdy po przemowie „nowy” zaprosił wszystkich do baru, gdzie postawił piwo całkiem licznej ekipie, przekonał do siebie nawet tych sceptycznych.

Teraz z małym aparatem w dłoni chodził dookoła wanny i uwieczniał każdy szczegół. Włos, okruch, smugę, najmniejszy ślad.

Stanęli w bezpiecznej odległości i patrzyli. Nie miał w ruchach tej lekkości, jaką charakteryzował się patolog wykonujący czasami prace technika, który nagle opuścił ich szeregi, ale obserwowanie go i tak sprawiało przyjemność.

– Nie stójcie tak, nie gryzę. – W końcu to on się odezwał i wstał z ziemi, na której jeszcze przed chwilą klęczał wygięty w chińskie S, uwieczniając coś znajdującego się pod wanną.

Tego dnia włożył koszulę w fikuśne czerwone mazy i czarne spodnie. Wyglądał raczej jak osoba wybierająca się do baru lub na imprezę na plaży, a nie na spotkanie z trupem. Pod tym względem niedaleko mu było do stojącego obok Obrębskiego, chociaż strój komisarza wydawał się nieco bardziej stonowany.

– Znając życie, chcecie wiedzieć, co się tutaj stało. – Zerknął na dwóch mężczyzn, którzy podeszli bliżej, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech prezentujący białe niczym śnieg zęby. – Jak wiecie, zamordowaną jest Olga Kowalonek. Nie widać śladów walki w postaci zadrapań. Pod paznokciami czysto, nawet za bardzo. W boku rana, ale ilość krwi dość niewielka, więc może nie jest zbyt głęboka. To oczywiście okaże się później. Więcej dziur nie widziałem, ale nie wiem, co skrywają jej plecy i głowa, zresztą to nie moja robota. Zabezpieczyłem sporo śladów. Włosów, odcisków palców. Z ciekawostek! – Nagle podniósł głos, a dwaj stojący przed nim policjanci aż

podskoczyli. – To, co zauważyłem, ale czego jeszcze nie zabezpieczyłem, to ślady na drzwiach od tarasu. Tak jakby ktoś się z nimi szarpał. Jak dla mnie nie wyglądają jak standardowo po spotkaniu z włamywaczem, raczej jakby ktoś próbował je nieumiejętnie otworzyć za pomocą właściwego klucza. Tak jakby ktoś nie wiedział, jak to zrobić. Może właściciel spożył za dużo procentów i się z nimi szarpał. Później się tym zajmę, teraz ta dama rządzi.

– Ale...

Obrębski nie zdążył skończyć, bo technik mówił dalej:

– Sprawdziłem i przez taras można dostać się do mieszkania. Nie ma płotu wokół ogródka, tylko gęsto rosnące rośliny. Teraz tego nie widać, ale od drugiej strony jest parking. Na nasze nieszczęście nieoświetlony i bez kamer. Tak mi się przynajmniej wydawało, gdy tutaj jechałem. Takie mam zboczenie, że gdy dojeżdżam na miejsce zbrodni, wszystkie zmysły wyostrzają mi się niczym u psa myśliwskiego. Kiedyś w domu matki włączył się alarm. Ona, jak to starsza osoba, nie chciała firmy ochroniarskiej, więc tylko ja dostawałem za wiadomienie, że coś jest nie tak. No i jadąc do niej, w odległości dwóch kilometrów od jej domu zauważyłem nietypowy samochód. Moja mama mieszka na osiedlu pełnym seniorów, a tam nagle taki niskopodłogowy golf, zupełnie niepasujący do zdiadziałej okolicy, gdzie średnia wieku to pewnie siedemdziesiąt lat. Wiadomo, wnuk mógł przyjechać w odwiedziny, ale gdy wpadłem do mieszkania i zastałem je splądrowane, wiedziałem, że pierwsze kroki skieruję do młokosów. – Widząc ich miny, od razu dodał: – Tak, nie powinienem sam, ale jakoś instynkt obrony mamy mi się uruchomił. Więc jak strażnik Teksasu polazłem do nich, i co? Szykowali się na kolejny włam. Odebrałem, co mamy, i wezwałem ekipę. Dobra, nie będę już

gadał, bo zamęcę was na śmierć. – Wzruszył ramionami i ponownie się nachylił nad wanną. – A ta pani całkiem, całkiem.

– Olga należała do tych bardziej ekskluzywnych – stwierdził Obrębski.

– Przez chwilę myślałem, że weszła z podejrzanym od strony tarasu – zaczął technik, choć nikt go o to nie pytał. – Stąd te uszkodzenia na drzwiach, bo nie mógł skupić się na kluczu, ale jakoś nie widzę, żeby ta pani w szpilkach szła przez trawę.

– Ja też. – Komisarz kiwnął potakująco głową. – Zresztą leżą w sypialni koło łóżka i nie ma na nich śladów trawy czy ziemi. Oczywiście mogłaby je zdjąć, ale on poniekąd jej płacił za to, aby cały czas wyglądała ponętnie i seksownie, a jakby je ściągnęła, to niestety straciłaby wiele na uroku. – Obrębski ponownie spojrzął na zamordowaną. – Zresztą nie wiem, jak kobiety są w stanie w czymś takim się przemieszczać, to jakieś niewykonalne jak dla mnie. – Znowu zamilkł, widać było, że nad czymś intensywnie myśli. – A jest opcja, że ślady na drzwiach są sprzed kilku dni? – zmienił temat.

– Tak jak wspominałem, ja tylko to zauważyłem i jeszcze nie zabezpieczyłem. Muszę jednak najpierw tu ogarnąć, aby można było ruszyć zwłoki, a następnie przewieźć do prosektorium. Aaa! – krzyknął nagle, a dwaj stojący przed nim mężczyźni znów aż się wzdrygnęli. – Moim zdaniem to ktoś ją ruszał. Ja nie od tego, ale zawsze mnie to ułożenie ciała interesowało. Jak się lepiej przyjrzyście, to zauważycie pewnie, że plamy opadowe wystają, to znaczy są widoczne. Nie powinienem się mądrzyć, ale według mnie ona leżała wcześniej w podobnej pozycji i później ktoś ją przesunął. Może ponownie próbował ułożyć w taki sam sposób. Tylko to jest praktycznie niemoż-

liwe, szczególnie w przypadku trupa. Zmienia się stężenie pośmiertne i...

Nie skończył, bo do pomieszczenia ktoś wszedł. Wszyscy trzej momentalnie odwrócili głowy.

- Dzień dobry, panowie, widzę, że ktoś chce zabrać mi robotę - przywitał się Ryszard Ostaszewski, starszy, elegancki mężczyzna, który ostatnie pół roku spędził na zwolnieniu lekarskim.

Wiele osób wróżyło mu już koniec kariery w policji, jednak on się nie poddał. Podczas wycieczki w Tatry Wysokie, na którą wybrał się wraz z dwoma synami, doszło do nagłego załamania pogody. Z nieba lunęła ściana wody, a co jakiś czas waliły dookoła pioruny. Gdy próbowali jak najszybciej dostać się do bezpiecznego miejsca, najstarszy z trójki poślizgnął się, choć miał porządne, specjalistyczne buty. Jak to później powiedział, mimo walących w oddali grzmotów usłyszał, jak zrywa mu się ścięgno w kolanie, a po sekundzie poczuł, że się nie pomylił, bo ciało zalała fala bólu. Jednak nic nie powiedział, tylko na adrenalinie buzującej w ciele dotarli do schroniska, a tam zemdłał. Obudził się w szpitalu, gdzie nad jego łóżkiem wisiała rodzina. Żona podobno okrzyczała synów, jakby mieli po dwa lata, mówiąc, że są nieodpowiedzialni, ciągnąc ojca po górach, jakby zapomniała, że to mąż był prowodyrem całej wycieczki. Synowie ze smutnymi minami cały czas nie mogli uwierzyć w jego wyczyn, który lekarz określił jako niespotykany. Później Ostaszewski tłumaczył, że nie chciał, aby utknęli w lesie, bo wtedy o pomoc byłoby jeszcze trudniej, no i naraziłby resztę rodziny. Włożono mu w nogę kilka śrub, a gdy lekarz dał zielone światło, ruszył z intensywną rehabilitacją.

– Przepraszam za opóźnienie, ale zajmowałem się kobietą, którą naćpany chłopaczek z bogatej rodziny pozbawił życia młotkiem. To jest straszne, co narkotyki pomieszane z alkoholem mogą zrobić z człowiekiem. Mam nadzieję, że gnojek zgnije w więzieniu. – Lekarz poprawił lateksowe rękawiczki, które założył przed wejściem, tak samo jak strój ochronny i ochraniacze na buty. – Zatem kogóż tutaj mamy? – Podeszedł bliżej wanny i nachylił się.

Policjanci zostawili technika z patologiem i ruszyli na obchód mieszkania. Zajrzeli najpierw do pomieszczenia, do którego drzwi znajdowały się naprzeciwko łazienki. Mieściła się tam sypialnia, której centralnym meblem było olbrzymie łóżko z pikowanym wezgłowiem w kolorze czarnym, a pod nim wielki dywan wyglądający jak skóra zdjęta z jakiegoś futrzastego zwierzęcia, może niedźwiedzia. Poza skotłowaną kołdrą i leżącymi na podłodze butami na niebotycznie wysokich obcasach, o których wspominał Obrębski, nic nie zwracało ich uwagi, dlatego po chwili wyszli na zewnątrz i wrócili do salonu.

– Trzeba koniecznie przesłuchać tego muzyka, prokurator raczej tego nie robi, więc jak wrócimy, ty się tym zajmiesz. Gość już na ciebie czeka – rzucił komisarz, a w reakcji na to żuchwa Bartosza Boguckiego lekko opadła. – Nie gap się tak na mnie. Co ty myślałeś, że będę cię wiekami niańczyć? Czas się trochę usamodzielnąć. Będę stał na zewnątrz i jakby coś, poproszę cię na chwilę na korytarz i podpowiem...

Nie skończył, bo obaj usłyszeli hałas przy wejściu do mieszkania. W drzwiach stanął starszy mężczyzna w szlafroku. Gestykulował intensywnie i krzyczał coś do stojącego tam młodego funkcjonariusza,

który z miną cierpiętника próbował mu wyperswadować pomysł wejścia do środka.

– Co się stało? – Obrębski ruszył mu na pomoc i uśmiechnął się do starszego pana.

Ten zacisnął mocniej małe usta i szczerzej opatulił się połami okrycia.

– Ja od zawsze mówiłem, że ten Zaremba sprowadzi na nas jakieś nieszczęście. Co chwilę jakieś imprezy, podejrzani goście, wrzaski i dziwne zapachy. Ja nigdy nie paliłem tych ziół, ale dzięki sąsiadowi dobrze je znam. Moja żona, która zawsze w ludziach widzi tylko dobre, mówi, że to jakieś zioła do jedzenia czy na poprawę pracy jelit, ale ja wiem swoje. Ćpun z niego i bawidamek.

– A ostatnio działo się coś szczególnego? – Komisarz próbował zachować powagę, ale patrząc na mężczyznę we włochatych, intensywnie niebieskich kapciach, ciężko było utrzymać profesjonalny wyraz twarzy.

– Szczególnego to może nie. Przedwczoraj zorganizował kolejną imprezę, jakby myślał, że mieszka na bezludnej wyspie. Krzyczeli do czwartej w nocy, a przestali tylko dlatego, że się schlali jak dzikie świny i nie mieli sił na więcej. Pukałem chyba z pięć razy. Dwa razy ktoś otworzył i niby powiedział, że będzie już ciszej, ale po chwili znowu się wydzierali jak obdzierane żywcem zwierzęta, a muzyka dudniła niemiłosiernie. Ja wiem, że on jest muzykiem i że w domu też lubi pograć, ale robienie koncertów to już przesada. Na dodatek w środku nocy, kiedy lokatorzy rano muszą wstać do pracy, zawieźć dzieci do szkoły. Tutaj sąsiedzi od dwóch miesięcy mają niemowlaka. – Głową wykonał ruch w prawo, jakby chciał pokazać, gdzie mieszkają. – Jego matka ze łzami w oczach opowiadała, jak próbo-

wała spać z młodym w łazience, bo tam najciszej, a i tak czuła, że od tych basów ściany się trzęsą. Jeszcze jej mąż wyjechał kilka dni temu w delegację, więc się bała wyjść na korytarz i do nich zapukać. Całą noc chodziła z dzidziusiem na rękach, licząc, że ten koszmar w końcu się skończy.

- Faktycznie niemiło - skomentował starszy stażem policjant. - A o której dzisiaj w nocy skończyli? Bo rozumiem, że też balangowali.

- Dzisiaj nie! - Mężczyzna pokręcił przecząco głową i podrapał się za uchem, które przy łysej głowie wyglądało na nienaturalnie wielkie. - Spokój, cisza, prawie idealnie. Tylko coś trzaskał. Nie wiem dlaczego, ale strasznie szarpał się z drzwiami tarasowymi. To znaczy one mu się już wcześniej parę razy zacięły. Podobno mają wadę fabryczną. Wiem, bo kiedyś stał pod klatką i próbował wejść. Grzebał w torbie, rozsypał wszystko na kostce. Wracał z jakiejś próby i posiał gdzieś klucze. Dopiero po czasie przypomniał sobie, że w samochodzie ma zapasowe od tarasu. Tak jak z nim wtedy chwilę po stałem, to sprawiał wrażenie nawet miłego człowieka. Opowiadał mi o swojej mamie, która podobnie jak ja pracowała jako nauczycielka. O pogodzie, bo akurat tego dnia strasznie padało, ale obaj stwierdziliśmy, że to dobrze, bo rośliny ostatnimi czasy mocno się wysuszyły. To się działo latem, jak falę upałów przerwały te burze, pamiętają panowie? - Mężczyzna spojrział na policjantów pytająco, a ci w odpowiedzi pokiwali głowami. - Gdyby nie te jego głośne imprezy, to może byśmy się zakumpłowali. Kto wie. No i wtedy o tych drzwiach tarasowych wspominał - dorzucił mężczyzna, jakby chciał się wytłumaczyć.

– A czy orientuje się pan, czy sąsiad spotykał się z jakąś kobietą? Ktoś go regularnie odwiedzał? – rzucił nagle aspirant Bogucki, a Ob-
rębski kiwnął zadowolony.

Starszy mężczyzna zaśmiał się, zaskakując policjantów.

– On i związek?! My z żoną mamy widok na parking i widzimy, kto wchodzi, kto wychodzi. Oczywiście nie patrzymy na to zbyt czę-
sto, ale akurat z kuchni, jak coś robimy, to wszystko mamy jak na
przysłowiowym talerzu, i to, ile kobiet go odwiedzało, to... uuu... –
Aż zagwizdał. – On stworzył swój mały harem, ze sporą rotacją jego
uczestniczek. Oczywiście wszystkie podobne do siebie niczym klony.
Tylko kolor włosów je różnił, chociaż dominowały brunetki. Ja my-
ślałem, że to ta sama, wie pan, jak to każdy facet, nie zwracam uwagi
na szczegóły, ale moja żona twierdzi, że praktycznie wszystkie przy-
chodziły tylko raz. I one były takie niczego sobie. – Mężczyzna za-
śmiał się rubasznie, a jego wystający zdecydowanie za mocno
brzuch zatrzęsł się przy tym wyraźnie. – No i spraszał sporo osób
z pierwszych stron gazet. Ja większości nie znam, ale moja Halinka
wyłapała kilka. Widziała jakiegoś aktora, innym razem uczestnika ja-
kiegoś głupiego programu kulinarnego, tego z tą panią, co wygląda,
jakby ją piorun trafił. Ja nie trawię tych wygłupów, ale moja żona
lubi je oglądać. Musieliby panowie z nią pogadać, bo ja ich nie koja-
rzyłem. Jedyne gość, którego rozpoznałem, to ten z włoskimi korze-
niami, Leonardo... no...

– Leonardo Małkowski? – pomógł mu Bartosz Bogucki, a stojący
obok kolega zrobił zdziwioną minę. Ściągnął usta w lekki dzióbek
i przekręcił je w prawą stronę, mrużąc przy tym oczy.

– No właśnie. Mózg już nie pracuje odpowiednio. – Mężczyzna
postukał się palcem po łysej niczym kolano głowie. – Kiedyś to zna-

łem tysiące wzorów z matematyki i fizyki, a teraz to czasami zastanawiam się, jak mam na imię. Dobrze, że pamiętam, jak nazywa się moja żona, bo inaczej miałbym kłopoty. – Westchnął i spojrzał na młodszego policjanta. – A co do tego Leonarda, to kiedyś nawet z nim gadałem. Przywiózł sąsiada, bo ten podobno nawalił się na próbie. Psioczył na Zarembę, że zawala robotę i przez niego nie mogą skończyć jakiegoś projektu, ale i tak go odwiózł. Twierdził, że tylko on niczego nie pił, a dwóch taksówkarzy odmówiło mu przejazdu, bo bali się, że obrzyga im auto.

– A w nocy widział pan tutaj kogoś? – spytał tym razem Obrębski.

– Nie, nikogo. Zresztą sypialnię mamy z drugiej strony, a stamtąd nie widzimy ani tarasu, ani wejścia do budynku. Poza tym wczoraj nie zapalił światła, które sobie zamontował, a wtedy ciemno ma jak cholera. Słyszeliśmy tylko coś, jakby szarpał się z drzwiami tarasowymi, a później jakieś dźwięki typu trzaśnięcia i generalnie nic szczególnego. Ale jak mówiłem, coś z nimi jest nie tak. Chociaż... – Mężczyzna zawiesił głos i podpadał się po czerwonym nosie. – W sumie od dawna nimi nie walił, jakby nauczył się je poprawnie otwierać. A wczoraj chyba zapomniał. – Wzruszył ramionami i sapnął przeciągle.

– To państwo wezwali policję? – zmienił temat Obrębski.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową i zacisnął pasek utrzymujący szlafrok na miejscu.

– Nie. – Jego głos zabrzmiał stanowczo, wręcz z nutą urazy. – Nie było powodu. Jak na niego to panował spokój, cisza jak makiem zasiał. O takie hałasy jak wczoraj to nie moglibyśmy się denerwować. Byłoby to co najmniej niestosowne.

– To kto mógł to zrobić? – Komisarz założył ręce na brzuch i cały czas bacznie obserwował starszego pana.

– Nie wiem. – Mężczyzna wzruszył ramionami i wzniosł oczy w stronę sufitu. – Mieszkam tutaj już siódmy rok i średnio znam sąsiadów. Poza tą panią z dzieckiem, to nie rozmawiam z nikim. W dzisiejszych czasach nie ma już takiej wspólnoty, nie ma pomocy sąsiedzkiej. Kiedyś bez krępacji szło się do sąsiada po cukier czy marchewkę, jak zabrakło. Teraz jak coś się dzieje, to trzeba samemu walczyć o swoje. Ostatnio chciałem uzbierać na remont wiaty śmietnikowej, bo się rozpada. Przeszedłem po kilku mieszkaniach i wszyscy odmówili. Powiedzieli, że skoro administracja tego nie ogarnia, trzeba złożyć na nich skargę i tyle. Nikt nie chciał się dorzucić, więc odpuściłem. Generalnie wszyscy mają innych gdzieś, a ponieważ panowała względna cisza, to nie wydaje mi się, żeby ktoś z sąsiadów miał po co was wzywać.

– Dziękujemy panu, jak coś sobie pan przypomni, proszę dzwonić. – Obrębski podał mężczyźnie swoją wizytówkę, pożegnał się i z Boguckim u boku ruszył schodami na dół.

Rozdział 5

Dwadzieścia lat wcześniej

– Ja nie mogę tego zrobić! – pisnął przyszczaty blondyn i zgarbił się, jakby chciał schować się w niewidzialnej skorupie.

– Atos, pamiętasz nasze hasło?

– To głupie, jeden za wszystkich, wszyscy za jednego – prychnął chłopak, wypuszczając powietrze.

Jak zwykle miał na sobie sweterek, z którego koledzy się śmiali. Jego matka twierdziła, że wygląda w nim dostojnie, kumple zaś widzieli w nim elfa, pomagiera Świętego Mikołaja lub innego przebie-rańca, co w wieku piętnastu lat raczej nie zjednywało mu rówieśni-ków. Ale nie miał wyboru, bieda w domu piszczała tak, że waliło po uszach, i to, co dostawał do ubrania, nie podlegało dyskusji. Inaczej chodziłby na golasa.

W domu pusta lodówka stanowiła standard. Jedynym stałym ele-mentem były butelki poukrywane po szafkach. Rodzice zawsze zna-leźli sposób na ich kupienie, zapominając, że w hierarchii potrzeb karmienie dzieci powinno znaleźć się wyżej niż wlewanie w siebie alkoholu. Niestety tak nie było.

Atos próbował radzić sobie inaczej. Dwa razy poszedł do pracy, ale w obu przypadkach szybko go wywalono przez kolegów, którzy

kręcili się wokół niego niczym smród w gaciach i swoim zwyczajem robili wszystko, aby długo nie zabawił w robocie. Czas bez niego uważali za stracony, bo nie mieli kompana do swoich głupich zabaw, kradzieży, bójek i tym podobnych. Dla nich, dzieciaków z patologicznych rodzin, takie aktywności stanowiły rozrywkę, która jako jedyna dawała chwile wytchnienia od ich gównianego życia. Od ciągłych kłótni w domu, przemocy, od której nie stronili nie tylko ojcowie, ale również i matki.

– To nie jest głupie. Dzięki temu jesteśmy niezniszczalni! – krzyknął Portos i wyprostował się, górując nad pozostałą dwójką przyjaciół.

– Moja ręka ma inne zdanie na ten temat! – Atos wyciągnął w kierunku kolegi dłoń.

– Miałeś już przestać zrzedzić, a ty jak zwykle zachowujesz się jak płaczliwa pipa. Moja młodsza siostra jest twardsza od ciebie.

– Tak, ale nie wiedziałem, co planujecie. Ja nie mam ochoty na...

– Dziewczyny? – dokończył za niego Aramis i wygładził ręką zaczesane do tyłu blond włosy. Od jakiegoś czasu je układał i próbował utrwalić ich kształt lakierem, który podkradał mamie. – Ty nigdy nie masz na nic ochoty. Tylko smęcisz i zrzedzisz. Ale jak przychodzi co do czego, to oczy ci się świecą z podniecenia. Myślisz, że nie widziałem, jak wylazł ci na mordę banan, gdy uderzyłeś tego kolesia? Taki niby potulny baranek, a ma w sobie moc lwa.

– Bo skurwiel sobie na to zasłużył – zaczął się tłumaczyć Atos. – My tylko chcieliśmy go oskubać, bo stary dziad ma zdecydowanie za dużo dziengów, a on wyskoczył z tą kosą, jakbyśmy chcieli mu coś zrobić. Gdyby mnie skurwysyn nie chlasnął – w tym momencie po-

kazał na swoją rękę – pewnie skończyłby lepiej. Mój dziadek, ten, o którym mówiłem, że ma niedaleko stoisko ze starymi monetami...

– To może go oskubujemy! – krzyknął Aramis z uśmiechem na twarzy.

– Czy ciebie Bóg opuścił? – Atos pokręcił głową z niedowierzaniem.

Już dawno obiecali sobie, że nie tykają swoich rodzin, chyba że w jakiś ekstremalnych sytuacjach, jak to miało miejsce w przypadku wujka Portosa, który pobił kuzynkę chłopaka. Podobno zupełnie nie pamiętał, jak kopnął swoją córkę w głowę, powodując uszkodzenie oczodołu, a tym samym utratę wzroku do końca życia. Policja go nie zgarnęła, bo był szyczą płacącą za trzymanie gangusów z dala od jego kilku kantorów, na których trzepał niezłą kasę. Nikt nie palił się do wpakowania go do pierdła, mimo że matka dziewczynki dokładnie wiedziała, kto za tym stoi, i nie omieszkała tego wyjawić policji. Dlatego to trzech młodych chłopaków wymierzyło sprawiedliwość, kopiąc starszego mężczyznę zamroczonego sporą dawką alkoholu niewiadomego pochodzenia, gdy pewnego wieczora go odwiedzili. W wyniku ich wizyty stracił trzy zęby i trwale zniekształciła mu się twarz, która i tak wyglądała dziwnie.

– Poza tym – wtrącił Portos, próbując przekonać kolegę do wspólnego wieczora – moi starzy wyjechali do znajomych na tydzień. Mają daleko, więc nie ma szansy, żeby nagle wpadli. Zresztą wczoraj gadałem z matką, chcąc wybadać temat, mówiła, że ojciec pije wódkę jak herbatkę. Stara nie potrafi prowadzić, więc utknęli tam na dobre. Chata jest wolna i cała dla nas. Zaprosiłem trzy dziewczyny, które poznałem wczoraj na straganie, gdy chodziłem, szukając szczęścia. Są chętne, a barek jest pełny. Ojciec nawet nie wie, co w nim jest.

Dostawia tylko kolejne, więc nie ma co się przejmować. Możemy chlać, ile wlezie.

Sześć godzin później

– Atos, jedziesz! – pokrzykiwał Aramis, stojąc obok sapiącego kolegi.

Ten energicznie poruszał biodrami, czując wzbierające podniecenie. Dziewczyna, która leżała pod nim, rytmicznie podskakiwała, nie wydając z siebie żadnego dźwięku. Spoczywała niczym kłoda, poddając się jego ruchom.

Jej twarz wyglądała, jakby smacznie spała, ale każdy z trzech przebywających w pomieszczeniu chłopaków wiedział, że to nie zmęczenie jest tego powodem, ale znacznie przekraczająca zalecaną normę ilość wypitego alkoholu.

– Ja już nie chcę – mruknęła dziewczyna dwie godziny wcześniej, trzepocąc rzęsami do Portosa, który z ich trójki był zdecydowanie najprzystojniejszy. To on zawsze niczym magnes przyciągał przedstawicielki płci przeciwnej.

– Oj, przestań... – Zupełnie ignorując słowa dziewczyny, nalał jej kieliszek wódki i włożył w jej dłoń. – Zaraz puszcze radio, to sobie potańczymy – rzucił, a ona uśmiechnęła się, licząc na chwilę w jego ramionach, co stanowiło marzenie wielu jej koleżanek.

Dwie pozostałe dziewczyny już od jakiegoś czasu siedziały cicho na kanapie, gdy oni urzędowali przy stole w jadalni. Były złe na koleżankę, która zabrała je na średnio fajną imprezę. Niestety Atos i Aramis nie odnajdowali się w rozmowach o niczym, nie prawili komplementów ani nie rzucali dowcipami jak magik kartami z rękawa.

Gdy oznajmiły, że wychodzą, trzecią z nich zamurowało. Poprosiła koleżanki na bok. Niewiele słyszeli poza podniesionym głosem napalonej brunetki. Po chwili dumnym krokiem podeszła do nich i oznajmiła, że koleżanki muszą jechać, bo tak się umówiły z rodzicami, ale ona chętnie zostanie, o ile to nie problem.

Problemu nie było żadnego.

Została, zupełnie się nie spodziewając, że ten wieczór stanie się jej traumą.

Dla trzech młodych chłopaków był on natomiast kolejnym świadectwem, że ich przyjaźń jest nierozzerwalna, bo łączy ich tyle tajemnic, że gdyby kiedykolwiek wyszły na światło dzienne, w najlepszym wypadku do końca życia oglądałoby świat zza krat.

Rozdział 6

ONA

Nie wiem, co to za chory pomysł, żeby dawać pacjentom śniadanie o siódmej, a ostatni posiłek dobrze przed osiemnastą. Ja rozumiem, że panie kucharki chcą iść do domu, ale nawet dla mnie, osoby chodzącej dość wcześnie spać, jest to niezrozumiałe. A już o tym, co kładą na talerzu, nie jestem w stanie powiedzieć nic miłego. Z tego, co słyszałam, to więźniowie są lepiej karmieni, ich posiłki regulują przepisy, a gdy ktoś jest źle żywiony, od razu zaprzęga do pracy adwokata i piszą skargę, tak jakby ci ludzie zapominali, że są tam za karę i powinni siedzieć cicho, grzecznie odpokutowując.

To zadziwiające, ale ten chory system robi wszystko, aby pacjent chciał jak najszybciej uciec ze szpitala, niezależnie od tego, czy jego stan się faktycznie poprawił. Grunt, żeby wyszedł jak najszybciej i nie narażał systemu ochrony zdrowia na kolejne wydatki.

W przerwach w rozmyślaniach nad moim stanem i nad systemem opieki zdrowotnej, co jakoś szło w parze, obserwowałam.

Personel medyczny. Lekarkę, która cały czas drapała się po ręce. Salową, która po kątach, jak nikt nie patrzył, wyciągała telefon z kie-

szeni i z uśmiechem na twarzy szybkimi ruchami palców wstukiwiała coś na klawiaturze.

Jednak te osoby wchodziły i wychodziły, prezentując mi tylko ułamek swojego życia.

Osobą, którą mogłam dłużej obserwować, była dziewczyna leżąca na łóżku obok.

Szczupła brunetka, zwrócona twarzą w stronę sufitu, całymi dniami się na niego gapiła, praktycznie nie wykonując żadnych ruchów. Zachowywała się dokładnie jak ja kiedyś. Unikała kontaktu wzrokowego, a na jakiegokolwiek pytanie odpowiadała raczej skinieniem głową, a rzadko jakimś słowem, jakby interakcja z innymi osobami za bardzo ją bolała.

I wtedy pojawił się on.

Od razu wiedziałam, że z tym facetem jest coś nie tak. Ubrany w garnitur i białą koszulę, przychodził w odwiedziny do leżącej obok nastolatki i większość czasu w sali spędzał wpatrzony w swój telefon. Odzywał się tylko półsłówkami, a maksymalnie zdaniami prostymi, które brzmiały bardziej jak oznajmienie woli króla niż troskliwa wymiana zdań z cierpiącą córką.

„Przyniosłem książki”.

„Przeczytaj je”.

„Długo będziesz tutaj leżeć?”

„Zgłoś się na konkurs”.

„Zrób pracę domową”.

Ignorował każdą informację, że dziewczyna czegoś nie daje rady zrobić, bo najzwyczajniej źle się czuje.

Powtarzał w kółko: „Lepiej, żeby ci się udało”. To była miłsza wersja. Częściej z jego ust padało: „Nie wkurzaj mnie”, a kiedyś powie-

dział nawet: „Opierdalasz się jak zwykle”.

Pozwolił sobie na to raz, gdy myślał, że śpię.

Ale ja czuwałam, nasłuchiwałam.

Jakoś nie potrafię odpłynąć, gdy w pobliżu jest ktoś, komu nie ufam.

Poza tym dobrze wiedziałam, że i tak się kontroluje, na wszelki wypadek, gdybym nagle otworzyła oczy.

Jednak raz się zapomniał. Leżałam dłuższy czas bez ruchu i pewnie pomyślał, że śpię. Pozwolił sobie wtedy na jedyny kontakt fizyczny ze swoją córką. Po jego głosie wiedziałam, że zbliżył się do dziewczyny. Uchyliłam delikatnie powieki i zobaczyłam, że chwycił ją za ramię i ścisnął. Momentalnie na jej twarzy pojawiły się łzy, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku, kiwnęła tylko głową i spuściła wzrok, chcąc unikać palącego spojrzenia ojca. Dobrze to znałam. Sama w życiu doświadczyłam tego tyle razy, że i mnie łzy napłynęły do oczu, jakby moje ciało odebrało jej ból. Ta niemoc młodej osoby, która nie ma w sobie wystarczającej mocy, aby się wyszarpnąć, aby powiedzieć: „Nie rób tak, zostaw mnie, zasługuję na miłość. A jak nie, to chociaż na szacunek”. Ale wiedziałam, że tak się nie da. Że życie jest okrutne, szczególnie wobec słabych jednostek, które nie mają w sobie siły i odwagi, aby uciec od oprawcy czy – tak jak było w moim przypadku – oprawców.

– Wszystko okej? – spytałam jak nie ja, gdy zostałyśmy w końcu same, a do moich uszu dobiegł jej cichy płacz. Taki w poduszkę, jaki sama dopracowałam do perfekcji, robiąc wszystko, aby nikt nie uważał mojego cierpienia.

Mnie tyle razy ignorowano.

Mój płacz.

Zbolały wyraz twarzy.

Niby ktoś dostrzegął, że mam jakiś problem, ale nigdy nie znalazł chwili w planie dnia, aby się nade mną pochylić.

Ostentacyjnie odwracano głowę, pokazywano plecy, dlatego nie chciałam jej tak zostawiać, mimo że jak zawsze kontakt z drugą osobą nie stanowił dla mnie komfortowej sytuacji.

Wstałam ze swojego łóżka, zestawiając powoli prawą, a później lewą nogę. Poprawiłam sztywną szpitalną koszulę, która jak zwykle rozjeżdżała mi się na plecach. Niespiesznie się spionizowałam i ruszyłam w stronę stojącego przy oknie łóżka, choć chodzenie cały czas sprawiało mi problem.

Stałam obok i czekałam. Nie noszę zegarka, ale wiedziałam, że minęło kilka minut, zanim przewróciła się na drugi bok i spojrzała na mnie.

Jej spojrzenie przypominało moje sprzed lat.

Pamiętam je z odbicia w oknie lub witrynie sklepowej, bo lustra zawsze unikałam jak ognia. Smutek i pustka odstraszały mnie samą. Przez lata nienawidziłam swoich oczu, zresztą wszystkiego, z czego się składałam, tak jakby to, jak wyglądałam, powodowało, że otaczali mnie źli ludzie.

Nienawidziłam swojej twarzy.

Nienawidziłam każdej części swojego ciała.

Dopiero od niedawna staram się uśmiechać, jak siebie widzę. Dopiero niedawno pojęłam, że to nie ja byłam winna zachowania mojej mamy, a także reszty rodziny.

Patrzyłam teraz na tę dziewczynę jak na własne odbicie.

Pewnie jak ja tyle razy odbiła się od ściany. Tyle razy liczyła, że ktoś jej pomoże, uwolni od oprawcy, a wtedy ten ktoś tak czy inaczej

pokazywał środkowy palec, odwracał się i wracał do swojego życia, w którym jej łzy, ból psychiczny czy fizyczny nie miały znaczenia, a jej problemy nie stanowiły powodu do zatrzymania się i zaopiekowania nią.

– Pomogę ci – powiedziałam i uśmiechnęłam się, licząc, że wyglądam podobnie jak Gabryś i Wiola tego dnia, gdy mnie przygarnęły. Nie znałam ich wtedy, ale gdzieś w głębi siebie czułam, że w końcu trafiłam na odpowiednie osoby.

Nie mogłam przygarnąć tej dziewczyny do siebie, ale liczyłam, że w jakiś inny sposób uda mi się jej pomóc.

Musiałam tylko dobrze poznać jej historię.

Rozdział 7

Aspirant Bartosz Bogucki czuł, jak pocał mu się ręce, a w głowie krążyły myśli podpowiadające czarne scenariusze.

Że nie będzie wiedział, jakie zadać pytanie.

Że przesłuchiwany zarzuci go faktami, o których on nie ma zielonego pojęcia.

Albo najgorsze: że będzie milczał jak zakłęty, zaciśnie usta i nie rozłączy ich nawet na sekundę, kręcąc tylko głową w poszukiwaniu myśli.

Ochlapał się po raz drugi lodowatą wodą, którą puścił w męskiej toalecie, i poklepał otwartymi dłońmi po twarzy.

– Dasz radę – rzucił do siebie niczym amerykański coach i spojrzął sobie w oczy w odbiciu w lustrze.

Postał tak chwilę, wytarł mokrą skórę ręcznikiem papierowym wyciągniętym z podajnika i ruszył do sali przesłuchań, w której od dwóch godzin siedział Błażej Zaremba.

Sam fakt, że podejrzany na niego czeka, zupełnie go nie stresował. Wiedział, że przesłuchanie to gra psychologiczna, a on jako policjant dysponował narzędziami, które wspomagały go w wyprowadzeniu przesłuchiwanego z równowagi. Oczywiście zasadniczo różniły się od tych stosowanych w dawnym, komunistycznym ustroju, ale dawały mu całkiem sporo opcji.

Spóźnianie się należało do tych najprostszych.

Niewygodny fotel lub taki, który zaraz mógł się rozlecieć za sprawą niedokręconego oparcia lub podłokietnika.

Za wysoka lub za niska temperatura, do czego oczywiście przesłuchujący mógł się przygotować odpowiednim ubraniem lub ciepłym czy zimnym napojem, ale już osoba, z którą miał rozmawiać, takiej możliwości nie otrzymywała.

Obraz, który wisiał krzywo za przesłuchującym, a na który przesłuchiwany cały czas patrzył, denerwując się jeszcze bardziej, bo wiedział, że nie może najzwyczajniej w świecie wstać i go poprawić.

On zaczął od najprostszego. Zresztą to była delikatna sugestia komisarza Obrębskiego, który zaproponował, żeby zaczął po trzynastej.

Poszedł jeszcze po butelkę wody i spóźniony o kolejne dziesięć minut wszedł do pomieszczenia, nie upewniwszy się, czy jego partner stoi po drugiej stronie lustra weneckiego. Stres wywołany nową sytuacją, w której został postawiony, lekko go paraliżował.

Momentalnie się za to zganił, ale już nie mógł wyjść. Musiał stać czoła wyzwaniu.

- Dzień dobry - rzucił, gdy stanął w drzwiach i poczuł, jak nogi lekko się pod nim ugięły. Napiął ciało i wyprostował plecy. Ostatnia rzecz, jakiej chciał, to aby przesłuchiwany zauważył strach, który opanował całe jego ciało, więc ostatkiem sił powstrzymywał się, aby mu nie ulec.

Siedzący za drewnianym stołem o niewielkim blacie mężczyzna nawet się nie ruszył. Powoli uniósł powieki i mruknął pod nosem coś, w czym policjant nie zidentyfikował konkretnych słów. Wyglądał tak, jakby się zdrzemnął, a funkcjonariusz swoim wejściem prze-

rwał mu błogie chwile. Powoli poprawił się na krześle i ułożył kołnierzyk niedbale zapiętej koszuli, jakby tym gestem chciał dać znać, że jest już gotowy na rozmowę.

Aspirant Bartosz Bogucki usiadł na krześle naprzeciwko i położył na blacie teczkę z dokumentami, a obok niewielki dyktafon, o którym w ostatniej chwili sobie przypomniał. Wrócił do recepcji i poprosił o jeden, bo sam jeszcze nie dysponował własnym. Podobno tego zaszczytu dostępowali nieliczni. Reszta musiała współdzielić kilka sztuk, które powinny leżeć w zawsze w tym samym miejscu. Jednak gdy przyszedł, w szafce leżał tylko jeden, co oznaczało, że jeżeli ktoś wkrótce nie odłoży wziętego wcześniej sprzętu, kolejny zainteresowany nagrywaniem przesłuchania będzie musiał obejść się bez dyktafonu lub kombinować inaczej.

– To w takim razie zaczynam. Będę nagrywać – oznajmił i nie czekając na odpowiedź mężczyzny, nacisnął guzik na urządzeniu, po czym położył je pomiędzy nimi. – Aspirant Bartosz Bogucki, dwudziesty ósmy listopada dwa tysiące dziewiętnastego roku, godzina trzynasta trzynaście. Proszę się przedstawić.

– Błażej Zaremba.

– Data urodzenia?

– Trzynasty maja, siedemdziesiąty piąty rok – wyszeptał zaspającym głosem.

– Gdzie się pan urodził?

– W stolicy. Warszawiak z dziada pradziada. – W jego głosie zabrzmiała duma, jakby była to jego zasługa.

– Czym zajmuje się pan na co dzień?

– Jestem muzykiem gościnnym, a dokładniej perkusistą, chociaż czasami też gram na gitarze. Generalnie to współpracuję z różnymi

zespołami czy wokalistami. Sporadycznie coś brzdękam w reklamach czy projektach dla konkretnych marek. Skromnie mówiąc, nie narzekam, ani na zlecenia, ani na zainteresowanie, szczególnie ze strony pań. – Uśmiechnął się, a Bogucki odniósł wrażenie, że puścił do niego oczko. Wzdrygnął się na samą myśl.

– Czyli nie ma pan stałego zatrudnienia?

– Nie. Jestem wolny niczym ptak – westchnął i rękoma wykonał ruch, jakby do jego tułowia przyklejone były prawdziwe skrzydła.

– Proszę opisać ostatnie dwadzieścia cztery godziny – rzucił policjant i zerknął na weneckie lustro. Liczył, że stojący za nim Obrębski kontroluje wszystko i w razie wtopy będzie interweniował. Wolał to niż problemy ze śledztwem wynikające z jego niedoświadczenia.

– Serio? – Mężczyzna uniósł brwi i zmarszczył nos, jakby poczuł coś śmierdzącego, a następnie zatopił swoje długie palce we włosach, które kiedyś pewnie miały kolor niczym węgiel, teraz jednak wiek spowodował, że gdzieniegdzie przetykane były pasmami siwizny.

– W pana mieszkaniu znaleziono martwą kobietę. – Bogucki położył dłonie na blacie i splótł palce. – Wydaje mi się, że w pana interesie jest wytłumaczyć to nam racjonalnie, żebyśmy nie podejrzewali pana. – Uśmiechnął się i przekrzywił delikatnie głowę.

Zaremba zaniepokoił się po raz pierwszy, od kiedy znalazł się w tym pokoju. Poprawił się na krześle i splótł dłonie w identyczny sposób jak przesłuchujący, a następnie położył je na oddzielającym go od policjanta blacie stołu.

– To są jakieś jaja. – Skopiowane od policjanta ułożenie dłonie zdecydowanie mu nie pasowało, rozplótł palce i zaczął energicznie uderzać nimi o blat. – Że niby ja ją zabiłem? Ja nawet nie wiem, co

robiła u mnie w mieszkaniu. Ja jej nie zapraszałem. Nie wiem, czy to jakieś nowe zwyczaje, że ludzie się pchają do nieznajomych? Wy też wleźliście do mojego mieszkania bez zaproszenia, co jest chyba nielegalne. Obudziliście mnie, a od trzech dni nie spałem. Wziąłem silne leki nasenne i w końcu odpłynąłem. I nie dość, że zakłóćcie mi spokój, to jeszcze wmawiacie, że ktoś u mnie umarł. To jest jakieś absurdalne! Nie wiem, skąd ta laska się u mnie wzięła. Jak zasypiałem, nikogo u mnie nie było. Po kiego grzyba miałbym kłamać?! – wrzasnął, a policjant aż lekko podskoczył.

– Zna pan Olgę Kowalonek?

– Kogo?

Bogucki wyjął z teczki kolorowe zdjęcie kobiety, zrobione na miejscu jej znalezienia. Nie wyglądała zbyt atrakcyjnie z bladą twarzą i pustym spojrzeniem. Jednak w tym momencie fakt, że mężczyzna może się przestraszyć, zniesmaczyć widokiem martwej osoby, zupełnie go nie obchodził. Wysunął wydruk w stronę mężczyzny i obserwował. Błażej Zaremba wziął zdjęcie do rąk i zaczął uważnie analizować twarz dziewczyny, marszcząc przy tym brwi. Widząc przeczący ruch głowy przesłuchiwanego, policjant wyciągnął kolejne, zrobione jeszcze za życia, na którym prezentowała się o wiele atrakcyjniej.

– Ładna, nie powiem. – Uśmiechnął się, a w jego spojrzeniu pojawił się błysk zupełnie niepasujący do miejsca i sytuacji. – Nie wyrzuciłbym jej z łóżka, ale nie znam. Nigdy jej nie widziałem. To znaczy za trzeźwości. – Odsunął od siebie dwie fotografie, dając tym samym znak, że nie ma w tej kwestii nic więcej do dodania.

– A pamięta pan wszystkie kobiety, które ostatnio pana odwiedzały?

Zaremba nie spodziewał się takiego pytania i chyba go w pewien sposób zabolalo, bo momentalnie zalozył ręce na brzuchu i przyjął obronną postawę.

– Jezu, brzmi pan jak moja matka, która upatruje się problemu w fakcie, że lubię kobiety, a nie cenię związków. A co w tym złego? One dają przyjemność mnie, ja im, i tyle. Wzajemne świadczenie usług, jakby to powiedzieli mądrzejsi tego świata. Nikogo nie krzywdzę, a wręcz powiedziałbym, że przeciwnie, bo daję rozkosz. – Mówił z coraz szerszym uśmiechem.

– Płaci im pan? – Bogucki poczuł, że powoli się odpręży, a jego serce zwalnia i nie łomocze jak dotychczas. Z każdym kolejnym pytaniem lepiej czuł się w nowej roli.

– Jak będę musiał, uznam to za swoją życiową porażkę. Na razie wszystkie damy, które odwiedzały moje łóżko, robiły to pro bono i, żeby nie było, ja też. – Zaśmiał się i puścił do policjanta oczko.

– Czyli rozumiem, że nigdy nie korzystał pan z aplikacji XOXO? – spytał z dumą w głosie.

Chwilę poszperał w necie, sprawdził, gdzie ostatnio „reklamowała się” Olga Kowalonek, i tym sposobem trafił na aplikację, która promuje się tym, że łączy ludzi w łóżkowe pary. W rzeczywistości oznaczało to, że umożliwiała zainteresowanym wybierać partnera na jedną noc, filtrując ich po upodobaniach seksualnych, ale nie tylko. Można było wybrać jeszcze kilkanaście innych parametrów, takich jak to, czy dana osoba lubi uprawiać seks przy muzyce, a może po ciemku, na łonie natury, w miejscach publicznych... W aplikacji widniała nawet możliwość wyboru kościoła jako miejsca samego aktu, co chyba zaskoczyło policjanta równie mocno jak opcja w samolocie. W swoim życiu dwa razy dokądś leciał i nie wy-

obrażał sobie, jak miałyby to wyglądać. Jedynym rozwiązaniem była klaustrofobiczna ubikacja, w której już jedna osoba miała problemy ze zmienianiem pozycji, a co dopiero dwie, na dodatek muszące się chociaż trochę rozebrać, a następnie... Na samą myśl odrzucił ten pomysł jako nierealny i skupił się na zapoznaniu z aplikacją, która stanowić mogła dowód w sprawie, gdyby okazało się, że mężczyzna rzeczywiście jej używał.

– A co to? – rzucił Zaremba. Przesłuchiwany ponownie oparł się na krześle i złączone dłonie położył na brzuchu.

– Aplikacja do spotykania się... – zaczął policjant, lecz nie zdążył skończyć.

– Aaa, to do umawiania się z dziewczynkami – skończył zadowolony muzyk, a na jego twarzy po raz kolejny zagościł rubaszny uśmiech.

– Paniami do towarzystwa – poprawił go Bogucki i ponownie spojrzął na lustro weneckie.

W tym momencie chciałby, aby Obrębski stanął w drzwiach i dał znać, czy dobrze mu idzie. Generalnie czuł dumę z siebie, ale jak to ciocia zawsze mu powtarzała, jest zbyt pozytywnie nastawiony do swojej osoby i zawsze zakłada, że poszło mu lepiej niż w rzeczywistości. Przede wszystkim sprawdzało się to w przypadku kartkówek i testów w szkole. Często z dumą opowiadał, jak dobrze mu poszło, a później, gdy dostawał kartkę z wynikiem, z jego twarzy zniknął uśmiech niczym gasnąca gwiazda.

– Dają dupy za kasę, a jak pan będzie je nazywał, to pana sprawa. Mogą być dla pana nawet i księżniczkami. Myślę, że nawet im jest to ganc pomada. – Muzyk wzruszył ramionami i spojrzął w lustro weneckie, a następnie z powrotem na rozmówcę.

– Czyli dla jasności: nie korzystał pan?

- Nie, ale teraz sobie przypominam, że kolega kiedyś mi o tym opowiadał. Bardzo kręciło go to wybieranie. Jak to powiedział, czuł się jak w sklepie z zabawkami, a w sumie bardziej kreatorze idealnej, nazwijmy to na potrzeby rozmowy, kobiety do łóżka. Podobno świetnie to działało, bo za każdy razem specjalnie wybierał taką poddość nietypowe wymagania i wybranka spełniała je w stu procentach.

- Aha - westchnął policjant. - O której wczoraj wrócił pan do domu? - Ponownie zmienił temat, chcąc uniknąć kolejnych zupełnie nieinteresujących go opisów, które nic nie wnoszą do sprawy.

- Wczoraj miałem taki luźniejszy dzień. - Zaremba znów przecesał włosy, które w ciągu tych kilku minut nie zmieniły swojej pozycji. - Rano na kilka godzin skoczyłem do kolegi do studia. Musieliśmy skończyć jeden kawałek. Planowałem siedzieć tam dużo krócej, ale jak zwykle się rozgadał. Zaczął puszczać nowe piosenki, które stworzył. Nic specjalnego. Koniecznie chciał, abym wziął udział w jego kolejnym projekcie. Średnio pałam do tego entuzjazmem, ale nie wypadało mu tego mówić w twarz, bo on jest czasami zbyt tępy, aby zrozumieć stanowczą odmowę. Mama zawsze powtarza, że nie jestem zbyt asertywny. Podobno próbowała mnie tego nauczyć, ale byłem oporny, więc łatwo mi wejść na głowę. W takich sytuacjach wysyłam SMS-y lub piszę maile. Jemu też wyślę coś za kilka dni - powiedział, czym zaskoczył Boguckiego. Mężczyzna zachowywał się tak, jakby zupełnie nie zarejestrował katastrofalnej sytuacji, w jakiej się znalazł. Jakby nie wychwytał, że może już nigdy nie wyjść z więzienia, bo grozi mu kara za najgorsze z możliwych przestępstw. - Potem wróciłem do domu i tyle.

– I tyle – powtórzył po nim policjant i delikatnie przekreślił głowę. – O której to dokładnie było?

– Pewnie tak o piętnastej.

– Powiedział pan, że rano pojechał do kolegi na chwilę. – Bogucki zmarszczył brwi. Coś mu nie pasowało.

– Wie pan, każdy inaczej interpretuje rano. Dla mnie to około dwunastej. Wcześniej rzadko wstaję, ale też chodzę późno spać. Wieczorami mam wene, poza tym wtedy ktoś zawsze wpadnie i takie tam. Coś się napijemy, coś porzepolimy i robi się trzecia, czwarta, albo i nawet później. – Mężczyzna uśmiechnął się i uniósł brwi.

– I co było potem?

– No nic, wróciłem do domu i odpoczywałem. Na chwilę odpaliłem kompa, bo agent wysłał mi propozycję współpracy. Ale słabą, więc wysłałem SMS-a, że w to nie wchodzę, i tyle. Pograłem na playstation, obejrzałem coś na Netflixie i poszedłem spać.

– Sam?

– Sam – sapnął. – Obiecałem ostatnio mamie, że zadbam o siebie. Mój ojciec niedawno przekreślił się na zawał i ona strasznie panikuje, szczególnie gdy czyta w necie głupoty, że jestem dziwkarzem i wciągam kokę. Nikomu za seks nie płacę, a fakt, że potrafię zaspokoić kobietę i moje kochanki opowiadają koleżankom, jaki jestem ogier w łóżku, to już nie moja wina. A co do dragów, to nie będę ukrywać, że artyści szukają doznań nie tam, gdzie powinni, i nie wyróżniam się w tym, ale mogę przysiąc, że stronię od mocnych. To, co piszą w gazetach, na portalach plotkarskich, że wciągam, to wierutne kłamstwo. No i wyprzedzając pytanie, nie mam żadnego dealera. Nie wiem, jak to się dzieje, ale zawsze się znajdzie ktoś, kto ma coś ze sobą. – Powiedział to tak, jakby mówił o zakupie bułek.

– O której przyszła pani Kowalonek?

– Kurwa! – Uderzył otwartą dłonią o blat stołu. – Ja nic o niej nie wiem. Nie znam.

– Może zapomniał pan...

– Aż tak źle ze mną nie jest. Kumam, gdzie jestem, co robię. Czasami urywa mi się film, ale to, co wcześniej się zdarzyło, to z reguły rejestruję. I mogę z całą pewnością powiedzieć, że żadnej pani u mnie nie było. – Uniósł otwartą dłoń, jakby składał przysięgę.

– Słyszał pan jakieś dźwięki w nocy? – spytał Bogucki.

Mężczyzna poprawił się na krześle i ziewnął przeciągle.

– Brał pan kiedyś Wetaxin? – odezwał się cichym głosem zza ręki, którą cały czas zasłaniał sobie usta. – Po tym pewnie bomba by mnie nie obudziła. Wasi ludzie chwilę się ze mną siłowali, zanim wróciłem do żywych. Kiedyś moja mama prawie dostała przez to zawału. Poprosiłem ją o pomoc. Obiecała wpaść do mnie, żeby podlać roślinki podczas mojej nieobecności, tylko plany się zmieniły, a ja zapomniałem ją o tym poinformować. Gdy znalazła mnie w łóżku w dziwnej pozycji, zaczęła mną potrząsać, a ja nic. Gdy się w końcu ocknałem, wyła jak bóbr. Myślała, że wziąłem jakiś dopalacz i zaraz się przekręcę, a ja sobie słodko spałem. Kazała obiecać, że już nie będę tego brać. Grzecznie złożyłem przysięgę, ale życie życiem. Oczywiście próbowałem, ale gdy trzecią noc z rzędu nie mogę spać, to biorę. Co mam innego zrobić? Lekarze nie są w stanie mi pomóc. Byłem już u wielu specjalistów, próbujących zdiagnozować mój problem, i zawsze słyszę to samo, ten typ tak ma. Więc dostałem tabletki i jak już przypiera mnie do muru, to łykam. Tylko błagam, proszę nie mówić mamie. – Błażej Zaremba ostatnie zdanie wypo-

wiedział ze słyszalnym w głosie strachem, jakby faktycznie obawiał się kobiety.

– Co się stało z pana drzwiami od strony tarasu? – Po raz kolejny Bartosz Bogucki zmienił temat.

– Nic. – Wzruszył ramionami i zaczął drapać się prawą dłonią po lewym przedramieniu. – Czemu pan pyta?

– Znaleźliśmy tam widoczne ślady walki z zamkiem, tak jakby ktoś chciał użyć klucza, ale ten się zaciął lub stawiał opór.

– Jezu, nic o tym nie wiem. Ja czasami wchodzę od tarasu, szczególnie gdy zapodzieję gdzieś klucze do mieszkania, co, nie ukrywam, zdarza mi się czasami. – Mężczyzna znów ułożył dłonie na brzuchu. – Ale ostatnio nic takiego się nie działo. Kiedyś faktycznie z nimi walczyłem. Mają wadę fabryczną. Coś schrzanili. Podobno mógłbym się z nimi kłócić o wymianę, ale znowu wychodzi moja asertywność, a bardziej jej brak. Poszedłem na łatwiznę i nauczyłem się z nimi obchodzić, więc problem zniknął.

– Lubi pan wyżywać się na kobietach? – rzucił policjant niespodziewanie, po czym oparł się o stół i uważnie obserwował rozmówcę.

Ten prychnął i uśmiechnął się złowieszczo.

– No tak, wiedziałem, że to wyciągnięcie. Ta pinda nie mogła znieść, że ją zdradziłem, i to z jej psiapsiółką, więc rozpowiadała wszędzie, gdzie się dało, że ją pobiłem i zgwałciłem. Prawda jest taka, że sama zleciała ze schodów podczas imprezy u mojego kolegi. Nawaliła się jak dzika świnia. Ledwo stała i miałem na to mnóstwo świadków. Poza tym jak można kogoś zgwałcić, jak on pcha ci się do łóżka? – Muzyk zabębnił w stół palcami, wystukując rytm jakiejś piosenki.

– Czyli to wszystko to nieporozumienie?

– Bardziej zemsta niewydymanej kobiety. Ona zresztą od początku myślała, że my będziemy razem do końca świata i dużo dłużej. Gadała o wspólnym zamieszkaniu, wyjazdach, gdy ja wcale tego nie chciałem. Raz nawet wspominała, że chciałyby mnie przedstawić swoim rodzicom, no i oczywiście czeka na audiencje u mojej mamusi. Tylko że mnie interesuje tylko seks. Przyjemność. Wiem, że to dość zaskakujące, ale ja nikogo nie oszukuję. Nawet powiedziałem mojej mamie, że na wnuki nie ma co liczyć, chyba że zaliczę wpadkę. Ja nie potrzebuję rodziny, obowiązków, tej nudnej rutyny. Mam idealne życie, a jak komuś się nie podoba, to niech spieprza.

– Rozumiem – skłamał. Jego obraz idealnego życia różnił się diametralnie od tego prezentowanego przez Zarembę.

– Zresztą widział pan pewnie akta sprawy. Oskarżenie zostało wycofane, bo nawet facet, co próbował mnie udupić, stwierdził, że to jest grubymi nićmi szyte i gdy przyjdzie co do czego i staniemy przed obliczem sądu, nikt tego nie łyknie. Brakowało tam logiki popartej twardymi faktami.

– A czy często zdarzają się panu zaniki pamięci? – Aspirant Bogucki ponownie zmienił temat przesłuchania.

– Hmm, nooo... – Mężczyzna przybliżył się do policjanta, oparł się całym ciałem o stół i zmarszczył czoło. – Do czego pan dąży? Że zrobiłem coś strasznego pod wpływem narkotyków i tego nie pamiętam? Nie! Ja po lekach momentalnie zasypiam i jestem jak kłoda, dlatego nie wiem, jak niby miałbym coś takiego zrobić. To jest niewyobrażalne! – Ostatnie słowo wręcz krzyknął, jakby dopiero teraz doszło do niego, dlaczego siedzi w niewielkim pomieszczeniu z policjantem wypyującym go o przeróżne rzeczy. Jakby dopiero sobie uświadomił, że martwa kobieta w wannie jest poważnym powodem

do zmartwień. – Ja tego nie zrobiłem! – krzyknął nagle, a jego twarz wykrzywiła się w grymasie cierpienia. – Ja nic jej nie zrobiłem! Nie dam się! Nie! – krzyczał.

Policjant chwilę posiedział, ale widząc, że mężczyzna poddał się hysterii, powoli wstał, nie odrywając od przesłuchiwanego wzroku, tak jakby bał się nagłego ataku z jego strony.

Wreszcie wyszedł, zostawiając Zarembę, który nie przestawał wrzeszczeć.

Rozdział 8

ONA

Ktoś pewnie powie, że jestem dziwna, nienormalna, ale uwielbiam śledzić ludzi.

Obserwować ich z ukrycia, sprawdzać, co robią w pracy, po pracy, a jak się da, to i w domu.

Uwielbiam patrzeć, jak robią niby zwykłe rzeczy, przy których wychodzą ich fobie, lęki, nadwrażliwości.

Ktoś w sklepie spożywczym wszystkie owoce wkłada do koszyka, używając rękawiczek.

Jeden pan, jak w *Dniu świra*, wraca dziesięć razy do domu, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknął drzwi na klucz.

Koleżanka z pracy zawsze rozmawia przez telefon, zasłaniając usta wolną ręką.

Ale chyba najgorszy był gostek, który z nieznanego mi wtedy powodu nie wychodził z domu od dłuższego czasu. Zaczęłam go obserwować, bo ktoś podejrzewał, że jest zamieszany w zniknięcie piętnastoletniej dziewczynki. Przynajmniej tak przeczytałam na forum. Nigdy nie otwierał drzwi, kurierowi zostawiał pieniądze pod wycieraczką, a gotówkę do domu dostarczała mu siostra. Okazało się, że to

falszywy trop, a facet zbzikował, jak to powiedziała jego sąsiadka, którą zaczepiłam przed ich blokiem, po śmierci żony i nienarodzonego dziecka. Niestety mężczyzna przypisywał sobie winę za sepsę, która zaatakowała jego małżonkę i będącą jeszcze w brzuchu córkę. Lekarze nie dali rady ich uratować i nagle z jego życia zniknęła ukochana kobieta wraz z wyczekiwanym maleństwem. Facet przestał mieć siły i chęci na wychodzenie gdziekolwiek. Pamiętam, jak później płakałam i mimo własnych fobii bardzo chciałam pójść do niego i najzwyczajniej w świecie tak po ludzku go przytulić.

Karola Waclawskiego zaczęłam obserwować już następnego dnia po opuszczeniu murów szpitala, mimo że nie czułam się zdrowa i obawiałam się, że długo to się nie zmieni. A może nawet i nigdy. Musiałam się przyzwyczaić do życia z moją bliżej nieokreśloną chorobą, a co za tym idzie – z bólem.

Jeszcze będąc w jednej sali z jego córką, która opowiedziała mi o nim co nieco, wygooglałam go. Pracował w firmie zajmującej się fotowoltaiką. W opisie na stronie jawił się jako profesjonalista, który dobierze najlepsze rozwiązanie dla każdego entuzjasty ekologicznych nowinek. Nie dopisali tylko, że po pracy zajmuje się nękaniami swojej rodziny, a w szczególności córki, którą wyzywa, szarpie, popycha, a raz uderzył z otwartej dłoni w twarz tak mocno, że się przewróciła. Gdy powiedziała o tym matce, ta uznała, że córka kłamie i to jest jej zemsta za karę, którą ojciec jej dał, gdy dowiedział się, że uciekła z lekcji.

Opowiadając mi o tym wszystkim ze łzami w oczach, raz na jakiś czas łamiącym głosem pytała mnie, czy jej wierzę. Wierzyłam. Sama dobrze pamiętałam mojego oprawcę, na którego wspomnienie dłonie momentalnie mi się zaciskały, a ciało tężało. Jakbym po raz ko-

lejnny chciała się obronić przed lepkiem dotykiem jego rąk i śmierdzącym oddechem na mojej twarzy, który powracał do mnie wielokrotnie.

Tamtego menela nigdy nie udało mi się namierzyć, mimo że parokrotnie poszłam na bulwary i uważnie obserwując przechodniów, próbowałam wyłapać jego twarz. Miałam w głowie to, co działałoby się później, i niczym film na kasecie odtwarzałam zapętłony moment, gdy obcinam mu jaja i porzucam krwawiącego gdzieś na pustkowiu. Nie wiem, jak bym do tego doprowadziła, ale wiedziałam, że stanęłabym na rzesach, aby tak się stało.

Teraz sprawa prezentowała się o wiele lepiej. Dysponowałam adresem, miejscem pracy i doskonałą dokumentacją jego życia, którą bez oporów prezentował w internecie. Rano zazwyczaj jechał do pracy. Raz, a czasami dwa razy w tygodniu siedział w domu i wykonywał ją zdalnie. Gdy kończył, nie jechał ani po zakupy, ani po syna do przedszkola, ani po córkę, która po szkole chodziła na taniec nowoczesny i na angielski do szkoły oddalonej o dobre pół godziny jazdy autobusem. Wracał do domu i siadał na kanapie. Zazwyczaj chwilę wcześniej wyciągał piwo z lodówki i umiłał sobie nim popołudnie, a potem wieczór.

Nie wychodził z mieszkania, gdy żona podjeżdżała samochodem z wypchanymi po brzegi zakupami bagażnikiem.

Nie pomagał jej w rozłożeniu zawartości siatek po szafkach czy upychaniu ich do lodówki.

Nie robił prania, nie wieszał, gdy program się kończył.

Nie gotował.

Nie nastawiał zmywarki, nie wynosił śmieci.

Jedynie obsługiwał pilot, a nawet przy tym wyglądał na niezmiernie zmęczonego, wręcz konającego.

Wszystko to widziałam dzięki zamontowanym kamerom, które udało mi się podrzucić, gdy wpadłam w odwiedziny do dziewczyny. Wpuściła mnie, nie dowierzając, że przyszłam.

Obiecałam jej, że sprawdzę, jak się czuje, ale ona jakoś nie wzięła tego za pewnik. Zresztą nie dziwię się. Ja też przestałam w pewnym momencie wierzyć ludziom.

Ktoś coś obiecuje, a później...

Nic.

Teraz chciałam, żeby pierwszy raz w życiu się przekonała, czym jest dotrzymanie słowa.

Rozdział 9

– Czasami zastanawiam się, jak to się dzieje, że ludzie potrafią być tacy podli. – Beata usiadła na jednym z trzech hokerów przy kuchennym blacie wykonanym z jasnego drewna i grzecznie czekała na posiłek, który obiecał jej zrobić Bartosz.

Nigdy nie należał do wybitnych kucharzy, ale dla nowej kobiety postanowił częściej penetrować nieznane sobie obszary. Na pierwszy rzut poszło gotowanie i organizacja wyjazdu.

– A co dzisiaj się wydarzyło? – Spojrzał na nią przez ramię i zamieszał skwierczącą na ogniu drobno pokrojoną cebulę, podczas której siekania prawie stracił palec. Powoli zmieniała kolor na złotawy, wydzielając przy tym intensywny zapach, który wżerał się w ubrania.

– Kolejna matka psychopatka. Czyściła syna chemikaliami, bo chciała go chronić przed brudem. Opiekę społeczną zaalarmowała lekarka, która wyczuła od dziecka dziwny zapach. Co ciekawe, na wizytę chłopiec przyszedł z ojcem, który cały czas twierdził, że nic o tym nie wiedział. Pierwszy raz poszedł z młodym do pediatry, bo matka wyjechała nagle do chorego ojca. Zrobił to bez jej wiedzy, i Bogu dzięki. Myślał, że syn ma jakąś alergię, zupełnie nie spodziewał się, że żona się nad nim znęca. Oczywiście w pierwszej kolejności to w nim szukano winnego, bo statystyki raczej nie są przychylnie

ojcom. Początkowo w ogóle zaprzeczał, jakoby cokolwiek złego działo się w domu. Po jakimś czasie sam zaczął się zastanawiać, czy może jednak to nie jego żona. Okazało się, że kobieta ma problemy psychiczne. I tak po nitce do kłębka wyszło, że to kochająca mamusia, jak nazywał ją nieświadomy niczego chłopiec, jest jego oprawczynią. Rozmawiałam z nim dobrą godzinę, zaciskając pięści, żeby nie wybuchnąć. On się bawił i jak gdyby nigdy nic opowiadał, jak to matka nim szarpie albo każe siedzieć w zimnej wodzie.

– Jezu, masakra... – Bogucki odwrócił się do kobiety i oparł pośladkami o blat.

– Wiem, ale najgorsze, że takich przypadków jest mnóstwo. Problem polega też na zakorzenionych w głowach ludzi błędnych przekonaniach. Na przykład większość ludzi myśli, że przemoc domowa dotyczy tylko biednych. A ja znam mnóstwo spraw, gdzie właśnie w bogatych domach znęcano się najgorzej. Kolejna rzecz, szczególnie jeżeli chodzi o kobiety jako ofiary, to powtarzanie przez nie, że to był tylko incydent. Ale wpierdziel spuszczone przez męża raz na kilka miesięcy nie jest incydentem. No i branie na siebie winy. To jest hit, nie posprzątałam, nie ugotowałam, niemiło się odezwałam, bo mnie świat wkurza, to mi się należało. Kurwa! – krzyknęła, aż mężczyzna podskoczył i mocniej zacisnął w dłoni trzymany w rękach ostry nóż. Bogucki momentalnie poczuł szybsze bicie serca i na chwilę odłożył przyrząd, którym obierał czosnek do spaghetti. – No i coś, co utrudnia pracę, a mianowicie podejście, że awantury, wrzaski w domach to sprawa danej rodziny. Powinni radzić sobie sami i w swoim gronie rozwiązywać problemy. Takie teksty słyszałam często od skruszonych sąsiadów rodziny z problemami po tym, jak wydarzyła się tragedia, której można było uniknąć. Tylko w takich do-

mach oprawca rzadko ma ochotę usiąść przy stole i zacząć rozkładać na czynniki pierwsze przyczyny swoich napadów agresji. On najzwyczajniej w świecie wraca do domu, nawala żonę, wyzywa i szturcha dzieci, a po wszystkim z drinkiem w ręku zalega na kanapie.

– Wiesz co? – Podszedł do kobiety i przytulił ją. – Moja praca jest niby popieprzona, ale twoja to wyższy poziom.

– Wiem, to dziecko, z którym dziś rozmawiałam, zupełnie nie zdawało sobie sprawy z tego, co robi jego matka. Mały opowiadał o niej bardzo fajnie. Że się bawia, chodzą do parku. O kąpielach, w których używa żrących płynów, też nie mówił źle. Nie wiedział, co mu zrobiła. Ale i tak to nie jest najgorsze. Na studiach opowiadali nam o makabrycznym przypadku. Ojciec znęcał się nad córką, zamknął ją w klatce, bo go denerwowała. Gdy ją znaleziono, miała trzynaście lat, ważyła dwadzieścia sześć kilogramów. Nie mówiła, śliniła się. Spędziła tak kilka lat swojego życia i nikt nie zauważył lub nie chciał zauważyć, że nagle gdzieś brakuje jednego dziecka.

– Jezu, to straszne... – Mężczyzna pocałował kobietę w czoło i wrócił do mieszania cebuli.

– To jest bardziej niż straszne. Mnie to przeraża. Ludzie nie mają żadnych zahamowań. Nie myślą o innych, tylko realizują swoje chore żądze. Dobra, ale skończmy to. Wpadłam na genialny pomysł. – Beata uniosła szklankę z sokiem pomidorowym. Wypiła dwa łyki i odstawiła ją lekko na blat. – Jako że czas, abyś powoli wyszedł z szafy, chciałabym, żebyśmy spędzili razem sylwestra – rzuciła i uśmiechnęła się do niego kokieteryjnie.

– Jejku, ale zaszczyt mnie kopnął! – Uchylił się, bo w jego stronę poleciała zwinięta w kulkę chusteczka higieniczna, którą wcześniej bawiła się kobieta.

– Jak nie chcesz, to nie. Impreza tylko dla twardzieli, więc mogę powiedzieć, że ty z tych leszczy i dlatego cię nie zabrałam.

– Hola, hola, nic takiego nie powiedziałem. Chętnie pojedę z tobą, gdziekolwiek sobie wymarzysz.

– Nawet jak nie będzie luksusowo.

– Może dam radę, chociaż uwielbiam kryształowe żyrandole i błyszczące białe kafle, w których mogę się podziwiać. – Zamachał rzesami i sztucznie się uśmiechnął.

– No to będzie trudno.

– Okej, jakoś przeżyję. Coś jeszcze traumatycznego może mnie spotkać?

– No, może trochę się zmęczysz?

– Chyba sobie poradzę. A jak nie, to mnie wyręczysz.

– Spróbuję. A co ty na to, że może być trochę mokro? – powiedziała i zaraz pokręciła głową, widząc głupkowate spojrzenie Boguckiego. – Tylko bez sprośnych myśli. No wiesz, woda, te sprawy.

– Hmm... – Tym razem się zawahał. Od małego walczył z lękiem przed wodą, czyli hydrofobią. Dopiero dwa lata temu, oglądając program o różnych strachach, dowiedział się, jak nazywa się nękający go problem. Kiedyś podobno się topił, ale tego nie pamiętał. Mimo to poza basenem wielka otwarta woda w postaci morza czy innych akwenów wywoływała u niego strach, objawiający się bólem brzucha i przyspieszonym rytmem serca. No i nic nigdy nie zmusiło go do jego pokonania. Tylko na basenie potrafił nad tym zapanować, ale nie sądził, że dziewczynie chodzi o zbiornik z chlorowaną wodą.

– Co jest, pękasz?

– Nie, w życiu – rzucił i schylił się do szafki, skąd wyjął średniej wielkości garnek, wlał do niego wody i postawił go na ogniu. Następ-

nie podszedł do lodówki, wyciągnął dwa opakowania mięsa mielonego z łopatki wieprzowej.

– Chyba gotujesz dla pułku wojska!

Nie odpowiedział, tylko mrugnął do niej i działał dalej. Wyłożył mięso na rozgrzaną patelnię i zaczął rozbijać je na mniejsze kawałki. Wszystko, co robił, wynikało nie tylko z faktu, że zgłodniał, ale również tego, że nie chciał się odkrywać. Jak większość mężczyzn nie lubił opowiadać o swoich problemach.

– To co, dasz się wyciągnąć na spływ? – rzuciła.

Bogucki poczuł, że blednie. Spływ w sylwestra zdecydowanie nie należał do rzeczy, które chciałby robić, nawet w tak miłym towarzystwie. Jednak mimo to uśmiechnął się i przez ramię, tak żeby nie widziała jego zaciśniętych szczęk, rzucił:

– Z wielką przyjemnością.

Rozdział 10

– Małgorzata Mioduszevska – rzucił Obrębski do Bartosza Boguckiego, gdy ten tylko wszedł do ich wspólnego gabinetu.

Wyglądał, jakby przebiegł właśnie co najmniej półmaraton. Jak zwykle w niedoczasie, w pędzie i znowu nie zdążył zwrócić uwagi na to, co zakłada na siebie. Dopiero teraz zauważył, że na prawym ściągaczu szarego swetra, który miał stanowić namiastkę elegancji, ma niewielką dziurę. Niby ledwo dostrzegalną, ale jednak.

– M&M's, jak sama o sobie pisze na Facebooku, słodka z zewnątrz, twarda w środku – kontynuował komisarz.

– I kto to niby jest?

Funkcjonariusz usiadł na krześle przy swoim biurku. Nawet taka prozaiczna rzecz mocno różniła się od sytuacji w prewencji. Może ktoś na górze uważał, że krawężnik nie potrzebuje wygodnego siedziska, ale te, na których siedzieli z Jaworskim, wołały o pomstę do nieba. Nikt nie mógł przewidzieć, kiedy postanowią odmówić posłuszeństwa i człowiek wylądować nagle z impetem na podłodze, waląc w nią głową i resztą ciała.

– To ta eks, o której średnio pochlebnie wypowiadał się Zaremba. Na szybko poleciłem ją znaleźć i zupełnie przypadkiem jest właśnie w domu, więc śmigasz do niej.

– Jezu, ja? – Obrócił się w stronę kolegi i podwinął końcówkę rękawa, tak aby ukryć jego mankamenty.

– Tak, ty. Tak, sam.

Obrębski uśmiechnął się, szczerząc zęby, i zaczął przekładać na swoim biurku kartoteki, których liczba przerażała młodszego policjanta. Dobrze wiedział, że to część tej pracy, której nigdy nie polubi. Wypełnianie papierów stanowiło coś, od czego stronił praktycznie każdy z funkcjonariuszy, ale niestety zawsze go to dopadało i nie było wtedy litości.

– Powiedziała, że zaraz wychodzi, więc jak mawiała moja babcia, zadzieraj kiecę i leć – pogonił go komisarz.

– A powiesz mi chociaż dokąd?

– Na Klaudyny, chyba znasz te piękne blokery, tam zresztą się poznaliśmy. – Zatrzepotał rękami, wznosił oczy w sufit i teatralnie westchnął. – Dobra, dość tego pierdolenia, zasuwasz do niej, a ja wracam do moich papierków. Jeszcze dzień, dwa i będę jak motorówka zapierdzielać z tobą. Adres już ci wysyłam – rzucił i odwrócił się w stronę komputera i sterty teczek, której wielkość nie napawała optymizmem.

Bogucki szybkim krokiem wyszedł z budynku i dopiero wtedy uzmysłowił sobie, że ma do odebrania samochód z naprawy, o czym od kilku dni cały czas zapominał. A to Obrębski wysłał po niego radiowóz, a to Beata go podrzuciła, wysadzając go dwie ulice od komisarjatu, licząc, że nikt ich nie zobaczy. A dzisiaj Jaworski zrobił za jego prywatnego taksówkarza, zostawił go pod samymi drzwiami, a na pożegnanie wysłał kilka buziaków, co nie uszło uwadze dwóch przechodzących nieopodal funkcjonariuszy.

Szybko zerknął na mapę, którą wyświetlił sobie jeszcze na korytarzu, i z nieukrywaną radością stwierdził, że może upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Mały warsztat samochodowy mieścił się raptem trzy kilometry od pracy, a gdy podszedł na przystanek autobusowy, właśnie zajechał podwójny skład kursujący na wybranej przez niego trasie, co mu się nigdy nie zdarzało. Wsiadł i stanął obok starszej pani, która przyglądała mu się uważnie. Nie znał jej, więc swoim zwyczajem zerknął w odbicie w szybie, obawiając się, że ma coś na twarzy. Na szczęście niczego nie dostrzegł.

Po sześciu minutach wszedł do śmierdzącego benzyną, smarem i innymi chemikaliami blaszaka, w którego środku na czymś, co przypominało łóżko na kółkach, leżał mężczyzna w poplamionym stroju. Właściwie wystawały tylko jego nogi, a on sam robił coś przy podwoziu auta.

– Nie boisz się, że ta cała konstrukcja się na ciebie zawali? – rzucił, gdy zauważył, że samochód nie stoi na swoich kołach, ale na wspornikach niepewnej konstrukcji.

– Generalnie życie jest niebezpieczne – usłyszał głos dochodzący spod auta i po chwili mężczyzna zaczął się wysuwać. Wstał z wózka i wyciągnął łokieć w stronę funkcjonariusza. Przywitali się ich stuknięciem. – Mogę się przewrócić, walnąć głową o krawężnik i stać się roślinką. Mogę zostać potrącony przez faceta, który dostał zawału, kierując autobusem wypchanym po brzegi ludźmi, i takie tam. Nie zastanawiam się, czy to jest bezpieczne, czy nie, bo nie chce mi się tracić czasu. Mam za dużo problemów. Żona jest w trzeciej ciąży, syn złamał sobie rękę, spadając z łóżka, a moja teściowa chce do nas wpaść na kilka tygodni. Nie wiem, czy nie poproszę cię, żebyś mnie

aresztował. Muszę tylko wiedzieć, za co można posiedzieć tak do miesiąca, bo na tyle ma wpaść. Chce nam niby pomóc, ale ja wiem, że ma inny cel. Wyprawić mnie na tamten świat. – Mężczyzna uśmiechnął się smutno. – Ale chyba nie przyszedłeś, żeby dowiedzieć się, co u mnie, chociaż byłoby to niezwykle miłe z twojej strony.

– No nie, generalnie to się śpieszę, więc...

– Działa, jeździ, ale jak długo, to nie wiem. – Mechanik wzruszył ramionami i podszedł do drewnianej gabloty, w której wisiało kilkanaście kluczy. Postąpił chwilę, znalazł odpowiednie i przytrzymał je w dłoni.

– Dobra, dość tego, dawaj kluczyki i leć. Podjadę później, to powiesz ile...

Mężczyzna jednak pokręcił przecząco głową.

– Powiedziałem ci, że nic od ciebie nie wezmę. Pomogłeś mojemu tacie...

– Ja nic nie zrobiłem.

– My wiemy swoje, więc... Leć już, bo widzę, że cię nosi.

– Tak, zaraz szef... – Sam się zdziwił tym, co powiedział, i momentalnie się poprawił: – To znaczy kolega będzie dzwonił, więc pędzę. Mam pewną panią do przesłuchania.

– Ładna? Może pojedę z tobą? – rzucił mechanik już do pleców kolegi, które zniknęły za samochodem.

– Wpadnę jeszcze – powiedział Bogucki, zanim zamknął za sobą drzwi do auta.

– To na pewno, bo ten gruchot daleko nie ujedzie!

Odpalił samochód i po chwili pędził do kobiety, która niebawem planowała wyjść z domu. Łamiąc kilka razy przepisy, zajechał pod

jeden z wielkich kilkunastopiętrowych bloków, które straszyły w okolicach Kępy Potockiej. Zaparkował nieopodal wejścia, wykorzystując fakt, że właśnie jakiś mężczyzna wyjeżdżał swoim samochodem, który podobnie jak auto policjanta wydawał dziwne dźwięki. Do wejścia do klatki, nad której wejściem zamontowano tabliczkę z dokładnym adresem, prowadziło kilkanaście stopni, a on pokonał je trzema krokami. Już chciał wpisać numer, który dostał od Obrębskiego, gdy metalowe drzwi z przeszkleniem zajmującym połowę powierzchni zaczęły się otwierać. Po chwili, pchając je ramieniem, a to z powodu dwóch całkiem sporych toreb w rękach, pokazała się niska brunetka, próbująca poprawić swój wzrost niebotycznymi obcasami.

– Pomogę pani – rzucił Bogucki, otworzył na oścież drzwi i chwycił za jedną z toreb.

– Puść pan! – krzyknęła i szturchnęła go drugą torbą. – Proszę nie dotykać moich rzeczy, bo zadzwonię po policję.

– Nie musi pani. – Uśmiechnął się i wysunął zawieszoną na rzemieniu legitymację. – Aspirant Bartosz Bogucki.

– To pan do mnie miał przyjechać? – Kobieta nie czekała na odpowiedź, tylko ruszyła schodami w dół.

– Jeżeli pani to Małgorzata Mioduszevska, to tak.

– Super, tylko chyba inaczej się umawiałam z tym koleśkiem przez telefon.

– Z komisarzem Maksymilianem Obrębskim – poprawił ją i ruszył za nią w przeciwnym kierunku, niż planował iść.

– Może wy uważacie, że my, szaraczki, nie mamy co robić, ale zdziwię pana. Ja pracuję i mój szef się wkurzy, jak się spóźnię. – Kobieta obróciła się w jego stronę i mlasnęła, mieląc językiem gumę.

Dopiero w tym momencie zauważył, że całą twarz ma upstrzoną bliznami prawdopodobnie po ospie, które próbowała przykryć grubą warstwą korektora. Jednak nie tylko to przykuwało uwagę, ale również nadmuchane wargi i zbyt czarne brwi, chociaż policjant, który ostatnio nasłuchiwał się o tym, co kobiety ze sobą robią, nie wiedział, czy to prawdziwe, przyczepiane czy namalowane. Zupełnie się w tym nie łąpał, mimo że Beata bardzo się zaangażowała w tłumaczenie mu różnic, pokazując niezliczone zdjęcia w sieci. Jednak teraz, patrząc na kobietę, nie wiedział, z czym ma do czynienia.

– Przepraszam. – Ponownie się uśmiechnął, licząc, że nie wychwyciła tego, że zdecydowanie zbyt długo przyglądał się jej twarzy. – Możemy porozmawiać? Chociaż chwilę. To bardzo ważne dla prowadzonej sprawy, zginęła niewinna kobieta i...

– Tak jak powiedziałam, spieszę się. – Ponownie ruszyła, ignorując słowa mężczyzny. – Zaraz mam autobus, a następnym nie mogę pojechać, bo wtedy na bank nie zdążę do roboty. Zresztą one tak jeżdżą, że nawet tym mogę się spóźnić. To miasto jest zarabane koronkami.

– Podwiozę panią. – Nie powinien tego robić, ale czuł, że jeżeli nie porozmawia z kobietą, osiągną go dużo gorsze konsekwencje.

Kobieta wydeła i tak już spore usta i sapnęła.

– Niech będzie. Jakiś pożytek z tego, że wam pomogę. – Podała mu jedną z toreb, która okazała się niezwykle ciężka.

Po chwili stanęli przed jego samochodem, fordem ka, którego lakier nie prezentował się najlepiej, a rdza na przedzie dobitnie świadczyła o dacie produkcji.

– Mamy pojechać czymś takim? – rzuciła kobieta i pokręciła głową, marszcząc boki czoła, bo środek został pozbawiony tej możli-

wości za sprawą toksyny botulinowej, znanej większości jako botoks.

– Przed chwilą planowała pani jazdę autobusem...

– Tak, ale one są sprawdzane, a to coś wygląda, jakby zaraz mogło się rozpaść. Jedna koleżanka opowiadała mi, jak jechała kiedyś samochodem i minęło ją koło jakiegoś rzęcha, który zaczął się rozpadać podczas jazdy. Na szczęście nikomu nic się nie stało, ale w wieku dwudziestu kilku lat zaliczyła stan przedzawałowy.

– Przed chwilą odebrałem go od mechanika.

– A to dobre! – przerwała mu ponownie. – Czyli przed chwilą nie był sprawny, ale naprawił się za dotknięciem magicznej różdżki, znając życie, spasionego, brudnego, i śmierdzącego potem mechanika. – W tym momencie Boguckiemu stanął przed oczami obraz kolegi, który dokładnie pasował do tego opisu. – I pan wierzy, że ten ledwo czytający gość jest w stanie znaleźć powód awarii, naprawić go i przy okazji niczego nie zepsuć? Pan jest człowiekiem wielkiej wiary! – pisnęła kobieta i stanęła w odległości dwóch metrów od auta.

– Chyba na autobus już pani nie zdąży – rzucił, widząc odjeżdżający pojazd.

– No nie! – jęknęła smutno, wiodąc za nim wzrokiem.

– To zrobmy tak, będę jechał wolno. To znaczy najwolniej, jak można, żeby nie zatrzymała nas...

– Policja – zaśmiała się i podeszła do auta.

Pięć minut później jechali w stronę osiedla nieopodal Złotych Tarasów, gdzie mieścił się salon kosmetyczno-fryzjerski, w którym pracowała.

– Wiem, że już opowiadała pani...

– Małgosia, ta „pani” jest jakaś postarzająca, a żadna kobieta tego nie lubi.

– Dziękuję, ale wolałbym na „pani”.

– O matko... – stęknęła i zaczęła wydłubywać sobie brud spod długich paznokci, strzelając tym, co znalazła, na podłogę. Bogucki lekko się wzdrygnął, ale nie skomentował.

– Chciałbym podpytać o Błażeja Zarembę.

– Jezu, znowu o niego... – westchnęła i odwróciła głowę w stronę okna.

– Z tego, co wiem, kolega powiedział, jaki będzie temat naszej rozmowy. – Bogucki zwolnił, widząc wskaźnik prędkości zbliżający się do osiemdziesiątki.

– Tak, ale myślałam, że może jednak o coś innego będziecie pytać.

– A ma pani jakiś inny temat, który mógłby nas zainteresować?

– Ostatnio zgłosiłam próbę wyłudzenia danych, ale policjant na komendzie spisywał moje zeznania, jakbym tylko traciła jego cenny czas. Totalnie mnie złał. Straszne przeżycie.

– Przepraszam.

– Spoko. To co tym razem Błażejek nawywijał? – zaśmiała się ironicznie.

– Tego jeszcze nie wiemy, sprawdzamy różne wątki. Czy zdarzyło się, że przy pani brał Wetaxin?

– To świństwo na sen?

Policjant kiwnął głową i zjechał na prawy pas. Jadący za nim samochód niebezpiecznie zbliżył się do tylnego zderzaka, tak jakby chciał go uderzyć lub wypchnąć z drogi.

– Jak dla mnie to on zdecydowanie z tym przesadzał. Właściwie nie tylko z tym. Błazej jest lekomanem, jego mamusia zresztą też. Co śmieszne, krzyczy na syna, a sama łyka mocne tabletki niczym witaminę C.

– Poznała pani jego mamę? – zdziwił się.

– No nie, ale dużo mi o niej mówił. Bardziej narzekał. Jako że jest jedynakiem, i jeszcze stracił ojca, to matka skupiła na nim całe swoje zainteresowanie. Jak dla mnie to czasami wręcz go nękała.

– Nękała? – Kątem oka zerknął na kobietę. Zdecydowanie przesłuchiwanie kogoś podczas jazdy samochodem nie stanowiło łatwego zadania. Możliwości obserwacji mimiki bardzo się ograniczały.

– No tak, wpadała do jego mieszkania niezapowiedziana. Sprzątała mu wtedy, gotowała, a on przychodził ze znajomymi i wybuchała awantura. W sumie to się nie dziwię. Dorosły człowiek, a niańczony przez mamusię. Też bym się nieziemsko wkurzyła.

– A czy pan Zaremba ma jakichś wrogów?

– Nie nazwałabym ich wrogami, ale oni cały czas ze sobą konkurują. Jak byliśmy razem, to co chwilę wkurzał się na kogoś, bo mu kontrakt podkradł, ale kilka dni później sytuacja się odwracała i to on był górą, robiąc to samo. Wydaje mi się, że oni się raczej lubią lub tolerują, chociaż po ryju też potrafią sobie dać – rzuciła i sięgnęła do jednej z leżących na podłodze toreb. Wyjęła telefon i zaczęła w nim grzebać. – Na rondzie proszę w lewo. – Pokazała palcem, nie patrząc na drogę i ignorując fakt, że policjant ma przed sobą telefon z nawigacją.

– Czy widzieli się państwo ostatnio?

– My? W życiu! – Kobieta podniosła wzrok znad telefonu i dynamicznie zaczęła kręcić głową na boki. – Ja z tym chamem i prostakiem nie chcę mieć nic wspólnego. Takie rzeczy o mnie rozpowiada, że szok. Jak moja mama zaczęła czytać na tych portalach, że jej ukochana córka się puszcza, to przez tydzień z domu nie chciała wyjść. A on po prostu się mścił, że powiedziałam prawdę.

– O tym, że panią pobił i zgwałcił?

– Czyli tylko to wyłapaliście – zaśmiała się. – Jak dla mnie to on jest sutenerem, chociaż nie wiem, czy można być takim, co nie pobiera opłat. Bo on za to kasy wprost nigdy nie dostawał, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Ale poznałam kilka dziewczyn, które podesłał innym kolegom, mówiąc, że będą miały z tego jakieś korzyści i takie bajery, a jedna była oporna, to ktoś dodał jej coś do drinka i po kłopotcie.

Zaparkowali przed kilkupiętrowym blokiem, na którego parterze mieścił się salon urody o chwytliwej nazwie „Jolanda”.

– Nic takiego nie znalazłem w aktach.

– Bo nikt mnie nie chciał przesłuchać. Złożyłam zawiadomienie, a później jego adwokat tak zachachmęcił, że nawet mnie nie wezwano. Zresztą parę osób mi to odradzało i stwierdziłam, że po co mam się narażać, skoro nasze kochane państwo nie zapewni mi bezpieczeństwa. Co ja, jakaś święta? – Kobieta wzruszyła ramionami, otworzyła sobie drzwi, postawiła stopy w wysokich butach na chodniku i wstała. Z gracją obróciła się i wyciągnęła swoje torby. Wszystko wyglądało, jakby odgrywała przed policjantem przedstawienie. Bogucki wysiadł z auta i popędził na drugą stronę.

– Czy uważa pani, że Błażej Zaremba byłby w stanie zrobić komuś krzywdę? – Wyciągnął do niej rękę, jakby chciał przechwycić jej

torby, ale ta stanowczo pokręciła głową.

– Chyba pan sobie jaja robi! Pewnie, że tak. On jest nieobliczalny. Jak schodzą z niego dragi, to przestaje być potulnym misiem. Wstępuje w niego jakiś demon, którego ciężko zatrzymać.

– Hmm, żebym dobrze zrozumiał, czyli na trzeźwo jest potworem, a jak sobie coś weźmie, to jest okej?

– Tak, dokładnie. Nawet kiedyś się śmiałam, że powinien chodzić cały czas naćpany. Wtedy pewnie bylibyśmy razem przez długie lata. – Uśmiechnęła się smutno i kiwnęła głową w stronę swojego miejsca pracy. – Muszę już iść. Szef nie lubi, jak się spóźniam. Jeżeli sobie coś przypomnę, to do pana zadzwonię! – krzyknęła, już idąc przez trawę ze swoimi przepastnymi torbami.

Popatrzył w jej stronę i wyjął telefon komórkowy, który podczas jazdy samochodem zawibrował kilka razy.

Dostał SMS od Beaty:

Dzisiaj umówiłam się z koleżanką na ploty, więc do zobaczenia jutro. Jawor się ucieszy na randkę z Tobą ;) Tylko nie szalejcie!

Uśmiechnął się.

Ten związek tak bardzo różnił się od poprzedniego.

Zero presji, zero obciążeń.

Jedynie Obrębki i zbliżający się spływ stanowiły problemy, ale liczył, że w najbliższym czasie ten pierwszy jakoś się rozwiąże, a drugim starał się nie przejmować. Do sylwestra dzieliło go sporo czasu.

Kolejny SMS dostał właśnie od komisarza, który przesłał mu tylko link. Gdyby otrzymał taką wiadomość z innego numeru, nigdy w ży-

ciu by nie kliknął, szczególnie po ostatnim szkoleniu na temat phishingu. Początkowo zupełnie nie wiedział, o co chodzi, ale ubrana w elegancki kostium kobieta wytłumaczyła to jasno i klarownie jemu i grupie czterdziestu chłopów.

Zaczęła od nazwy, która w wymowie jest podobna do fishing, czyli łowienia ryb. Polujący na nieuważną ofiarę przestępcy stosują przynętę niczym wprawny wędkarz. Tylko forma tej przynęty jest inna. Zamiast robaczków są fałszywe maile czy SMS-y, które wyglądają jak prawdziwe, dlatego każdego dnia tyle osób się na nie nabiera.

Specjalistka od cyberprzestępstw z wielkim entuzjazmem opowiadała o najczęstszych przypadkach. O tym, jak złodzieje, bo tak ich bez ogródek nazywała, podszywają się pod sklepy, spółki energetyczne, banki czy kurierów. Wysyłają niewinnie wyglądające wiadomości, w których proszą o dopłatę do rachunku, bo inaczej odetną prąd lub paczka zostanie odesłana do nadawcy. Ludzie klikają, a później jest płacz, bo z konta nie zniknęło kilkanaście złotych, które rzekomo potrzebne były do uniknięcia windykacji, ale dwa czy trzy tysiące.

Dlatego każdy ze słuchaczy, wychodząc z tego spotkania, w głowie miał przygotowaną listę osób, które w pierwszej kolejności planował ostrzec, oraz wewnętrzną deklarację, że samemu nie da się wpuścić w maliny.

Teraz, patrząc na SMS, Bogucki dwa razy sprawdził, czy pochodzi on od kolegi, i w końcu kliknął w link, uruchamiając proces pobierania pliku dźwiękowego o nazwie „zgłoszenie 146797.mp3”. Nic mu to nie mówiło, ale przeczuwał, co to może być.

Cały czas stał przed swoim autem, więc wsiadł do środka. Potrzebował ciszy i spokoju, by nagrania nie zagłuszał hałas samochodów i tramwajów przejeżdżających w pobliżu obleganego przez ludzi centrum handlowego Arkadia.

– Coś niepokojącego dzieje się u mojego sąsiada – zaczął męski przytłumiony głos, tak jakby ktoś zasłaniał sobie usta dłonią. – Słyszałem krzyki kobiety i chyba wołanie o pomoc. Błagam, pojedźcie tam.

Następnie podał dokładny adres Zaremby.

Bogucki pokręcił głową i ze skupieniem odsłuchał całość jeszcze trzy razy.

Rozdział 11

ONA

Od zawsze wiedziałam, że informacje, a raczej umiejętność ich wyszukiwania, zbierania i analizowania, to moja najważniejsza i najskuteczniejsza broń.

Jestem niska, schorowana, więc fizycznie można mnie pokonać w ułamku sekundy. Jednym ruchem ręki powaliłaby mnie większość mężczyzn, ba, nawet znaczna część kobiet też dałaby sobie ze mną radę.

Za to swoim przygotowaniem i kombinowaniem jestem w stanie namieszać w życiu praktycznie każdego. Rzadko kiedy pojawia się na mojej drodze godny przeciwnik.

Tak naprawdę zdarzyło się to dotychczas raz i każdego dnia zastanawiam się, czy konsekwencje naszego spotkania kiedyś mnie dopadną. Czy pewnego dnia nie postanowi się na mnie zemścić. A może chodzi mu właśnie o to, żebym żyła w ciągłym strachu i cały czas oglądała się przez ramię?

Na razie jednak musiałam skupić się na ojcu dziewczynki. To on stanowił problem.

Obserwacja Karola Waclawskiego dała mi pełen zestaw informacji. Musiałam tylko zastanowić się, jak wymierzyć mu sprawiedliwość. Nie mogłam go wepchnąć pod samochód czy w inny sposób pozbawić życia. To znaczy mogłam, ale nie chciałam. Cały czas tliła się we mnie wiara, że może zechce się zmienić i naprawić wyrządzone bliskim krzywdy.

Za to uszczerbek na zdrowiu w postaci pobicia jawił się jako doskonały pomysł na karę.

Tylko jak coś takiego zrobić? Jak to zorganizować, mając przy tym cały czas czyste ręce?

Nie mam zbyt wielu znajomych, ale tych nielicznych nie nazwałabym porywczymi, stosującymi przemoc. Większość to jajogłowi, którzy uważają, że nauka jest najważniejszą dziedziną życia. W związku z tym na nikim z nich nie mogłam polegać w tej kwestii. Zresztą nie chciałabym. Jak to kiedyś ktoś powiedział, nie sra się do własnego gniazda, a dla mnie to oznaczało, żeby wszystko trzymać jak najdalej od moich znajomych.

Musiałam jakoś inaczej to rozegrać.

Nie mogłam wyskoczyć niczym Jean-Claude Van Damme z krzaków i wymierzyć powalającego ciosu. Oczami wyobraźni widziałam to, ale na mojej twarzy od razu pojawiał się ironiczny uśmiech.

Musiałam to zorganizować inaczej.

Lepiej.

Wynajęcie kogoś również nie wchodziło w grę. Dysponowałam jakimś budżetem, ale po pierwsze, nie chciałam go uszczuplać, bo wszystkie pieniądze Barbary odłożyłam na czarną godzinę, a ta do nich nie należała. Po drugie, jak niby miałabym znaleźć taką osobę?

Dać ogłoszenie? A może dostać się do dark webu i tam poszukać sprzymierzeńca?

Wtedy wpadłam na szalony pomysł. Dezinformacja. Od lat przyglądałam się z zainteresowaniem, jak ludzie łykają pewne fake newsy, wierzą w nie bezrefleksyjnie i podejmują działania na ich podstawie, nawet przez ułamek sekundy nie zastanawiając się, czy to na pewno jest prawda.

Wystarczyło doprowadzić do sytuacji, w której Karol Waclawski wkurzy kogoś, kto bez zastanowienia, bez sprawdzenia informacji podejmie decyzję i samemu postanowi wymierzyć sprawiedliwość.

Dłuższą chwilę zajęło mi rozkminienie tematu, aż niczym jak w kreskówce nad moją głową zapaliła się żarówka, a moje oczy zrobiły się nieproporcjonalnie duże, jak przy nadczynności tarczycy.

Kibole.

Tacy prawdziwi ultrasi, zawsze skorzy do bójki i użycia siły. Bez zastanowienia i analizy kosztów. Zawsze trzymają pięści wysoko, aby w dowolnym momencie wyprowadzić cios miażdżący przeciwnika.

Zupełnie przypadkiem dość blisko Waclawskich mieszkało kilku. Namierzyłam ich na Facebooku. Jakby nigdy nic pisali o swoich pomysłach na spędzanie wolnego czasu i o poglądach, które mroziły krew w żyłach.

Po trzech dniach obserwacji wiedziałam, który z nich jest tym najważniejszym.

Szefem.

Był to wysoki, przeraźliwie chudy facet z zapadniętymi oczami. Wyglądał jak bohater filmów o zombie. Bez jakiegokolwiek charakteryzacji mógłby wystąpić w filmie grozy. Z daleka sprawiał wrażenie obłąkanego, takiego typka spod ciemnej gwiazdy, do którego pod

żadnym pozorem nie chcesz podchodzić i którego wolisz nie spotkać w jakimś zaułku.

Ale musiałam jakoś się ogarnąć. Nie nakręcać strachem, bo przecież nie zamierzałam stawać z nim oko w oko.

Plan był niezwykle prosty. Uszkodzić coś, co do niego należało, i skierować podejrzenia na niesympatycznego ojczulka. Znalazłam jego samochód, wyciągnęłam kupiony dzień wcześniej pilnik i mocno chwyciłam go prawą ręką. Podeszłam bliżej czarnego audi i stanęłam na wysokości wlewu paliwa. Rozejrzałam się dookoła – nikogo w zasięgu wzroku. Okolice spowijała ciemność, a uszkodzone zapewne przez podchmielonych chuliganów latarnie pomagały. Wzięłam głęboki wdech, jeszcze mocniej zacisnęłam palce na plastikowej obudowie narzędzia służącego raczej do pielęgnacji paznokci i ruszyłam. Metalowy przyrząd rył rysy w lakierze, a ja z każdym centymetrem dociskałam mocniej. Gdy minęłam lusterko, zmniejszyłam nacisk i jakby nigdy nic ruszyłam dalej.

Później poszło już z góry. Siedząc na ławce sto metrów dalej, poczekałam, aż właściciel auta zauważy szkodę. Wtedy wysłałam do niego wiadomość na FB z fejkowego konta, informując, że wiem, kto stoi za dewastacją pojazdu.

Nie musiałam długo czekać na pytanie:

Kto?!

Napisałam dane mężczyzny i dodałam, że dwa razy w tygodniu w godzinach wieczornych odwiedza siłownię na Mokotowie. Oczywiście dołączyłam zdjęcie i czekałam.

Rozdział 12

Dziesięć lat wcześniej

Trzech młodych mężczyzn stało na środku pokoju i patrzyło na leżącą na czerwonym dywanie kobietę.

Nikt nie słyszał odgłosów pobliskiej dyskoteki i tramwajów, które zaczynały przewozić pierwszych pasażerów, podążających do pracy czy wracających z centrum Warszawy po upojonej imprezie.

Nikt nie myślał już o tym, co jadł kilka godzin temu. O tatarze, który dziwnie pachniał, czy żeberkach, które rozpuszczały się w ustach.

Każdy obserwował plastikowy worek, spod którego wystawały tlenione blond włosy.

Worek nie poruszał się, nie szeleścił, a kobieta cały czas ani drgnęła. Jakby zdjąć z niej folię, wyglądałaby w miarę normalnie. No, może poza oczami, które pod wpływem kończącego się tlenu wybałuszyły się i tak już pozostały.

– Jezus Maria, co ty zrobiłeś? – Atos przerwał ciszę ledwo słyszalnym szeptem.

Stał w przykrótkich bokserkach, których kolor i fason odstraszały, podobnie jak wielki brzuch w górnej części pokryty ciemnymi włosami.

– To Jezus czy Maria? – odpowiedział głupim pytaniem Portos i uśmiechnął się, jakby nie dostrzegał powagi sytuacji.

– Kurwa, przestań! – Kolega zrobił się cały purpurowy i zacisnął przed sobą dłonie w pięści, jak zwykle robią to niemowlaki. – Nie czujesz, że znowu jesteśmy głęboko w dupie?!

– Oj, przestań. Panikujesz jak zwykle.

– Ja panikuję? – Zaśmiał się przerażająco, a jego twarz wykrzywił dziwny grymas, upodabniający go do potwora z horrorów. – Wpako-
wałeś nas w bagno, z którego ciężko będzie się wydostać. My, kurwa,
toniemy, a tobie śmieszki w głowie. Ja pierdolę! – wydarł się raz jesz-
cze, złapał za włosy i odszedł kawałek na bok.

– Oj, my zawsze spadamy na cztery łapy, jak prawdziwi muszkie-
terowie.

– Jezu, ty znowu z tym? Mam dość tych pierdolonych szpadzi-
stów. Kurwa, jeszcze zaczniemy biegać w tych ich strojach. Ty się
z choinki urwałeś. Powinieneś w końcu dorosnąć, a nie żyjesz w tej
swojej bajkowej krainie. Ile ty masz lat?! – Atos wrzeszczał cały czas,
starając się unikać patrzenia na zastygłą twarz kobiety skrytą pod fo-
lią.

Poznali ją w knajpie. Jak zwykle wyhaczył ją Portos, gdy wlepiła
w niego wzrok, prawie się śliniąc. Ubrana w obcisłą czarną sukienkę
z głębokim dekoltem, umożliwiającym prezentację sporych rozmia-
rów piersi, przyciągała uwagę wielu mężczyzn. Jednak ona, jak tylko
zobaczyła tego przystojnego bruneta z kręconymi włosami i o zawa-
diackim uśmiechu, chciała tylko jednego.

Jego.

Ku jej radości szybko nawiązali kontakt wzrokowy, a mężczyzna
z daleka lubieżnie spoglądał jej głęboko w oczy. Nie pytając towarzy-

szy o zdanie, zaprosił ją do ich stolika. Nie skomentowali tego, ale swoją mimiką dawali znać, że im to nie pasuje. Nie lubili, gdy ich męskie spotkania przerywała obecność jakiejś kobiety. To był ich czas.

Wypili kilka drinków i się pożegnali. Portos bardzo chciał się z nią jeszcze spotkać, ale koledzy wyprosili, aby odpuścił. Oczywiście gdy się żegnali, wsunęła mu kartkę ze swoim numerem telefonu i złożyła na ustach soczysty pocałunek, zostawiając na nich ślady różowej pomadki.

Wrócili do kawalerki Atosa, o której wiedzieli tylko oni. Jego żona nie miała tej wiedzy i cieszyli się z tego niezmiernie. Jak to kiedyś wytłumaczył przy wódce, żeby nie uznawać małżeństwa za więzienie, trzeba mieć jakieś miejsce, gdzie można w spokoju, bez krzyków dzieci i czepiania się żony, delektować alkoholem, który zgromadził w dużych ilościach, oraz towarzystwem kolegów, a sporadycznie jakichś przedstawicielek płci przeciwnej.

Co zaskakujące, szybko stwierdził, że małżeństwo to nie uczucia, szalone bicie serca, ale obowiązek. Część szopki, którą musiał odstawić, aby realizować się zawodowo. Bez żony i dziecka stanowiłby w towarzystwie odmienca, a tego nie lubił.

Tego wieczora musieli omówić ważną sprawę i obecność kogokolwiek innego nie wchodziła w grę. Gdy już obgadali wszystko, butelkę whisky opróżnili w pół godziny. Potem wjechały dwie kolejne, aż wszyscy trzech padli, zupełnie nie pamiętając większości ustaleń.

– Jak ona w ogóle się tu znalazła? – po raz pierwszy odezwał się Aramis. Swoim zwyczajem rzadko przemawiał, co tłumaczył faktem, że jego praca polega na gadaniu, więc w chwilach wolnych stawał się niezwykle oszczędny w słowach.

– Zadzwoń do niej, jak spaliście. – Portos nonszalancko wzruszył ramionami i poprawił wywiniętą lewą nogawkę bokserek.

– Jak to zadzwoniłeś?

– No użyłem takiego niewielkiego urządzonek firmy Srajsung, dzięki któremu można wykonywać rozmowy z osobą przebywającą w innym miejscu. Powinieneś spróbować. Rewelacja. Polecam.

– Nie pierdol, tylko mów! – wrzasnął Aramis, który w odróżnieniu od dwóch pozostałych kolegów nie świecił gołą klata, mimo że nie miał się czym wstydić.

Od kiedy pamiętali, zawsze robił pompki. Zaczął już w liceum. Wtedy na siłownię nie byłoby ich stać, zresztą w ich okolicach żadnej nie było. Menele, patole nie dbały o tężyznę. Ale on próbował. Nawet jak się dorobił i stać było go na trenera choćby i kilka razy w tygodniu, nie odpuścił wykonywania tego najprostszego z ćwiczeń. Dzień zaczynał od stu. Potem w pracy, na wyjeździe, niezależnie od tego, gdzie przebywał, dorzucał kolejne sto, a czasami i dwieście. Nie przypominał, jak Portos, greckiego boga, ale jego liczne kochanki doceniały muskulaturę. Tylko żona zawsze chciała to, czego nie miała. W tym przypadku, zupełnie niezrozumiale dla niego, twierdziła, że miałby więcej uroku, gdyby jego brzuch składał się z większej ilości tłuszczu. Dobrze jednak wiedział, że nie wynika to z jej gustu, ale potrzeby dopieprzania się do wszystkiego, dokładnie jak robiła to jej matka. Jakby wyszała to wraz z mlekiem.

– Jezu, no... – zaczął winowajca. – Poszliście spać jak stare pierdziele i mi się nudziło. Na miasto nie chciałem iść, ale damskie towarzystwo chętnie bym zaliczył, więc...

– Zadzwoń do niej? I twój fiut sprowadził na nas problemy.

Stali chwilę, patrząc na ciało kobiety i milcząc.

– A tak w ogóle to możesz wyjaśnić historię tej torby, która wylądowała na jej twarzy? – rzucił Aramis pozornie spokojnym głosem.

Portos podrapał się po głowie i sapnął.

– Wy lubicie klasycznie, na misjonarza, a ja trochę bardziej udziwnione sytuacje.

– Na przykład zabijanie ludzi w czasie seksu? Czy ciebie już do końca pojebało? – Do rozmowy ponownie wtrącił się wściekły Atos.

– Ale to ona zaproponowała. Najpierw chciała, żebym ją związał, a jak to nie dawało jej rozkoszy, kazała włożyć sobie siatkę na głowę.

– A ty jesteś niepoważny, żeby wszystkie takie ekscesy realizować? Nie masz już mózgu? Nigdy nie byłeś zbyt lotny, ale bez przesady. Mógłbyś włączyć myślenie, nie za często, ale w tym wypadku by zaprocentowało.

– Ja nie myślę? A kto prawie zajebeł tego gościa, co popchnął cię w klubie? Kazałeś nam śledzić faceta, a później wypadliśmy na niego z krzaków jak jacyś popieprzeni. I to niby było okej?

– Przestańcie! – wrzasnął Aramis i wszedł między przyjaciół, którzy mierzyli się wzrokiem niczym rewolwerowcy przed sięgnięciem po broń. – To nie czas na takie potyczki słowne. Musimy się zająć dziewczyną.

– Ale jak zająć? – Atos jak zwykle nie ogarniał takich sytuacji.

– Pozbyć się jej ciała, żeby nikt nas z nią nie połączył – wytłumaczył cały czas podniesionym głosem.

– A ja mam pomysł! – rzucił Portos i klasnął w dłonie. Dwaj pozostali mężczyźni spojrzeli na niego podejrzliwie. – Ostatnio o tym oglądałem program i wydaje mi się, że to rozwiązanie warte przeanalizowania.

– Cieszysz się jak moje dzieci na Boże Narodzenie.

- A co, jak jestem starszy, to mam płakać?

- Dobra, to co chcesz zrobić? - Aramis westchnął, usiadł na kanapie i wychylił szklanekę z whisky, którą któryś z nich zostawił przed pójściem spać.

Portos aż podskoczył i zaczął opowiadać o filmie dokumentalnym, który oglądał kilka dni wcześniej, a w którym jakiś facet w Stanach rozpuszczał zwłoki. Wrzucał je do wielkiej wanny stojącej na tyłach jego domu i zalewał kupowanymi w całym kraju w niewielkich ilościach chemikaliami. Później opowiadał z uśmiechem na twarzy, jak obserwował znikające ciało, trawione przez ciecz.

Rozdział 13

Prokurator Marcin Borowicz wyszedł z niewielkiego gabinetu, do którego dwa tygodnie wcześniej wstawiono drugie biurko dla Barto-
sza Boguckiego.

– Coś mu się stało? – rzucił Maksymilian Obrębski sam do siebie, zacisnął usta i wygiął je w ironicznym grymasie. – On nigdy nie przepytował mnie o śledztwo, a ta nieprzyjemność prowadzenia z nim sprawy dopadła mnie już trzy razy.

– Może ktoś go upomniał?

– Nie sędzę. On ma taką dupochronkę, że nikt mu nie podskoczy. Słyszałem, że już paru wysyłało anonimowe skargi na niego i nic. Zero. Wszyscy mają gdzieś, że nie stawia się na miejscu zbrodni czy nie współpracuje ze śledczymi, technikami. Wszystko robi po łebkach, zupełnie ignorując fakt, że od jego pracy zależy czyjeś życie. I nagle przychodzi cały na białą i pyta o szczegóły.

– To jak myślisz, co się stało?

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Dobra, olejmy go. – Bogucki wyciągnął się i ziewnął przeciągle. Przez chwilę wykonywał dziwne ruchy, po czym sięgnął po raport patologa. – Olgę Kowalonek uduszono. W jej ustach znaleziono włókna z jakiegoś materiału, prawdopodobnie powłoczki od poduszki, ale nie ma jeszcze ostatecznych wyników badań. Na podsta-

wie temperatury ciała zmierzonej na miejscu odnalezienia ciała można stwierdzić, że umarła około północy.

– Oczywiście zakładając, że umarła tam, bo jeżeli ktoś ją przewiózł i na przykład trzymał w klimatyzowanym pomieszczeniu lub aucie, to mogło to być później – przerwał mu Obrębski, uważnie przyglądając się koledze.

Nie było to dla Boguckiego komfortowe. Czuł się jak pod ostrzałem. Poprawił jeszcze raz kartki i skupił się na informacjach na nich zawartych.

– Ale gdyby było cieplej, to zwolniłoby proces spadku temperatury – zauważył.

– Dokładnie – potwierdził komisarz z zadowoleniem. – Co jeszcze?

– Okazało się, że dostała jeszcze mocno w bok ostrym nożem, łatwo wszedł w ciało, uszkodzając trzustkę, wątrobę i nerki. Cios ten prawdopodobnie otrzymała, gdy już nie żyła, chociaż patolog nie był tego pewny. Na ciele znaleziono lekkie otarcia, szczególnie na nadgarstkach. Te na pewno powstały po śmierci...

– Ktoś ją za nie ciągnął lub próbował unieść. – Obrębski cały czas nie odrywał wzroku od kolegi.

– Tak to wygląda, no i te nieszczęsne plamy opadowe. Generalnie w wielu miejscach zgadzają się z pozycją, w jakiej ją znaleziono, ale nie wszystkich.

– Czyli scenariusz, że umarła w innej pozycji, potem ktoś ją przeniósł lub przesunął, żeby ponownie spróbować ułożyć jak na początku, wchodzi w grę.

– Tylko... – Aspirant zawahał się. – Wiem, że ludzie oglądają sporo kryminałów czy dokumentów o śledztwach, ale nie wiem, czy

na ich podstawie można mieć aż taką wiedzę z zakresu kryminologii. Poza tym zabicie kogoś to olbrzymi stres, a tutaj...

– Ktoś zachował zimną krew i ogarnął praktycznie wszystko. Nie jest idealnie, ale widać, że się starał.

– Myślisz, że to dowód na niewinność Zaremby? – Teraz Bogucki wbił wzrok w kolegę, jakby z jego twarzy chciał wyczytać odpowiedź.

– Na niewinność to jeszcze za wcześnie. Na pewno jest wiele pytań. Po pierwsze, gdzie jest nóż? Po drugie, po co prznosił zwłoki? I po trzecie, gdzie ją zabił? Po czwarte, skąd te włókna w ustach?

– No właśnie! – Obrębski coś sobie przypomniał. – Jakies pół godziny temu dzwonił do mnie technik. Powiedział, że nie znalazł nigdzie krwi.

– Dziwne. Może sprawca ją wyczyścił?

– On twierdzi, że nie da się w tak krótkim czasie, który minął od zgłoszenia krzyków, usunąć wszystkich śladów. Zawsze coś zostanie w zakamarkach, na ścianach, pod meblami albo te muszki jakies tam coś przeniosą i zostawią na lampie czy zasłonach. A tam nic. Czysto. Wokół ciała też brak krwawych śladów. W wannie również. Ręce Zaremby czyste.

– To faktycznie robi się ciekawie. – Bogucki podrapał się za uchem i uśmiechnął sam do siebie. Beata zwróciła mu ostatnio uwagę, że robi tak, gdy nad czymś intensywnie myśli. Sam jakoś tego nigdy wcześniej nie wyłapał.

– No i są jeszcze wyniki toksykologii Błażeja Zaremby. Potwierdziły, że naćpał się lekami nasennymi jak meserszmit. Powiedział, że spożył trzy tabletki około dwudziestej. I wszystko się zgadza. Stężenie o siódmej rano potwierdza jego wersję. Skoro według patologa kobieta zginęła około północy, to jakim cudem tak nieprzytomny

mógł udusić ją, dźgnąć nożem, wyrzucić go, a następnie przełożyć ciało i ponownie próbować wrócić do pierwotnego ustawienia? Z raportu wynika, że ważyła pięćdziesiąt sześć kilogramów. Niby nie-dużo, ale bezwładne ciało nie jest łatwe do noszenia. Przelewa się przez ręce niczym worek z ziemniakami. No i jeszcze nasz ćpunek dał radę posprzątać tak, że perfekcyjna pani domu nie miałaby się do czego przyczepić.

– Faktycznie śmierdzi to na kilometr. I co teraz? – Bogucki odwrócił wzrok od kolegi i zerknął na telefon, na który od kilku minut dostawał wiadomości od Beaty. Widział tylko pojedyncze słowa i bardzo chciał móc w końcu na nie odpowiedzieć, ale musiał się powstrzymać.

– Nie wiem. – Obrębski wzruszył ramionami. – My tak naprawdę jesteśmy robotami usługującymi prokuratorowi. On mówi, co robimy, a my zapierdzielamy jak mróweczki i realizujemy jego wolę. Na razie zachowuje się, jakbyśmy mieli już sprawcę całego tego bałaganu. Standardowa postawa śmierdzącego lenia. Nic się nie zgadza, ale mamy jelenia, który może za to beknie, to po co się męczyć.

– Czyli dupa?

– W sumie tak, ale... – Komisarz uśmiechnął się niczym mały chłopiec, który wymyślił psikus swoim rodzicom. – Ja jednak bym jeszcze nie odpuszczał. Przecież ten prokurator nie musi wiedzieć wszystkiego. Możemy podrażnić temat bez jego wiedzy.

Bogucki pokiwał głową, aprobując pomysł kolegi, mimo że ten tego nie potrzebował.

– Po pierwsze, trzeba ogarnąć kamery – kontynuował Obrębski. – Po drugie, sąsiedzi. Starszy pan sporo wiedział, ale może jest ktoś jeszcze bardziej wścibski i obserwujący. Czasami zdarzają się pe-

rełki. Nikt oczywiście nie przyzna się do śledzenia sąsiada, ale skoro Błażej Zaremba często gościł na łamach kolorowych pism i podobni mu, a nawet bardziej rozpoznawalni, go odwiedzali, to trzeba wierzyć w cuda do końca.

– Brzmi sensownie. No i jeszcze ta sprawa z rzekomym sutenerstwem.

– Początkowo myślałem, żeby to zostawić, bo co nam wnosi do sprawy informacja, że pomagał kolegom zaliczać. Obrzydliwe z założenia, ale nie musimy wnikać w każdy zakamarek. Ale co, jak któraś z kobiet chciała się zemścić? Coś poszło nie tak i Olga Kowalonek oberwała rykoszetem?

– W sumie...

– No i chyba pogadałbym z matką Zaremby...

W tym momencie komisarz przerwał, widząc, że Bogucki uśmiecha się na widok wiadomości, którą sekundę wcześniej otrzymał i zdążył przeczytać.

Mam ochotę na ciebie. Tu i teraz.

– Przeszkadzam? – Obrębski ściągnął usta, a w jego oczach pojawił się nieprzychylny błysk.

– Nie, przepraszam – rzucił młodszy stopniem policjant i odepchnął telefon od siebie.

– Stary, spoko! – Komisarz zaśmiał się na głos, a wyraz jego twarzy momentalnie się zmienił. – Sorka, musiałem, bo widzę, jak gapisz się na te spływające wiadomości. Niby mówią, że jak kocha, to poczeka, ale wiem, jak jest. Nie wszystkie chcą czekać, więc lepiej dopieszczać te, które mamy, niż potem szukać kolejnych. Powiem ci, że dopiero teraz przekonałem się, że nie powinienem był odpuszczać, a zamiast tego walczyć do końca.

Ostatnie słowa powiedział z wyczuwalnym smutkiem w głosie, a Bogucki zacisnął dłoń w pięść. Zdecydowanie wolałby nie słyszeć takiego wyznania z ust kolegi.

Rozdział 14

ONA

Złamanie kości ramiennej, zuchwy, podbite oko, wstrząśnienie mózgu.

Tego udało mi się dowiedzieć, gdy podając się za żonę Karola Wacławskiego, wpadłam do szpitala, do którego go zawieziono. Wiedziałam, że kobieta nie przyjedzie w odwiedziny, bo wyjechała, a liczyłam, że zanim wróci, on opuści mury szpitala i moja wizyta nigdy nie wyjdzie na jaw. Zresztą i tak nikogo nie obchodziła. Ktoś musiałby chcieć to sprawdzić, tylko po co?

Obrażenia były idealne. Wiedziałam, że teraz cierpi, i to bardzo, ale skutków trwałych nie powinien mieć zbyt wiele. Dokładnie na tym mi zależało. Dostał ostrzeżenie. Żeby dobrze wiedział, o co chodzi, wysłałam mu maila z jednego z licznych adresów, które stworzyłam. Nie mogłam pozwolić, aby jeszcze kiedykolwiek podniósł rękę na swoją córkę i wyładowywał swoje frustracje na Boga ducha winnej dziewczynce.

Wszystko napisałam tak, że ciężko było określić, czym mu dokładnie grozę. Miał pracować nad sobą, taki był morał.

Kolejna sprawa odhaczona.

Siedząc na kanapie w mieszkaniu, w którym coraz bardziej czułam się u siebie i które coraz częściej w myślach nazywałam domem, doszłam do wniosku, że ostatecznie opuszczam się w pracy. Nikt oczywiście niczego nie skomentował, ale w mojej własnej opinii mogłam dawać z siebie więcej.

Moja praca to wiele niesamowitych historii, z których poznaję tylko mały wycinek. Nikt nigdy nie informuje mnie, co analizuję, jakiej sprawy elementem się właśnie zajmuję.

Postanowiłam to zmienić.

Zatopić się bardziej.

Zbliżyć do tragedii, które były na wyciągnięcie ręki.

Oczywiście nie do każdej, bo było ich mnóstwo. Tych najmniej istotnych, to znaczy dla mnie, nie planowałam ruszać. Pewnie dla tych, którym się przydarzyły, to często sprawa może nie śmierci, ale na pewno życia i jego komfortu.

Ja chciałabym poznać te najgrubszego kalibru.

Morderstwa.

Sytuacje, gdy ktoś zaczyna bawić się w Boga, często kierowany chęcią zemsty, ale nie tylko.

Nie wiem dlaczego, ale chciałabym wiedzieć, jaka jest motywacja innych ludzi.

Dlaczego nagle przeszli na ciemną stronę mocy.

To, co kieruje mną, jest zazwyczaj niezwykle proste.

Chęć ukarania tych, co są źli, ranią innych, używając siły swoich pięści czy kopiąc ofiary, ale też znęcając się psychicznie.

I co chyba najważniejsze, chciałabym wiedzieć, jak inni to robią.

Mam swoje pomysły, ale może ktoś robi to lepiej albo tak, aby bolało bardziej?

I czy zawsze przegrywają z systemem?

Chciałabym wierzyć, że tak.

Ale gdy ja coś przeszkobię, dobrze byłoby, gdyby system nie był już taki wyrywny i bezkompromisowy. Na szczęście wiem, jak działa i co mogę, a czego nie.

Przynajmniej tak mi się wydaje.

Długo się zastanawiałam i w końcu wybrałam.

Początkowo nie wiedziałam, jak się do tego zabrać.

Musiałam się dowiedzieć, jakich spraw dotyczą dowody, które badałam. Udało mi się zidentyfikować pięć i od razu podjęłam decyzję.

Olga Kowalonek.

Patrzyłam na jej zdjęcie zrobione za życia i trudno mi było uwierzyć, że tacy ludzie istnieją.

Jezu, jaka piękna kobieta.

Okej, wypchała sobie usta jakimś gównem, które czasami powoduje deformacje. Zupełnie nie rozumiem tej mody na wypełniacze, operacje poprawiające urodę, które mają być rozwiązaniem wszelkich problemów. Czasami ta pogoń dochodzi do absurdu. Ostatnio przeczytałam, że jakaś influencerka zrobiła sobie operację nosa, ponieważ nie chciała, żeby jej dzieci odziedziczyły kształt jej własnego. Śmiałam się dobre pięć minut, nie wierząc w ludzką głupotę. Weszłam na jej profil na Instagramie i znalazłam potwierdzenie – post ze zdjęciem po operacji, gdzie opisuje swoją motywację.

Szok i niedowierzenie.

Nie wiem dlaczego, ale miałam dostęp do wszystkich akt związanych ze sprawą Olgi Kowalonek. Nikt z moich kolegów z tego nie korzystał, bo niby dlaczego. Stanowiliśmy mały trybik w całej maszynie i nasze działania nie powinny być warunkowane innymi. Oczywiście powinno z nich wiele rzeczy wypływać, ale brak wiedzy na temat tego, w czym bierzemy udział, dawał bezstronność i ściągał ciężar tych historii z naszych barków. Myślę, że większość nie udźwignęłaby informacji o tym, w jakich sprawach biorą udział i że ich praca w konkretny sposób zmienia życie innych. Kogoś uszczęśliwiają i dają ulgę, bo pomagają złapać sprawców, ale jednocześnie na podstawie ich pracy skazuje się winnych.

Według akt Olga Kowalonek była jedną z ofiar handlu ludźmi. Gdy wyszło to na jaw, ktoś powinien jej pomóc: zorganizować powrót do domu, a potem wesprzeć w organizacji życia na nowo, wymyśleniu pomysłu na siebie. Gdy została zwabiona do niewielkiego autokaru, miała osiemnaście lat. Kończyła właśnie szkołę średnią, rodzice liczyli, że po niej pójdzie na studia. Ona jednak, zachęcona wizją wielkich pieniędzy dzięki pracy jako modelka, a tym samym możliwością wsparcia średnio usytuowanej rodziny, wpadła w sidła bandy gangsterów, dla których była tylko ciałem. Nogami z otworem między nimi i cyckami, które i tak planowali powiększyć, gdy poczują, że inwestycja się zwróci.

Gdy dojechała do jakiejś rudery, która nie była obiecany mieszkanie w Warszawie, na wejściu podano jej sporą dawkę nieznannej substancji, po czym momentalnie odpłynęła. Jednak to był początek. Jako pierwszy zgwałcił ją niski, krępy chłopaczek, który jak tylko wpuszczał ją do busa, nie mógł odkleić od niej wzroku. Słyszała nawet, jak mówił wtedy do kolegów: „Ona będzie moja”, ale nie spo-

dziewała się, że chodzi faktycznie o nią i jaki jest dokładny sens jego słów. Próbowwała się bronić, ale nie kontrolowała swojego ciała. Ręce, nogi zachowywały się tak, jakby ktoś przyczepił je do korpusu. W końcu zrezygnowała. Zamknęła oczy i skupiała się na wolno płynących łzach. Później było tylko gorzej. Odurzana regularnie narkotykami, leżała jak kłoda, stękając pod zmieniającymi się facetami. Starła się nie patrzeć na twarze, żeby później o nich nie śnić po nocach. Starła się nie wyłapywać szczegółów, czy był gruby, chudy, elegancki, a może fleja. Czy pachniał czystością, czy walił potem kumulującym się przez cały dzień.

Stała się pusta, jak powiedziała policjantce w długiej rozmowie, podczas której wielokrotnie przerywała swój monolog płaczem. Oglądałam nagranie i łzy płynęły mi po twarzy. W pewnym momencie cały jej koszmar mógł się skończyć. Olga rozpoczęła współpracę z policją. Pomogła im dorwać jakichś bandziorów.

Nie wiem, co się później z nią stało. Może wróciła do domu. A może gdzieś się zaszyła, aby goście, przeciwko którym zeznawała, jej nie odnaleźli. Coś się jednak musiało wydarzyć, bo wróciła do prostytucji, sprzedawania swojego ciała, oddawania go obcym mężczyznom za pieniądze. Według raportu, który znalazłam, wróciła na stare śmieci, ale teraz w bardziej ekskluzywnej wersji.

Gdy przeszłam do akt prowadzonego aktualnie śledztwa, od razu cała się napięłam. Sprawa pozornie wyglądała na niezwykle prostą. Gdy znaleziono jej zwłoki, w pokoju obok spał mężczyzna słynący z zażywania narkotyków, ostrych imprez i miłości do seksu. Tylko dwie rzeczy nie dawały mi spokoju. W raporcie patolog zaznaczył, że ciało przesuwano i możliwe, że nie umarła w wannie, w której ją znaleziono. Poza tym rzekomy morderca naćpał się lekami nasen-

nymi i mało prawdopodobne było, aby dał radę zrobić to, o co go podejrzewano, a następnie posprzątać po rzezi, którą zrobił, bo w ciele kobiety brakowało sporo krwi.

Coś tu śmierdziało na kilometr i bardzo chciałam znaleźć źródło tego swędu.

Rozdział 15

Zielone audi a3 wjechało na niewielki parking przed trzykondygnacyjnym eleganckim blokiem. Zatrzymało się na chodniku, a po kilkadziesiąt sekundach wysiadł z niego kierowca: niski mężczyzna, z brzuszkiem i resztką włosów zaczesaną do tyłu. Niespiesznie wszedł do klatki obok tej, w której mieszkał Zaremba.

Bartosz Bogucki sprawdził to już wcześniej, wiedział więc, że poszczególnych klatek w bloku nie łączy piwnica, a pod budynkiem nie wybudowano parkingu, do którego mieliby dostęp wszyscy mieszkańcy.

Ponownie przyspieszył odtwarzanie nagrania, niestety nie z kamery pokazującej klatkę Zaremby, bo ta nie działała, i czekał na następny samochód, mimo że zegar na ekranie pokazywał już drugą w nocy, a według raportu patologa kobieta zmarła około północy. Mógł zlecić to innemu funkcjonariuszowi, ale czuł wewnętrzną potrzebę wykazania się. Przesłuchanie stanowiło początek dobrej passy.

– Świetnie sobie poradziłeś. Gratuluję – rzucił Obrębski bezpośrednio po zakończeniu rozmowy z muzykiem. Policjant zostawił go samego, gdy ten raz po raz powtarzał, że nie jest mordercą. – Dobrze, że wyszedłeś. Rozmowa z kimś takim nie ma sensu. Na ten mo-

ment nic więcej byś z niego nie wyciągnął, a tylko straciłbyś dobry humor.

– Dzięki – rzucił zawstydzony, a zarazem dumny jak paw.

Rzadko ktoś go chwalił, a jak każdy był łasy na miłe słowa, szczególnie gdy padały ze strony człowieka, który mógł wpłynąć na jego karierę. Niby partnerzy zazwyczaj byli sobie równi, ale wiedział, że Obrębski – wyższy rangą, z większym stażem i koneksjami – mógł popchnąć jego karierę do przodu, ale również ją udupić. Kiedyś słyszał o jednym komisarzu, który nie mogąc znieść niekompetencji kolegi, objawiającej się przede wszystkim spóźnialstwem i bałaganem w dokumentacji, doniósł na niego. Może wytrzymałby dłużej, ale gdy przez jego niedbałość wymknął im się sprawca gwałtów na nieletnich, nie wytrzymał. Facet miał pojawić się przed domem obserwowanego, jednak tak wciągnął go serial, że przyjechał z ponad godzinnym spóźnieniem, a wcześniejszy policjant zszedł już ze służby. Przez ten czas obserwowany oddalił się. Gdy ów funkcjonariusz w końcu zaczął gapić się w okna, nie wiedział, że w środku nikogo nie ma, a podejrzany realizuje właśnie swoje chore żądze na kolejnej trzynastoletniej dziewczynce. Zdecydowanie nie chciał, aby spotkał go podobny los.

Kolejny punkt zasług wpadł Boguckiemu wtedy, gdy chwilę po otrzymaniu raportu od patologa połączył kolejne kropki.

– Na miejscu zbrodni nie znaleziono narzędzia, to znaczy jakiejś poduszki lub materiału, którym odebrano jej życie.

Obrębski podniósł głowę znad ekranu komputera i pokiwał z aprobatą, a na jego twarzy zagościł uśmiech.

– Będą z ciebie dobre policjanty! – rzucił i chwycił za telefon. Wybrał numer do prokuratora i włączył na głośnomówiący. – Dzień do-

bry. Z tej strony komisarz Maksymilian Obrębski. Dzwonię w sprawie zamordowanej Olgi Kowalonek.

– No? – odpowiedział Borowicz jednym słowem, ale już w jego tonie słyhać było wkurzenie i brak entuzjazmu, jakby przed sekundą ktoś go wyrwał ze snu, mimo że wiszący nad głową policjanta zegar wskazywał, że jest już po trzynastej.

– Okazuje się, że w mieszkaniu Błażeja Zaremby nie znaleziono żadnego przedmiotu mogącego być narzędziem zbrodni. Może warto byłoby rozważyć inne scenariusze.

– Na przykład?! – rzucił podniesionym głosem. – Że do mieszkania dostali się kosmici? A może ktoś wrzucił ją temu gwałcicielowi do wanny? Facet zabił Boga ducha winną kobietę i zostanie za to ukarany. Ja już to załatwię, a wy lepiej wykonujcie swoją robotę. Nie jesteście od myślenia, tylko od wykonywania moich... – Na chwilę zawiesił głos, ale słuchający go mężczyźni wiedzieli, jakie słowo zawisło: „rozkazów”. Po chwili już spokojniej dokończył: – Poleceń służbowych.

Policjanci spojrzeli na siebie i synchronicznie pokręcili z dezaprobatą głowami. Żaden z nich nie spodziewał się entuzjazmu wywołanego ich odkryciami, ale jakakolwiek pozytywna reakcja byłaby zdecydowanie bardziej na miejscu.

– Rozumiem. Dziękuję za jasne wytłumaczenie sytuacji.

Obrębski rozłączył się zrezygnowany.

Chwilę posiedzieli w milczeniu, ale obaj wiedzieli, że tak tego nie zostawią. Luźne podejście prokuratora do wykonywanej przez niego pracy nie mogło skazywać potencjalnie niewinnego człowieka na lata odsiadki. Pech chciał, że Błażej Zaremba stanowił idealnego kózła ofiarnego. Narkoman, alkoholik, potencjalnie sutener i z całą

pewnością kobieciarz. Ale czy mógł kogoś zabić? Bycie zdeprawowanym nie oznaczało, że odbieranie życia stanowiło dla niego rozrywkę.

Mimo braku aprobaty ze strony prokuratora postanowili drażnić temat dalej. Obrębski dobrze wiedział, że nie powinni. Borowicz pełnił funkcję szefa. On decydował o kierunkach rozwoju prowadzonych działań, a policjanci stanowili jego narzędzia. Sami nie mogli podejmować jakichkolwiek kroków. Jednak przepisy prawa przepi sami prawa, a życie życiem. Dlatego prowadzili dalej śledztwo, jakby zatrzymany wcale nie stanowił jedyne rozwiązanie.

Bartosz Bogucki oglądał kolejne kadry z kamery przed blokiem, w którym znaleziono kobietę, ale bez efektów. Spokój, cisza, zero podejrzanych samochodów czy kręcących się po okolicy ludzi. Nikogo, kto mógłby przywieźć ciało Olgi Kowalonek, wnieść je do mieszkania Błażeja Zaremby, zostawić, a następnie wyjść, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Policjant, dotarwszy do czwartej w nocy, zrezygnował z dalszego oglądania. Wyciągnął z szuflady biały papier formatu A4, położył przed sobą i zaczął rysować obrys budynku, w którym mieszka muzyk. Następnie zaznaczył parking z przodu i umiejscowienie kamer, z których nagrania właśnie sprawdzał. W następnej kolejności naskicował to, co znajdowało się za blokiem, od strony tarasu, do którego prowadziły uszkodzone drzwi. Na ich nieszczęście technik nie potrafił ustalić, kiedy doszło do uszkodzenia, a ze względu na dość burzliwe życie podejrzanego w mieszkaniu znaleźli kilkadziesiąt różnych odcisków linii papilarnych. Tylko jedne należały do kogoś skazanego wyrokiem sądowym. Reszta, jak Błażeja Zaremby, który został uniewinniony, nie trafiła nigdy do bazy.

Osobą z wyrokiem był Aleksander Osiński, czterdziestosiedmioletni rysownik, który siedem lat wcześniej potrafił na pasach małą dziewczynkę. Zmarła na miejscu, na rękach matki, z którą wybrała się na spacer. Tego dnia słońce bardzo mocno świeciło i sąd uznał to za czynnik łagodzący. Mężczyzna został skazany na pięć lat, a sam wypłacił jeszcze rodzinie odszkodowanie w wysokości stu tysięcy złotych. Od tego czasu nie usiadł za kółkiem, jak pisał na mediach społecznościowych, co chwilę opowiadając o swoim przypadku ku przestrodze. „Nigdy nie wiesz, co może się wydarzyć na drodze” – powtarzał jak mantrę. Zupełnie nie pasował na kogoś, kto mógłby zabić Olgę Kowalonek, dlatego porzucili ten trop.

Bartosz Bogucki wyrysował wszystko, co znajdowało się z drugiej strony budynku, w tym ulicę biegnącą na tyłach i parkingi. Niestety namierzył tam tylko jedną kamerę, ale od razu wiedział, że nie działa. Kabel zwisał niepodpięty do urządzenia, co zauważył, gdy podszedł bliżej.

Zdegustowany obrócił się do komputera i odpalił Google Maps. Wprowadził odpowiedni adres i czekał, aż wyświetli się obraz. Od kilku dni informatyk konfigurował nową sieć internetową, co sprawiało, że stara działała gorzej niż dotychczas, a o nowej tylko słyszeli, jaka to będzie świetna, i musieli wierzyć na słowo, że wkrótce odmieni ich życie, a co ważniejsze – pracę.

W końcu wyświetlił mu się układ ulic okalających wskazany adres. Dorysował do swojego rysunku odpowiednie budynki i drogi.

Po chwili wstał i ruszył do wyjścia. Musiał się dowiedzieć, gdzie w okolicy są zamontowane kamery. Tylko dzięki nim miał szansę sprawdzić, czy ich alternatywna wersja zdarzeń ma rację bytu.

Rozdział 16

– Ale dzisiaj wieje! – usłyszał Bogucki, gdy wszedł do sklepu spożywczego.

U Jaworskiego w domu z reguły przygotowywał sobie jakąś kanapkę na później, ale u Beaty, u której spędził ostatnią noc, cały czas nie czuł się jak u siebie i nie mógł się przemóc, aby ogarnąć coś do jedzenia przed wyjściem do pracy. Teraz tego żałował, bo w brzuchu aż burczało mu z głodu.

– Ma jeszcze padać około południa – odparł ekspedientce, kiwnął głową i ruszył w głąb sklepu.

Nie miał teraz ochoty na rozmowę. Musiał w pierwszej kolejności zaspokoić głód, bo powoli zaczynał odczuwać rosnący ból głowy. Następnie chciał jak najszybciej zapoznać się z okolicą domu muzyka, dokąd od razu skierował swoje kroki. Buszował między półkami, gdy usłyszał dochodzącą zza regałów rozmowę:

– Słyszałeś o tym facecie, co grał z Ziomkowskim?

– O kim? – odpowiedział drugi głos.

– No, tym perkusiście, Zarembie.

– Ty myślisz, że ja takich gości znam? O nie! – rzucił ten podniesionym głosem, jakby został obrażony. – Moja stara to siedzi w tych pudelkach, kozaczkach i traci pół dnia na śledzenie ich losów, jakby to mogło zmienić coś w jej życiu lub wniesić coś wartościowego. To

jest koszmar, a najśmieszniejsze, że wieczorem kładzie się na kanapie i stęka, jaka to bidulka jest zmęczona, bo cały dzień niby tak zapierdzielała i tyle miała do ogarnięcia...

– Dobra, to nie jest ważne – przerwał mu ten drugi. – Ważne jest to, że facet zabił jakąś babeczkę i już nie zagra żadnego koncertu.

– Chwila, chwila, to ten, co ostatnio szukał kogoś do wniesienia mebli?

– Tak, dokładnie.

– Aaa, to wiem. Fajny gość, chociaż, jak to mówi moja mama, zakręcony jak słoik. Chciał mi dać dwie stówki za to noszenie mebli, mimo że umawialiśmy się na jedną. Potem zaczął ze mną gadać, jakbyśmy się znali wieki. Opowiadał o jakiejś babeczce, co mu się podoba, ale ona widzi w nim kumpla. Myślałem, że wybuchnę śmiechem, bo ten koleś ma kobiet na pęczki. Sam widziałem kilka razy, jak wchodziły lub wychodziły takie kobitki, że modelki Victoria's Secret mogłyby się bać konkurencji.

– Victoria co? – wtrącił ten drugi.

– Nieważne. Generalnie sprawiał wrażenie spoko gościa, trochę zakręconego i bardzo... samotnego. – Ostatnie słowo powiedział po dłuższej przerwie.

– A myślisz, że to on mógł ją zadziugać?

– Zadziugać?

– No, słyszałem, że ktoś ją nożem zaatakował i pełno krwi było w jego salonie.

– Boże, a taki fajny gość się wydawał.

W tym momencie policjant nie wytrzymał. Wysunął się z za regału i zdębiał. Przed nim stało dwóch około trzydziestoletnich mężczyzn. Obaj ze sporą nadwagą, ubrani w szare dresy, wyglądali wręcz

jak klony. Różnili się wzrostem. Jeden mierzył dobrze ponad metr dziewięćdziesiąt, a drugi sięgał mu do ramienia.

– Dzień dobry, aspirant Bartosz Bogucki, niechcący usłyszałem panów rozmowę, mogą mi panowie poświęcić chwilę?

Obaj spojrzeli na siebie zdziwieni.

– A o co chodzi? – wydukał wyższy, z dołeczkami w policzkach.

– Tak jak powiedziałem, słyszałem panów rozmowę o Błażeju Zarembe. Zajmuję się tą sprawą. Jeden z panów wspominał o kobiecie, do której Zaremba wzdychał. Mógłby pan powiedzieć coś więcej? – spytał, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, bo nie miał pojęcia, z czyich ust padła ta wypowiedź.

– No, ja z nim gadałem – odezwał się właściciel dołeczków na policzkach, które były widoczne mimo braku uśmiechu. – Szukał pomocy do wnoszenia mebli. Okazało się, że zamówił szafki. Przywieźli mu je, postawili pudła przed klatką i pojechali. Chodził po okolicy i szukał wsparcia. Akurat nic nie robiłem, więc matka powiedziała mu, że ma takiego jednego w domu. Nazwała mnie nierobem, a ja trzy razy w tygodniu haruję w magazynie, głupia jęzda.

– I co było dalej?

– Pokłóciłem się z nią. Staram się pracować, ile mogę...

– Pytałem o Zarembę – przerwał mu policjant.

– A! No przyszedłem, wniosłem do mieszkania te kartony, oczywiście z nim. Cały czas coś gadał, jakbyśmy znali się od lat. Ja to nie jestem taki, zawsze na dystans. Ale on opowiadał non stop i nie że się chwalił. Opowiadał o tym, że ludzie są straszni. Zamówił z opcją wniesienia i skręcenia, a teraz sam musi to robić. Mówił o tym, że niby wszystko ma, a tak naprawdę to nic. Z każdym zdaniem stawał się bardziej rozrzewniony. Coś ewidentnie mu ciążyło. No i jak skoń-

czyliśmy, dał mi piwo i siedliśmy na kanapie. Patrzył na skręcony przez nas mebel i wzdychał, jak to teraz jest ciężko, że nie potrafi zbudować stałego związku. Na to rzuciłem, może niesłusznie, że trochę utrudniać sytuację może fakt, że ma opinię podrywacza i kobieciarza. – Mężczyzna zamilkł na chwilę i wykrzywił usta w podkówkę.

– I jak on na to zareagował? – spytał kolega, widocznie zainteresowany.

– Wzruszył ramionami i się ze mną zgodził. Potem zaczął opowiadać, że w jego życiu pojawiła się jakaś babeczka i ona jest spoko, normalna. Nic od niego nie chce, ale on nie wie, czy to ta. Strasznie zaczął smęcić, więc dopiłem piwo i poszedłem.

– A wie pan, kim jest ta pani, o której wspominał? – Bogucki poczuł, jak znowu przewraca mu się w brzuchu. Jelita domagały się pierwszego posiłku. Przyłożył rękę i nacisnął, licząc, że tym zmyli kiszki, by dały mu jeszcze ostatnie chwile wytchnienia.

– Nie, chociaż chyba ją widziałem ze trzy dni temu. Szli razem do jego domu. Rozmawiali, a on niósł zakupy, jakby planował coś jej przyrzadzić. Wszystko było inaczej niż w przypadku innych kobiet. Zazwyczaj przychodziły wypindrzone, jak szedł z jakąś, to się nie odzywali do siebie. A tutaj widać było taką jakąś...

– Łączącą ich więź? – wtrącił ten drugi i zatrzepotał rzesami. – A co ty nagle taki znawca? Ty chyba dziewczyny w życiu nie miałeś, a tu jakiś dogłębne analizy sadzisz panu władzy. Popisówka jak ta lala.

– Miałem dziewczynę, nawet kilka. – Mężczyzna się obruszył i założył ręce na brzuchu.

– Kiedy? W przedszkolu? To się nie liczy, co najwyżej można pod paragraf podciągnąć jako pedofilię.

– Panowie – interweniował Bartosz Bogucki. – Proszę ustalić między sobą, kto jest znawcą, a kto nie, a ja tymczasem się oddalę. Dziękuję ślicznie. Zostawię swój numer, jakbyście coś jeszcze sobie przypomnieli.

Wyciągnął dwie nowe wizytówki, które dumnie wręczył obu mężczyznom, po czym spisał jeszcze kontakty do nich. Zapłacił w pędzie za dwie kajzerki i jogurt, licząc, że starsza kobieta przy kasie go nie zagada, i wyszedł.

Wpychając w siebie kupioną bułkę, obszedł wszystkie ulice dookoła domu Błażeja Zaremby. Dorysował ich układ i naniósł zamontowane na nich kamery. Niestety od razu zauważył, że trzy, i to te, które skierowane były na parking od strony tarasu muzyka, nie działają. Odszedł jeszcze kawałek i ze smutkiem stwierdził, że nigdzie w okolicy nie ma więcej kamer.

Jedyną opcją był bankomat mieszczący się jakieś sto metrów od tarasu.

Chciał już wrócić na komisariat, ale przypomniał sobie o matce Zaremby, którą musiał odwiedzić. Umówił się z nią przez telefon. Kobieta ze słyszalną radością w głosie podała mu dokładny adres i zakomunikowała, że będzie czekać.

– Dzień dobry, aspirat Bartosz Bogucki. – Ukłonił się lekko i pokazał odznakę, gdy tylko stanął przed panią Zarembą. Zdecydowanie to po niej syn odziedziczył urodę. Miała spory nos, cienkie usta i zapadnięte policzki.

– Proszę, cieszę się, że pan przyszedł – rzuciła i nie czekając na reakcję gościa, ruszyła w głąb mieszkania.

Policjant trzy razy wytarł dobrze buty i poszedł za nią. Mieszkanie zdecydowanie różniło się od tego posiadanego przez jej syna,

mimo że było bardzo nowoczesne. Od razu wiedział, że w jego wykonczeniu musiał maczać palce jakiś architekt. Wszystko do siebie pasowało, a efekt sprawiał, że czuł się we wnętrzu przyjemnie.

– Napije się pan czegoś? – Kobieta w końcu stanęła i wskazała ręką jedno z krzeseł przy okrągłym stole, na którego środku stał wazon z kwiatami.

– Nie, dziękuję, nie chcę zabierać pani czasu.

– Ale ja mam go zdecydowanie ponad normę. Od kilku lat nie pracuję, bo Błażej się uparł, żebym się już nie męczyła. Dorzucił mi na nowe mieszkanie, wysłał na wczasy do Ciechocinka czy Kołobrzegu. Żyję jak w raju. Dawne koleżanki mi zazdroszczą, chociaż teraz... – Jej twarz zmieniła się diametralnie, zniknął uśmiech, a pojawił się smutek. Zaciśnęła mocniej wargi, tak że ich czerwień całkiem się ukryła. – To wszystko jest jak koszmar, który nie ma końca. Prawnik powiedział, że robi wszystko, ale wy... – Zaczęła dynamicznie kręcić głową, wprawiając swoje kręcone włosy w ruch.

– Dlatego tu jestem. – Bogucki, słysząc swój głos, poczuł wręcz dumę. Był ciepły i współczujący, dokładnie taki, jakim powinien zwracać się do siedzącej naprzeciwko kobiety. – Proszę mi powiedzieć, czy syn ostatnio zachowywał się inaczej.

– Od kilku dni się nad tym zastanawiałam i w sumie to tak. Wyciszył się. Mniej się ekscytował. Kiedyś potrafił do mnie zadzwonić i przez trzydzieści minut mówić, nie dopuszczając mnie do głosu, a ostatnio się to nie zdarzało. Oczywiście gadał jak katarynka, ale pozwalał mi się wypowiedzieć. Poza tym odniosłam wrażenie, że... – Matka Błażej Zaremby spojrzała policjantowi głęboko w oczy w sposób, którego większość raczej unika. Taki osobisty. – W końcu znalazł szczęście. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale zachowywał się

inaczej. I żeby nie było, nie był to wynik jakichś używek. Ja potrafię wyłapać, jak coś weźmie. Robi się wtedy potulny jak miś, a teraz taki nie był. Wydawał się taki zwyczajny, spokojny... – Kobieta westchnęła, uśmiechając się.

– Czy zdradził, co spowodowało taką zmianę?

Pani Zaremba pokręciła przecząco głową.

– Wiele bym dała, aby wiedzieć. Pytałam, ale jakoś odpowiadał, mocno lawirując. Generalnie twierdził, że najwyższy czas dorosnąć. Dbać o siebie bardziej. Uporać się z problemami ze snem, które dręczyły go praktycznie od zawsze. To się zaczęło, jak jeszcze chodził do przedszkola. Wtedy wydarzyło się coś strasznego... – Kobieta przerwała i spojrzała w stronę okna. Klębiące się nad miastem szare chmury powodowały, że było przytłaczająco ciemno. – Mieszkaliśmy wtedy z moimi rodzicami. Niestety w nocy włamano się do nas. Oni myśleli, że nikogo nie ma w domu, a była nas aż czwórka plus młody. Mój tata... Nie wiem sama, o co mu chodziło, ale rzucił się na jednego, a ten go popchnął. Tata spadł ze schodów, dokładnie pod nogi Błażeja, który wyszedł z pokoju, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ojciec leżał i się nie ruszał. Złodzieje zwiali. Żadne z nas nawet przez sekundę nie pomyślało, żeby ich gonić. Na szczęście tata szybko wyzdrowiał. Skręcił sobie tylko kostkę i coś zrobił z palcem, ale obrażenia nie były poważne. Natomiast syn zaczął mieć koszmary, problemy ze snem i tak mu zostało. Niewiele z tego pamięta i generalnie wypiera, że to przez to wydarzenie nie może spać, ale moim zdaniem to jest przyczyna jego bezsenności.

– Smutna historia – odezwał się Bogucki. – A czy syn miał w przeszłości problemy z agresją?

– Nie! – krzyknęła kobieta i cała się napięła. – On w szkole notorycznie dostawał bęcki, bo jest chojrak, ale do momentu... Zawsze uwielbiał zaczepiać, prowokować. Typ „mocny w gębie”, tylko do bitki się nie nadaje. Jeju, ile ja razy bywałam w szkole. – Zaśmiała się smutno, kręcąc głową. – Czasami jak później słyszałam, co te dzieciaki mu mówiły, to chętnie sama bym im przywaliła. Ale to on zawsze wychodził z podbitym okiem czy zadrapaniami na rękach.

Bogucki siedział jeszcze dobrą godzinę, słuchając o dzieciństwie Zaremby, o jego pierwszych koncertach i o tym, jak kobieta cieszyła się, że synek się realizuje. Wszystko się skończyło, gdy pierwszy raz przesadził z narkotykami i nie mogła go dobudzić. Czar prysł, a muzyka, która miała stanowić trampolinę do lepszego życia, nagle okazała się obciążeniem.

Kobieta ze łzami w oczach relacjonowała, jak próbowała syna z tego wyciągnąć, raz prośbą, raz groźbą, ale za każdym razem z takim samym efektem. Błazej Zaremba wpadł w to niczym śliwka w kompot i nikt nie był w stanie go uratować.

Godzinna wizyta niestety zupełnie nic nie przyniosła. Pani Zaremba nie miała zielonego pojęcia o kobiecie, o której wspominali panowie w sklepie. W końcu Bogucki pożegnał się i wrócił na komisarjat.

Włączył komputer i zaczął poszukiwania nieznajomej.

Rozdział 17

– Mam pomysł, jak ogarnąć sprawę bankomatu. Ten pajac Borowicz za Chiny nie da nam nakazu na ściągnięcie nagrań z okolicznych bankomatów, ale... – Obrębski przysiadł na biurku Bartosza Boguckiego i swoim zwyczajem założył ręce na brzuch. – Przecież to nie jedyna sprawa w okolicy. Mamy jeszcze tę z pobiciem chłopaka. To się stało dzień po śmierci Olgi Kowalonek, kawalek dalej, ale myślę, że prokurator Przybysz spokojnie klepnie zgodę na sprawdzenie bankomatów w okolicy. Są w nich zamontowane kamery i może jakimś wielkim cudem coś się uda wyłapać.

– Super! – Policjant pokiwał głową z uznaniem i ponownie puścił nagranie z kamery, która kilka dni przed morderstwem Olgi Kowalonek wychwyciła ciekawą scenę. Widać było na nim kobietę idącą wraz z Błażem Zarembą do budynku, gdzie mieściło się jego mieszkanie. Wyglądała zupełnie inaczej niż odwiedzające muzyka panie. Ubrana była w jeansy, do tego biały sweterek, a na nogach buty sportowe w tym samym kolorze. Pomimo średniej jakości nagrania widać było, że jest bardzo ładna, taka naturalna.

– Trzeba ją namierzyć...

Obrębski nie zdążył skończyć tej myśli, bo kolega mu przeszkodził:

- Ale ja już wiem, kto to - oznajmił z uśmiechem na ustach i odchylił się do tyłu na biurowym fotelu. To był kolejny plus awansu. Nie musiał już spędzać długich godzin na niewygodnym krześle, po którym bolał go kręgosłup.

- Człowieku, uspokój się. Tym sposobem będziemy rozwiązywać sprawy zdecydowanie za szybko. I jeszcze stwierdzą, że stanowimy zagrożenie dla innych, i żeby ich nie dołować, wywalą nas na zbite pyszczki.

- No tak, przepraszam, poprawię się - odpowiedział żartobliwie Bogucki.

- A jak to ogarnąłeś?

- No... Zadzwońłem do aresztu i pogadałem sobie chwilę z Zaremą.

- No tak. - Obrębski cmoknął. - Czasami zapominamy o najprostszych rozwiązaniach. I czego o niej się dowiedziałeś?

- Ewelina Laskowska. Asystentka stomatologiczna, fanka psów, szczególnie rasy labrador, kawoszka, która często biega.

- Rozmawiałeś z nią już? - spytał zdziwiony Obrębski.

- Nie, ale pani wszystko publikuje w mediach społecznościowych.

- No tak, społeczny ekshibicjonizm. A później ludzie się dziwią, że ich domy są okradane, bo sami publikują informacje o miejscu zamieszkania, udostępniają trasę swoich wycieczek sportowych, a zazwyczaj włączają monitorowanie trasy jeszcze w salonie, a później wrzucają zdjęcia z wakacji. Jak ktoś doda dwa do dwóch, to ma bardzo ułatwioną sprawę. Miejsce zamieszkania plus informację, że właściciel smaży właśnie dupsko w Tajlandii.

– No tak – westchnął Bartosz Bogucki, który nigdy o tym nie pomyślał.

– Trzeba z nią pogadać. Ogarniesz to sam. Ja mam dzisiaj jeszcze zapieprz z papierami spraw, które ostatnio kończyłem. Muszę mieć dzień, dwa świętego spokoju, więc...

– Jezu, serio? – zapytał zdziwiony aspirant i spojrzał na kolegę, który ubrany w jeansową koszulę jak zwykle wyglądał niezmiernie estetycznie.

– Gdybym obawiał się, że to schrzanisz, to faktycznie dopadłyby mnie wątpliwości. Ale masz to coś, co potrzebne jest śledczemu, więc ja się nie boję. No, chyba że ty pękasz?

Bogucki nic nie powiedział, tylko uśmiechnął się delikatnie.

– No i super. To ty jedź do niej i zadzwoń z raportem. Mam nadzieję, że w międzyczasie nic nowego nam nie wpadnie, bo się jadę.

Aspirant Bartosz Bogucki nie czekał ani minuty dłużej. Zgarnął ciepłą kurtkę, którą z lekkim żalem wyciągnął z kartonu dzień wcześniej, i opuścił komisariat. Na miejsce dotarł po dwudziestu minutach. Zaparkował swojego forda, choć zawsze, jak go odpalał, to czuł napięcie w ciele. Nie znał dnia ani godziny, kiedy się rozkraczy. Ostatnim razem stało się to na środku skrzyżowania. Chciał się zapisać pod ziemię. Nie dość, że zrobił gigantyczny korek, to jeszcze co któryś kierowca, mijając go, zamiast uśmiechnąć się i wyrazić wsparcie, używał klaksonu, zapominając, w jakich okolicznościach powinno się go stosować.

Teraz miał nadzieję, że nie zaliczy powtórki tego upokarzającego wydarzenia. Jechał do kobiety, którą uprzedził o swojej wizycie.

Umówili się w jej miejscu pracy – w klinice stomatologicznej na Białanach.

Zaparkował przed samym wejściem i wysiadł z samochodu, mocno nimi trzaskając. Już wiedział, że tylko w ten sposób jest w stanie je zamknąć, chociaż parokrotnie zastanawiał się, czy nie odpadną, gdy kolejny raz tak mocno nimi uderzy. Oczami wyobraźni widział, jak użyta przez niego siła wyłamuje zawiasy, a drzwi po chwili lądują na jezdni, waląc o nią z łoskotem.

Wszedł do kliniki, ale nikogo nie zastał w recepcji. Po trzech minutach pojawiła się brunetka ze zdjęć, które widział w internecie. Na żywo robiła jeszcze lepsze wrażenie. Musiał przyznać, że niezbyt urodziwy muzyk, choć jego twarz potwierdzała bliską zażyłości z alkoholem i innymi używkami, miał mocno przerzedzone włosy i dość niezgrabny chód, jakby pociągał jedną nogą, to przyciągał dość atrakcyjne kobiety.

– Może pójdziemy do socjalnego. – Ewelina Laskowska skinęła głową i odwróciła się. – Nie chciałabym, żeby ktoś nam przeszkadzał.

– Jeżeli możemy, to chętnie – powiedział policjant już do jej pleców.

Poprowadziła go długim korytarzem, od którego rozchodziły się mniejsze, wiodące do gabinetów. Momentalnie przed oczami stanęła mu ostatnia prowadzona z Jaworskim sprawa i poczuł ścisk w żołądku. Jedno z odwiedzanych przez nich w ramach śledztwa miejsc wyglądało bardzo podobnie.

Szedł za kobietą, rozglądając się dookoła, jakby zaraz mógł zostać zaatakowany. W końcu dotarli do ostatnich drzwi w beżowym kolorze i z napisem „zakaz wstępu” i weszli. W niewielkim pomieszcze-

niu stał stolik z czterema krzesłami, a na nim bukiet kolorowych kwiatów, których barwy sugerowały, że nie są prawdziwe.

Ktoś, kto urządził pokój socjalny, chciał dać zatrudnionym w klinice osobom jak najwięcej możliwości zaspokojenia głodu, ale nie tylko. Na najdłuższej ścianie zamontowano pełnowymiarową kuchnię, jaką raczej widuje się w domach, a nie w strefach dla pracowników. Było tu też kilka szafek, długi blat, w który wpuszczono zlew z ociekaczem, mikrofała, a także płyta do gotowania. Nie brakowało również ekspresu do kawy, czajnika i zestawu wiszących pod szafkami przypraw. Wszystko to wyglądało bardzo estetycznie, jakby komuś naprawdę zależało na domowej atmosferze.

– Napije się pan czegoś? – spytała kobieta i pokazała ręką na kawiarkę, gdy stanęli na środku pomieszczenia.

– Nie będę pani kłopotał.

– Ale to żaden problem. Przecież wystarczy tylko, że wyjmę kubek, podstawię pod maszynę, wybiorę odpowiedni program i po wszystkim.

– No tak. – Uśmiechnął się lekko zakłopotany.

– To co? – Tym razem głową wskazała na urządzenie.

– A jakbym chciał herbatę?

– To komplikuje sprawę, bo musiałabym wtedy nalać wody...

– To w takim razie...

– Jeju, pan tak zawsze? Proszę się nie stresować. Dam radę. Mam skończone studia wyższe, kilkanaście kursów, szkoleń i innych takich, więc poradzę sobie z zagotowaniem wody. A tymczasem niech pan władza zasiądzie.

Kobieta pokazała mu krzesło, przy którym stał, odwróciła się, chwyciła duży czarny czajnik elektryczny i wlała do niego wody. Wy-

ciągnęła szklankę i rzuciła przez ramię:

– To teraz czas wyboru. Jaka herbata?

– Zwykłą, czarną poproszę. – Bartosz Bogucki usiadł i przyglądał się kobiecie. Ubrana w lekarski strój roztaczała wokół siebie aurę profesjonalizmu, a na dodatek jej filigranowa figura powodowała, że złapał się na tym, że za długo zerka na jej pośladki.

– Uff... – Ku jego radości odwróciła się do niego i sama przerwała mu obserwację. – Już się bałam, że wyskoczy pan z jakąś jaśminową z dodatkiem kwiatu czarnego bzu! – zaśmiała się, wybrała odpowiednią herbatę z drewnianego boksu stojącego na blacie, zalała wrzątkiem i postawiła przed Boguckim. Usiadła naprzeciwko niego, nie robiąc sobie nic do picia. – Ja cały czas nie wiem, o co tu może chodzić – zaczęła, zanim zdążył się odezwać. – Nie znamy się z Błażejem za długo, ale wydawało mi się, że całkiem sporo o sobie wiemy. Dużo rozmawialiśmy, o rodzinie, marzeniach, problemach. Chociaż muszę przyznać, że czytałam o nim wcześniej i w tych artykułach zrobił na mnie bardzo złe wrażenie. Taki typowy imprezowicz, pijak, wręcz ćpun. Tylko dziewczyny mu w głowie. Gdy przyszedł do nas pierwszy raz...

– Czyli poznała go pani tutaj? – przerwał kobiecie i od razu pożałował, bo ta natychmiast zmierzyła go niezbyt przychylnym wzrokiem.

– Tak. Ułamał sobie ząb, otwierając piwo. Wie pan, takie męskie przechwałki. Ja zrobię to, a ja tamto. Ja mam dłuższego, a ja więcej wyciskam. Nie wiem, skąd u was, mężczyzn, takie zachowanie. Nigdy tego nie rozumiałam i nigdy nie zrozumieję, chociaż mam dwóch starszych braci. Zawsze sobie wymyślali zawody do prześcigniania się. Oczywiście średnio co drugi raz któremuś coś się stało.

A to rozcięta głowa, a to złamana ręka czy skręcona kostka, a co najśmieszniejsze, nigdy nie widzieli w tym problemu. Otrzeptywali się z kurzu i szli dalej. Gdy raz mnie wkręcili w zabawę, i to w jakąś prostą, zdarłam sobie skórę na łokciu i zrezygnowałam. Nie chciałam ryzykować. Pod tym względem Błażej jest typowym samcem, no i chyba też jeżeli chodzi o pociąg seksualny. Chociaż – kobieta zgarnęła pojedynczy włos, który przykleił się jej do twarzy i drażnił – on ma większy niż przeciętny facet. Odnoszę nawet wrażenie, że ma z tym spory problem. Po części to też jego muzyczny image. Już parę razy przebąkiwał, że gdy spotka właściwą kobietę, pójdzie się leczyć.

– Czyli panią?

Kobieta momentalnie spuściła wzrok i lekko zaczerwieniła się na policzkach.

– Nie wiem. Mam bardzo mieszane uczucia. Lubię go, pociąga mnie nawet, ale wie pan, to chyba nie jest mój wymarzony kandydat na męża. Moi rodzice pewnie dostaliby zawału, gdybym przyprowadziła do nich takiego faceta. Przyzwyczaiałam ich do dużo spokojniejszych mężczyzn. Wręcz poważnych. Mój poprzedni partner, przez chwilę nawet narzeczony, był nudny jak flaki z olejem. Wykładał fizykę na uniwersytecie. Ponadprzeciętnie inteligentny, ale gdy ślub zbliżał się wielkimi krokami, stwierdziłam, że nie chcę takiego życia. Wieczory przy książce, spacer po muzeach są okej, ale fajnie jest też czasami wyjść do ludzi, zabawić się, napić wina. A dla niego wyjście do kina stanowiło szczyt możliwości. Nie odnajdywał się w tłumie. Miał lęki, a ja jako dobra samarytanka powinnam była mu towarzyszyć w domowym zaciszu, a nie wychodzić do ludzi. Na ostatniej prostej stwierdziłam, że to jednak nie dla mnie.

- A czy Błażej Zaremba zachowywał się ostatnio jakoś inaczej? - Bogucki przysunął kubek bliżej, ale nie napił się, bo unosząca się para dawała jasny znak, że herbata jest nadal za gorąca.

- Nie wiem, co to znaczy inaczej. Znamy się raptem cztery miesiące. Wiem, że lepiej się odżywia niż kiedyś, nie imprezuje tak dużo. Postanowił się dowiedzieć, co jest przyczyną jego bezsenności. Idzie małymi kroczkami do przodu. Wierzę, że może kiedyś będą z niego ludzie, tylko pytanie, kiedy skończy swoją metamorfozę. - Kobieta uśmiechnęła się, ale policjant miał wrażenie, że w jej oku zakręciła się łezka.

- Mogę zadać pani dość krępujące pytanie o...

- O te wszystkie kobiety, które go otaczały?

Bogucki kiwnął głową na potwierdzenie.

- Oczywiście, tak po ludzku to mi nie pasuje, ale... - Laskowska westchnęła i wzniosła oczy ku sufitowi, jakby to tam szukała odpowiedzi. - Jak powiedziałam wcześniej, powoli do przodu małymi kroczkami. Nie wiem, czy byłabym w stanie się z nim związać. To, co nas połączyło, to taka specyficzna przyjaźń. Wiem, że to dziwnie zabrzmie, ale każde z nas dla drugiej strony stanowi odskocznnię od dotychczasowego życia. Ja zawsze wybierałam tych najspokojniejszych, wie pan, milczków, inteligentów, co mogliby w NASA pracować. Zawsze stroniłam od imprez, tłumów i takich wydarzeń, a tu nagle dwa, trzy razy w tygodniu potrafiłam być na imprezie, gdzie ciężko się precyzyjnie. Nie piłam, wychodziłam wcześniej, ale jednak. Za to on, od kiedy pamięta, otacza się długonogimi modelkami, które przez łóżko chcą zacząć karierę. Od dłuższego czasu spokojnie mógłby być ojcem każdej z nich. Nie wiem, jak wyglądały ich rozmowy, ale jestem w stanie sobie wyobrazić, że nie były zbyt wyrafi-

nowane, o ile w ogóle wydobywali z siebie jakieś słowa. I nagle pojawia się ja. Skromna, znająca swoją wartość i nieszukająca pokłasku. No i stara! – Kobieta zaśmiała się, ale po wyrazie jej twarzy widać było, że zupełnie nie uważa tego za coś obraźliwego.

– Czy uważa pani, że Błażej Zaremba byłby w stanie kogoś zabić?

– W życiu! – Kobieta energicznie pokręciła przecząco głową. – To niemożliwe! Jeżeli postawicie mu zarzuty, zrobię wszystko, żeby sściągnąć uwagę wszelkich mediów. Każdy, kto go naprawdę zna, wie, że nie ma w nim ani krzty agresji. A po alkoholu czy tych wstrętnych prochach jest potulnym misiem. Poza tym nawet rodzina zamordowanej w to nie wierzy. Ja już rozmawiałam z matką Olgi Kowalonek.

– Co?! – Bogucki wyprostował się na krześle i zmarszczył czoło.

– Znalazłam w sieci Olgę Kowalonek. A później zaczęłam pisać do jej koleżanek z ukraińskimi nazwiskami. Odpisały mi trzy. Jedna mnie zwyzywała, gdy napisałam, że jestem przyjaciółką Błażeja. Dwie się zainteresowały. Do jednej zadzwoniłam i opowiedziałam wszystko. Okazało się, że od trzech lat nie mają kontaktu, ale podała mi numer do jej przyjaciółki w Polsce. Nie będę opowiadać krok po kroku, co i jak, ale generalnie udało mi się skontaktować z jej mamą. Połączyłyśmy się na WhatsAppie i gadałyśmy chyba godzinę. Opowiedziałam jej o Błażeju. O tym, jakim jest człowiekiem, co lubi, ale głównie skupiłam się na tym, czego ludzie nie wiedzą. Że kilka lat temu zmarł mu ojciec i że większość pieniędzy oddaje mamie. Że kocha zwierzęta, a jak widziałam, Olga również. Oraz o tym, że zrobię wszystko, aby prawda wyszła na jaw.

– A jaka według pani jest prawda?

– Ktoś go wrabia – powiedziała, jakby było to coś tak oczywistego jak fakt, że trawa jest zielona.

- To rodzi kolejne pytanie. Kto?

- Z tego, co pan powiedział, to pan jest policjantem. Ja jestem asystentką stomatologiczną. Potrafię wykonać zabiegi higieniczne. Wiem, jak wspomóc lekarza, aby sprawniej szła jego praca. A to pan powinien wiedzieć, jak znaleźć kogoś, kto zabił niewinną kobietę.

- A skąd pani wie, że jest niewinna? Może to jej tak naprawdę ktoś chciał zrobić krzywdę. - Bogucki sam siebie zaskoczył tą wypowiedzią, bo ani przez sekundę nie zastanawiał się nad takim scenariuszem.

- Żartuje pan! - Kobieta aż wstała, wyraźnie oburzona. - Jej mama wszystko mi opowiedziała. O porwaniu, bo to właśnie zrobili ci bandyci i tak to powinno być traktowane. O tym, jak zrobiono z niej dziwkę. Najgorsze, że gdy mogła z tego wyjść, nikt odpowiedni nie stanął na jej drodze i znowu przepadła. A na dodatek weszły większe pieniądze. Podobno od trzech lat zarabiała kokosy, z czego znaczącą część wysyłała do matki, obiecując, że niedługo z tym skończy. Kobieta płakała córce do słuchawki, błagając, żeby zrobiła to już teraz i nie czekała. Tłumaczyła, że te pieniądze nie są im potrzebne i ważniejsze jest jej bezpieczeństwo, ale ona nie chciała słuchać. Twierdziła, że jeszcze chwila i będą żyć jak królowe. Niestety nie doczekała tego momentu.

Bogucki pogadał jeszcze chwilę z kobietą, ale nic więcej nie wniosła do sprawy. Podziękował za poświęcony czas, zostawił kontakt do siebie i ruszył do auta. Nie zdążył do niego wsiąść, gdy jego telefon zaczął dzwonić. Momentalnie zrugął się za niewyciszenie go. Gdyby zaczął dzwonić podczas rozmowy, Laskowska mogłaby odebrać to jako brak szacunku.

– Jest trup – rzucił Obrębski jak zwykle skrótowo. – Wysłałam adres, ja już w drodze.

I tyle.

Bogucki zaczekał na wiadomość tekstową i wszedł do auta. Wsunął kluczyk do stacyjki, przekręcił go i usłyszał dziwny dźwięk, jakby dławienie. Uderzył otwartymi dłońmi o kierownicę i krzyknął:

– Kurwa!

Wziął dwa wdechy i wykonał czynność powtórnie. Tym razem zapłon zadziałał prawidłowo. Jeszcze raz odetchnął głęboko i ruszył. Wjechał na Wisłostradę i w kolumnie samochodów na prawym pasie toczył się w stronę Łomianek. Skręcił w prawo, jak kazała mu nawigacja, i po pięciuset metrach zobaczył radiowozy stojące na kogutach, ale bez sygnału dźwiękowego.

Zaparkował obok jednego z nich i wysiadł.

Jadąc, zupełnie nie zastanawiał się, dokąd dojedzie, ale ostatnim punktem, o którym by pomyślał, był plac budowy. Z prawej strony graniczył z obdrapanym i zdecydowanie wymagającym renowacji budynkiem, a z lewej z wielkim murem, przez który niewiele mógł dojrzeć.

Na rozkopanym terenie poza radiowozami stała wielka betoniarka, której metalowa mieszarka cały czas się kręciła, a obok niewielki dostawczak z danymi kontaktowymi firmy budowlanej, która według informacji na pace buduje tanio, solidnie i na lata.

Bogucki podszedł do stojącego przy odgradzającej policyjnej taśmie policjanta i okazał swoją nową blachę, którą ostatnio wyjmował z kieszeni zdecydowanie za często.

– Proszę. – Mundurowy uniósł przed nim taśmę.

– Dziękuję – rzucił Bogucki przez ramię, bo szedł już do stojącego na miejscu zdarzenia Obrębskiego, który rozmawiał z jakimś bardzo wkurzonym mężczyzną.

– Nie możecie mi tak zamykać placu budowy! Tak nie można! Beton tężeje. Co ja mam teraz z nim zrobić? Wyrzucić? Oddać, a może kogoś zabetonować? – W jego głosie zdecydowanie dominowała irytacja wymieszana ze zdenerwowaniem, a wysłuchujący go policjant, jak zwykle z rękoma założonymi na brzuchu, tylko wzruszył ramionami z beznamiętną miną.

Bartosz Bogucki kiwnął głową i szepnął nieme „dzień dobry”, po czym stanął obok kolegi.

– Jak by to powiedzieć. Mógłby tu pan mieć najcenniejszy, najdroższy beton na świecie, budować dla arabskiego szejka, ale my i tak nie możemy zaniechać naszych prac, dlatego bardzo bym prosił o jak najszybsze opuszczenie terenu, bo zaraz zatrzymamy pana za utrudnianie śledztwa, a tego chyba pan by nie chciał. – Obrębski mówił niezwykle spokojnym tonem, co zadziało na rozmówcę niczym płachta na byka.

– Ja pierdołę! – krzyknął wysoki mężczyzna z brzuskiem i odwrócił się do stojącego za nim operatora samochodu, który pomimo pięciu stopni Celsjusza ubrany był tylko w mokry od potu T-shirt.

– Wszystko, co potrzebne na ten moment, już wiem. Będziemy kontaktować się w najbliższym czasie, a tymczasem żegnam. – Obrębski przeniósł wzrok na przybyłego chwilę wcześniej kolegę.

Mężczyźni z budowy postali jeszcze chwilę i ruszyli w stronę auta stojącego poza taśmą, co chwilę rzucając słowa uznawane za wulgarne.

– Sprawa ma się tak. – Komisarz podszedł w stronę zarysu nowo stawianego budynku. – Dwie godziny temu operator betoniarki przyjechał na robotę. Planował wylać fundamenty. Koledzy powoli zaczęli się schodzić. Wszystko przygotowali wcześniej, więc teraz miało pójść z górki, ale nie poszło. Jeden z roboli zauważył, że fragment, który wczoraj ukleпали, jest nierówno. Jak to powiedział jednemu z naszych, lubi, jak wszystko jest od linijki. Poprosił kolegę o poprawienie tego i gdy tamten próbował to zrobić, uderzył w coś twardszego. Zaczął kopać. Gdy tylko zobaczył ludzką dłoń, podobno wydarł się wniebogłosy. Zadzwonili w pierwszej kolejności do swojego szefa. Debile. Dopiero on, jak dotarł na miejsce, wykręcił sto dwanaście.

– Pięknie. – Bogucki z dezaprobatą pokręcił głową.

– Dokładnie, kretyni, jakich mało, ale czego się spodziewać po takich panach. Dobra, nieważne. Jak na razie wiemy, że to mężczyzna. Patolog dzisiaj przyjechał jako jeden z pierwszych i siedzi teraz z miotełką niczym archeolog i odkopuje nieszczęśnika.

– Od czego zaczynamy? – rzucił aspirant, chociaż wiedział, że zapewne od przepytania sąsiadów, sprawdzenia kamer, no i próby zidentyfikowania denata.

– Na razie musimy grzecznie poczekać, aż szanowny pan doktor skończy swoją pracę, a przynajmniej odsłoni twarz. Później trzeba popytać mieszkańców okolicznych bloków, czy go znają. Może będziemy mieli trochę szczęścia i będzie w bazie, ale na wiele bym nie liczył. Jakoś tylko raz mi się zdarzyło, że NN się w niej znajdował. Resztę ustala się po cechach charakterystycznych. – W tym momencie wykonał ruch, jakby dotykał swoich piersi. – Wszyscy pamiętamy sprawę implantów Moniki Wieczorek. A w niektórych przy-

padkach, co niestety też mi się przydarzyło, nigdy. To chyba najgorszy z możliwych scenariuszy, zarówno dla nas, jak i dla rodziny.

Postali chwilę, dogadując szczegóły, gdy na drogę przed posesją z piskiem opon zajechało srebrne bmw x5. Wsiadł z niego niski przypakowany mężczyzna wyglądający niczym miniatura Pudziana i ruszył na nich szarżą.

– O nie, nie, nie! – usłyszeli piskliwy głos faceta, który szybko przebierając nogami, biegł w stronę policjantów, jakby to w nich widział źródło swoich problemów. – Ja nie pozwolę, żebyście mi tu blokowali budowę.

– My nic panu nie blokujemy – zaczął Maksymilian Obrębski i spojrzał mężczyźnie w oczy.

– To, kurwa, co robicie?

– Niezmiernie uprzejmie upraszam o kontrolowanie języka. Zraz spadną na pana poważne problemy. Prokurator może uznać, że pana postawa wynika z chęci utrudnienia nam prac, a to zaś może być spowodowane bezpośrednim zaangażowaniem w morderstwo.

– Pan sobie jaja robi? – Jego głos zabrzmiał jeszcze bardziej piskliwie. – Ja nie znam typa.

– A skąd pan wie? – Komisarz ułożył usta w dzióbek i swoim zwyczajem lekko przekręcił głowę.

Stojący przed nimi mężczyzna wyglądał, jakby zaraz miał wybuchnąć. Skóra twarzy poczerwieniała, na czole wyszła sporych rozmiarów żyła, a na linii włosów na wysokości skroni pojawiła się pierwsza kropla potu.

– Źle się wyraziłem. Nie wiem, kogo znaleźliście. Ale to wszystko jest jakieś niedorzeczne. Dlaczego ktoś zabił jakiegoś typka i wrzucił do mnie na posesję?

– To tym bardziej powinien pan pozwolić nam pracować. A skoro już pan jest, to kilka pytań. Kto wiedział, że dzisiaj będzie wylewany beton?

– Hmm, panowie na budowie. Moja architektka i jej ekipa. Moja rodzina. Sąsiedzi... – W tym momencie kiwnął głową na budynek obok.

– A skąd wiedzieli?

– Gadałem z tą dziwną kobietą, co tam mieszka. Zawsze rozmawia tak, jakby chciała mnie poderwać, a jeszcze na dodatek mieszka z synem, który już nie jest najmłodszy. On wydaje się niepełnosprytny czy jakiś... – Widząc pełne dezaprobaty uniesienie brwi rozmówcy, poprawił się: – Niepełnosprawny umysłowo. Zachowuje się inaczej. Mówi tak przeciągle i ma jakiś dziwny tik.

– Ktoś jeszcze o tym wiedział? – Komisarz drażył dalej, cały czas przyglądając się mężczyźnie.

Ten oddychał ciężko, jakby sytuacja, w której się znalazł, mocno go zdenerwowała.

– No, ludzie na moim kanale na YouTube – odpowiedział dumnie i wypchnął lekko klatkę piersiową do przodu, jakby chciał się popisać.

– Może pan wyjaśnić? – Obrębski zacisnął zęby, żeby nie prychnąć ze śmiechu, i spojrzał na Boguckiego, który tylko nieznacznie się uśmiechnął.

– Tak, postanowiłem pokazać ludziom, jak wybudować dom. Sam szukałem takich informacji i trafiłem na dziurę. Niby w sieci jest wszystko, ale jakość tego marna. Córka mnie namówiła, żebym kręcił kolejne etapy budowy i dawał praktyczne rady.

– Czyli pan z tych pomocnych?

– Może nie wyglądam i wejście zrobiłem słabe, ale tak. Lubię pomagać innym. – Mężczyzna podrapał się po głowie i uniósł kąciki ust. – Dzisiaj chciałem uwiecznić lanie fundamentów mojego nowego domu. Nawet mój dobry kumpel z dronem już jechał, a tu klops. – Rozgoryczony uderzył pięścią o dłoń.

– Chodźcie to zobaczyć! – Nagle ich rozmowę przerwał patolog, którego głos dochodził z oddalonej o kilka metrów dziury w ziemi.

– Przepraszamy, odezwiemy się do pana później – rzucił Obrębski, na szybko spisał dane do kajetu i ruszyli do lekarza medycyny sądowej.

Ryszard Ostaszewski klęczał na przyniesionych ze sobą niebieskich piankowych podkładkach udekorowanych foliami ochronnymi. Niewielkim narzędziem przypominającym miotłkę usuwał piasek z denata.

– Ktoś nieźle mu przywalił – zaczął, gdy tylko stanęli przed nim. – Na czaszce ma spore wgniecenie. Nie wiem, jak wygląda reszta głowy, no i ciała, ale chyba go ktoś nie lubił.

– Nie mógł być to wypadek? – Obrębski podszedł na skraj dziury i przykucnął. – Poślizgnął się, upadł i w coś przywalił. Ktoś się przestraszył i zamiast wzywać karetkę, to wrzucił do dziury, którą planowano zalać betonem.

Lekarz ściągnął usta w skupieniu, zmarszczył nos i podniósł na niego wzrok.

– Generalnie jest taka opcja, ale... – Na chwilę zawiesił głos i ponownie pochylił się nad zwłokami. – Po pierwsze, wkłnięcie jest tak jakby od góry po skosie. Ja osobiście nie jestem w stanie sobie wyobrazić sytuacji, w jakiej mogłoby się to wydarzyć w wyniku wy-

padku. Za to człowiek klęczący, gdyby oberwał odpowiednim narzędziem, mógłby doznać takiego urazu.

– Jakim narzędziem? – spytał Bartosz Bogucki, zrównał się z kolegą i również przykucnął.

– Panowie, hola, hola, dość tych prezentów. I tak dałem wam upominek, a wy od razu wyciągacie łapy po więcej. Cieszcie się, że już wiemy, że powodem nie był zawał lub inna przyczyna naturalna. A co do tego, jak się to wydarzyło, to nie teraz. Trzeba poczekać i nie zamykać się na żadną opcję. Kiedyś pojechałem do kobiety, której mąż zmarł w domu. Wezwała służby dopiero dwa dni później, gdy posprzątała w domu, bo jak stwierdziła, i tak już umarł, a jej było wstyd zapraszać obcych w taki bałagan. Pani miała osiemdziesiąt parę lat i niestety zaawansowaną demencję, więc nikt jej nie ukarał, ale wtedy się przeraziłem, jak ludzie potrafią żyć w oderwaniu od rzeczywistości. Teraz to już nic mnie nie zdziwi.

– Mnie też. – Zza pleców dobiegł ich głos starszego mężczyzny.

Odwrócili się i zobaczyli prokuratora Zenona Więckiewicza, który w przeciwieństwie do Marcina Borowicza słynął z dokładności, drażenia w sprawie, aż wszyscy mieli dość. Podobnie jak młodszy kolega nie miał fanklubu wśród policjantów, ale z zupełnie innego powodu. Męczył, dręczył ludzi, a telefony w środku nocy nie stanowiły niczego nadzwyczajnego. Gdy wpadł na jakiś trop, godzina pokazywana przez zegarek nic nie znaczyła.

– Dzień dobry wszystkim. – Prokurator uklonił się lekko i poprawił poły granatowego płaszcza. – Co tu dzisiaj mamy? – Stał na krawędzi dziury obok policjantów.

– Trupa – oznajmił patolog, a wszyscy tylko westchnęli.

– A z kiedy?

- Świeży - odpowiedział już poważnym głosem starszy mężczyzna. - Tak wróżąc z fusów, to myślę, że około osiemnastu godzin, może nawet i mniej. Zabito go wczoraj wieczorem. Przynajmniej tak wychodzi z pomiarów temperatury.

- Ile zajmie ci wydostanie go z tego piachu?

- Jeszcze chwilę, więc idźcie na kawkę, piwko, a ja będę tu dzielnie harował dla dobra narodu. - Pomachał swoją miotełką i wrócił do ciała.

- Znakomicie - westchnął teatralnie prokurator. - Ty tu się w piaskownicy bawisz, a wszyscy w blokach startowych czekają, żeby rozpytać o tego biedaka.

- Muszę z nim jeszcze chwilę pogadać, zanim odsłoni się w pełnej okazałości - rzucił patolog.

Na te słowa Bogucki zaśmiał się pod nosem. Kilka dni wcześniej poszedł do lekarza sądowego po jakieś dokumenty i był świadkiem, jak Ostaszewski wisiał nad trupem z otwartą klatką piersiową, wyciągał po kolei narządy i gadał do leżącego ciała, jakby fakt, że jego krew już nie krąży po ciele, nie stanowił kłopotu.

- Dość tego chrzanienia. Czas do roboty. Potrzebujemy na już jego portretu, żeby wiedzieć, jak wygląda. - Prokurator wsadził ręce do kieszeni, jakby zrobiło mu się zimno. - Proszę o informacje w sprawie sekcji, a tymczasem muszę lecieć. Od rana mam pełne ręce roboty, bo jakaś starsza pani na spacerze z psem znalazła ciało kilkunastoletniej dziewczyny. Ktoś ją zabił, i to w dość okrutny sposób. Poza tym jest podejrzenie, że niestety i zgwałcił, a po wszystkim nagie ciało przywiązał do drzewa.

- O ja pierdole - wyszeptał Bartosz Bogucki, licząc, że nikt tego nie usłyszy, ale się pomylił.

Prokurator odwrócił się w jego stronę, jakby dopiero teraz go zauważył. Policjant momentalnie oblał się czerwonym rumieńcem. Więckiewicz zmierzył go srogim spojrzeniem zza grubych czarnych oprawek.

– Dokładnie, ja pierdołę, albo i gorzej – huknął, a z Boguckiego uszło powietrze. – Ten świat schodzi na psy, a my jak małe mróweczki próbujemy go naprawić, tylko w walce z czymś takim mam wrażenie, że niewiele jesteśmy w stanie zrobić. To walka z wiatrakami. Zawsze gdy coś takiego się dzieje, zaczynam wątpić. Ale dobra... Wystarczy gadania. Wy do roboty, czekam na pierwsze protokoły, a tymczasem lecę. Jakby coś, to dzwońcie.

Mężczyzna odwrócił się i ruszył do zaparkowanego przed ogrodzeniem srebrnego volvo, które robiło na wielu wrażenie, choć pamiętało jeszcze lata osiemdziesiąte. Jego kanciastość różniła się od linii współczesnych modeli i przyciągała uwagę, szczególnie Obrębskiego, który dzierżył tytuł najbardziej zakręconego motofana w komisariacie. Gdy sytuacja pozwalała, wraz z prokuratorem oddalali się w samochodowe tematy. Wtedy nic więcej się nie liczyło.

Rozdział 18

ONA

Rzadko kiedy ktoś dzwoni do moich drzwi, dlatego gdy usłyszałam piskliwy dźwięk, który zawsze obiecywałam sobie zmienić na bardziej przyjemny dla ucha, zdębiałam.

Wiola i Gabrysia planowały wpaść dopiero w weekend, a niezapowiedziane wizyty z ich strony nie wchodziły w grę. Często mnie nie było, o czym się parę razy przekonały, więc przestały robić mi tego typu niespodzianki.

Niepewnie podeszłam do drzwi i przez judasz zerknęłam, kto stoi po drugiej stronie.

Pierwsza moja myśl była przerażająca.

Oni wiedzą.

Ból całego ciała wrócił w ułamku sekundy.

Przyszli po mnie i to już koniec.

Nie mam gdzie się schować.

Nie mam jak im uciec. Przecież nie wyskoczę z balkonu. Z moim chorym biodrem każdy jest w stanie mnie dogonić.

Poza tym na bank obstawili tyły. Głupi nie są.

Trzęsąc się jak galareta, spojrzałam jeszcze raz i tym razem coś mi nie pasowało.

Na pagonach mundurowego widniała raptem jedna srebrna gwiazdka.

Gdyby faktycznie coś na mnie znaleźli, wysłaliby prowadzącego sprawę, a nawet prokuratora z obstawą policyjną, a nie jakiegoś najniższego rangą młodszego aspiranta.

Mężczyzna ponownie nacisnął guzik dzwonka i pokręcił głową z niezadowoleniem.

Krzyknęłam: „Już!” i przekręciłam tkwiący w zamku klucz, który kilka dni wcześniej stanowił dla mnie nie lada wyzwanie.

Pociągnęłam za drzwi i otworzyłam.

Zzerała mnie ciekawość, po co odwiedza mnie policja.

– Młodszy aspirant Arkadiusz Kozielski. Nie chcę pani niepokoić, ale mam pytanie.

Mówił tak cicho, że odruchowo zrobiłam krok w jego kierunku i momentalnie zderzyłam się z obezwładniającą chmurą jego perfum, które wylał na siebie w zdecydowanie za dużej ilości. Korzenny zapach wlaź mi do nozdrzy i przyatakował moje receptory węchowe z mocą szkwału, który pojawia się znienacka.

– Tak, o co chodzi? – Cofnęłam się nieco, licząc, że moja twarz nie wyraża strachu wymieszanego z niesmakiem.

– Chciałbym spytać, czy zna pani tego mężczyznę. – W tym momencie wyciągnął w moją stronę rysunek wydrukowany na kartce formatu A4.

Uff!

Poczułam taką ulgę, jakby ktoś wyswobodził mnie z mocnego uścisku.

Wzięłam portret do ręki i zaczęłam mu się uważnie przyglądać, zapominając o strachu, który jeszcze chwilę temu mnie paraliżował.

Weszłam w tryb psa gończego, któremu ktoś pod nos podstawił fragment ubrania nasiąknięty zapachem poszukiwanego.

Pamięć wzrokowa to zdecydowanie moja zaleta.

W szkole nauczyłam się tabliczki mnożenia na pamięć, bo przez dwa dni po prostu na nią patrzyłam. Dopiero po czasie zrozumiałam, jak dojść do tych wyników, używając prostych regułek.

Zapamiętywałam słówka z angielskiego i wzory z fizyki bez jakiegokolwiek problemu. Czasami nie do końca znałam sens, ale byłam w stanie odtworzyć wszystko, co znajdowało się na kartce, łącznie z moimi mazami, rysunkami i innymi rzeczami, które często pisałam na marginesach, narażając się na gniewne spojrzenia matki.

– A o co chodzi? – spytałam po chwili, mierząc młodego policjanta wzrokiem. Trząśł się ze zdenerwowania. Dobrze wiedziałam, co czuje. Sama tak miałam, gdy musiałam kogoś o coś prosić czy zadać jakieś pytanie.

– Musimy jak najszybciej zidentyfikować tego człowieka. To bardzo ważne. – Jego głos zabrzmiał trochę pewniej.

Mimo strachu, który go zżerał, dobrze grał swoją rolę.

Pytać, nie udzielać informacji.

Już nieraz słyszałam, że tak robią, ale nigdy nie widziałam ich w akcji.

– Coś mu się stało? – Przyjrzałam się jeszcze raz twarzy z rysunku.

– Proszę pani, nie jestem upoważniony do udzielania informacji – powiedział przez zaciśnięte zęby. Chyba moje zachowanie go irytowało.

- Rozumiem, ale nie znam go. - Oddałam mu kartkę.

- Dziękuję - rzucił, siląc się na uśmiech, i ruszył powoli w stronę drzwi sąsiadów. - Ale jakby sobie pani coś przypomniała, proszę zgłosić się do najbliższej komendy.

- I co mam im powiedzieć? - spytałam, a mężczyzna stanął w pół kroku.

- No...

- Tak?

- Że pani w sprawie mężczyzny znalezionej na budowie przy Kwitnącej Wiśni - powiedział na jednym wydechu ściszoneg głosem i podszedł do mnie. - Tylko proszę nikomu o tym nie mówić, nie chcemy wzbudzać zbędnej sensacji.

„Zbędnej sensacji...”, powtórzyłam w duchu i tym razem to ja się uśmiechnęłam.

- Będę milczeć jak grób. - Zrobiłam z ust dzióbek, a prawą dłonią wykonałam przy nich ruch, jakbym przekręcała kluczyk.

- Dziękuję - rzucił, ponownie ruszając w głąb korytarza do sąsiadki, która swoim zwyczajem zagada go na śmierć.

Za każdym razem, gdy mnie spotyka, musi mnie o coś zagadać. A to o pogodę, płynnie przechodząc do sytuacji politycznej, kończąc na uprawie orchidei, które jakoś jej nie rosną. Idąc do niej, policjant skazywał się na dłuższą przerwę w przesłuchaniach, ale w sumie nie był to mój problem.

Zamierzałam się dowiedzieć, co się stało, szczególnie że wymieniona budowa znajdowała się raptem dwieście metrów od mojego domu. Wcześniej widziałam dwa radiowozy, ale jakoś nie przyszło mi do głowy, że wydarzyło się tam coś poważniejszego i godnego uwagi.

A skoro wybrali się na obchód po najbliższych domach, to znaczy, że nie mają pojęcia, kim jest mężczyzna. Poczułam, że zostałam zaproszona do zabawy.

Nie mogłam pozwolić, aby ktoś bezkarnie zabijał ludzi tuż za płotem.

Rozdział 19

Bartosz Bogucki wszedł na komisariat i sam do siebie się uśmiechnął. To zdecydowanie było jego miejsce. Wczoraj przez cały wieczór z butelką piwa w ręku dyskutował z kolegą o tym, dlaczego on kocha pracę w policji, a Jaworski, gdy porzucił mundur, stał się najszcześliwszym facetem na ziemi.

– Ja w końcu chodzę do roboty zadowolony, a nie jak na ścięcie – zaczął były policjant, wlewając w siebie sporą porcję piwa i postępując przy tym z zadowolenia.

– Serio? I kręcą cię te szpachle, malowanie i takie tam? – spytał Bogucki sceptycznie.

– Tak, chociaż to tylko na początek. Jak się sprawdzę, no i skończę licencjat, to będę robił fajniejsze rzeczy. Pójdę w projektowanie. Ale generalnie to już teraz jara mnie to jak cholera. Tworzę coś. Dzięki mojej pracy i pracy reszty ekipy z niemal niczego powstaje dom czy inny budynek. To jest jak magia! – opowiadał śpiewnym głosem, a policjant przypatrywał mu się z niedowierzaniem.

Zupełnie nie rozumiał zachwytu kolegi nad tak przyziemną pracą, jaką jest budowlanka i wykończeniówka, którą też planował się zajmować. On zupełnie tego nie czuł. Od kiedy tylko pamiętał, marzył o pracy w policji. Gdy wstępował w jej szeregi, skonkretyzował te marzenia – chciał tropić przestępców najgorszego sortu, ale

wiedział, że trochę czasu będzie musiało minąć, zanim to się spełni. Gdy kilka miesięcy temu został zaproszony do zespołu Obrębskiego, czuł, jakby chwycił Pana Boga za nogi.

Teraz, wchodząc do budynku komisariatu, mógł śmiało powiedzieć, że jest na właściwym miejscu. W końcu.

Do dziesiątej, o której miał tego dnia zacząć, było jeszcze dwadzieścia minut. Zamiast do swojego biura skręcił do pokoju socjalnego, który ostatnimi czasy przenieśli do większego pomieszczenia. Zbiegło się to z remontem podobnego miejsca w dolnej części budynku, gdzie mieściła się kryjówka techników oraz laborantów, którzy rzadko kiedy wychodzili z norek.

Swoim zachowaniem przypominali trochę informatyków, którzy w skupieniu grzebali w powierzonym im sprzęcie, szukając ukrytych w nich tajemnic. Oni jednak, zamiast w elektronice, grzebali w otrzymanych próbkach, starając się wyciągnąć z nich zakodowane informacje.

Otworzył drzwi do pomieszczenia i rozejrzał się. Ku jego uciesze przy kawiarence stał Obrębski i szykował dla siebie espresso. Poza nimi w pomieszczeniu znajdowała się tylko jedna osoba. Niska kobieta z przepaszającą miną siedziała wciśnięta w róg. Jadła śniadanie, wkładając do ust małą łyżeczkę z płatkami i bardzo dokładnie przeżuując każdy kęs. Nigdy wcześniej jej nie widział. Skinął jej tylko na powitanie i podszedł do kolegi.

– Cześć – rzucił i stanął przed szafką z kubkami. Wyjął największy, z jakimś komiksowym rysunkiem, i postawił obok kawiarki, jakby ustawiał się w kolejce.

– Dobrze, że już jesteś. Udało się zidentyfikować tego faceta z budowy przy Kwitnącej Wiśni. To Grzegorz Mazur. Czterdziestoośmio-

letni singiel, a właściwie rozwodnik, właściciel firmy detalingowej...

– Czekaj, jakiej? – przerwał mu zdziwiony Bogucki i postawił swój kubek w miejscu, które chwilę wcześniej zwolnił Obrębski.

Komisarz już zdążył upić łyk kawy, westchnął, jakby mocodajny napój momentalnie dodał mu sił, po czym oblizał wargi i rzucił:

– To firmy zajmujące się zabezpieczaniem karoserii samochodów przed różnymi uszkodzeniami. Mój kuzyn ma taką i podobno zarabia na tym miliony monet. Nawet chciał mojego saaba zabezpieczyć, ale ja nie pozwolę nikomu go dotykać. Jeszcze tym głównem zniszczyłby mi lakier i co wtedy?

Bartosz Bogucki zacisnął usta, nie chcąc się zaśmiać. Zupełnie nie wiedział, jak ma skomentować nadmierne przywiązanie partnera do samochodu. Nawet Beata podczas jednej z niewielu rozmów o jej byłym facecie to wypomniała:

– On ma takiego świra na punkcie tego auta, że gdyby mógł, zabierałby go do łóżka, przykrywał kołderką i śpiewał kołysanki na dobranoc.

Na wspomnienie o tym jeszcze bardziej ścisnął wargi, aż zęby zazgrzytały.

– Z tego, co udało się ustalić, to facet mieszka sam na Bielanych – kontynuował Obrębski.

– Przepraszam – wtrącił. – A jak udało się go zidentyfikować? To chodzenie po okolicznych blokach z portretem rzeczywiście coś dało?

– Nie, ale jak go w końcu patolog wykopał, to w tylnej kieszeni spodni znalazł portfel, a tam dokumenty. W sumie najłatwiejszy sposób na identyfikację.

– Aha – prychnął i wysunął wypełniony kawą kubek.

Chwycił go obiema dłońmi i przez chwilę delektował się ciepłem szklanki. Od jakiegoś czasu starał się ograniczyć mięso. Beata nie była wegetarianką, ale fleksitarianką, czyli spożywała mięso bardzo sporadycznie. Tłumaczyła to zarówno lepszym samopoczuciem, jak i kwestiami ekologicznymi, powtarzając, jakie spustoszenie w środowisku robi hodowla zwierząt, a dokładniej karczowanie drzew pod uprawę pasz czy wydzielanie gazów podczas hodowli. Do końca nie chciała rezygnować, bo jej organizm sporadycznie domagał się kawałka kurczaka czy wieprzowiny, ale od lat ograniczała, jedząc raptem jeden, maks dwa posiłki mięsne tygodniowo.

Bogucki, zanim poznał Beatę, nigdy się nad tym nie zastanawiał. Po kilku rozmowach, podczas których wcale go nie namawiała, nie próbowała zmusić do swojego światopoglądu, sam zaczął się nad tym zastanawiać. Odpowiadała na pytania, podsyłała mu badania i grzecznie czekała. Nie chciał wyjść na lizusa, który robi wszystko, by zyskać punkciki u nowej dziewczyny, ale po kilku tygodniach stwierdził, że spróbuje. Szybko okazało się, że czuje się dobrze bez dużej dawki mięsa w diecie, jednak miało to jeden zaskakujący skutek uboczny.

Było mu zimno. Na początku zupełnie tego nie łączył ze zmianami w sposobie odżywiania, ale gdy kilka tygodni wcześniej, leżąc na kanapie, przykrył się kocem, Beata zapytała, czy coś się dzieje. Niechętnie opowiedział o swoim problemie. Okazało się, że jest to wynik eliminacji sporej dawki białka, a tym samym elementu, podczas którego spalania organizm ludzki produkuje energię, a tym samym się ogrzewa.

Oczywiście nie planował nic zmieniać w sposobie jedzenia, ale nie stresował się już, gdy nagle zaczynał dygotać, a gorącą herbatę

czy kawę traktował teraz jako źródło ciepła, a nie tylko napój.

– Coś jeszcze o nim już wiadomo? – rzucił, zaciskając palce na kubku.

– Na razie niewiele, ale to i tak sporo jak na początek. Dane o denacie to nie zawsze prezent od losu. – Obrębski spojrział na zegarek i postukał palcami lewej ręki o swój kubek. – Może masz ochotę pojechać na sekcję zwłok?

– Ja?

– Nie, ta pani. – Skinął głową na siedzącą w kącie kobietę, która teraz zatopiona była w lekturze książki.

– No... Ja...

– Jezu, stary! – Obrębski podniósł głos. – Tak czy nie?

– Tak! – Bogucki momentalnie się wyprostował, jakby stał przed dowódcą na odprawie.

– Super, tak też powiedziałem prokuratorowi. To zbieraj się, zaczynają za niecałe trzydzieści minut. – Zerknął na zegarek i uśmiechnął się.

Kolega prawie zakrztusił się łykiem kawy, który właśnie wlał sobie do ust.

Rozdział 20

ONA

Od kilku dni mam wrażenie, że szczęście sprzyja mi ponad normę. I to bardzo. Z reguły zdarzało mi się to tak sporadycznie, że nie wiedziałam, jak ten cały fart wygląda.

Poza tym dopiero niedawno zorientowałam się, że pod szczęście podciągałam rzeczy, których inni tak nie nazywali.

Na przykład jak dostałam dobrą ocenę. Tylko że wkuwałam całą noc, więc czemu piątkę miało mi przynieść szczęście? To była zasługa ciężkiej pracy.

Albo jak lekarka dała mi leki. To jej obowiązek, a ja cieszyłam się, jakbym dostała prezent.

Ale to, co teraz się działo – o tak, to zdecydowanie było szczęście.

Wizytę policjanta, której w życiu bym sobie nie wyśniła, odebrałam jak gwiazdkę z nieba, a już rozmowa podsłuchana w pomieszczeniu socjalnym to było coś niesamowitego. Początkowo, gdy poinformowano nas o remoncie i związanym z tym przeniesieniu naszego socjalu, myślałam, że to jakiś żart.

Moja oaza, mój kaloryfer nagle zostały mi odebrane. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie jeść na zewnątrz, tylko pora roku średnio

temu sprzyjała, bo chłodno, a ja nie lubię marznąć. Poza tym zimnego jedzenia nie toleruję, a szybko traciłoby ciepło, gdy na dworze panowało raptem kilka stopni.

Dlatego musiałam się przemóc i chodzić w nowe miejsce. Szybko się zorientowałam, kiedy kierować tam swoje kroki, aby nikt mi nie przeszkadzał.

Tego dnia, gdy przyszedłam, nikogo nie zastałam. Podgrzałam mleko, zalałam nim płatki na talerzu, który zabrałam ze swojej szafki, i usiadłam przy stoliku. Wzięłam ze sobą książkę, bo zauważyłam, że gdy coś czytam, nikt się nie przysiada. Jakby bali się mi przerywać. A może wyglądałam zbyt inteligentnie, a nikt podczas przerwy nie chciał prężyć się intelektualnie?

Gdy wszedł pierwszy z policjantów, mruknął do mnie coś, co brzmiało jak „dzień dobry”, na co odpowiedziałam w podobnym tonie. Stał i robił kawę, grzebiąc w telefonie. Gdy wpadł drugi, już nie podniosłam głowy. Staralam się wtopić w ścianę. Kojarzyłam ich ze sprawy Zawady, ale oni na szczęście nie mieli o mnie zielonego pojęcia i liczyłam, że tak zostanie.

I wtedy się zaczęło. Słuchałam każdego ich słowa, starając się je zapamiętać. Nie wiem, dlaczego nie wzięłam telefonu. To moje przekonanie, że elektronika przy jedzeniu to zło, odbiło mi się czkawką. Musiałam polegać na mojej pamięci.

Grzegorz Mazur.

Mężczyzna znaleziony obok mojego domu.

Jak tylko wyszli, dojadłam szybko płatki i ruszyłam do swojego pokoju pracy, gdzie w szafce, oczywiście zamkniętej na klucz, leżał mój telefon, który zabezpieczyłam kodem nie do pokonania.

Gdy upewniłam się, że nikt nie patrzy, zaczęłam szukać informacji o zabitym. Zupełnie go nie kojarzyłam, mimo że mogliśmy się miąć. Nie wyglądał na dobrze sytuowanego, mimo że prowadził firmę, której klienci byli raczej majętni, bo jak zerknęłam na stronę, to ceny jego usług, cokolwiek by to było, zaczynały się od dwóch tysięcy.

W życiu nie wydałabym tyle na samochód, oczywiście gdyby sytuacja tego nie wymagała. Wiadomo, naprawa to inna sprawa, ale to jest czyste widzimi się osób, które mają za dużo kasy w portfelu. Jakby nie mogli wydać ich na jakiś szlachetny cel, pomóc dzieciom czy porzuconym zwierzacom. Ale mazianie samochodu jakimiś preparatami tylko po to, żeby krople deszczu lepiej spływały, brzmi absurdalnie jak jedna z fanaberii Kaliguli, który zrobił ze swojego konia konsula, pił perły rozpuszczone w occie, a swoim gościom podawał dania ze złotem.

Poczytałam w internecie opinie o Mazurze. Kilka osób zarzuciło mu, że jest niedokładny, a usługa, która powinna zabezpieczyć auto na wiele miesięcy, już po trzech nie działała, ale nie sądzę, żeby to mogło aż tak kogoś wkurzyć, żeby odebrał mu życie i wrzucił do dziury, licząc, że zostanie zalany betonem.

Opinii pracowników nie znalazłam, zresztą nie liczyłam na zbyt wiele, za mała firma, aby znaleźć obraz pokazujący w pełni człowieka, który za nią stoi.

W mediach społecznościowych nie udzielał się zbyt wiele, ale pod jednym z trzech zdjęć, wrzuconych do sieci ponad pięć lat wcześniej, znalazłam nowe komentarze. Coś w stylu pożegnań.

To nie może być prawda.

Ktoś chyba sobie jaja robi, Grzesiek, odezwij się.

Przecież mieliśmy spotkać się w piątek na piwo – napisała Kasia, a ja od razu weszłam na jej profil. Miała takie samo nazwisko, więc prawdopodobnie byli spokrewnieni. Musiałam się z nią skontaktować, tylko tak, żeby nie ściągnąć na siebie niepotrzebnie czyjejs uwagi.

Rozdział 21

Widok martwego ciała paraliżuje większość osób. Odwracają wzrok, szukając jakiegokolwiek innego punktu, na którym mogliby go zawiesić. Może być to cokolwiek. Papierek na podłodze zostawiony przez panią sprzątającą, włącznik światła, którego obudowa jest krzywo zamontowana, słowem: wszystko, co nie jest częścią ciała denata.

Sprawę utrudnia fakt, że w prosektorium na ścianach nie ma niczego interesującego. Nikt nie wieszka kolorowych obrazków, fotografii ani dyplomów ukończenia kursów czy wyższej uczelni. Wszystko jest takie bezosobowe, dołujące, smutne, jakby już sam fakt obcowania ze zmarłym nie dawał tego uczucia. Jakby właśnie w kontraście do wszechobecnych tutaj uczuć nie powinno się stosować czegoś poprawiającego humor. Czegoś dającego nadzieję na lepsze jutro. Choć stając przed ciałem bliskiego, ma się wrażenie, że wszystko, co dobre, już się skończyło i przepadło bezpowrotnie, a słońce już nigdy nie zaświeci.

Aspirant Bartosz Bogucki zdecydowanie wyróżniał się na tym polu. Pomimo jego przeróżnych lęków i stresów ciało człowieka, które już nie miało szans na chodzenie, myślenie, życie, było dla niego niczym magnes, który swoją siłą przyciąga i każe trwać przy zmarłym.

Już parokrotnie widział trupa. Po pierwszym szoku przychodziła myśl, by może podejść bliżej. Gdy już wykonywał ten pierwszy krok, potem nadchodził drugi i trzeci, aż od zmarłego dzieliła go odległość kilkunastu centymetrów i gdyby je przekroczył, mógłby zostać wzięty za dziwoląga.

Gdy Obrębski dał mu szansę uczestnictwa w sekcji, prawie podskoczył z radości. W skrytości na to liczył, ale ani razu nie zdradził swojego marzenia. Raz otworzył się w tej kwestii przed Jaworskim, ale szybko pożałował, bo nie dość, że kolega nie zrozumiał, to jeszcze zaczął się z niego podśmiewywać. Dlatego Beacie też nie powiedział. Bał się, że zacznie dopatrywać się u niego jakichś dewiacji, zaburzeń, zamiast patrzeć na niego jak na wartościowego mężczyznę z planami i perspektywami na przyszłość.

Dotarcie do sali prosektorium nie zajęło mu długo, ale i tak obawiał się, że się spóźni. Ubrał się w strój ochronny i wszedł. Od razu uderzył w niego chłód, bo jak to kiedyś wytłumaczył mu lekarz, z którym rozmawiał, zwłoki powinny być przetrzymywane w temperaturze poniżej dziesięciu stopni Celsjusza, a najlepiej w przedziale między czterema a ośmioma stopniami.

Zapiął pod szyję niebieski strój kosmity, który w żaden sposób nie chronił przed zimnem, i w tym momencie dopadł go ten charakterystyczny zapach.

Formalina. Ostry, na początku dość irytujący zapach substancji konserwującej tkanki po śmierci. To dzięki niej studenci medycyny mogą lepiej poznawać ciało ludzkie. Tego Bogucki dowiedział się od przyjaciółki Ali, która za namową, a bardziej pod wpływem rozkazu swojego ojca poszła na medycynę. Dziewczyna nienawidziła chodzić na zajęcia. Zupełnie nie widziała siebie jako lekarza, ale ojciec po-

wiedział, że ją wydziedziczy, jeżeli nie spełni jego woli. Wiedziała, że nie będzie się patyczkował, bo postąpił już tak w stosunku do jej starszego brata, który zbuntował się i dał się wyrzucić ze studiów prawniczych. Dziewczyna twierdziła, że ten kierunek jeszcze by zaakceptowała, i po cichu mu zazdrościła. Sama nienawidziła krwi, wnętrzności, a wisienką na torcie, a bardziej gwoździem do trumny były dla niej wizyty w prosektorium. Już od wejścia dostawała mdłości. To od niej Bogucki dowiedział się, że podobno do celów naukowych w wielkich basenach wypełnionych po brzegi formaliną zanurzano poszczególne części ludzkiego ciała, poczynając od rąk i nóg, przez serca, nerki, wątroby, a kończąc na jądrach czy macicach. Przed zajęciami odpowiednie części są wylawiane, a następnie prezentowane przyszłym lekarzom, którzy nie są w stanie nauczyć się budowy ludzkiego ciała tylko w oparciu o atlas anatomii.

Dziewczyna opowiadała, że na tym etapie już miała wszystko w ustach, mimo że nie jadła specjalnie przez kilka godzin poprzedzających zajęcia, ale gdy przychodziło do otwierania ciała, osuwała się na ziemię lub wymiotowała. Próbowwała, walczyła z tym, ale za każdym razem kończyło się tak samo.

Bartosz Bogucki zdecydowanie ulepiony był z innej gliny. Od samego progu prosektorium na jego twarzy zagościł szczerzy uśmiech zadowolenia. Wszedł do pomieszczenia, na którego drzwiach wisiała cyfra 6, i od razu wpadł na ciało Grzegorza Mazura.

Nie tak sobie go wyobrażał. Zupełnie bez kontroli stworzył w swojej głowie obraz wysportowanego mężczyzny, może dlatego, że połączył to ze sportowymi samochodami, którymi pośrednio się zajmował. Zamiast tego na stole leżał niezwykle wysoki pan z brzuszkiem, z olbrzymimi stopami i dłońmi, mocno wysuniętą żuchwą,

a także wielkimi małżowinami usznymi i nosem. Zupełnie nie zwrócił na to uwagi, gdy dostał od Obrębskiego zdjęcia zmarłego.

– Akromegalik – rzucił patolog, widząc, że aspirant przygląda się z zaciekawieniem zwłokom.

– Słucham?

– Akromegalia – powtórzył, prawie sylabizując. – To taka choroba. Wywołuje ją nadmierna produkcja hormonu wzrostu przez przysadkę mózgową. A to doprowadza do rozrostu tkanek i zmian w wyglądzie. Poza tym zaburza funkcjonowanie wielu układów, co niestety wpływa na jakość życia, a może też doprowadzić do przedwczesnego zgonu. A u tego pana mógłby do tego doprowadzić jeszcze niehigieniczny tryb życia. Ten brzuch nie wziął się z kosmosu. Musiał nieźle wpierdzielać, jak mówi moja wnuczka. – Ostaszewski obszedł stół i stanął przy głowie zmarłego. – Chyba zaczniemy.

– A co z prokuratorem? – Bogucki uniósł brwi. Raczej spodziewał się, że będzie nic nieznaczącym elementem, biernym obserwatorem.

– Dzwonił, że cały czas wisi nad sprawą nastolatki, którą zabito i zgwałcono, więc nie da rady. Akurat jemu wierzę, zawsze się stawia, chyba że są naprawdę ważniejsze rzeczy. – Poprawił rękawiczki i podszedł bliżej denata. – No dobra, to zaczynamy.

Mężczyzna uśmiechnął się i włączył dyktafon. Zaczął od przedstawienia się, informacji o dacie i godzinie oraz osobach biorących udział w sekcji, po czym przeszedł do analizy leżącego na metalowym łóżku ciała mężczyzny. Najpierw opisał je pobieżnie, a następnie zaczął mierzyć i analizować wszystko, co widoczne.

Początek zdecydowanie nie należał do ciekawych, mimo to aspirant Bartosz Bogucki chłonał każde słowo niczym gąbka wodę. Gdy

w końcu doszli do obrażeń, przysunął się bliżej, jakby bał się, że przegapi którąś z informacji, choć wiedział, że po wszystkim otrzyma szczegółowy raport, więc będzie mógł każdy szczegół wielokrotnie przeanalizować.

Na głowie Grzegorza Mazura, a dokładniej na styku kości czołowej i ciemieniowej od prawej strony, znajdowało się wielkie wklęśnięcie o wymiarach sześć centymetrów i sześć milimetrów szerokości oraz sześć centymetrów i cztery milimetry wysokości. Jak to określił patolog, uraz zadano czymś bardzo symetrycznym, w stylu pałki bejsbolowej, na potwierdzenie czego znalazł w nim kilka drzazg.

W tym momencie policjant niechętnie się odezwał:

– To dziwne.

– Może pan wyjaśnić?

– Mam kolegę, który gra w ten mało popularny u nas amerykański sport, on mi kiedyś powiedział, że pałki do bejsbolu są tak robione, aby właśnie tych drzazg nie było. Szlifują je, a później lakierują, aby nic nie wystawało, nawet przy dużym zużyciu.

– To może ktoś zrobił sobie swoją domową wersję.

– Może... – mruknął, a po chwili milczenia dorzucił: – Przepraszam, że tak się wtrącam.

– Nie ma za co przepraszać. Ja lubię, jak ludzie wyrażają swoje opinie czy zadają pytania, a nie stoją jak kłody, nie ruszają się, nic nie mówią i czekają, aż ja skończę swoją pracę. Jak pan widzi, odwiedzający mnie ludzie są dość milczący, dlatego fajnie, jak ktoś coś powie i na dodatek wniesie do sprawy.

Ostaszewski znowu się uśmiechnął i kontynuował oględziny głowy. Nie znalazłszy już nic ciekawego, przeszedł do korpusu.

Ciało zabitego nie wyglądało zbyt atrakcyjnie. Duży owłosiony brzuch, który w pozycji na plecach rozlewał się na boki. Najbardziej przerażające były jednak wielkie sińce go zdobiące. Lekarz sukcesywnie mierzył je wszystkie i dokumentował każdy z osobna. W sumie naliczył ich dwadzieścia jeden. Były do siebie podobne, o mocnym środku i rozlewających się na boki mniejszych kręgach. Dobrze to pasowało do pomysłu, że narzędziem zbrodni był kij bejsbolowy.

Lekarz dokładnie obejrzał całe ciało mężczyzny, opisując każdy jego centymetr. Nic więcej nie odnotował, dlatego przeszedł do kolejnego etapu. Niewielkim skalpelem, który niknął w jego wielkich dłoniach, zaczął nacinać klatkę piersiową i brzuch denata, przechodząc przez skórę, jakby była papierowa, a następnie dostał się do wnętrza.

Kolejny etap nie należał do najciekawszych, ale Bogucki obserwował ruchy lekarza. Ten metodycznie wyjmował każdy narząd, jakby miał do czynienia z przedmiotem zrobionym z delikatnego materiału, opisywał go, a następnie ważył na niewielkiej wadze.

Okazało się, że większość organów była opuchnięta, nadbiegnięta krwią, co jednoznacznie sugerowało, że ktoś użył sporej energii, zostawiając ślady nie tylko na skórze.

– Mogę? – Bogucki podniósł rękę jak uczeń w szkole.

– No dajesz pan, panie ciekawski. – Lekarz uśmiechnął się i wyprostował.

– Czy wszystkie krwiaki powstały w tym samym czasie?

– Po ich kolorze i intensywności stawiałbym, że maksymalnie w odstępie dwunastu godzin, ale raczej w tym samym czasie.

– A kiedy? Jest pan w stanie określić czas ich powstania?

– To jest trochę trudniejsze. Nauka daje nam wiele wskazówek odnośnie do określenia czasu zgonu. Mamy najprostszy sposób, czyli że co godzinę temperatura ciała spada o jeden stopień. Oczywiście gdy jest zimno lub ciepło, to odpowiednio to na nie wpływa. Później mamy wilgoć, która też może komplikować, ale wtedy możemy sięgnąć po robaki i tak dalej. Nie wiem, czy pan wie, ale istnieją takie trupie farmy, czyli miejsca, gdzie w różnych warunkach przetrzymywane są zwłoki. Najbardziej znana jest w Knoxville, przy Uniwersytecie Tennessee. Coś niesamowitego. – Na twarzy mężczyzny zagościł szczerzy uśmiech, a w oczach pojawił się błysk.

– Był tam pan?

– Dużo bym dał, ale niestety to dla wybranych – sapnął smutno patolog. – Fajnie, jakby coś takiego zrobili w Polsce. Ale wróćmy do tego delikwenta. Obstawiałbym, że wszystkie urazy nastąpiły w tym samym czasie.

– A kiedy? – Bogucki nie odpuszczał. Podobała mu się ta zabawa, szczególnie że mężczyzna nie traktował go jak namolnego intruza.

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent, a to na podstawie koloru i konsystencji siniaków – w tym momencie naciął jeden z nich skalpelem – powstały chwilę przed śmiercią. Myślę, że najpierw dostał w głowę, a gdy umierał, ktoś okładał go kijem, jakby w jego mniemaniu ten jeden cios mu nie wystarczył. Na ciele nie ma żadnych śladów wskazujących na obronę. Ręce, nadgarstki, przedramiona są całe. Gdyby spodziewał się ciosu, prawdopodobnie wysunąłby je do przodu i znalazłbym jakieś ślady otarcia czy nawet złamania, a tu nic. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Chyba to w tym całym nieszczęściu jest dobre, że prawdopodobnie po jednym strzale padł i już nic nie czuł.

Rozdział 22

ONA

Grzegorz Mazur.

Przejrzałam jego konto na Facebooku trzy razy i nic nie znalazłam.

Zupełnie nie wiem, kim tak naprawdę był. Co w życiu robił poza tym, że ostatnie lata spędził, pochylając się nad czyimiś samochodami.

Początkowo chciałam szukać sama, swoją ścieżką, tak aby nie korzystać z wiedzy zdobytej przez tych dwóch policjantów. Stanęłam jednak przed murem, którego ni cholery nie potrafiłam przeskoczyć. Jest za wysoki albo ja nie potrafię się odpowiednio wybić, aby zerknąć, co jest po drugiej stronie. Musiałam odłożyć na bok dumę, bo po wystrzale z armaty ze szczęściem przyszedł czas na jałowy okres.

Zero trafień.

Nic.

Wszystko, czego próbowałam się dowiedzieć, spełzało na niczym.

Ta cała Kasia, która pisała pod postem zmarłego, mieszka aż w Szczecinie. Przecież nie pojedę do niej, aż tak szalona nie jestem. Dni urlopowych mam tak dużo, że mogłabym nawet na kilka mie-

sięcy zniknąć, pieniądze na podróż też by się znalazły, ale jakoś wolę przeznaczyć je na coś innego.

Jedyne, na co mogę liczyć, to dostęp do akt.

I tu pojawiła się chyba największa niespodzianka.

Zupełnie się tego nie spodziewałam.

Gość lata temu pracował jako policjant. Znajac życie, to ta dwójka śledczych sprawdzi wszystko. Flip i Flap, jak nazywam ich w myślach. Może nie z wyglądu, bo jeżeli o to chodzi, to obaj są szczupli i raczej wysocy. No i całkiem przystojni, zdecydowanie mogą się podobać kobietom. Ale to, jak się zachowują, różni ich diametralnie.

Jeden to taka fleja, zawsze wygnieciony, poplamiony, jakby przed chwilą wstał z łóżka. No i wpatrzony w kolegę jak w obrazek. Co ten drugi powie, to robi, i to bez zastanowienia. Gdy tamten rzuci patykiem, on leci jak szczeniaczek. Ale i ta współpraca wygląda już lepiej, bo z poprzednim partnerem zachowywali się jak dzieci błędzące we mgle. Dobrze, że ten Obrębski dawał im wskazówki, bo polegliby na całej linii.

Gdy w końcu dostałam się do akt, aż klasnęłam w dłonie ze szczęścia. Nie pomyliłam się. W dokumentach pojawiło się sporo informacji na temat Mazura.

Postanowiłam skupić się na ostatnich pięciu latach.

Sprawdzić, z kim zadarł, komu stanął na odcisk.

Jednak nie zdążyłam dotrzeć do tych danych, bo ku mojemu zdziwieniu okazało się, że mieszkał blisko mnie, przy tej samej ulicy, a co śmieszne, w mieszkaniu o tym samym numerze – nasz adres różnił się tylko jedną cyfrą w numerze bloku.

Od razu wpadłam na prosty pomysł. Po pracy poleciałam do domu jak strzała. Znalazłam karton po książkach, włożyłam do

środką dwie, które dawno temu przeczytałam i planowałam oddać do biblioteki w ramach dobrego uczynku, bo mój domowy regał pęka w szwach.

Gabrysia z Wiolą każdą wizytę u mnie zaczynają od pytania o moje nowe skarby, a ja wtedy wyciągam te, które kupiłam w księgarni, na pchlim targu lub upolowałam na Allegro. A że czasu mam sporo, no i w końcu mnie na to stać i nikt, zupełnie nikt nie wtrąca się w to, na co wydaję, mój księgozbiór rozrasta się porażająco szybko.

Teraz dodatkowo okazało się, że moje zbieractwo może przynieść coś dobrego – i postanowiłam to wykorzystać. To, no i jeszcze jedną rzecz. Moje umiejętności działania w programie graficznym.

Szybko stworzyłam etykietę, która wyglądała dokładnie jak ta prawdziwa naklejana na paczkę przez nadawcę. Wrzuciłam na nią logo jednej z firm kurierskich, z którą najczęściej mam problemy, i adres mężczyzny. Przykleiłam ją do pudełka i ruszyłam.

Kolejny mój sprawdzian. Co zadziwiające, gdy pojawia się cel, moje lęki jakby maleją. Przestają przekrzykiwać głos rozsądku.

Nie skupiam się na tym, co powiedzą inni, co o mnie pomyślą, czy zauważą, że kuleję, a następną myślą będzie: „Ale dziwoląg”. Jakos coś blokuje taki tok myślenia, a napędza ciekawość. Chęć dowiedzenia się czegoś. Więc idę, pytam, wczuwam się w rolę.

I tak zadziałałam tym razem.

Postałam pół godziny pod jego blokiem, aż zjawiała się ona. Kobieta z wózkiem. Już jakiś czas temu zauważyłam, że młode matki są doskonałym źródłem informacji. Są bardziej niż inni skore do rozmów. Może dlatego, że pozostawione same z małym dzieckiem, które jest raczej niekomunikatywne, przez większą część dnia nie

mają do kogo się odezwać. Gdy w końcu ktoś pojawi się na horyzoncie, nie odpuszczają, aż nie wyssa całej energii i nie zameczą na śmierć. Trochę się tego obawiałam, ale postanowiłam zaryzykować.

Ruszyłam w stronę szczupłej blondynki, która powoli pchała różowy wózek, przesuając palcem jednej dłoni po ekranie telefonu.

– Przepraszam, czy zna pani może... – W tym momencie przekreśliłam pudełko, tak aby być bardziej wiarygodną, że niby czytam dane, a nie znam je na pamięć. – Pana Grzegorza Mazura? Przez pomyłkę kurier dostarczył mi jego paczkę.

Kobieta zmierzyła mnie mało zachęcającym wzrokiem i cmoknęła.

– No tak, te patałachy zawsze coś schrzanią, jakby dostarczenie przesyłki pod właściwy adres stanowiło wyzwanie pokroju zdobycia nagrody Nobla – rzuciła i poprawiła daszek wózka, mimo że ani nie świeciło ponad normę, ani nie padało.

– Racja, nie są zbyt dokładni w swojej pracy. Nie mogę się niestety dodzwonić na numer z paczki, a domofonu nikt nie odbiera. Sama nie lubię, jak moje przesyłki giną...

Nie dała mi skończyć.

– Mnie w zeszłym roku zapierdzielili paczkę z perfumami. Myślałam, że ich rozniosę. Oczywiście pan na infolinii powiedział, że paczka dostarczona, więc pewnie któryś z sąsiadów ma u siebie, ale ja wiem, że to ten kurier, głupia nie jestem. Jak paczka jest z drogerii i dość ciężka, to wiadomo, że w środku są perfumy lub kremy. Jak nie dla niego, to będzie miał na prezent dla żony lub dziewczyny.

– Na szczęście paczka pana Grzegorza nie zaginęła, ale i tak chciałabym mu ją oddać.

– Super, tylko jak ja mam pomóc? – Dziewczyna ponownie zmierzyła mnie wzrokiem, a ja w sumie zdałam sobie sprawę, że tego nie przemyślałam.

– No nie wiem... – Wzruszyłam ramionami i poczułam, że tężeję.

– W sumie to mogę zabrać paczkę do siebie. Jak tylko się pokaże, to mu ją dam.

– A może gdzieś wyjechał? – rzuciłam zaczepnie.

– On nigdzie nie jeździ. Kiedyś z nim gadałam, bo pomagał mi wnieść wózek pod drzwi, bo w piwnicy z wózkowni ostatnio kradną. – Kobieta wzniosła wzrok na najwyższą kondygnację budynku, przed którym stałyśmy. – Wtedy trochę mi opowiedział o sobie. Ma córkę, ale się rozwiódł. Haruje dla niej, bo poszła na studia, a on chciałby jej kupić jakieś mieszkanie. Normalnie wzruszył mnie tym. Ostatnio rzadko zdarzają się tacy porządni faceci. Raczej większość, jak tylko rozstanie się z matką swojego dziecka, zawija się i znika nagle, nie zostawiając po sobie śladów, tak jakby w ogóle nie mieli udziału w spłodzeniu danego dziecka. – Kobieta spojrzała smutno na leżącą w wózku dziewczynkę i sapnęła. – Mój to wyparował tydzień po tym, jak mu powiedziałam, że zaliczyliśmy wpadkę. Zapadł się pod ziemię i nawet jego świętojebliwa mamusia nie wie niby, gdzie jest, ale nie wierzę jej. Ona na pewno go gdzieś ukryła, ale nie chce powiedzieć gdzie. Na szczęście jakimś cudem wezwanie z sądu do niego dotarło i będzie płacił na małą. Ale uwierzę, jak dostane kasę na konto. A ten sąsiad to z tych lepszych, dlatego żał mi, że go tak żona zrobiła.

– W jakim sensie? – Uśmiechnęłam się, licząc, że będzie kontynuować te zwierzenia, a nie uzna, że osoba, która przyniosła paczkę, niekoniecznie musi znać wszystkie informacje o sąsiedzie.

- No, zdradzała go, i to tak na ostro. Sprowadzała sobie kochanka do domu i... no wie pani, w ich łóżku się z nim bzdziła. To jakiś koszmar. Obrzydliwe. - Chyba zrobiłam zdziwioną minę, bo od razu dorzuciła: - Wiem, bo słyszałam ich kłótnie. Mieszkam dokładnie nad nimi i słyszałam wszystko. Kiedyś paliłam i akurat wyszłam na balkon. Bardzo wtedy rzucali mięsem. Słyszałam praktycznie każde ich słowo. A gadali nieźle. Jakby w te kilkadziesiąt minut chcieli wypłuć wszystkie żale, które uzbierały im się przez całe życie. O tym, że przez jego była pracę to ona ma koszmary, a on na to, że jaja chyba sobie robi. Specjalnie dla niej zrezygnował, a ona mu teraz to wspomina. Bo on był gliną. - Kobieta uniosła jedną brew i wydeła usta. - Na to ona, że to nie dla niej zrezygnował, ale przez to, że koledzy go gnębili. Na to ten gostek, że to nie stanowiło głównego powodu. I powinna się cieszyć, że zmienił pracę albo wydział, oddział. Nie pamiętam, ale wytknął jej, że zrobił to dla niej, żeby się już tak nie stresowała. Na to ona, że w sumie to dopiero od kilku lat porządnie zarabia, a tak wcześniej to ona utrzymywała jego i córkę. Na co on zaczął się tak śmiać, że aż się przestraszyłam. On zawsze wyglądał na megasympatycznego, a to brzmiało okropnie. Jakoś tak złowieszczo. Nie widziałam jego twarzy, ale na bank wyglądała przerażająco. W końcu zamilkł. Ta cisza trwała baaardzo długo... - Kobieta ostatnie słowa mocno zaakcentowała. - Myślałam, że to już koniec. Aż w końcu usłyszałam płacz. Najpierw cichy, później coraz głośniejszy. Tylko to nie jej, ale jego! - Ostatnie zdanie powiedziała znacznie głośniej. - Wydukał, że tak się starał, żeby była szczęśliwa. Że zawsze stawiał ją na pierwszym miejscu, a tutaj taki cios. Że nie wie, jak sobie z tym poradzi. Ona próbowała go pocieszać, ale kazał jej już

pójść. Kobieta o tyle się dobrze zachowała, że się wyprowadziła, zamiast jeszcze próbować go pozbawić mieszkania.

– Smutna historia – wtrąciłam. – Pozbierał się po tym?

– Wydaje mi się, że tak. Przez pierwsze miesiące chodził jakiś struty, ale później, po Bożym Narodzeniu chyba mu się poprawiło.

– Może kogoś poznał?

– Może, chociaż tutaj nigdy nikogo nie sprowadzał. Zawsze pano-
wała ci... – W tym momencie z oddali dobiegł nas ryk policyjnej sy-
reny. – Znowu.

– Co znowu? – spytałam.

– Ostatnio jest tu plaga jakichś pobić, kradzieży. Pewnie znowu
ktoś się gdzieś włamał i będą łazić i przepytować.

– Niestety takie chore czasy mamy – rzuciłam, robiąc smutną
minę. – To wielkie dzięki. Zostawiam pani paczkę i lecę. – Wyjęłam
komórkę z torebki, zrobiłam duże oczy i niczym wytrawna aktorka
powiedziałam ze zdziwieniem w głosie: – Boże, już tak późno? Zaraz
spóźnię się do pracy. Miłego dnia.

Rozdział 23

– Sprawa morderstwa Olgi Kowalonek zwróciła uwagę mediów nie tylko ze względu na okrucieństwo jej towarzyszące, ale przede wszystkim na fakt, że podejrzanym jest znany muzyk Błażej Z. Dotychczas mężczyzna nie przyznał się do winy, ale nasze źródło blisko współpracujące z komisariatem na warszawskim Żoliborzu potwierdza, że wszystkie dowody wskazują na zatrzymanego – trajkotała młoda dziennikarka ubrana w dopasowaną granatową marynarkę i spodnie rurki tego samego koloru, stojąc przed budynkiem sądu, jakby zaraz miała się rozpocząć rozprawa o morderstwo.

Oglądający to mężczyzna ściszył telewizor i ponownie położył się na kanapie.

Od kilku dni ból głowy nie dawał mu sekundy wytchnienia. Łykane garściami leki przeciwbólowe powodowały tylko, że zmieniało się jego epicentrum. Krążyło po jego głowie niczym tornado. Najpierw pojawiał się ostry ból na czole, który po kilku godzinach przemieszczał się na skronie, i wtedy czuł, jakby ktoś zgniatał mu czaszkę imadłem, aby na wieczór rozlać się na potylicy. Każdy był intensywny, ale ten ostatni dawał jako takie wytchnienie i pozwalał przynajmniej na chwilę odpłynąć w krainę snu.

Tylko że gdy już to się zdarzało, za każdym razem widział jej twarz. Blond włosy, mały nos i oczy, które hipnotyzowały, ale

w snach wypływała z nich krew, powodując, że wyglądała karykaturalnie. Jednak to był tylko wstęp. Później jej głowa zaczynała się odrywać od ciała, pozostawiając poszarpaną szyję, przez którą krew wypływała tak intensywnie, jakby w ludzkim ciele nie kryło się jej około pięciu litrów, ale co najmniej kilkanaście albo i więcej.

A później wyobraźnia podrzucała mu różne scenariusze. Raz głowa się unosiła i bujając delikatnie na boki, coś mówiła. Kiedy indziej z dziury u podstawy wyrastało nowe ciało, tylko dużo mniejsze i jakieś niepasujące do reszty. Ostatnim razem, który chyba był najgorszy, nagle jej twarz zaczęła nabierać rysów jego żony.

Koszmary miewał często, ale ten jakoś go przerażał. Może dlatego, że zupełnie nic nie pamiętał. Na swoim koncie miał rzeczy, którymi nie mógł się chwalić, ale zawsze coś z tego zostawało w jego głowie, miał szczątkowe wspomnienia, ale teraz nic. Czuł się tak, jakby ktoś wkleił go w tę sytuację i obserwował z boku. Nie znosił takiej niemocy. Stresowała go i denerwowała zarazem.

– Weź już przestań z tymi snami, one są posrane – rzucił Portos, gdy kolejny raz opowiedział przyjacielowi o swoim problemie. – Ty zawsze wszystko przeżywasz jak mrówka okres. Już powinieneś wyluzować.

– Wiem. – Odetchnął głęboko i gwałtownie, jakby przed chwilą nurkował i właśnie wynurzył się spod powierzchni wody. – Ale to mnie właśnie przeraża. Mam wrażenie, że coś jest mocno nie tak.

– Dopiero teraz? – Mężczyzna wychylił resztkę whisky, którą dostał ostatnio. Planował zostawić ją na jakąś wyjątkową okazję, ale szybko zapomniał o swoim postanowieniu, tak samo jak o każdej próbie przejścia na jasną, tę trzeźwiejszą stronę mocy. – My jesteśmy zgrają wykolejonych pojebów. Gdyby ktoś nas kiedyś dopadł, stwier-

dziłby, że to niemożliwe, że przy tym, co my nawywijaliśmy, nigdy nikt nas nie zgarnął.

– No wiem... – stęknął Aramis i wzniósł oczy w stronę sufitu. – Tylko czuję się jak jakiś dziadek, co nie pamięta, że srał godzinę temu, i narzeka na zastój w dupie. Wiesz dobrze, jak jest. To wspomnienia z tych naszych akcji dają moc. Jezu, tę łaskę, co łapała stopa, co ją później wrzuciliśmy nieprzytomną do rowu, to wspominałem miesiącami. To, jakie miała ciało, widziałem, gdy tylko zamknąłem oczy. Gdyby się głupia tak nie wyrywała, nie dostałaby kosy między żebra i nie skończyła źle. Mogłem ją utrzymywać, gdyby tylko chciała.

– Pamiętam. – Portos uśmiechnął się i parsknął. – Zresztą miałem już wielokrotnie spytać. Skąd miałeś ten nóż?

Mężczyzna nie odpowiedział, a zamiast tego zaczął się śmiać. Trwało to długie sekundy. W końcu gdy się uspokoił, rzucił rozba-
wiony:

– Dostałem podczas spotkania z wyborcami. To zdecydowanie najdziwniejszy prezent, jaki mi dano. Przyniósł mi jakiś facet w ramach podziękowania za moją pracę dla społeczeństwa. Nie powinienem był go przyjmować, wiesz, te durne zasady o prezentach, ale nikt się o nim na szczęście nie dowiedział. Wyrzuciłem go później do rowu, gdy byłem trzysta kilometrów od domu. I było po sprawie.

– No i tego powinieneś się trzymać – Portos nalał im alkoholu – a nie drążysz temat. Atos by ci powiedział, że masz wyluzować.

– Tylko...

– Tylko co?

Mężczyzna nachylił się w kierunku szklanego stolika, który ich dzielił, i sięgnął po whisky. Każdy z nich siedział na fotelu. Dawno

temu ustalili, że w swoich domach mają zestaw trzech identycznych, bo siedzenie na kanapie bokiem do rozmówcy ich irytowało.

– Ja sam nie wiem, co mam o tym myśleć. Parę razy przesadziłem z alko i dragami i nie pamiętałem imprez.

– Parę razy?

– No dobra, więcej niż parę razy, ale generalnie zawsze wiedziałem, że coś takiego może się zdarzyć, a teraz... – Aramis spojrzał na przyjaciela, jakby liczył, że ten wyłapie jego myśli.

– Stary, chcesz powiedzieć, że potrafisz kontrolować, kiedy urwie ci się film? Wiesz, brzmi to prawie tak samo absurdalnie jak gostek, z którym ostatnio gadałem. Twierdził, że ma moc i potrafi kontrolować katar myślami, i zastanawiał się, jak wykorzystać to w kontekście reszty świata.

– Pieprzysz? – Mężczyzna zaśmiał się, parszkając i wypluwając przy tym kilka kropel alkoholu przed siebie.

– A ty? – Spojrzał na przyjaciela i wykręcił usta w dziwnym grymasie. – Sorry, znamy się od małego. Jesteś mi bliższy niż cała moja rodzina razem wzięta. Oddałbym ci nerkę, o ile by ci pasowała, ale nie poznaję cię. Zachowujesz się dziwnie.

– Wiem. – Aramis wzruszył ramionami i zamoczył usta w złotym drinku. Jednak zamiast pociągnąć łyk, delektował się mrowieniem języka i warg wywołanym kontaktem z alkoholem.

– Tak myślałem. Zostaw to, nie kombinuj. Lepiej wymyślmy, dokąd możemy pojechać na weekend. Mam ochotę poszaleć, a chciałbym wybrać się gdzieś, gdzie nie będzie latała za mną zgraja nastolatka.

– No tak, przystojniaczek rządzi – rzucił z uśmiechem na twarzy kolega i uniósł kieliszek, wznosząc toast. Od lat nie wypowiedali go

na głos, ale każdemu wrył się w pamięć.

„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Rozdział 24

ONA

Musiałam działać.

Wiedziałam, że policja zaraz zacznie przesłuchiwać rodzinę zamordowanego Grzegorza Mazura, dlatego wpadłam na prosty, lecz niekomfortowy dla mnie do realizacji pomysł. Postanowiłam zadzwonić do pani Katarzyny Mazur.

Wpisałam jej imię i nazwisko w wyszukiwarce, dodając do tego miasto, które pokazało mi się na platformie społecznościowej jako to, gdzie niby mieszka, czyli Szczecin. Wyskoczyło mi sporo wyników, ale cztery osoby powtarzały się wielokrotnie.

Zaczęłam od pierwszej z nich, właścicielki biura doradztwa podatkowego.

Miałam telefon z kartą, którą zarejestrował mi na siebie jakiś bezdomny za dwie stówki za fatygę. Wybrałam na nim numer tej babki i czekałam.

Po chwili odebrała kobieta i piskliwym głosem rzuciła:

– Katarzyna Mazur, w czym mogę pomóc?

– Dzień dobry, tu młodsza aspirant Magdalena Borowiecka.

Dzwonię w sprawie pana Grzegorza Mazura, mogę zająć chwilę?

– Tak, to znaczy nie.

– Może pani jaśniej? – spytałam zmieszana, nie rozumiejąc odpowiedzi.

– Nie znam nikogo takiego.

– Rozumiem, w takim razie to pomyłka.

Drugi numer również nie należał do szukanej przeze mnie osoby. Ta знаła Grzegorza Mazura, był jej wujkiem i zmarł dwa lata wcześniej, co mocno komplikowało sprawę.

Wybrałam kolejny numer, już zupełnie bez wiary w sukces. Gdy usłyszałam jej głos, od razu wiedziałam, że to ona. Był taki bez życia.

– Tak, słucham?

Przedstawiłam się tak jak wcześniej.

– Liczyłam, że w końcu do mnie zadzwonicie. Trochę wam to zajęło – rzuciła obrażonym głosem. – Mój brat nie zasłużył na taką śmierć.

– Bardzo mi przykro.

– Co chciałaby pani wiedzieć? – spytała już spokojniej, a ja od razu wyczułam smutek. Wiele bym oddała, aby rzucić jakieś słowa otuchy, jednak musiałam trzymać się roli.

– W tym momencie każda informacja jest na wagę złota. Czy miał jakichś wrogów? Czy ostatnio kogoś poznał? To, że się rozwiódł, już wiemy. Wszystko, co uzna pani za ważne. Od razu informuję, że na pewno ktoś jeszcze do pani przyjedzie i spisze zeznania, niestety takie procedury.

– Rozumiem, zrobię wszystko, aby pomóc. Yyy, więc Grzesiek jest moim bratem, ale przyszywanym. Mamy, to znaczy mieliśmy... – W tym momencie nastąpiła chwila ciszy. Usłyszałam coś, co brzmiało, jakby wycierała nos. – Przepraszam, ale to jest dla mnie trudne. Moi

rodzice rozwiedli się, jak miałam trzy lata. Oczywiście zostałam z mamą, z ojcem widywałam się rzadko. Po trzech latach pojawił się w naszym życiu Mariusz, mój ojczym, a rok później on, Grzegorz. Urwis nad urwisami. Rodzice dużo pracowali, więc często ja się nim zajmowałam. Gotowałam mu, uczyłam literek, później tabliczki mnożenia. To ze mną pierwszą pił piwo. Był moim małym braciszkiem... – Głos kobiety zaczął drżeć. – Jezu, nie rozumiem tego świata, jak ktoś mógł mi go zabrać? Nie zasłużył na taki los.

– Czym zajmował się brat?

– Tymi samochodami, jakieś preparaty nakładał. Twierdził, że to pomaga, bogaci płacili, więc miał z czego żyć. Nie oceniam. Dla mnie to było lepsze niż ta praca u was. Zawsze się bałam, jak dzwonił nieznajomy numer albo nagle bratowa.

– Co dokładnie robił?

– Nie ma pani tego w aktach? – spytała zdziwiona, a ja poczułam, że zaraz zostanę zdemaskowana.

– Mam, ale chciałam się dowiedzieć, co mówił rodzinie.

– No, rozpracowywał gangi, organizacje przestępcze i takie tam. No, a wcześniej chwilę był w kryminalnym.

– Czy myśli pani, że to, co stało się pani bratu, mogło być zemstą?

– Nie – odpowiedziała natychmiast. Kobieta musiała się już wcześniej nad tym zastanawiać. – Po pierwsze, mój brat odszedł od was dobre osiem lat temu. Po drugie, on nigdy nie grał pierwszych skrzypiec. Jedyne...

– Tak?

– W sumie to może być ktoś z waszych – usłyszałam cichy głos. Czekałam. Nie chciałam wyjść na natarczywą. – On miał pecha. Najpierw okazało się, że koledzy maczali palce w porwaniu tego ma-

tego, a później, jak zmienił pion, to poza zwykłą robotą rozpracowywał też swoich kolegów, bo okazało się, że ktoś wynosi rekwirowane narkotyki. Nikt tego odpowiednio nie nadzorował, więc pozwalali sobie na uzupełnianie domowego budżetu. Grzesiek wiedział, kto jest w to zamieszany, i zaczął wszystko dokumentować. Gdy miał już dość dowodów, poszedł do szefa.

Słuchałam tego z rosnącym zdziwieniem. Zamiast zapoznać się dokładnie z teczką tego faceta, latałam po mieście i wydzwaniałam po jego rodzinie niczym wprawny pies, a miałam braki u podstaw.

– Czy brat wspominał o jakichś groźbach?

– On mi się zbytnio nie zwierzał. Raz na imieninach ojca, gdy wypił trochę, to wygadał, że koledzy patrzyli na niego krzywo, ale generalnie to w miejscu pracy nikt mu nie dokuczał. Wtedy też wspominał, że odbierał głuche telefony, a raz znalazł pudełko z napisem „bomba”. Nic w środku nie było, ale trochę się przestraszył. Zresztą nie dziwię się. Ja pewnie padłabym trupem.

– Zgłosił to? – dopytywałam.

– Nie, stwierdził, że to tylko takie straszaki i nic mu nie zrobią. Nie mają jaj.

– A czy ostatnio coś się działo? – Spojrzałam na listę pytań, którą przygotowałam sobie wcześniej. Wiedziałam, że podczas rozmowy stres mnie zje i tylko w ten sposób będę w stanie ogarnąć myśli.

– Pół roku temu trafiłam do szpitala, wykryto u mnie raka piersi... – zaczęła.

– Przykro mi – wtrąciłam, po czym od razu chwyciłam za długopis i na kartce napisałam „USG!”, bo od dawna odkładałam wizytę, a to był dobry pretekst, aby przyspieszyć ją w czasie.

- Na chwilę obecną wszystko wskazuje na sukces, więc nie ma co się stresować. Jak to zawsze powtarzała moja mama, jak już będzie źle, to wtedy będziemy płakać. Na razie cieszę się, że leczenie pomogło. No i przez to trochę się oddaliliśmy. Ja przestałam dzwonić, bo nie chciałam słuchać, jak to u innych jest super. A on, bo głupio opowiadać o zwykłym życiu, jak ktoś może zaraz zniknąć z tego świata.

- Czyli nie wie pani, czy ostatnio wydarzyło się w jego życiu coś nadzwyczajnego?

- Niestety nie. Tak jak mówiłam, moja choroba ostatnio nie pomagała. Poza tym mieszkam sporo od Warszawy. Chociaż w piątek planowałam przyjechać do stolicy i byliśmy wstępnie umówieni na piwo. Zawsze mu powtarzałam, że gdyby nie odległość, to co tydzień byłby u mnie na niedzielnym obiadku i zwierzał się ze wszystkiego. Dobry facet, poczciwy i uczciwy, z prosperującą firmą to teraz skarb. Tylko te...

- Tak?

- Miał jedną słabość, która stanowiła skazę na naszym skarbie, jak to mówiła mama. Uwielbiał gry hazardowe. Bratowa jakoś go trzymała w ryzach. Straszyla pewnie czymś, ale cholera była w tym skuteczna. Nie lubię jej, jednak za to zawsze ceniłam. No i gdy go zostawiła, to raz na jakiś czas szalał. Potrafił w jeden wieczór przewalić i pięćdziesiąt koła. Oczywiście zawsze powtarzał, że to jakaś jego górka, poza tym to jego pieniądze i miałam się nie wtrącać. Wiem dobrze, że po części robił to dla córki. Liczył, że kiedyś mu się poszczęści i będzie mógł zapewnić jej życie, o jakim sam zawsze marzył. O dobrej szkole, mieszkaniu na studia, możliwości wyjazdu na jakieś tropikalne wakacje. Czasami miał szczęście, ale myślę, że dużo więcej przegrał, niż wygrał.

- Czy kiedyś przez to wpadł w kłopoty?

- Raz zapożyczył się u jakiegoś gościa. Liczył, że się odkuje i spłaci w najbliższym czasie, ale niestety nie dał rady. Facet mu groził. Musiałam wtedy po raz pierwszy pożyczyć Grześkowi kasę. Bałam się, że coś mu zrobią. Nasłuchiłam się historii o odrąbywanych palcach i innych takich jako formie mobilizacji do spłaty zadłużenia jak najszybciej. Nie chciałam, aby mojego małego braciszka to dosięgło. Chciałam go obronić, ale mi się nie udało.

Kobieta znowu zaczęła płakać.

Nie mogłam jej przerwać. Czułam fizycznie jej ból. To, jak cierpi. Od zawsze tak miałam. Nazywają to wysoką wrażliwością, współodczuwaniem, a ja określam to ekstremalną empatią.

W końcu po dłuższej chwili, gdy słyszałam tylko jej pociąganie nosem, powiedziała:

- Przepraszam, ale nie mogę cały czas się z tym pogodzić. To nie tak powinno być. Ja powinnam się nim opiekować. Tak zawsze potwarzała nasza mama. I to robiłam, dlatego mieliśmy świetną więź.

- Nie będę już pani przeszkadzała, ale mam jeszcze jedno pytanie. Czy ostatnio pani brat się z kimś spotykał?

W słuchawce na chwilę zapanowała cisza.

- Tak - usłyszałam w końcu. - Tylko ja niewiele wiem. Wspominał, że podoba mu się jakaś kobieta, sąsiadka albo mieszkająca niedaleko, a może z pracy. Boże, teraz nie pamiętam zupełnie. Mówił bardzo enigmatycznie. Wspominał, gdzie ją poznał, ale teraz za Chiny nie pamiętam gdzie.

- Rozumiem. Dziękuję za rozmowę.

Rozłączyłam się. Powinnam się pożegnać standardową formułką, że jak sobie coś przypomni, ma do mnie dzwonić, ale bałam się, że

może mnie to zgubić. Wolałam, żeby zapomniała o naszej rozmowie, jakby nigdy się nie wydarzyła. Wiedziałam, że w najbliższym czasie przeprowadzi takich sporo.

Rozdział 25

Bartosz Bogucki ruszył na komisariat, chociaż najchętniej położyłby się gdziekolwiek, na czymkolwiek i pozwolił, aby z jego ciała zeszły emocje, które pojawiły się w konsekwencji oglądanej niedawno sekcji zwłok.

Cały czas gdzieś w głębi siebie uśmiechał się, bo kolejna z listy rzecz, o której marzył, się spełniła, zostawiając coraz mniej punktów do zrealizowania. Jednak mimo że sam bardzo tego chciał, to analizowanie opisów patologa i widok tych wszystkich części ciała... To wszystko nieco go przerosło i teraz najbardziej potrzebował spokoju, relaksu, chwili totalnego wyciszenia dla głowy.

Na to nie mógł jednak liczyć. Ważna była praca, a tu nikt nie patrzy, czy człowiek się dobrze czuje, czy mu coś jest. Jak już się po części przekonał na własnej skórze, ale i słyszał też z opowiadań, zdrowie psychiczne funkcjonariuszy policji nie ma znaczenia. Tylko w ekstremalnych przypadkach traumy są powodem do chwilowej absencji, jednak na co dzień funkcjonują zgodnie z maksymą: „Popraw koronę i zapierdzielaj dalej. To nie przedszkole, tu się haruje dla dobra społeczeństwa”.

Więc aspirant Bartosz Bogucki doprowadził się do porządku i w drodze na komisariat kupił sałatkę z kurczakiem w pobliskim barze. Nie wyglądała tak dobrze jak ta robiona przez Beatę. Nikt nie

przyozdobił jej nasionami słonecznika prażonymi na patelni, pomidory nie pachniały tak ładnie, no i nie wziął wersji wege, ale miał to gdzieś. W tej chwili i tak czuł z siebie dumę. Przecież mógł kupić hamburgera lub kebab albo pójść jeszcze prostszą drogą i pochłonąć batonika, a nawet dwa.

Podziękował za siatkę, czym zaskoczył sprzedawcę, jakby branie foliówek było standardem. Krótco potem dotarł na komisariat i z pudełkiem w dłoni poszedł do socjalnego.

Nie chciał jeść u nich w biurze, bo pielęgnował podział na miejsce do pracy i miejsce do spożywania posiłków. Tym razem był sam, z czego niezmiernie się ucieszył. Szybko wciągnął zawartość pudełka, zrobił sobie kawę w papierowym kubeczku i ruszył do biura.

Gdy wszedł, zastał komisarza Obrębskiego wiszącego nad papierami.

– Już niewiele mi zostało – rzucił ten na powitanie. – A ty jak? Widzę, że coś zjadłeś, więc chyba przeżyłeś to całkiem nieźle.

Mężczyzna się uśmiechnął, a Bogucki zerknął na swoją koszulę, na której znajdował się kawałek sałaty. Sapnął, nie komentując faktu, że jak zwykle musiał się czymś uwalić. Brak estetyki miał tak silnie wpisany w geny, że żadne jego starania nie przynosiły efektów.

– Opowiadaj, czego się dowiedziałeś.

Aspirant Bogucki usiadł na swoim miejscu, odwrócił się w stronę kolegi i zaczął relacjonować spotkanie z patologiem. Opowiedział o chorobie mężczyzny, tłumacząc, czym dokładnie jest akromegalia. O stanie narządów wewnętrznych. O tym, że nie należał do rosnącej grupy osób dbających o siebie. Ale najbardziej skupił się na tym, co dla nich najistotniejsze. Na ranach.

Rana na głowie zdecydowanie była tą, która doprowadziła do śmierci. Jednak najciekawsze było jej ustawienie. Ze względu na wysokość mężczyzny wariant, że ktoś go uderzył, jak stał, zupełnie nie wchodził w grę. Musiał klęczeć, i to na dodatek podparty na rękach.

– Okej, robi się ciekawie. A jakieś jeszcze rany?

– Sporo prawdopodobnie pośmiertnych. Ktoś mocno go nie lubił.

– Ostaszewski znalazł jakiś materiał pod paznokciami? – spytał Obrębski, uważnie przyglądając się koledze.

Aspirant Bartosz Bogucki momentalnie się napiął. Zupełnie o tym nie pomyślał. Szybko przewertował leżące przed nim kartki, które wydrukował. Komendant zawsze ich prosił, aby ograniczali używanie drukarki do minimum, jednak on uwielbiał najważniejsze dokumenty mieć w klasycznej wersji.

– Mam. Pod paznokciami zabezpieczono fragmenty naskórka. Zostały oddane do badania.

– Super. Masz pomysł, co mogło się wydarzyć?

Obrębski płynnie przeszedł do burzy mózgów, którą już przerażali przy ich pierwszej wspólnej sprawie. Wtedy jednak Bogucki błądził po omacku, niczym ślepiec. Teraz czuł się o wiele pewniej i takie pytania nie paraliżowały go.

– Ktoś go musiał zaskoczyć w jakiejś nietypowej pozycji, jak się schylał, sięgał po coś.

– A czym to zrobił?

– Wszystko wskazuje na pałkę do bejsbola, ale co zadziwiające, w ranie było kilka drzazg, co wyklucza profesjonalny sprzęt.

– Skąd wiesz?

– Mój ziomek gra w bejsbol.

– Serio? To u nas ktoś uprawia ten sport?

– Jest ich garstka, ale tak. O dziwo, u nas w kraju sprzedaż pałek jest duża, nieadekwatna do liczby graczy, nawet tych amatorskich – wyrecytował zadowolony z siebie.

– No tak, mamy kiboli, co lubią się nimi naparzać.

– Dokładnie. A co do naszego denata, to patolog planuje zrobić jakiś tam odlew i wtedy będzie wiedział, czy to na pewno była pałka.

– Ekstra. Takie odlewy dużo dają. A wracając do uderzenia, mamy do czynienia z kimś silnym? – Obrębski odsunął jedną z tecek i sięgnął po kolejną.

– Raczej tak, chociaż wiesz, że w napływie złości dostaje się nadprogramowej mocy.

– Ty już nie ucz ojca dzieci robić – zbeształ go komisarz, a policjant aż poczerwieniał, ale kolega zaraz się uśmiechnął. Czasami Bogucki miał problemy z identyfikacją, kiedy jego partner żartuje, a kiedy jest śmiertelnie poważny. – Żeby nie było, że ja nic nie robiłem. Bo poza papierami potrzebowałem trochę rozrywki. Nasz Grzegorz Mazur to ciekawa postać. Nie zawsze zajmował się samochodami. Okazało się, że dawno temu pracował jako... – Obrębski zmarszczył brwi, spojrzał wymownie i czekał na pomysły kolegi.

– No nie wiem, nauczyciel?

– Buuu – zabuczał.

– To może muzyk, jak nasza druga sprawa.

– Buuu – powtórzył wkurzający dźwięk.

– No nie wiem, nigdy nie byłem dobry w takie gry.

– Policjant – odpowiedział za niego komisarz.

– Serio?

– No serio. Trochę ułatwia to sprawę, bo za chwilę będziemy mieć wszystkie akta spraw, które prowadził.

– Czyli siedział w kryminalnym.

– Też.

– Mogę poprosić o więcej szczegółów? – Bogucki oparł się o swoje biurko, jakby zapomniał, że ma wygodne krzesło.

– Słyszałeś o sprawie Mariusza Grzelczyka?

Bogucki kiwnął głową potwierdzająco. Każdy chyba o niej słyszał. Porwanie syna milionera wstrząsnęło całą Polską. Każdy liczył, że może uda się go znaleźć. Trzymał kciuki, aby chłopak wrócił cały i zdrowy do swoich rodziców, szczególnie że od lat chorował i każdy dzień bez odpowiedniej opieki medycznej narażał go na konsekwencje, a w ostateczności na śmierć. Po trzech dniach rodzice dostali list. Ktoś zapłacił dwunastolatce, żeby przywiozła go na rowerze i wrzuciła do skrzynki na listy. Momentalnie dopadła ją zgraja policjantów, którzy próbowali dowiedzieć się, skąd go ma, ale w wyniku stresu dziewczynka nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Przez kilka godzin siedziała skulona w kącie i płakała, nawet mimo wsparcia psychologa i ramienia mamy, które otaczało ją niczym szal zimową porą.

W końcu dowiedzieli się, że podeszła do niej jakaś kobieta, dała trzydzieści złotych i poprosiła o przysługę. Jedyne, co o niej zapamiętała, to że miała czapeczkę i rękawiczki, co wydało jej się dziwne, bo był początek wakacji. Poza tym nic.

W liście znajdowało się żądanie zapłaty dwustu tysięcy euro. Z początkiem nowego wieku suma ta robiła spore wrażenie. Mając kwotę okupu, rodzina trochę odetchnęła. Nadzieja na *happy end* wzrosła, bo to znaczyło, że wiedzą, czego porywacze chcą. Liczyli, że

gdy zapłacą, będzie po sprawie. Ich jedyny, wyczekiwany latami syn do nich wróci.

Poza kwotą była jeszcze jedna ważna informacja, żadnej policji. Oczywiście śledczy odmówili. Zresztą na tamtym etapie policja mocno się podzieliła w swoich poglądach. Część uważała, że rodzina nie powinna płacić okupu, bo i tak może nie odzyskać dziecka. Poza tym zachęci to do następnych porwań, narażając kolejne dzieci, a nawet swoje na ponowne zagrożenia. Inni mówili, że tylko w ten sposób są w stanie zapewnić bezpieczeństwo synowi. Skoro porywacze doskonale dopracowali plan porwania, nie zostawili żadnych śladów, to trzeba było wierzyć, że podchodzą do tego profesjonalnie i jak plan zostanie zrealizowany, oddadzą dziecko.

Wyplacili pieniądze, zapożyczyli się u rodziny i zgodnie z listem spakowali banknoty do siatki. Następnie ojciec chłopca ruszył w stronę Kampinosu swoim nowym lexusem. Zgodnie z wytycznymi miał stanąć na drodze numer 86 przy słupku numer 8. Tam kazano mu zajrzeć do śmietnika. Ojciec chłopca we wskazanym miejscu znalazł list w torebce. Zaczynał się od słów: *Jeżeli masz ogon, już nie zobaczysz syna.*

W dalszej części był opis skomplikowanej trasy, którą miał pokonać. Jechał uważnie, żeby niczego nie przegapić, aż w końcu znalazł małą kapliczkę przy drodze. Stanowiło to chichot losu, bo kiedyś mocno zastanawiał się, czy nie wstąpić w szeregi kleru, ale w ostatnim momencie poznał swoją żonę i zakochał się od pierwszego wejścia.

Położył przy kapliczce siatkę z okupem i odjechał.

Niestety nad całą akcją od początku wisiał pech. I to nie taki mały peszek, ale gigantyczny, zmasowany pech. Tego dnia gdy porwano

chłopca, rano powinien był wyjechać na obóz terapeutyczny. W domu mieli być jego tata i wujek, ale nagle musieli zająć się jakimiś sprawami w firmie.

A gdy w śledzących ojca chłopca wjechał samochód i policjanci, zamiast po cichu załatwić sprawę, wyskoczyli z pistoletami w dłoniach, ściągęli na siebie uwagę. Może gdyby jechali radiowozem, byłoby łatwiej zatuszować ich obecność. Niestety poruszali się nieoznakowanym autem, więc szybko się rozeszło, że po okolicy jeżdżą tajniacy. Powstało wielkie zawirowanie, w wyniku którego okup zniknął. Zapadł się pod ziemię.

Rodzina trwała w nadziei, że mimo całego zamieszania syn do nich wróci. Że żyje, a porywacze zaraz się odezwą. Niestety nikt nie nawiązał kontaktu ani z nimi, ani z policją.

Po trzech latach zawieszenia, sprawdzania przeróżnych wątków – konkurencji, która chciała wyeliminować jednego z graczy, zazdrośnych członków rodziny, którzy wściekali się, bo ojciec chłopca nie chciał dzielić się swoim rosnącym majątkiem, czy po prostu zawistnych ludzi, którym rosła gęła w gardle, że komuś się udało, a im nie – stało się najgorsze. Odnaleziono ciało, a dokładniej szczątki chłopca.

Odkrył je wędkarz w stawie niedaleko kapliczki, przy której zostawiono okup. Dzieliło je raptem trzysta metrów. Stał tam stary opuszczony dom, w którym ktoś wyremontował dwa pokoje. Nie tak na tip-top, ale na tyle, żeby móc tam pomieszkać przez jakiś czas. Znaleziono również ubrania chłopca i małego pluszowego pieska, z którym podobno się nie rozstawał.

Sekcja zwłok przyniosła zaskakujące informacje. Chłopiec zmarł raptem rok wcześniej, co oznaczało, że dwa lata żył w niewoli. Przy-

czyną śmierci była postępująca choroba, na którą cierpiał, czyli mukowiscydoza. Według lekarzy, którzy mieli utrudnione zadanie z powodu dość zaawansowanego rozkładu zwłok, chłopiec umarł na skutek niewydolności płuc. Niestety wszystko wskazywało na to, że mężczyźni nie miłośniernie przed śmiercią.

Po trzech latach mieli już ciało, ale zero podejrzanych, i wtedy nastąpił przełom.

– Grzegorz Mazur – odezwał się po chwili ciszy Obrębski, widząc, jak myśli kolegi krążą wokół dawnej sprawy. – To on był tym policjantem, który zorientował się, co tak naprawdę się stało.

– Pamiętam sprawę, ale nie rozwiązanie.

– Mazur pracował wtedy w tej samej komendzie, która zajmowała się tą sprawą. I nagle zaczął łączyć małe rzeczy. A to jeden kolega kupił sobie samochód, a inny wyjechał na wakacje. Zupełnie przypadkiem wszyscy dobrze się znali. Kumplowali po pracy. Zaczął im się bardziej przyglądać. Okazało się, że dwóch z nich jechało wtedy za ojcem chłopca nieoznakowanym radiowozem, który walnął w samochód cywila. Próbowali wcisnąć, że to wina tamtego kierowcy. A co najciekawsze, to dwóch pozostałych kolegów sprawdzało miejsce porzucenia okupu. Podobno byli najbliżej.

– Aha – westchnął Bogucki. – A jak ich w końcu złapano?

– Chłopiec miał swoją ulubioną maskotkę i znaleziono ją w tym domu. Ale okazało się, że była jeszcze jedna rzecz. Kostka do gry, niby taka zwykła, ale nie do końca. Chłopiec dostał ją od dziadka i gdy miał kilka lat, wszystkie kropki się zmyły, więc mama poprawiła je lakierem do paznokci. Tym sposobem kostka stała się ultraoryginalna. I wyobraź sobie, gdy Mazur drażył sprawę i gadał z podejrzanymi według niego policjantami, zauważył ją przy klu-

czach jednego z nich. Gość ją sobie przewiercił i nosił jako breloczek. To nie mógł być zbieg okoliczności. Mazur poszedł do przełożonego, na szczęście ten się nie bał. Ruszył z całą machiną. Po kolei wszyscy miękli. Okazało się, że przy jakiejś popijawce jeden z nich rzucił pomysł porwania. Drugi, że ma nawet dobrego kandydata, który ma forsy jak lodu. Trzeci, że wie, jak to zorganizować. I ze spotkania przy piwku zrodził się plan porwania niewinnego chłopca, które, jak wszyscy wiemy, skończyło się fatalnie.

– A czemu ten cały Mazur odszedł?

– Bo go zaszczuli – powiedział Obrębski smutno. – To się w głowie nie mieści. Te skurwiele zabiły przez swoją zachłanność chorego chłopca, a gdy ich złapano, wyobraź sobie, że część policjantów zasadziła się na Mazura. Dostawał pogroźki. Jeden z funkcjonariuszy odmówił pracy z nim. Facet nie wytrzymał. Przeszedł do przestępstw zorganizowanych. Tam przepracował z siedem lat i odszedł. Podobno żona źle znosiła jego robotę. Poza tym znowu wpadł na jakiś przekręt kolegów. – W tym momencie sapnął. Bogucki dokładnie wiedział, o co chodzi, ale starał się nie zdradzić się ani mrugnięciem. – Był trochę starszy ode mnie, na koncie kilka spektakularnych sukcesów, ale odszedł. Gadałem z jednym kolegą, który kojarzył Mazura, ale nie kumplowali się. Dał tylko namiar na jakiegoś typka, co podobno cały czas się z nim spotykał na piwo. Mam dostać na maila namiary, to już razem pojedziemy.

– Czyli skończyłeś?

– W końcu – prychnął i wypuścił powietrze. – To jest jakaś masakra. Przez tę papierologię czuję się jak w urzędzie, gdzie wszystko trzeba podpisywać pięć razy. Wyobraź sobie, że moja ciotka, która pracuje w ratuszu dzielnicy na Pradze, kiedyś przez tydzień tylko

podpisywała dokumenty, bo zmieniali wysokość czynszu czy czegoś takiego w lokalach socjalnych. A na każdej stronie aneksu, a było ich cztery, a do każdej umowy po trzy sztuki, musiał widnieć jej podpis. Użalała się, że straciła na to tydzień. Nabawiła się tym zapalenia jakiegoś mięśnia w nadgarstku i poszła na zwolnienie. Przecież to se w łeb można strzelić, tragedia! A jak tak dalej pójdzie, to i u nas tak będzie.

– Oby nie – skomentował Bogucki. Już chciał włączyć komputer, gdy kolega energicznie podniósł się z krzesła, uderzając oparciem o ścianę za sobą.

– Nie. Ja muszę się ruszyć, więc lecimy. Poza tym dawno mojej strzały nie ruszałem, więc czas przewietrzyć rurę, żeby robaki się nie zaległy.

Nie czekając na kolegę, zgarnął kurtkę i wyszedł. Pół godziny później zajechali na komisariat na Targówku. Mężczyzna, który kumplował się z Mazurem, czekał na nich przed wejściem.

– Dzień dobry – zaczął, widząc idących w jego stronę policjantów, których twarzy nie kojarzył. – Jeżeli możemy, wolałbym pogadać tutaj. Minęło tyle lat, a tutaj ludzie cały czas się kłócą.

– Dzień dobry – odpowiedział Obrębski, przedstawił kolegę i odeszli kawałek od wejścia do budynku. – Dlaczego?

– Wie pan, ta czwórka od razu wymyśliła historyjkę, że to nie tak miało wyglądać. Że mieli jakąś kobietę, która się opiekowała chłopcem, i to ona nawaliła. Zrobili z siebie kozły ofiarne, jakby to oni byli poszkodowanymi, jakby zapomnieli o chłopcu, który przez nich umarł. Na ich nieszczęście nigdy jej nie znaleziono. Przepadła jak kamień w wodę, więc co niektórzy myśleli, że ją też ukatrupili, ale tego już nikt nigdy im nie udowodnił. Ale co najgorsze, to niektórzy

uwierzyli w ich wersję. Debile... – rzucił i pokręcił z dezaprobatą głową.

Mężczyzna był w wieku zamordowanego, ale wyglądał o wiele lepiej. Dbał o siebie, o czym świadczyła zarówno cera, jak i brak brzuszka, tak charakterystycznego dla znaczącej części jego rówieśników.

– Wie pan, czy jest ktoś, kto mógłby chcieć się na nim zemścić?

– Od kiedy do mnie zadzwoniłeś... Przepraszam, ale to na pan jakoś mi nie pasuje. Andrzej. – W tym momencie wyciągnął do dwóch stojących przed nim mężczyzn dłonie. Uścisnęli ją i wrócili do rozmowy. – Zastanawiam się, kto mógłby chcieć go zabić. Ci czterej, którzy dzięki Grześkowi siedzieli, wyszli niedawno. Ale szczerze, to teraz to takie dziadki leśne. Schorowane, sfrustrowane, jakoś nie sądzę, aby mieli jaja, żeby coś zrobić. Jeden tylko jako tako się trzyma. I co, oni by niby mieli się rzucić na Grześka i sprawiedliwość wymierzać? Jakoś tego nie widzę. A ze starych spraw, to zupełnie zero. Nie zdążył się rozkręcić. Nigdy nie pracował przy dużej sprawie, a jak nawet, to raczej jako szeregowy funkcjonariusz, nigdy nie grał pierwszych skrzypiec. Dlatego mało prawdopodobne, aby po tylu latach ktoś nagle miał wyciągać to z szafy. Nie widzę tego. No, chyba że z tych przestępczych organizacji. Tam już bardziej bym widział problemy. Tam już parę grubszych spraw rozwiązał.

– Ale i tak jakby mógł pan... – Widząc srogi wyraz twarzy rozmówcy, Obrębski poprawił się: – Jakbyś mógł przejrzeć te sprawy Mazura, byłoby to bardzo pomocne. Masz dostęp do tych danych od ręki, szczególnie że pewnie nie wszystkie są zdigitalizowane. Może jakimś cudem coś tam jednak jest.

– No tak, u nas już kończą, ale faktycznie może jeszcze coś się ostało tylko na papierze.

– A czy ostatnio widziałeś się z Mazurem? – rzucił Bogucki, czując się coraz pewniej w tego typu rozmowach.

– Tak, jakieś trzy miesiące temu. W wakacje. Poszliśmy na piwo na starówkę. Takie to trochę emeryckie. Grzesiek wyglądał średnio, brzuch mu urósł, jakby był w ciąży, ale jakoś mu to nie przeszkadzało. Opowiadał mi o swoim życiu singla. Rozwiódł się jakiś rok temu, chociaż nie mieszkali razem dużo dłużej. Żona zdradzała go przez pięć lat z kolegą z pracy. Podejrzewał coś, ale bał się konfrontacji z prawdą. W końcu nie wytrzymał i ją o to spytał. Ona nie zaprzeczała i się rozstali. Trochę dziwne to było, ale cóż. Mógł to zrobić dużo wcześniej.

– A spotykał się teraz z kimś?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Z tego, co opowiadał, to randkował, ale nic poważnego.

– Nie znasz może danych którejs z tych kobiet? – Aspirant kontynuował przesłuchanie, bacznie obserwując kolegę.

– Niestety nie.

– A kontakty z córką, była żoną? – Obrębski strzepnął jakiś okruszek ze swojej sportowej marynarki.

– Z córką dobrze się dogadywał. Młoda wyjechała na studia do Trójmiasta, chyba chciała być z dala od rodziców i ich problemów. Grzesiek często do niej jeździł. Powiedział, że po rozwodzie kontakt z córką mu się znacząco poprawił. W końcu zaczęli spędzać ze sobą czas. Chodzić do kina, wałęsać się po Trójmieście.

– A z była żoną?

- Nic, nie mieli o czym gadać. Nie łączyła ich mała córka, ale dorosła, z którą Grzegorz sam się komunikował. Z nią też ustalał wszystkie wizyty, tak aby nie trafić na matkę lub nie wpaść wtedy, gdy córki nie będzie. Jedynie przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą dzwonił, żeby uzgodnić szczegóły, ale wtedy podobno wiało chłodem. A co zabawne, to facet, który tak zawrócił jej w głowie, nie był wcale zainteresowany życiem z nią, gdy w końcu odeszła od Grzegorza. Tak jakby w tym romansie jej wartość stanowił tylko status mężatki.

- Smutne - wtrącił Bogucki, który ze wszystkich sił starał się nie ciągnąć za zwisającą z mankietu nitkę.

- Oj tak. Grzesiek bardzo to przeżył. Udawał przed wszystkimi twardziela, ale wiem, że go to w środku rozwaliło. I tyle tej historii.

Rozdział 26

ONA

Moja praca to obcowanie ze śmiercią. Może nie w takim wydaniu, jak ma to na co dzień patolog, ale na wyciągnięcie ręki są ludzkie dramaty.

Ostatnio badałam skład płynu w płucach małego chłopca. Mama twierdziła, że zakrztusił się, pijąc. Niestety okazało się to wierutnym kłamstwem. Faktycznie udusił się, ale nie podczas spożywania swojej ulubionej herbatki, ale w wannie. Patolog pobrał z płuc płyn, który ja później zidentyfikowałam jako wodę z płynem do kąpieli.

Co zadziwiające, kobieta długo szła w zaparte. Gdy prokurator powiedział, że nie wierzy w jej wersję, a historyjka o zakrztuszeniu jest wyssana z palca, ta wpadła w histerię. Powiedziała, że nie wie dlaczego, ale się przestraszyła, mając w pamięci historię małej Madzi sprzed kilku lat, gdy młoda matka zabiła własne dziecko. Tamta zrobiła to umyślnie. Najpierw próbowała je zaczadzić, później upuściła, licząc, że w wyniku uderzenia umrze, ale gdy to nie poskutkowało, udusiła je. A co chyba było najgorsze, udawała, że córeczka została porwana. Zaangażowano w to policję, tłumy ludzi stawiły się na sprawdzanie terenu w pobliżu jej domu, a pomocy udzielił pewien

showman, parający się usługami detektywistycznymi. Co zaskakujące, ostatecznie to on nakłonił kobietę do wyjawienia prawdy. Zrobiła to, ale nie w stu procentach. Pokazała, gdzie jest ciało jej córki, ale nadal twierdziła, że ta wyslizgnęła jej się z kocyka i uderzyła główką o ziemię.

Mając taką wiedzę, kobieta stwierdziła, że lepiej powiedzieć, że synek się zakrztusił. Przecież takie wypadki się zdarzają. Gdy fakty temu zaprzeczyły, w końcu zaczęła zbliżać się w kierunku prawdy. Powiedziała, że podczas wieczornej kąpieli na chwilę odwróciła się po ręcznik i wtedy stało się najgorsze, mała główka zniknęła pod wodą. Według jej zeznań to było kilka sekund, ale przesłuchujący ją prokurator nie uwierzył. Cisnął dalej. Nie dysponował żadnymi dowodami na potwierdzenie teorii, że to było umyślne działanie, ale kobieta o tym nie wiedziała. Cudem udało mi się dotrzeć do jej zeznań uwiecznionych kamerą:

– Co pani czuła, gdy urodził się syn? – Przyjemny głos przesłuchującego dobiegł spoza kadru.

– No... radość – odpowiedziała zmieszana. Oglądałam to na komórce w domu, więc jakoś nie była zadowolająca, ale i tak widziałam zmarszczone czoło kobiety i strach w oczach.

– Cały czas pani towarzyszyła?

– No... – zaczęła, ale zaraz przerwała. – W większości tak. Ma pan dzieci?

– Tak, dwóch synów.

– W jakim są wieku?

– Dziesięć i osiem.

– Zajmował się pan nimi, gdy byli mali?

– Rzadko – odpowiedział, zdziwiony obrotem sprawy. Raczej to on był od stawiania pytań.

– No właśnie. Wszystko spada na nas, kobiety – mruknęła i jeszcze bardziej posmutniała.

– Tak, zgodzę się, jesteście w kwestii wychowania dzieci bardziej obciążone. Czy mąż panią wspierał?

– On... – zawahała się – robił, co mógł, ale rzadko bywał w domu. Jest kierowcą zawodowym i cały czas jest w trasie.

– A syn jak się zachowywał? Należał do tych spokojnych?

– Tak! – krzyknęła zdecydowanie za szybko.

– Żadnych problemów? – Prokurator przysunął się bliżej rozdzielającego ich stołu i splótł dłonie, kładąc łokcie na blacie. Nie widziałam jego twarzy, tylko łysy czubek głowy, ale wyobrażałam sobie, jak wbija wzrok w kobietę.

– On zawsze był taki spokojny... – Jej głos był ledwo słyszalny, a po chwili wyłapałam cichy płacz. Kobieta zakryła twarz rękami.

– Jest pani bardzo dzielna. Już kończymy. Czy coś się ostatnio zmieniło?

Nie odpowiedziała, tylko pokręciła przecząco głową.

– Sąsiedzi słyszeli krzyki.

– To niemożliwe. – W końcu odsłoniła twarz. Jej oczy wyglądały jakoś inaczej. Ciskały pioruny.

– Niestety taka jest prawda. Raczej syn nie krzyczał, trochę na to jeszcze za mały, męża nie było, więc to pani krzyczała. – Mężczyzna bardziej stwierdził, niż spytał.

– Nie! – Kobieta uderzyła pięścią w blat stołu. Nie spodziewałam się takiej reakcji i delikatnie podskoczyłam.

– Syn dostał kolek? Płakał?

– Nie! – krzyknęła ponownie, a jej oczy zrobiły się jeszcze większe. Widziałam to wyraźnie, mimo że obraz na telefonie był malutki.

– Pani nie wiedziała, jak mu pomóc?

– Masowałam mu brzuszek i dawałam krople... – Sapała, a jej oddech stawał się szybszy.

– Włożyła pani jego główkę pod wodę. Nie chciała już pani tego słuchać. – Mężczyzna, podobnie jak kobieta, mówił coraz głośniej. Tak jakby wzajemnie się nakręcali.

Kobieta chwyciła się za głowę i zastygła.

– Trzymała ją pani, a w domu zapanowała cisza. Błoga, miła dla ucha, tak jak kiedyś. Poczowała pewnie pani ulgę. W końcu nikt nie płakał. Nie stękał.

Kobieta się nie odzywała. Wlepiała wzrok w blat stołu, a po jej polikach ciekły łzy.

– Pan nic nie rozumie – wyszeptała w końcu, a ja przybliżyłam telefon do twarzy.

– To proszę mi wytłumaczyć.

– Ja nie chciałam. On tak strasznie płakał. Już piąty dzień, jakby brzuszek mu rozrywało. Te krople miały działać. Koleżanka specjalnie wysłała mi je z Niemiec. Masowałam go, robiłam wszystko, a on nic. Darł się cały czas, jakbym mu krzywdę wyrządzała. A ja chciałam pomóc. Tak bardzo chciałam mu pomóc.

Ostatnie słowa ledwo zrozumiałam. Potem nastąpił płacz, który z każdą sekundą robił się coraz głośniejszy.

Jednak takie przypadki spotykam w pracy i tam je zostawiam. Wychodzę z niej i koniec. Mogę o nich zapomnieć. Nie wracać aż do powrotu następnego dnia lub po weekendzie. Chociaż czasami zda-

rza się, że przychodzę do pracy w sobotę lub niedzielę. Zgłaszam się na ochotnika jako osoba bez rodziny, żeby inni mogli spędzić weekend z bliskimi. Zresztą wtedy mam ciszę i spokój, co mi bardzo pasuje.

Ale teraz, gdy zbrodnię popełniono w mojej okolicy, poczułam się nieswojo. Jakby ktoś w ubłoconych butach wszedł na moje terytorium, chodził po mojej sypialni i kładł się w moim łóżku, do którego sama wchodzę tylko w piżamie. Nawet w czystych spodniach dresowych na nim nie siadam, a tu nagle ktoś mi się panoszy.

Już przy Mazurze od razu włączył mi się instynkt obronny, a gdy dowiedziałam się, że dwa kilometry dalej ktoś zabił młodą dziewczynę, po czym zgwałcił jej zmaltretowane ciało i przywiązał do drzewa, postanowiłam, że nie odpuszczę.

Rozdział 27

Wieczór nie zaczął się dla Boguckiego najlepiej. Beata, niby bez żadnych podtekstów, spytała go, kiedy planuje powiedzieć o nich Obrębskiemu. Nie zrobiła tego natarczywie, jak poprzednia dziewczyna, gdy z czymś zwlekał, ale i tak poczuł się niekomfortowo.

– Musisz w końcu z nim pogadać – kontynuowała pochylona nad talerzem z makaronem ryżowym wymieszanym z jajkiem i curry.

– Wiem, ale...

– Zawsze ja mogę to zrobić – wtrąciła i rozpięła kilka górnych guzików koszuli, którą włożyła tego dnia. – Mogę pójść do niego i kręcąc zalotnie biodrami – w tym momencie zeskokczyła z zajmowanego hokera i zaczęła chodzić, bujając się na boki – poprosić go o błogosławieństwo. Tylko boję się, że rzuci się na mnie i nic z tego nie będzie. Będę musiała mu się oddać dla twojego dobra. Oczywiście zrobię to, bo bardzo mi na tobie zależy.

– Ach tak... – westchnął Bogucki i podszedł do dziewczyny. Objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Mierzył ją przez dłuższy czas wzrokiem. Już myślała, że ją pocałuje, ale on w tym momencie odsunął się i wrócił na miejsce, po drodze zgarniając opakowanie z pieprzem. – No dobra. Skoro tak tęsknisz do Maksa, to droga wolna. Nie mogę stać na drodze prawdziwej miłości. – Wzruszył ramionami,

wykrzywiając usta w podkówkę. – A tak serio, to zrobię to najszybciej, jak się da, tylko czekam na moment – mruknął po chwili.

– Ja wiem, że to mało komfortowa sytuacja, ale bez tego nie zrobimy kroku do przodu. Mogłabym ja z nim pogadać, ale będzie to dziwnie wyglądało. Można nic nie robić i wtedy dowie się od kogoś innego, co też byłoby dość niefajne. Szczera rozmowa z Maksem to jedyne słuszne rozwiązanie.

Z tymi słowami rezonującymi w głowie wszedł do ich gabinetu na komisariacie, w którym panowała ciemność. Ucieszył się. Nie musiał mierzyć się z problemem już na wejściu. Włączył komputer, który po ostatnim spotkaniu z informatykiem hulał jak szalony, i wszedł w raport z rozmowy z byłą żoną zmarłego Grzegorza Mazura, którą wraz z Obrębskim przeprowadzili dzień wcześniej.

– Jak opisałaby pani swojego byłego męża? – zapytał komisarz, jak tylko usiedli w jej salonie. Kobieta nie miała w domu stołu, przy którym standardowo siadali z przesłuchiwanymi. Oczywiście nie wszystkimi. Często rozmawiali, stojąc na progu lub w korytarzu. Tym razem wyładowali na zapadającym się meblu, który lata świetności zdecydowanie miał za sobą.

– Grzegorz... – Zaczesała palcami włosy do tyłu i spojrzała na stojące na komodzie zdjęcie z zamordowanym i prawdopodobnie ich córką. – Zawsze się śmiałam z jego matki, bo ona mówiła na niego „nasz skarb”. I dopiero po latach stwierdzam, że nie kłamała. Grzegorz był najlepszym, co mnie w życiu spotkało, oczywiście poza córką. I jak to w takich wypadkach bywa, zorientowałam się, co miałam, gdy to straciłam. Zawsze mogłam na nim polegać. Nie grymasił. Nie strzelał fochów. Dbał o mnie i córkę. Gotował, sprzątał, czasami za bardzo, czym mnie stresował. Generalnie straszny z niego pedant.

On nawet skarpetki składał w kostkę. Zawsze tym poprawiał mi humor.

Siedzieli u kobiety prawie godzinę. Przyznała się do romansu. Liczyła, że to miłość do końca życia, ale gdy w końcu mogła poświęcić kochankowi sto procent uwagi, on szybko się nią znudził. Znowu została sama. Nawet próbowała wrócić do eksmęża, ale ten już nie wykazywał zainteresowania jej osobą. Na pytanie, czy spotykał się z kimś, powiedziała, że nie wie i jej to nie interesuje.

O byłym mężu wypowiadała się bardzo pozytywnie, chociaż miał cechy, które ją irytowały, jak między innymi pedantyzm. Uwielbiał, jak w domu było czysto ponad normę, mimo że sam rzadko miał czas, by dbać o porządek.

Opowiadała o ich rozwodzie, który przebiegł w bardzo miłej atmosferze, o jego relacji z córką, która niezmiernie ją cieszyła, bo chociaż młoda nie miała powodu do płaczu.

– Mało który mężczyzna zajmuje się tak swoim potomstwem, a on robił to z wielką przyjemnością i nigdy tego nie unikał, a wręcz przeciwnie, rwał się do kontaktów z nią – opisywała jego relacje z córką.

To, czego zdecydowanie nie lubiła w eksmężu, to jego była praca, którą nazywała niszczyielską, zupełnie zapominając, że siedzący przed nią mężczyźni wykonują ją na co dzień.

– Grzesiek nie mógł się podnieść po sprawie tego chłopca. Przez te trzy lata liczył, że może porywacze tak się zaprzyjaźnili z małym, że zabrali go ze sobą. Gdy okazało się, że umarł, i to na dodatek w męczarniach, mąż, to znaczy były mąż, zaczął niknąć w oczach. Schudł dziesięć kilogramów w trzy tygodnie. Nie wiem, dlaczego brał na siebie część winy za niepowodzenie tej akcji. Tak jakby

wtedy, podczas przekazywania okupu, mógł zrobić coś inaczej albo wyłapać jakiś szczegół, który pomógłby im w ujęciu tych pojebów – rzuciła, zupełnie nie przejmując się doborem słów. – Gdy złapano tych gości i poszli za kraty, trochę odetchnął, ale myślę, że do końca nie mógł sobie wybaczyć, że tak to się potoczyło.

Scrollował raport dalej, szukając tego czegoś, co nie dawało mu spokoju, gdy drzwi do pokoju otworzyły się i wpadł Obrębski.

– Dzwonił Ostaszewski – zaczął swoim zwyczajem bez słowa wstępu. – Narzędziem zbrodni jest na bank bejsbol. Odlew na sto procent to potwierdził, ale ze względu na drzazgi stawiałby raczej na jakąś samoróbkę. Niezależnie od wszystkiego powinniśmy się cieszyć, bo pierwszy problem z głowy. Narzędzie zbrodni. Może nie jakieś unikatowe, ale zawsze.

– Jeden zero dla nas! – skomentował Bogucki, wywołując u kolegi zdziwienie tym sportowym wtrętem.

– Poza tym nie wiem, czy wyłapałeś z miejsca zbrodni jedną dziwną rzecz. Dzisiaj rano mi się to jakoś ułożyło i wpadło w odpowiednią przegródkę niczym brakujący puzzel, pewnie to po tej rozmowie z byłą żoną.

Bogucki patrzył na kolegę z niedowierzaniem. Sam od wczoraj czuł, że coś przegapił, i zastanawiał się, czy to to samo, co męczyło kolegę.

– Masz jakiś pomysł? – spytał komisarz.

Policjant westchnął i pokręcił głową.

– On był bardzo niechlujnie ubrany.

– Niechlujnie, w sensie, że miał plamy na sweterku? – Aspirant spojrzał na swoją koszulę i na ślady po soku, które niestety wygrały w starciu z proszkiem, co zauważył już w drodze do pracy.

- Nie. Miał bokserki na lewej stronie, tak samo jedną skarpetkę.

- Aha, to faktycznie dziwne. Z tego, co wspominała była żona, to należał raczej do tych porządnych. Jak to ujęła...

- Pedantów - skończył za niego kolega. - Taki wygląd raczej nie pasuje do zwyczajów Grzegorza Mazura. W takim przypadku może to oznaczać... - Obrębski zrobił pauzę i wymownie spojrzał na kolegę.

- Robił to w pośpiechu?

- Kombinuj dalej...

- Ktoś go ubrał, a że się spieszył, zrobił to niechlujnie.

- Bingo! - Obrębski klasnął w dłonie i sięgnął po jedną z leżących przed nim kartek. - Dostałem niedawno wyniki kilku zleconych przez doktora badań i wyobraź sobie, że nasz były kolega po fachu chwilę przed śmiercią zaliczył numerek. Na jego penisie znaleziono ślady środka plemnikobójczego z prezerwatywy.

- Zaczyna to wyglądać dość intrygująco.

- Pytanie, co to może oznaczać. Dawaj propozycje.

Bogucki sapnął ponownie i założył ręce z tyłu głowy.

- Spotkał się z jakąś kobietą. Wpadł jej mąż, walnął kochanka bejsbolem w łeb. Po wszystkim ubrali go, wynieśli i tym sposobem skończył w dziurze.

- Brzmi sensownie. Na razie nie ma śladów ani potwierdzających taką wersję, ani zaprzeczających. Coś jeszcze?

- Zastanawiałem się, czy jest opcja nieszczęśliwego wypadku. Typu że ostro się zabawiali, on walnął w coś głową.

- Pytałem patologa i to raczej mało prawdopodobne. Chociaż może gdyby uzmysłowić mu, że istnieje coś takiego jak ostry seks,

podczas którego nie ma zahamowań, to może jakaś klapka wpuściłaby opcję nieszczęśliwego wypadku. – Na twarzy Obrębskiego pojawił się uśmiech. – Tylko skąd te siniaki? To raczej nie element zabawy. Opcja ze zdradzonym mężczyzną jest chyba najbardziej prawdopodobna. Trzeba dowiedzieć się, z kim Mazur się spotykał.

Rozdział 28

Portos usiadł w samych bokserkach na kanapie, którą tydzień wcześniej przywiozła firma transportowa. Mógł zmienić obicie starej, którą kupił raptem dwa lata wcześniej, a jej kolor zaczął go drażnić. Postanowił ją oddać mamie, chociaż przez chwilę się zastanawiał, czy jej nie wyrzucić lub oddać za darmo komuś obcemu. Ofiarowywanie czegoś rodzicielce z reguły łączyło się z narzekaniem drugiej strony, co z początku bardzo go zdziwiło. Gdy pierwszy raz podarował mamie telewizor z płaskim ekranem, bo kupił większy, zaniemówił. Ta, zamiast się ucieszyć, skomentowała, że co ona teraz biedna ma zrobić. Jej stary telewizor kineskopowy zajmował całą komodę, a teraz musiała zagospodarować cały mebel tak, żeby nie świecił pustką. Na dodatek trzeba było znaleźć miejsce na kilka obrazków, które przez dziesięciolecia wisiały na ścianie, gdzie teraz miał zawisnąć telewizor, bo syn zgubił gdzieś podstawkę, a sprzedawca nie mógł zamówić nowej, twierdząc, że nie mają już takich na stanie. Nasłuchał się więc utyskiwań, mimo że prezent dawał możliwość oglądania filmów czy programów telewizyjnych w lepszej rozdzielczości, wszystko działało prawidłowo, w przeciwieństwie do starego, który już kilkakrotnie się psuł, a i tak usłyszał litanię nieszczęść, które ściągnął na matkę prezentem.

Gdy oddał jej szafki kuchenne, to narzekała na to, że otwierają się inaczej niż jej poprzednie. Nie może czyścić ich płynami, które miała, i musiała kupić nowe, a poza tym to po co komu taka gablota na szkło, przecież nikt nie używa tylu kieliszków.

Powiódł ręką po miękkiej skórze nowego mebla, która według sprzedawcy została sprowadzona z Włoch. Mężczyzna bardzo ją zachwalał. Faktycznie należała do najmiłszych, jakie dotykał, jedyne, co go denerwowało, to zapach. Dzień po dostawie nawet zadzwonił do konsultanta, nie sprzedawcy, jak miał na wizytówce napisany młody przypakowany chłopak z wytatuowanym kolorowym rękawem, zdobiącym rękę od barku po nadgarstek.

– Proszę się nie stresować. Może tak być przez kilka dni.

Mijał drugi tydzień, a on cały czas czuł dyskomfort. Dawał sobie jeszcze ze dwa tygodnie i jeśli zapach nie wywietrzeje, zamierzał zgłosić reklamację. Wiedział dobrze, że rzeczy kupione w salonie, dodatkowo robione pod konkretne zamówienie, a tak było w tym przypadku, nie podlegają opcji wymiany, ale miał to gdzieś. Zdawał sobie sprawę, że nikt nie chciałby mieć za wroga jego lub innego celebryty, jak o sobie myślał, bo kończy się to źle.

Portos sięgnął po stojącą na blacie metalową butelkę, którą wypełnił wodą z dyspozytora zamontowanego w lodówce, i telefon. Pociągnął trzy wielkie łyki i odblokował smartfon. Co najmniej raz dziennie wchodził w galerię, gdzie miał filmik z wyprowadzania Błażeja Zaremby, który sam nagrał.

Specjalnie na tę okazję ubrał się w jakieś stare, pobrudzone ciuchy, zaciągnął kaptur na głowę. Musiał to zobaczyć na żywo. A gdy już stanął w tłumie, który gęstniał z minuty na minutę, bo wiadomość o tym, co się stało, rozeszła się lotem błyskawicy, poczuł

dreszcz podniecenia. Widok wychodzącego ze spuszczoną głową muzyka prowadzonego przez dwóch policjantów stanowił nie lada gratkę. Miał ochotę krzyknąć jakieś radosne „jupi!” lub coś w tym stylu, ale zagryzł wargi i stał cicho. Ostatnia rzecz, której chciał, to zwrócenie na siebie uwagi. Dobrze wiedział, że ich znajomość na bank zostanie ujawniona, ale liczył, że na tym się skończy.

Od początku nie znosił typa. Zawsze wkurzał go swoim sposobem bycia. Lepił się do wszystkich kobiet, oczywiście później twierdząc, że to one na niego leciały. Ale prawda była inna. Zaremba stanowił coś na kształt forpoczty. Takiego przedsmaku artystycznego światka, do którego wiele młodych kobiet chciało wejść. On to wykorzystywał, zaciągał je do łóżka, dając nadzieję na więcej, ale nic nie mógł im dać, bo kim sam był?

Perkusista, który chciał być wielkim muzykiem, a nie nadawałby się nawet na podawacza nut. Nie miał ani charyzmy, ani talentu, o wyglądzie nie mówiąc, a i tak gdzie się pojawiał, tam robił wokół siebie szum. I może to jeszcze Portos by przeżył. Puścił mimo uszu jego głupie gadanie, dowcipy i zdecydowanie zbyt lepkie rączki. Gdyby nie usłyszał rozmowy Zaremby z jednym z jego kolegów. Myślał, że go nie ma w pobliżu, bo gdy tylko pojawiał się w zasięgu, piszczał na jego widok i powtarzał co chwilę, że są najlepszymi przyjaciółmi.

– Słyszałem, że chcesz zatrudnić naszego lowelasa do najnowszego projektu – zaczął Zaremba, a stojący niedaleko Portos napiął się cały, starając się wyłapać tylko tę rozmowę, mimo że wokół roiło się od ludzi. Wiedział dobrze, że o niego chodzi, bo perkusista często tak go określał. – Nie wiem, czy wiesz, ale ostatnio średnio spisał się przy projekcie dla sieci komórkowej.

Odruchowo zacisnął pięści. Wiedział, że dał wtedy ciała. Zamiast dbać o siebie, nawalił się i latał w samych bokserkach po dworze, gdy na zewnątrz było raptem kilka stopni. Konsekwencją tego było zapalenie krtani i problemy z głosem. Na nagraniu było to słychać. Niektórzy twierdzili, że dodało mu to męskości, ale nie wszyscy ze strony klienta podzielali to zdanie.

Później było tylko gorzej. Zaremba wyciągał po kolei wszystkie brudy, które miał na kolebę. Bez jakiegokolwiek zahamowania opowiadał rzeczy, które raczej nie są dobrą rekomendacją. Na koniec zaproponował współpracę ze swoim znajomym. Mniej znanym, ale ułożonym, po szkole muzycznej.

I tak zaczęła się nienawiść do Zaremby. Portos dobrze wiedział, że przyjdzie dzień, kiedy mu za to odpłaci. Czekał, aż życie podsunie mu idealną sytuację.

I w końcu udało się.

Odpalił filmik po raz kolejny. Obejrzał go trzy razy i przewinał na nagranie, którego nie powinien był nakręcić, a tym bardziej mieć na telefonie. Gdyby ktokolwiek na nie trafił, nigdy by się nie wytłumaaczył.

Gdy dotarli do mieszkania muzyka, łatwo dostali się do środka – nie stanowiło to żadnego problemu. Kilka miesięcy wcześniej, gdy Zaremba schlał się jak dzika świnia i nikt nie chciał się nim zająć, on zawiózł go do domu. Nie dlatego, że mu wybaczył. Wręcz przeciwnie. Szukał pomysłu na rewanż, a wejście na terytorium wroga stanowiło nie lada gratkę. Gdy w końcu rzucił go na łóżko, obszedł całe mieszkanie. Sprawdzał wszystkie szafki, zakamarki. Od kluczy do domu odpiął sobie te od tarasu, licząc, że właściciel tego nie zauważy. Wiedział, że kiedyś mu się przydadzą, i nie mylił się.

Gdy w końcu pokonali drzwi tarasowe, które stawiały lekki opór, weszli do środka. Ostrożnie ułożyli kobietę w wannie dokładnie tak, jak leżała w hotelu, i ruszyli do wyjścia. Stanęli przed drzwiami na taras, a on powiedział swoim przyjaciołom, że idzie tylko sprawdzić, czy wszystko jest okej, a ci bezmyślnie się zgodzili. Zresztą jak zawsze. Nigdy o nic go nie podejrzewali, a on swoim zwyczajem skrupulatnie to wykorzystywał i dokumentował w postaci zdjęć oraz filmików. Wszystko zgrywał na chmurę, licząc, że cyberprzestępcy będą go omijać wielkim łukiem.

Wrócił wtedy do sypialni i nakręcił filmik pokazujący leżącego w łóżku mężczyznę, a następnie uwiecznił kobietę w wannie. Zrobił na nią zbliżenie. Nie było to jego dzieło, ale człowieka, którego kochał jak brata, więc i tak czuł wzbierające podniecenie.

Każdy z ich trójki był inny, ale razem tworzyli team idealny. Nie raz, nie dwa rozmawiali na ten temat, że żaden bez dwójki pozostałych nie dałby sobie rady, zarówno w życiu, jak i na przestępczej ścieżce.

Portos zawsze wychodził z inicjatywą. On kreował sytuacje, a dzięki latom przyjaźni wiedział, co kogo kręci, dostarczał im więc odpowiednich rozrywek. Wiedział, że Aramis ma dość konserwatywne poglądy. Nie znosi mniejszości seksualnych, rasowych, dlatego pobicie geja nie stanowiło problemu, a seks z ciemnoskórą kobietą zupełnie go nie kręcił.

Zupełnie inaczej sytuacja się miała z Atosem, dla którego władza stanowiła synonim męskości, a zarazem życiowy cel. Zawsze i wszędzie próbował rządzić, mimo że jego postura i wygląd nie świadczyły, by był kimś zdolnym do tego. Portos dobrze pamiętał kolegę

z czasów młodości, gdy zapryszczony, z lekkim zarostem na brodzie stawał przed nimi i rozdysponowywał zadania:

– Ty przynieś z domu wódkę, a ty coś do jedzenia.

Początkowo stronił od wszelakich przestępczych aspektów, ale z czasem przestało mu przeszkadzać, że kogoś pobili, zgwałcili czy odebrali życie. Po latach przyznał, że to było jak forma terapii. Dzięki temu znalazł w sobie siłę, zupełnie nie żałując wyrządzonych krzywd.

Ich trio stanowiło idealną kombinację, zresztą nieraz ze łzami w oczach wspominali jedną ze swoich pierwszych popijawek. Nie mieli wtedy więcej niż dziesięć lat. Rodzice całej trójki jak co wieczór upili się do nieprzytomności. Siedzieli w domu Portosa, bo u niego było najprzyjemniej. Najmniej śmierdziało i panował względny porządek. Podkradli wtedy butelkę z jakimś alkoholem. Potem okazało się, że prawdopodobnie był to bimber, który w domu gościł każdego dnia. Pili po łyku, przy każdym mocno się wzdrygając. Żadnemu nie smakowało, ale nie mogli dać tego po sobie poznać. Każdy chciał wyglądać na takiego męskiego, dorosłego. Gdy ubyła jedna trzecia flaszki, Atos zaczął mieć jakieś omamy. Wydawało mu się, że wyrosły mu skrzydła. Początkowo koledzy tylko się śmiali, ale gdy zaczął otwierać okno, przestało być tak zabawnie. Portos mieszkał na trzecim piętrze, więc może i chłopak przeżyłby upadek z takiej wysokości, jednak wiedzieli, że lepiej tego nie sprawdzać. Szybko zawlekli kolegę, który ledwo już stał na nogach, do pokoju obok. Tam na szczęście nie było okna. Wtedy promile niewiadomego pochodzenia zaczęły docierać do głów pozostałych dwóch ancymonów.

Po latach nie byli w stanie powiedzieć który, ale zapewne miłośnik muzyki, czyli Portos, włączył radio. Zaczęli tańczyć, wesoło podskakując, co jakiś czas potykając się o własne nogi, kolegów lub o meble, które ciasno zawałały podłogę. W końcu w niewielkim mieszkanku z dwoma pokojami wielkości schowka mieszkały cztery osoby: Portos wraz z rodzicami i młodszą siostrą.

Wreszcie zmęczeni usiedli na zimnej podłodze.

– My jesteśmy jak trójkąt – rzucił Atos, patrząc na swoje ręce. Dwaj koledzy zerkali na niego z niedowierzaniem. – No taka figura, pamiętacie? – rzucił do kolegów, wykrzywając przy tym twarz. Wziął leżący obok zeszyt i długopis, a następnie, kilkakrotnie pociągając ołówkiem, narysował figurę geometryczną, a obok niej jedno słowopodobne coś.

„3kąt”.

– Nie ma czegoś takiego jak trzykąt – rzucił Portos.

– Bo ty się akurat znasz – wybełkotał Atos.

Żaden nie należał do orłów i chodzenie do szkoły traktowali raczej jako chwilową ucieczkę od panującej w domu patologii, krzyków i alkoholu, a nie źródło jakiegokolwiek wiedzy. Zupełnie nie widzieli sensu w uczeniu się. Nikt nigdy nie roztaczał przed nimi wizji przyszłości w jasnych barwach. Raczej widzieli siebie jako kontynuatorów niechlubnej tradycji, czyli bezrobocie, grzebanie po śmietnikach i zasiłki oraz spora ilość taniej wódki.

– No pewnie – wtrącił lekko obruszony Aramis. – Matma jest spoko.

Rzadko kiedy rozmawiali o nauce. Nigdy nie uczyli się po szkole, nie odrabiali prac domowych, a do większości przedmiotów nie mieli książek. Początkowo nauczyciele próbowali coś z tym zrobić,

ale widząc opór ze strony rodziców, którzy zdecydowanie bardziej woleli wydawać na używki niż edukację dzieci, odpuścili.

– O co ci chodzi z tym trójkątem? – nie wytrzymał w końcu Portos, któremu cały czas pokój się kręcił, a zjedzona przed przyjściem chłopaków pajda suchego chleba podeszła do gardła.

– No zobaczcie. – Wyciągnął do nich prawą rękę z wystawionym kciukiem i palcem wskazującym. – Dajcie swoje łapy – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu, a chłopcy wysunęli przed siebie dłonie. – A teraz zbliżcie. – Każdy z nich wyciągnął rękę do przodu. Ustawili palce tak, aby dotykały się opuszkami. – Patrzcie, wyglądamy jak jakiś magiczny trójkąt.

– Jesteśmy trzykątem – wydukał Atos, który od jakiegoś czasu się nie odzywał. Jego oczy zrobiły się wielkie, a na twarzy zagościła purpura.

– Jakim, kuźwa, trzykątem? Chyba trójkątem. Jesteś debil, co nie mówi po polskiemu – krzyknął zirytowany Portos.

– Po polsku – poprawił go Aramis. Jako jedyny czasami czytał książki, dlatego jego uwag nigdy nikt nie podważał.

Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, patrząc na układ ich dłoni, który według nich świadczył o niezwyklej zażyłości.

Rozdział 29

ONA

Dawno nie śniła mi się rodzina. Mama, tata i rodzeństwo. Jakbym grubą kreską oddzieliła dawne życie od tego nowego i nie chciała, aby się łączyły.

W domu nie miałam żadnej pamiątki, ani jednego zdjęcia z nimi, z mojego dzieciństwa, jak się bawię w piaskownicy czy bujam na huśtawce. Wiele osób wrzuca takie do mediów społecznościowych, gdy zbiera im się na wspominki lub z okazji swoich urodzin czy Dnia Dziecka, Matki czy Ojca.

Ja nie mam ani takiej potrzeby, ani możliwości. Od kiedy pamiętam, rodzice niemal nigdy nie kierowali obiektywu w moją stronę. Nikt nie chciał uwiecznić mnie na zdjęciach. Czasami znalazłam się na jakimś, ale za każdym razem wydarzało się to przez pomyłkę. Bo stałam w kadrze, gdy któreś z rodziców robiło zdjęcie swoim kochanym dzieciom i nie zdążyło krzyknąć: „Wynoś się!” lub „Spadaj z kadru!”. Tym sposobem nie mam ani jednej fotografii, na której szczerzę się w radosnym uśmiechu.

Zresztą wystawianie ich na widok byłoby proszeniem się o kłopoty. Gdyby jakimś cudem, przypadkiem ktoś kiedyś wpadł do mnie

do domu, nie wiem, jak bym się z tego tłumaczyła. Musiałam żyć tak, jak żyłaby jedynaczka Barbara.

Obudziłam się złana potem, mimo że na zewnątrz panowała je-sienna aura.

We śnie mama głaskała mnie po głowie, mówiła słodkie słówka.

Córeczko, jestem z ciebie taka dumna.

Jesteś wspaniała.

Kocham cię.

I nagle jej twarz się zmieniła. Uśmiech gdzieś zniknął, a w jego miejsce pojawił się grymas, tak straszny i przerażający. I wtedy z jej ust zaczęły padać słowa, które doskonale pamiętałam.

Nienawidzę cię.

Jesteś zakałą rodziny.

W pustym pokoju, w którego kącie stałam, nagle pojawił się oj-ciec.

Jesteś niczym.

A chwilę później brat i siostra. Zaczęli tańczyć wokół mnie, śmie-jąc się i trącając mnie palcami.

Zabij się.

Umrzyj.

Zgiń.

Otworzyłam oczy.

Mrok spowijał pokój, ale poczułam ulgę.

Nigdzie ich nie było.

Byli tylko wymysłem mojej wyobraźni.

Snem.

Koszmarem.

Nie wiem, czemu teraz, może te morderstwa spowodowały, że zaczęłam czuć zagrożenie.

A zagrożenie w mojej głowie przez większość życia kojarzyło mi się z rodziną.

Absurdalne, ale w moim świecie tak prawdziwe.

Wiedziałam, że tej nocy już nie zasnę. Że nakręcona przez chore wizje nie odpłynę w błogi sen. Włączyłam komputer, a z torebki, którą powiesiłam na krześle przy łóżku, wyciągnęłam pendrive.

Nie wiem dlaczego, ale cały czas w pracy mogę zgrywać dane na taki nośnik. Od lat ci z góry odgrazali się, że wprowadzą zabezpieczenia, bo zdarzało się, że pracownicy kopiowali pliki, a później wynosili, sprzedawali pismakom lub innym zainteresowanym. Wiem, że nie zarabiamy dużo, ale coś takiego jest nieodpowiedzialne, bo może wpłynąć na przebieg śledztwa, a nawet spowodować, że winny uniknie kary albo niewinny zostanie skazany.

Wpięłam metalową końcówkę we wtyczkę na kablu, bo mój komputer nie ma wejścia USB, jakby producent o tym zapomniał, i po chwili wyświetliły mi się akta sprawy zamordowanej niedaleko mojego mieszkania dziewczynki.

Zaczęłam od zdjęć, czyli najgorszego, i momentalnie poczułam mdłości. Może to dobrze, że otworzyłam je w nocy, kiedy mój żołądek był pusty, bo nie wiem, jak by to się skończyło po posiłku. Nigdy nie należałam do delikatnych. Życie mi nie pozwoliło, ale coś takiego na każdym odcisnęłoby piętno.

Magdalena Boczarska, bo tak nazywała się dziewczynka, choć pewnie rodzice mówili na nią Madzia lub Megi, została przez kogoś potraktowana w sposób niezwykle nieludzki.

Nie dość, że została okrutnie zgwałcona i uduszona, to jeszcze nagie ciało ktoś oparł o drzewo, a następnie przywiązał do grubego pnia.

Nie wiem, co ona mogła komuś zrobić, aby zasłużyć na tak okrutną śmierć.

Według akt nie dożyła swoich szesnastych urodzin, które wypadały raptem za pięć dni.

Miała przed sobą całe życie, ale jakiś chory człowiek postanowił to zmienić, zabijając ją, a następnie bezczeszcząc jej ciało. Opis efektów okrutnego aktu płciowego wskazywał na niezłego szaleńca, który nie kontroluje swoich żądy.

Szybko znalazłam ją w mediach społecznościowych. Pod ostatnim wrzuconym zdjęciem widniały liczne wpisy z kondolencjami. Jak na profilu Grzegorza Mazura znalazłam ich bardzo niewiele, tak tutaj tworzyły długą litanie.

Odpoczywaj w spokoju.

Jak można być takim pojebem i zabić taką osobę jak ty?!

Świat nie ma już sensu.

I tak dalej, i tak dalej...

Szybko okazało się, że dziewczynka z mediami społecznościowymi była za pan brat, szczególnie z Instagramem i TikTokiem, którego zupełnie nie rozumiem. Relacjonowała swoje życie, ale nie tak jak wielu młodych ludzi, pokazując, co zjadła na śniadanie czy jak jedzie autobusem. Nie, ona opisywała swoje treningi, warsztaty, w których uczestniczyła, osoby, które podziwiała. Na co dzień trenowała taniec, ale interesowała się również śpiewem i aktorstwem. Zaliczyła nawet swój debiut w jednym z seriali, który wyświetlano w telewizji od czasów mojego wczesnego dzieciństwa.

Pokazywała tyle, ile uważała za smaczne, i faktycznie nie przekraczała linii odgradzającej prywatność od swojego młodzieńczego portfolio, w którym jeszcze nie pokazywała swoich osiągnięć, a bardziej drogę do nich, co w sumie też było ciekawe. Z jej profilu wynikało, że jest osobą wytrwałą w dążeniu do celu, czego raczej aktualnie ludziom brakuje.

Według opisu patologa, który dokładnie pomierzył jej kości, zważył narządy i zrobił wiele dziwnych czynności, wynikało, że dziewczyna na nic nie chorowała i pewnie pożyłaby całkiem długo, gdyby nie spotkała na swojej drodze psychologa, który pozbawił ją życia, zaciskając swoje dłonie na jej szyi i powodując, że światło krtani zmniejszało się i zmniejszało, aż jej ściany się dotknęły. Wtedy dziewczyna nie miała już jak zaczerpnąć powietrza, które mimo że generalnie jest wysoce zanieczyszczone, to i tak nadal stanowi podstawę naszego życia.

Potem ją zgwałcił. I chyba w tej całej strasznej historii to jedyny pozytyw. Nie zrobił tego za jej życia, choć może i się dobierał, bo na jej ciele znaleziono liczne siniaki, otarcia, ale wszystkie ślady wskazują, że do penetracji doszło już wtedy, gdy jej serce nie pompowało krwi. Stało pozbawione tlenu, wyłączyło mózg, w którym kolekcjonowała wspomnienia, plany na przyszłość. Wszystko to nagle przestało istnieć, uleciało gdzieś i możliwe, że nigdy nie zostało wypowiedziane.

Dopiero teraz, gdy siedziałam nad tymi przerażającymi aktami, nasza mnie smutna refleksja. Jak wiele jest rzeczy, o których tylko my wiemy. Naszych obserwacji, przemyśleń, pomysłów na przyszłość, których nigdy nikomu nie zdradziliśmy. Czekamy na lepszy moment lub – tak jak w moim przypadku – nie mamy komu ich

zdradzić. I gdy przegrywamy w konfrontacji ze śmiercią, okazuje się, że na końcu nic z nas nie zostaje, a wszystko to gdzieś przepada, tak jakby nigdy nie istniało.

Jako dziecko często rozmyślałam o takich rzeczach. Śmierć otaczała mnie praktycznie codziennie, bo często tylko w niej widziałam rozwiązanie. Tyle że ja sama szukałam sposobu, jak się jej oddać i zniknąć na zawsze. Ale ta dziewczynka tego nie chciała. Miała przed sobą całe długie życie, a z jednego z niewielu zdjęć pokazujących jej bliskich wynikało, że długowieczność to cecha jej rodziny. Na jej profilu znalazłam krótką relację ze sto trzecich urodzin jej pradiadka. Może ona też tyle by pożyła, gdyby nie kilka tragicznych w skutkach zbiegów okoliczności, które zostały przez policję już sprawdzone, a ich przebieg zaskakiwał.

Tego dnia, dwudziestego dziewiątego listopada, odbywały się zawody. Dziewczynka umówiła się, że odbierze ją mama. Kobieta planowała przyjechać na całe wydarzenie. Niestety akurat wtedy do pracy nie przyszedł jej szef, dopadła go grypa żołądkowa, którą przyniosła z przedszkola jego córka po pierwszym tygodniu chodzenia do placówki. Może gdyby dziecko zaczęło swoją przygodę z socjalizowaniem się później, to mama Magdaleny pojechałaby po nią, a tak nie dała rady. Konkurs się skończył i dziewczynka została sama.

Podwózkę zaproponował tata koleżanki. Niestety na parkingu okazało się, że jego samochód odmówił posłuszeństwa. Podziękowała, nie chcąc czekać na ich alternatywny transport, i ruszyła na przystanek autobusowy. Na dworze panowała już ciemność, było po dwudziestej. Niestety według rozkładu jazdy najbliższy autobus miał pojawić się za czterdzieści minut.

Może gdyby nie kot, który kilka dni wcześniej przeszedł poważną operację, nie spieszyłaby się tak z powrotem. Nie wiedziała, kiedy mama wróci do domu, a tata jako doświadczony strażak wyjechał do Poznania do szkoły aspirantów, żeby poprowadzić jakiś kurs. Zwierzak według zaleceń musiał mieć co sześć godzin podawane leki. Tego dnia wszystko się trochę porozjeżdżało, co podobno bardzo musiało rozeźlić dziewczynkę, bo nie lubiła się spóźniać, a kotek był jej najlepszym przyjacielem, więc chciała do niego dotrzeć jak najszybciej.

Zadzwoiła do mamy, ale ta nie odebrała, dlatego Magda zdecydowała się na ostatnią opcję, z której korzystała raczej sporadycznie. Chciała zamówić ubera. Innej aplikacji nie miała, zresztą na tej miała zasilone przez tatę konto. Niestety tego dnia nie działała. Policjanci sprawdzili to na forach internetowych i faktycznie znaleźli wpisy poświadczające globalną awarię związaną z nieudaną aktualizacją. Wszystko trwało raptem trzy godziny, ale przypadły one dokładnie w momencie, kiedy Magdalena Boczarska najbardziej jej potrzebowała.

Może gdyby przyjechał wtedy jakiś miły człowiek, w sumie mógłby być nawet i niemiły, ale odwiózłby ją pod jej blok, dziewczyna wróciłaby do swojego domu, podała lek kotu, który łasiłby się wokół niej, a ona odwzajemniłaby czułości, głaszcząc go po grzbiecie, łebku i może pod brodą, chociaż kiedyś słyszałam, że koty tego nie lubią. I wszystko byłoby inaczej.

Ale ona, pozostawiona sama sobie, wybrała najgorszą z możliwych opcji.

Poszła do domu pieszo.

Rodzice specjalnie wybrali szkołę stosunkowo blisko miejsca zamieszkania. Autobusem dziesięć minut, w porannych korkach piętnaście, no, maksymalnie dwadzieścia. Metra i tramwaju brak, ale wiosną i ciepłą jesienią jeździła rowerem. Jednak stroniła od chodzenia pieszo. Rodzice jakoś nie czuli się z tym komfortowo, więc robili wszystko, aby takich sytuacji unikać. Zawsze stawiali bezpieczeństwo ponad własny komfort. Zdarzało się nie raz, że gdy uciekł jej autobus, bo trening się przedłużył, któreś z nich jechało po córkę, mimo że siedzieli już w wygodnym dresie, oglądając serial na Netflixie lub czytając książkę.

Jednak tego nieszczęsnego dnia nikt nie mógł pomóc, więc ruszyła z buta. Mogła wybrać ścieżkę rowerową, która wydłużała dystans do pokonania do około siedmiu kilometrów, albo drogę na skróty, przez niewielki las. Zawsze mówiła mamie, że nie znosi tamtędy chodzić i unikała tego jak ognia. Dlatego gdy kobieta dowiedziała się, że to tam znaleziono jej ukochaną córeczkę, nie mogła uwierzyć.

Magda raptem trzy razy w ciągu ponad roku chodzenia do liceum wybrała ten wariant, i to za każdym razem w towarzystwie koleżanek i w sytuacji, gdy słońce świeciło im nad głowami.

Co działo się później, można było na tym etapie śledztwa jedynie gdybać.

Prawdopodobnie ją zaskoczył.

Może niechcący czymś go zdenerwowała, wyprowadziła z równowagi.

Może był pod wpływem alkoholu lub innych substancji odurzających.

Próbowała walczyć, ale jej metr sześćdziesiąt pięć nic nie znaczył w stosunku do prawdopodobnie wysokiego przeciwnika, a tym bardziej jej waga, którą kontrolowała każdego dnia. To miejsce było wręcz wymarzone dla napastnika. Niewiele osób się tu zapuszczało, jakby większość obawiała się kłopotów. Dziewczyna nie mogła liczyć na pomoc.

Pewnie krzyczała, a może została przez niego ogłuszona na samym początku. Na głowie patolog znalazł sporego siniaka, prawdopodobnie zadanego jakąś gałęzią. Nie wiem, czy jest w stanie określić, czy mógł wywołać omdlenie, utratę świadomości, co byłoby dla dziewczyny darem z nieba.

Zdecydowanie jedna myśl mi się przewijała po praktycznie każdym fragmencie opisu zebranych dowodów.

Napastnik tego nie planował.

Nie był wprawnym mordercą.

Nie wiedział, jak działać, aby go nie znaleźli.

Zostawił na miejscu zbrodni tyle prezentów dla policji, że głowa mała.

Naskórek pod jej paznokciami, szczególnie prawej dłoni.

Odciski butów, dość nietypowych i całkiem sporego rozmiaru.

Spernę.

Odciski palców na jej torebce, z której nic nie zniknęło. Przynajmniej tak stwierdzili rodzice.

Kształt dłoni odcisnięty na ziemi.

Patrzyłam na to wszystko, zastanawiając się, co to oznacza, ale moje myśli nie układały się w sensowną całość.

Rozdział 30

– W mieszkaniu Zaremby nie znaleziono spermy. – Obrębski powtórzył koledze słowa, które usłyszał właśnie przez telefon.

Usiadł ciężko na swoim obrotowym krześle, na które kilka dni wcześniej założył zaleconą przez ortopedę poduszkę pod lędźwie. Pewnie zwlekałby z tym jeszcze długo, gdyby nie ból pleców, który pojawił się podczas sprząwania samochodu. Jak to powiedział Boguckiemu: „Schylałem się po jakiś okruszek, który był na wycieracze z tyłu, gdy nagle w plecach poczułem niewyobrażalny ból, jakby ktoś przywalił mi kijem”.

Już się nie wyprostował. Na szczęście stało się to pod domem rodziców, więc na czworakach przez ogród, a później przez taras dopelzył do salonu, gdzie na szafce leżał jego telefon komórkowy. Na oparach adrenaliny ściągnął go i padł jak długi na zimną podłogę. Chwilę poleżał, ciężko posapując, i gdy poczuł się minimalnie lepiej, zadzwonił do siostry, która jest fizjoterapeutą. Najpierw dostał ochrzan, że o sobie nie dba i jak tak dalej pójdzie, to skończy na wózku inwalidzkim. Jak już się wyżyła, powiedziała, co ma robić. Kazała położyć się na brzuchu i podłożyć pod brodę jedną pięść. Po jakimś czasie, jak da radę, drugą. Dopiero po pół godziny poczuł się lepiej w tej pozycji. Potem przeszedł już do mniej miłej części. Zaleciła mu umieścić przed sobą dłonie na podłodze na szerokość barków

i delikatnie dźwignąć się z ziemi jak foka. Zrobił to, bo wierzył, że siostra się zna. W końcu od dziesięciu lat pracowała jako fizjoterapeutka, a każdą wolną chwilę spędzała na szkoleniach, ucząc się kolejnych sposobów pomagania ludziom w bólu.

Dopiero po dobrej godzinie ból trochę zelżał i Obrębski wstał z ziemi w sposób, jaki zaleciła młoda, jak całe życie na nią mówił.

– A może zdążył się umyć? Albo najzwyczajniej w świecie nie skończył? – spytał Bogucki.

Morderstwo Olgi Kowalonek wyglądało coraz dziwniej. Zaremba nie pamiętał kobiety, a na dodatek wiele wskazywało na to, że nie uprawiali seksu, co stawiało sens wizyty kobiety w mieszkaniu podejrzanego pod znakiem zapytania. Bogucki wiedział, że muszą otworzyć się na różne, nawet najdziwniejsze rozwiązania.

– Tak płynnie zmieniając temat, cały czas mam w głowie tego Mazura. – Obrębski zawiesił głos. – Ciągle się zastanawiam, co mogło się stać.

– Może ktoś się do niego włamał? – Bogucki od niechcienia rzucił propozycję. Zupełnie nie wiedział, co wydarzyło się w mieszkaniu mężczyzny.

– W sensie do domu?

– Tak, tam rozegrał się dramat. Może napastnik tego zupełnie nie planował. Może nie miało go być w domu albo miał być sam. Coś poszło nie tak i mamy trupa. A że nie wiedział, co z nim zrobić, to wrzucił na budowę.

– Hmm... Może coś w tym być. Technicy podobno jeszcze nie skończyli, ale możemy im trochę poprzekadzać. – Obrębski uśmiechnął się krzywo i dźwignął z fotela, ponownie zaciskając zęby.

– Może ja sam pojedę? – spytał Bogucki, widząc grymas na twarzy kolegi. Sam jakiś czas temu przeżywał podobny koszmar, więc wiedział, że ból potrafi paraliżować i odbierać chęć do życia.

– Ale o co ci chodzi? – spytał przekornie policjant i wypiął dumnie klatkę piersiową. – Przecież nic mi nie jest! – Zaśmiał się wymuszenie i ruszył w stronę drzwi.

Bogucki szedł za kolegą, nie wyprzedzając go, bojąc się, że ten mógłby to źle odebrać. W końcu zrównali się na schodach do komisarjatu.

– To może pojedziemy moim – rzucił, a ku jego zaskoczeniu Obrebski kiwnął delikatnie głową.

Na miejsce dotarli pół godziny później. Przed niewielkim blokiem stały dwa radiowozy, ale obaj wiedzieli, że technik przyjechał swoim samochodem.

Gdy weszli na klatkę, od razu zorientowali się, że nie ma windy. Stare budownictwo i blok do czterech pięter nie musiał jej posiadać. W niektórych montowano zewnętrzne, ale ten luksus tutaj nie dotarł, a denat mieszkał na trzecim. Niby nic wielkiego, ale dla osoby, dla której podniesienie nogi jest gigantycznym problemem, może stanowić przeszkodę nie do pokonania.

Wspięli się raptem kilka schodów, od strony zejścia do piwnicy usłyszeli kobiecy głos:

– Co się z tymi ludźmi dzieje?

– Nie wiem – odpowiedział jej męski, dużo starszy. – Ten Mazur był dobrym człowiekiem. Pomagał mi czasami z zakupami, a ostatnio podobno pracował w tym ośrodku niedaleko... No...

– W tej świetlicy dla niepełnosprawnych? – podpowiedziała mu kobieta. Jej głos robił się coraz głośniejszy, a to oznaczało, że zaraz

wyjdą z piwnicy i staną przed nimi.

– Zapomniałem, jak się to nazywa. Przepraszam, żona każe mi łykać jakieś tabletki, a ja o nich nie pamiętam. – Zaśmiał się smutno. – Przecież mam problemy z pamięcią, to jak mam to zrobić.

– Panie Waldku, jest pan w kwiecie wieku. Na pewno nie jest tak źle...

W tym momencie kobieta popchnęła uchylone drzwi do piwnicy i stanęła przed policjantami. Trzymała w rękach płócienną torbę, w której niosła kilka słoików, o czym świadczył jej kształt i dźwięk obijającego się co jakiś czas szkła. Ubrana w fioletowy dres, wyglądała jakby założyła jednoczęściowy kombinezon, w stylu śpioszków noszonych przez niemowlaki. Trzy sekundy później za nią pojawił się niski mężczyzna z okazałymi rozmiarów brzuszkiem, łysą niczym kolano głową i wielkimi uszami, które może i w przeszłości się tak nie wyróżniały, ale przy obwisłych policzkach i szyi, która wielokrotnie łamała się pod brodą, wyglądały monstrualnie.

– Czego tu szukacie? – rzuciła w ich kierunku już nie tak miłym głosem kobieta. – Pismaki już zwęszyły sensację. Wynoście się. Nic wam nie powiemy!

– Spokojnie – odezwał się jako pierwszy Obrębski i wyciągnął swoją odznakę. – Jesteśmy po tej dobrej stronie – rzucił i uśmiechnął się.

– Uff. Przepraszam, ale jakaś zeschizowana jestem. Już tutaj się kręcili. Pan Grzegorz to był superfacet. Taki zwykły, uczynny, dlatego nie wiem, jak to się stało, że wy jeszcze nie dotarliście pod jego adres, a oni już tutaj węszyli.

– Kto? – spytał Obrębski i oparł się o ścianę. Bogucki wiedział, że robi wszystko, aby nikt nie zauważył, że ból rozrywa dolną część jego

pleców, a może i paraliżuje którąś z nóg.

– Jakaś baba przyszła, niby dostała przez przypadek paczkę dla Mazura. Na początku to pomyślałam, że zwykła kobieta, uczynna i tyle. Łaziłam właśnie z moją Marcelką, gdy mnie dopadła. Zrobiła to pierwsza klasa. Jak rasowa aktorka. Zero zająknięcia. Ale gdy podjechał pierwszy radiowóz, potem kolejny i sąsiadka opowiedziała, co się stało, od razu wiedziałam, że to ściema, więc otworzyłam tę paczkę i...

– Otworzyła ją pani?! – krzyknął zdziwiony Obrębski i ściągnął brwi.

– No... Ja... W sumie nie wiem czemu. Boże, przepraszam! – zakwiliła, a na jej twarzy pojawił się strach. – Moja matka zawsze mi powtarza, że jestem w gorącej wodzie kąpana. Wszystko musi być tu i teraz. Jakoś nie pomyślałam, że mogę tym zaszkodzić.

– Ma pani tę paczkę? – spytał policjant już spokojniejszym głosem.

– Tak, ale w środku są jakieś stare książki.

– Będziemy ich potrzebowali, no i pewnie rysopisu tej kobiety. Da pani radę?

– Ale co, ja mam ją narysować? – prychnęła.

– Nie – zaśmiał się Bogucki, a starszy mężczyzna stojący tylko w koszulce na szerokich ramiączkach zrobił krok do przodu. – Przyślemy do pani rysownika. Może coś uda się ustalić. Może to jakaś dziennikarka i dobrze byłoby wiedzieć, skąd wiedziała o denacie.

– A co państwo mogą powiedzieć o Mazurze? – rzucił Obrębski.

– No właśnie z panią Karoliną mówiliśmy, że był dobrym człowiekiem. Mnie ostatnio wyniósł z domu starą komodę. Rozkręcił najpierw, a potem kawałek po kawałku wyrzucił na śmieci. Nową na

szczęście córka zamówiła z montażem, ale starego ustrojstwa byśmy się tak łatwo nie pozbyli z domu. Z żoną już mamy swoje lata.

– Mnie czasami pomagał z wózkiem, raz przyniósł torbę z piwnicy, bo naładowałam tyle przetworów, że ledwo doniosłam tutaj. Moja mama robi produkcję masową, aż nie ma później gdzie w domu tego trzymać, więc zrzuca mi do piwnicy zapasy. Generalnie pomysł super, ale później noszenie tego na czwarte piętro to niezła mordęga.

– Słyszeliśmy, jak wspominali państwo o jakimś ośrodku, gdzie pomagał pan Mazur. Mógł go ktoś tam lepiej znać?

Mężczyzna i kobieta spojrzeli na siebie i praktycznie równocześnie unieśli ramiona.

– W sumie to nie wiem – zaczął starszy pan i podciągnął spodnie, które okalały jego brzuch dużo poniżej talii. – Ja tylko od żony słyszałem, a ona pewnie od takiej koleżanki, co tam czasami sprząta. Powinni panowie tam pójść i popytać. To niedaleko.

Bogucki spojrział na kobietę, licząc, że może ona coś więcej dopowie, ale tylko pokręciła przecząco głową i rzuciła:

– Ja nic nie wiem. Dopiero pan Waldek mi powiedział, ale w sumie to się nie dziwię. On zawsze sprawiał wrażenie dobrego człowieka. Nie rozumiem, jak to się dzieje, że dobrych ludzi Bóg zabiera, a z takimi dupkami, jak ojciec mojego dziecka czy ten spod jedyńki, co tłucze żonę, nikt nie może zrobić porządku i zupełnie bez sensu trzyma na tym świecie.

– A czy pana Mazura ktoś odwiedzał? Może widzieli kogoś państwo? – wtrącił Obrębski, próbując w zarodku uciąć przemyślenia kobiety, które średnio go interesowały.

Ponownie obydwój sędzi zamordowanego pokręcili głowami. Policjanci podziękowali rozmówcom i dopytali kobietę o numer mieszkania, pod który ma zgłosić się rysownik, po czym ruszyli do lokalu, w którym urzędował jeszcze ich kolega z komisariatu.

– To nie tutaj zginął – usłyszeli głos Marcela Wolskiego, technika, gdy mocowali się ze strojami ochronnymi. – No, chyba że ktoś świetnie posprzątał mieszkanie. Wszystko sprawdziłem lampami i nic. Nigdzie. Totalnie czysto, a też nie ma żadnego miejsca, gdzie ktoś użył większej ilości środków czyszczących. Generalnie mieszkanie bardzo zadbane. Dobrze, że moja żona nie ma możliwości, żeby tu zajrzeć, boby mi nie odpuściła. Jeżeli zamordowany sam sprzątał, to robił to lepiej niż moja stara, a ona ma cholernego bzika na punkcie czystości.

– A coś nietypowego znaleźliście? – spytał Obrębski i rozejrzał się po wnętrzu. Wyglądało zupełnie normalnie. Biała biblioteczka wypchana książkami, kilka wiszących półek z kwiatkami i zawieszzone na ścianie zdjęcia z córką.

– Pejczy, kajdanki i maski na twarz? – rzucił, a dwóch policjantów momentalnie się zainteresowało. – To nie. – Zaśmiał się na głos. – Mieszkanie zupełnie normalne. Widać, że okresowo mieszka tu jego córka. Ma swój pokój, trochę rzeczy, ale nie odwiedzała go ostatnio...

– A jakieś ślady nowej kobiety? – Obrębski złapał się za plecy, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

– Nie. Sprawdziłem łóżko na obecność różnych płynów i nic. Czysto. Wiadomo, mogli się bzykać pod prysznicem, używając prezerwatywy, ale takich rzeczy nie wynajdę.

– Sprawdziłeś śmieci?

– Za kogo ty mnie uważasz? – Mężczyzna pokręcił głową i ściągnął usta w dzióbek. – Za jakiegoś młokosa, co nie wie, jak swoją robotę wykonywać? Ja na tym zęby pozjadałem. Zatrudniłem do tego jednego świeżaka. Jakiś młody z wielkim obrzydzeniem wszystko przeszukał i nic. Oczywiście mógł w toalecie spuścić, ale tego już nie sprawdzimy. Poza tym w domu nie znalazłem żadnych długich włosów, chociaż moja małżonka...

– Słowa „małżonka” można używać tylko w odniesieniu do cudzej żony – usłyszeli za sobą głos prokuratora Zenona Więckiewicza, który zupełnie niezapowiedziany pojawił się w mieszkaniu.

– Dzień dobry – szepnął Bogucki i kiwnął głową. Widział mężczyznę drugi raz w życiu i drugi raz poczuł dreszcz na plecach. Z jednej strony wzbudzał respekt swoją posturą i wyglądem, z drugiej jego stanowczość i pewność siebie powodowały, że policjant czuł się niekomfortowo. Tak jakby stanął przed nauczycielem, który tylko czeka na błąd z jego strony.

– Jak idzie? Macie coś? Ostatnio zdecydowanie za dużo trupów wypelza i trzeba jakoś to ogarnąć. Wracam właśnie z domu tej dziewczynki. Przyda nam się tam też wasza pomoc, świeże spojrzenie. Na razie nasi sprawdzają, czy może miała jakiegoś chłopaka, o którym rodzice nie wiedzieli, ale na razie nic. Zero tropów. Telefon czysty, komputer bez podejrzanych wiadomości. Pojawił się nawet pomysł, że miała drugi, ale nic nie znaleźliśmy. W domu czysto. Rodzice zrozpaczeni, nie mogą się odnaleźć w nowej rzeczywistości. Nie dziwię się. Kobieta, zanim urodziła córkę, poroniła cztery razy, w tym raz w siedemnastym tygodniu. Jak już totalnie odpuścili, okazało się, że znowu zaszła w ciążę, i tym razem się udało. Koszmar. Nie powiem, ale chyba trochę dla wytchnienia tutaj zajechałem. Sam mam

córkę w tym wieku co zamordowana i zupełnie sobie tego nie wyobrażam. Żona już zakazała młodej jeździć samej gdziekolwiek. Starsza niby ma męża, ale chyba też poproszę ją, żeby na razie nie wychodziła sama z domu albo uważała na siebie bardziej. Ten, kto to zrobił, powinien skończyć na stryczku.

– Oj, słyszałem o tym – wtrącił technik i wstał z podłogi, na której klęczał, robiąc zdjęcia. – Wilczewski powiedział, że dawno nie widział tak przerażającego widoku. Najgorsze, że na miejscu jest mnóstwo śladów. W ciągu dnia chodzi tam masa ludzi, psów, podobno znalazł nawet ślady jeża i myszy. No i weź z tego wydłub cokolwiek istotnego. Niby mają ślady spermy i naskórek spod paznokci, ale przecież trzeba mieć do czego porównywać. Typa nie ma w bazie i dupa.

– Dokładnie, dupa. – skomentował prokurator, kiwając potakująco głową, i spojrział na Obrębskiego i Boguckiego. – Coś wicie w sprawie tego Mazura?

– Na razie nic szczególnego. Prowadził firmę zajmującą się zabezpieczaniem karoserii, rozwodnik, z dorosłą już córką, więc przepychanki o prawa rodzicielskie z byłą żoną raczej nie wchodzi w grę. Wszyscy mówią o nim bardzo pozytywnie. Okazało się, że przed śmiercią uprawiał seks, więc szukamy tej, która miała z nim przyjemność. Planujemy też pojechać do jakiegoś ośrodka, gdzie podobno się udzielał. – Obrębski recytował ustalenia niczym uczeń fragment „Pana Tadeusza”.

– Okej, sprawdźcie to. – Prokurator pokiwał z uznaniem głową. – Nie wiem, czy nie warto byłoby jeszcze tej ekszony prześwietlić, bo wyobraźcie sobie, kobieta zadzwoniła do mnie dzisiaj rano. Nie wiem zresztą, jak zdobyła mój numer, bo moja sekretarka nie jest

skora do rozdawania go na prawo i lewo. Dzień po tym, jak znaleziono jej byłego męża martwego, zakopanego na budowie, zadzwoniła do mnie z zapytaniem, kiedy będzie mogła zorganizować pogrzeb, bo rodzina chce mieć to za sobą.

– Milutko – rzucił Obrębski i złapał się za plecy. Po jego twarzy przemknął grymas bólu, ale tylko Bogucki to wyłapał i momentalnie odwrócił wzrok, aby dodatkowo nie stresować kolegi. – Jak rozmawiała z nami, sprawiała wrażenie całkiem sympatycznej osoby. Takiej zatroskanej i współczującej.

– Niestety to się zdarza. Ostatnio jakiś pan zadzwonił, że chce odzyskać młotek, którym włamywacz walnął jego żonę w głowę. Na szczęście nic poważnego jej się nie stało, poza sporych rozmiarów siniakiem i bólem głowy, który długo jej towarzyszył. I facet nie mógł zrozumieć, że nie możemy mu go wydać, bo to dowód w sprawie i musimy zakończyć wszelkie procedury. I gdyby chociaż było to jakieś wyjątkowe narzędzie, ale nie. Ot taki zwykły młotek, jaki można dostać w każdym sklepie z narzędziami. Dla pana miał jednak jakąś wartość sentymentalną czy coś i nie mógł się z nim rozstać. Nawet napisał na mnie skargę, wyobraźcie sobie, bo stwierdził, że to ja specjalnie opóźniam wydanie mu go. Ale dość tego pieprzenia głupot. Jedźcie do tego ośrodka.

Rozdział 31

ONA

Kocham to, co robię, a gdy dodatkowo mogę przyrzeć się sprawom mi bliższym, to jestem gotowa na niejedno poświęcenie. Obok spraw Olgi Kowalonek i Grzegorza Mazura, do czerwoności rozgrzała mnie ta z Magdaleną Boczarską w roli głównej.

Usiadłam przed komputerem z otwartym profilem dziewczyny na Facebooku, zastanawiając się, kogo mogła zdenerwować szesnastolatka. Kto mógł chcieć jej śmierci. Postanowiłam na razie wymazać z głowy informację o seksualnym aspekcie tej zbrodni.

Gdy patrzyłam na jej liczne sukcesy, pomysł od razu mi się nasunął.

Rywalki.

Zaczęłam przeglądać jej ostatnie starty i osoby, z którymi walczyła. Jedno nazwisko przewijało się za każdym razem.

Michalina Żagań.

Wyszukałam ją w sieci. Już na pierwszy rzut oka bardzo różniła się od zamordowanej. Atletyczna, mało dziewczęce rysy, włosy zawsze ściągnięte w kok. Nie wiem, dlaczego od razu przyszli mi do głowy Ronaldo i Messi. Pierwszy podobno pracowity ponad normę,

a drugi wyjątkowo utalentowany. Oczywiście pewnie wielu fanów piłki nożnej by się z tym nie zgodziło. Ja swój pogląd ukształtowałam na podstawie programu dokumentalnego. Czy był stronniczy? Nie wiem.

Może w przypadku dziewczyn też tak było. Zazwyczaj zamiennie zajmowały pierwsze miejsce w konkursach, w których startowały. Zaczęłam czytać o nich artykuł. Domorośla dziennikarka na łamach szkolnej gazetki próbowała wyjaśnić, czemu tak się dzieje, zrzucając pośrednio winę na niejasne kryteria oceny zawodniczek.

Ale to, co najbardziej zaskakujące, znalazłam na stronie szkoły Magdaleny, do której chodziła również jej przeciwniczka, mimo że ich walka zazwyczaj toczyła się na konkursach rangi wojewódzkiej, a zdarzyło się, że również i krajowej.

Okazało się, że tego dnia, gdy zginęła dziewczyna, w ich szkole odbywały się nieformalne zawody mające na celu wyłonienie reprezentantki na konkurs ogólnopolski. Obie nie mogły wystartować i jury wybrało Boczarską. Po wszystkim doszło do awantury, podczas której ojciec przegranej wygrażał się nauczycielom, a na koniec zwyzywał młodą dziewczynę, która nie mając rodziców u boku, została obroniona przez jednego z nauczycieli.

Zaczęłam przyglądać się konkurentce zamordowanej. Na jej profilu pojawił się smutny wpis o śmierci Magdaleny.

To niemożliwe.

Ktoś zabił moją koleżankę, przyjaciółkę.

Na parkiecie rywalizowałyśmy, ale poza nim wspierałyśmy się.

Pamiętam, jak pokazała mi rozciąganie, które pomogło mi wygrać mistrzostwa, Madzia zajęła wtedy trzecie miejsce. Gdyby nie ona, pewnie byłabym poza podium, a ona na pewno wyżej.

Zawsze mnie wspierała, chociaż na konkursach nigdy nie odpuszczała. Wtedy tak jak ja zawsze chciała zrobić wszystko perfekcyjnie i zazwyczaj jej się to udawało.

Żałuję, że nigdy jej tego nie powiedziałam, ale była lepsza ode mnie.

Ja nigdy nie nauczę się tak układać rąk, tak delikatnie poruszać się po parkiecie.

Była moją idolką.

Niedoścignionym ideałem.

Będę tęsknić.

Żegnaj.

Przeczytałam całość trzy razy i przeszłam do wcześniejszych wpisów, w których kilkakrotnie żaliła się na niesprawiedliwe oceny sędziów. Pod jej postami ludzie wyrażali zupełnie skrajne opinie. Jedni uważali, że ma stuprocentową rację i to ona powinna była wygrać. Inni zarzucali dziewczynie, że szuka dziury w całym. Powinna skupić się na treningach, a nie czepiać się i szukać winy poza sobą.

Za każdym razem w tych wszystkich dyskusjach, a bardziej przepychankach, w których dziewczyna raczej nie wyrażała się w sposób, który napawałby jej rodziców dumą, pojawiała się jedna osoba.

Kacper Niedźwiecki, chłopak Michaliny.

Podsyczał dyskusje, zawsze obrażając krytyków swojej dziewczyny, a ją gloryfikując ponad normę. Z jego profilu wynikało, że jest

bardzo wysoki jak na swój wiek, gra w koszykówkę, lubi piłkę nożną i Michalinę. Zamieścił nawet ich wspólne zdjęcie, podpisując je słowami: „Tylko ona”. Oczywiście od razu zebrał mnóstwo lajków i komentarzy w stylu „super”, „brawo” lub „fajna dupa”.

Chłopak zdecydowanie nie wyglądał na miłego i nie chciałabym spotkać go w ciemnej uliczce, a przez to, co pisał w sieci, sprawiał wrażenie, że przemoc traktuje jako rozwiązanie wielu sytuacji. Pytanie tylko, czy byłby w stanie zrobić dla Michaliny wszystko, nawet wiedząc, jak wiele może przez to stracić?

Dopisałam sobie do listy zadań do zrobienia, aby go sprawdzić, i otworzyłam skrzynkę mailową, na którą chwilę wcześniej wpadła nowa wiadomość. Skontaktowała się ze mną koleżanka Olgi Kowalonek. Napisałam do kilku, ale większość mnie zignorowała. Pewnie myślały, że jestem dziennikarką i szukam sensacji.

Aleksa, bo tak podpisała się dziewczyna, najpierw opisała mi łączącą je relację. Opowiedziała o tym, że poznały się trzy lata wcześniej. O tym, jak Olga się nią opiekowała. Dawała dobre rady, jak radzić sobie z klientami, a także jak używać aplikacji do kontaktowania się z nimi.

Co ciekawe, dla bezpieczeństwa dziewczyny zawsze informowały się o tym, gdzie i kiedy umawiają się z facetami. Gdy to przeczytałam, aż klasnęłam w ręce.

A co najważniejsze, Aleksa zgodziła się na spotkanie ze mną.

Rozdział 32

Budynek ośrodka pomocy dzieciom wyglądał zupełnie normalnie. Kwadratowa bryła, jasne ściany i zadbany dookoła teren.

Aspirant Bartosz Bogucki zaparkował swój samochód na niewielkim parkingu i wraz z Obrębskim ruszyli w stronę wejścia. Wyjątkowo tego dnia od rana świeciło słońce, które serwowało dodatkową porcję witaminy B, tak potrzebnej w te szare jesienne dni. Niby człowiek nie miał chlorofilu, jednak słońce powodowało, że czuł się szczęśliwszy i bardziej skory do czegośkolwiek.

Wchodzili niespiesznie po schodach, gdy usłyszeli za sobą zachrypnięty męski głos:

– Co wy za jedni?

Gdy się odwrócili, w ich stronę szedł mężczyzna w średnim wieku z miotłą w dłoni.

– Aspirant Bartosz Bogucki i komisarz Maksymilian Obrębski – zaczął ten pierwszy, wysunął blachę z kieszeni i podał mężczyźnie.

Ten przyjrzał się jej dokładnie i wlepił wzrok w drugiego policjanta. Obrębski powoli wyciągnął swoją i zaprezentował. Rzadko kiedy wymagano tego od niego, mimo że stanowiło to jego obowiązek. Mało kto chciał narażać się policji, nawet jak nie miał nic do ukrycia.

– W sprawie Grześka? – rzucił mężczyzna już mniej nieprzyjaznym tonem.

– Tak, zgadza się, możemy zająć chwilę? – kontynuował Bogucki, widząc wzrok kolegi, który zacisnął usta, jakby nie planował wypowiedzieć żadnego słowa.

– Dla niego wszystko. Proszę pytać.

– No dobrze... – Aspirant spojrzał na kolegę. Ten delikatnie kiwnął głową, dając znać, że ma pytać. – Proszę nam powiedzieć, co tutaj robił Grzegorz Mazur. Od kiedy pracował? Im więcej szczegółów, tym lepiej.

– Od kiedy, to nie wiem, bo mam problem z pamięcią, musielibyscie się Grażynki, znaczy dyrektorki, spytać, ale teraz jej nie ma. Zadzwoń do nas jakaś kobieta i powiedziała, że Greg zmarł. Nie wiem, kim była, ale od razu się rozeszło. Niektórzy próbują pracować, jak ja. Bo akurat zamykanie liści to taki dobry moment na rozmyślanie, wspomnianie wspólnych chwil. Ale kilka osób nie wytrzymało i wzięło wolne. Ja się nie dziwię. Grzesiek bardzo nam tutaj pomagał. – Mężczyzna sapnął i oparł się obiema dłońmi o kij od miotły. – Za młodu przyjaźnił się blisko z niepełnosprawnym chłopcem, który urodził się z porażeniem czterokończynowym. Dzieciak przeleżał większość życia, ale mieszkał po sąsiedzku, więc Grzesiek często u niego bywał i pomagał, jak mógł. Najpierw tylko zapewniał towarzystwo, a potem, jak trochę dorósł, to ogarniał więcej wokół niego, żeby nieco odciążyć jego matkę, bo babka ponoć pracowała na dwóch etatach, żeby było na leki i rehabilitację. Poświęcił mu parę lat młodości, nie miał czasu na dziewczyny ani na nic. Jak chłopak umarł... Gregowi świat się zawalił. Nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Oczywiście w pierwszym rzucie poszedł w picie, ale na szczę-

ście szybko z tego wyszedł. Zaczął pracę w policji, jednak zrezygnował, bo był za dobry na to. – Dwaj policjanci zrobili dziwne miny, więc mężczyzna od razu się poprawił: – W sensie, że miał za dobre serce i od tego wszystkiego całe jego życie się sypało. Za dużo w nim było empatii. On chciał zawsze pomagać, tylko nie każdy chciał tej pomocy. Nawet tutaj był czasami nadgorliwy. Jedna pani to nawet złożyła na niego skargę. – Mężczyzna zaśmiał się smutno i rozwinął dotychczas podwinięty rękaw koszuli. – W piśmie, które pokazała mi szefowa, napisała, że Grzegorz ją nachodził. Oczywiście nie chodziło w żadnym razie o jakieś seksualne aspekty. On po prostu chciał jej pomóc. Uznał, że zrobi podjazd dla jej syna. Kupił deski, chciał z nich stworzyć jakąś tam konstrukcję, ale ona, jak się okazało, wcale tego nie chciała. Później, jak ją szefowa wzięła na spytki, wyszło, że próbowała naciągnąć na to byłego męża, a tak Grzesiek odbierał jej powód. Poza tym to wszyscy go uwielbiali, a niektóre babki chyba nawet za bardzo.

– Któraś szczególnie? – Bogucki uśmiechnął się do przechodzącej obok kobiety, która torpedowała ich wzrokiem, jakby robili coś złego.

– Wie pan, różnie plotkowano. Jedna pani powiedziała mi, że spotykał się z mamą Amelki, dziewczynki, która zakrztusiła się, mając trzy latka, i niestety dostała obrzęku mózgu. Siedzi na wózku i praktycznie nie ma z nią kontaktu. Oczywiście jej mama mówi co innego. A to, że ścisnęła ją za palec, gdy pytała, czy film jej się podobał, a to, że niby mrugnęła, gdy obok przechodził Grzegorz, co miało sugerować, że go lubi. Różne małe rzeczy. Można byłoby się cieszyć, gdyby nie fakt, że działo się to tylko wtedy, gdy były same. Nikt nie powie, że jest inaczej, ale każdy wie, że to ratowanie się przed naj-

gorszym. Przed wizją, że nic się nie da zrobić i nic się już nie zmieni. To chyba jest w tym najstraszniejsze. Ja tu pracuję ósmy rok. Zajmuję się wszystkim. Sprzątam, naprawiam, a jak trzeba któregoś z dzieciaków przenieść, podnieść, robię to, chociaż lata już nie te. U mnie w domu nigdy nie było nikogo chorego. To znaczy w taki sposób. Cukrzyca, nadciśnienie to norma. Dzisiaj wszyscy jedzą bez zastanowienia, a później dziwią się, gdy wyniki złe. Ja nie robię zbyt wiele, chociaż lekarz mi powiedział, że moja praca to zbawienie. Ja jestem cały czas w ruchu i może dlatego tłuszcz się mnie nie ima. – Mężczyzna z uśmiechem poklepał się po szczupłym brzuchu. – Jak to mówią w jakiejś reklamie, efekt uboczny. Ale chyba najważniejsze to empatia. Tego się tu nauczyłem. Kiedyś się tak nie wzruszałem na cierpienie innych... Ale w mordę potrafiłem strzelić, nawet mniejszemu od siebie, jeżeli stwierdziłem, że zasłużył. Nigdy nie zwracałem uwagi na innych. Słabszych. Jak komuś coś było, bolało go, trudno. Nie moja sprawa. Nie moje podwórko. A teraz... Moja żona się śmieje, że jest ze mną tragicznie. Co chwilę chcę komuś w czymś pomóc. Czasami mam wrażenie, że jest zazdrosna. No bo wiedzą panowie, niestety po historiach, których tu się nasłuchałem, to kobiety często zostają z tym same... – Mężczyzna przerwał, widząc coraz bardziej znużone oblicza policjantów. – Przepraszam. To kolejna zmiana. Zacząłem paplać jak baba. Co do Grześka, to ostatnio wydaje mi się, że kręciły się wokół niego dwie babki. Monika Ostaszewska, mama Kordiana, trzylatka, którego potrafił samochód. Okropna historia, bo niestety własny dziadek mu to zrobił. Zupełnie nie jego wina. Padał deszcz i czujki wariowały. Podobno piszczały non stop. Poza tym facet chwilę wcześniej widział wnuczka w domu, więc nie spodziewał się go na zewnątrz. Szczęście w nieszczęściu nie zabił go,

chłopiec przewrócił się i uderzył głową o krawężnik. Przez trzy tygodnie był w śpiączce. To wydarzyło się pół roku temu i jest już lepiej, chociaż jeszcze przed nimi długa droga. No i jeszcze jest Dominika Kamińska. Dziwna kobieta. Ja się trochę jej boję, bo ona jest zbyt... – Rozmówca przerwał na chwilę swój słowotok, a Obrębski sapnął.

– Proszę opisać – rzucił Bogucki, chcąc pomóc.

– Hmm... – westchnął. – To jest dość dziwne, bo ona jest bardzo miłutka. – Policjanci spojrzeli na siebie zdziwieni. – Taka słodkopierdząca, jak to ostatnio powiedziała moja córka, za co ją żona skrzyzczała, bo niby to nie przystoi. Ale to określenie jest w punkt. Niby taka miła, a jednocześnie wkurza jak smród. Ja się boję takich kobiet. Zawsze takie uśmiechnięte, sympatyczne. Tylko każdy ma zły dzień, a ona ma syna, który stwarza mnóstwo problemów. Ma siedemnaście lat, jest duży niczym niedźwiedź i czasami mam wrażenie, że zachowuje się jak trzylatek. Straszne. A ona wszystkim dookoła opowiada, jaki to Adrianek jest potulny, a wiem od dyrektorki, tylko błagam, proszę o tym nie wspominać, że zdarzyło się, że ją uderzył, w sensie swoją matkę. Nie że celowo, tylko w napadzie złości. – Mężczyzna zamilkł, kręcąc głową, i zaczął ponownie zamiatać.

– Dobrze, a czy jest ktoś, kto nie lubił Mazura, poza kobietą, co złożyła na niego skargę?

Woźny stał przez chwilę, zastanawiając się, aż klepnął się w udo.

– Jezu, ale jestem głupi. Tak! – krzyknął, a Obrębski aż podskoczył. – Tylko nie wiem, kiedy to dokładnie się wydarzyło. Parę miesięcy temu, akurat jak Grzesiek tutaj pomagał, przyjechał jakiś facet. – Znowu uderzył się w udo. – To musiało być latem lub późną wiosną, bo już ciepło było. Tak, na pewno, bo robiłem coś na elewacji, więc musiało być ciepło, bo takie rzeczy robię raczej przy wyż-

szych temperaturach. No i zaparkował z piskiem opon. Gostek wypadł z samochodu, jakby coś się działo. No i to ważne, stara bmka. Nie wiem, czemu kojarzy mi się z jakimiś kibolami lub innymi szukającymi guza. Wypadł, bujając się na boki, jakby był bańką wstańką. Całe ręce miał w dziarach, ale nie takich ładnych. Boże, moja córka pokazywała mi wczoraj takie cuda, że aż nie wierzyłem, że takie robią. Kolorowe dzieła sztuki. Młoda chce na uro... – Nie skończył, bo ponownie zerknął na policjantów, a ich miny nie zachęcały do nic niewnoszących wywodów. – No i zaczął krzyczeć, czy jest tu Grzegorz Mazur, bo ma do niego ważną sprawę. Tego dnia przyjechało całkiem sporo osób. Część wyszła na zewnątrz, żadna sensacji. Grzegorz pomagał koledze przy montażu drzwi w środku, więc zanim ktoś go zawołał, minęła chwila. Zaczął krzyczeć, że Grzegorz mu kobietę ukradł. Tak powiedział, ja tylko cytuję. Jak dla mnie to coś brał, bo mówił coraz głośniej, gestykulował rękoma jak porażony prądem. Kilka osób go nagrywało, więc ich też zwyzywał. Grzegorz próbował go uspokoić, ale to nie działało. W końcu tamten wyciągnął bejsbol. No wiedzą panowie, taki kij do gry w tę amerykańską zabawę.

Policjanci spojrzeli na siebie, a Obrębski aż uniósł ze zdziwienia brwi.

– Pamięta pan, jak ten mężczyzna się nazywał?

– Nie – odpowiedział. – Ale wiem, jak się nazywa kobieta, o którą chodziło. To Bernadetta Miłek.

Rozdział 33

ONA

– Dzień dobry – powiedziała smutnym głosem kobieta siedząca na szarej kanapie. Schludnie ubrana blondynka zupełnie niczym się nie wyróżniała i chyba taki był główny cel zarówno makijażystki, jak i stylistki. Dziennikarka wyglądała tak neutralnie, jak tylko się dało, chociaż wiedziałam, że potrafiła przyciągać uwagę. Widziałam ją parokrotnie w bardziej prowokującej odsłonie. – Dla wielu jest to kolejny zwykły dzień, jednak dla rodziny Magdaleny Boczarskiej żaden już taki nie będzie. Na wstępie dziękuję ślicznie za poświęcony czas. – W tym momencie kamerzysta zwiększył kadr i okazało się, że obok siedzą rodzice dziewczynki.

„Serio?”, pomyślałam. Gdyby nie moja ciekawość, zmieniłabym kanał. Nie wiem, dlaczego ludzie często wolą uzewnętrzniać się takim hienom jak dziennikarze, którzy czerpią profity z ich tragedii, zamiast przekazać cenne informacje policji.

Kiedyś przeczytałam, że to wynika z potrzeby „bycia zaopiekowanym”, co najgorsze żniwa zbiera w przypadku medycyny. Bo tam dochodzi do strasznych rzeczy. Nie wiem, dlaczego kiedyś zaczęłam o tym czytać i z niedowierzaniem pochłaniałam kolejne artykuły. Ro-

dzice potrafią rezygnować z leczenia swoich dzieci, bo lekarze ich nie słuchają, za mało rozmawiają. Już nie raz zdarzało się, że zamiast postawić na sprawdzone rozwiązania z zakresu medycyny, powierzą życie swoje lub bliskich w ręce szamanów, którzy podają im placebo lub „magiczną wodę” niewiadomego pochodzenia. Jeden przypadek chyba najbardziej mną wstrząsnął. Była to sprawa dziewczynki, którą rodzice za namową znachora karmili niewystarczającą ilością jedzenia, a na dodatek dostali zakaz kontaktowania się z kimkolwiek z rodziny. Dziewczynka zmarła. Nie wiem, jak można być tak okrutnym, żeby zagłodzić własne dziecko, ale musi działać jakiś psychologiczny mechanizm, podobnie jak ten skłaniający ludzi do wyznań przed kamerą.

– Wiem, że wszystko teraz wydaje się państwu bez sensu – cały czas uśmiechając się delikatnie, obróciła się w stronę rozmówców – i najlepiej byłoby zamknąć się w domu i już nigdy nie wyjść, ale na chwilę obecną ważne jest, aby po pierwsze, znaleźć tego człowieka, który skrzywdził Magdę, a po drugie, ustrzec inne dziewczynki. Miejmy nadzieję, że to nie seria. Ale zacznijmy od kilku słów o państwa córce. – Dziennikarka skinęła głową na matkę dziewczynki.

Pani Boczarska na pewno na co dzień uchodziła za piękność. Duże błękitne oczy, proporcjonalny nos, usta, którym nic nie brakowało. Pewnie sporadycznie korzystała z medycyny estetycznej, bo na jej czole ciężko było znaleźć jakieś zmarszczki. Siedzący obok niej mężczyzna już nie robił takiego wrażenia. Łysiejący, na pewno dużo starszy. Sporych rozmiarów nos i kilka podbródków. Szczelnie owinął się swetrem, więc nie widziałam całej jego sylwetki. Uwagę przykuwała ciągnąca się przez pół twarzy blizna.

Opowieści o ich córce słuchałam z uwagą, ale większość rzeczy już wiedziałam. To, że odnosiła sukcesy w tańcu nowoczesnym, to, że ciężko pracowała, wstawała rano, biegła, wieczorami godzinę przed snem się rozciągała, a w ciągu dnia, gdy większość jej równo-latków leżała na kanapie wpatrzona w telewizor lub ekran swojego smartfona, ona cisnęła kolejne układy taneczne. A przy tym praktycznie nie narzekała. Wiadomo, czasami pojęczała, ale biorąc pod uwagę ogrom włożonego wysiłku, ojciec z dumą nazywał ją tytanem pracy, od którego dorośli mogliby się wiele nauczyć.

Czego nie wiedziałam, a czego też w sumie nie sprawdzałam, to historia jej rodziców. Mama pracowała jako reżyser, zajmowała się głównie reklamami i bardzo krótkimi filmami, w czym odnosiła sukcesy, choć opowiadała o tym z lekkim wręcz wstydem. Ojciec Magdaleny był strażakiem. Okazało się, że podczas jednej z akcji spadła na niego metalowa część dachu hali, raniąc go w twarz.

Rodzina idealna, jak to podsumowała dziennikarka.

Rozmowa toczyła się dalej, lekko wchodząc w obszary już nieznane rodzicom.

– Co się mogło wydarzyć? – dopytywała zrozpaczonych rodziców, gdy w tle zabrzmiał dzwonek do drzwi.

Zdziwiłam się, bo wydawało mi się, że podczas takich nagrań ktoś zabezpiecza dom przed niespodziewaną wizytą kogokolwiek, ale pomyliłam się. Dźwięk dzwonka niósł się po salonie, a zarówno dziennikarka, jak i siedzący obok rodzice nie wiedzieli, co zrobić. W końcu matka dziewczynki wstała, rzucając przez ramię ledwo słyszalne „przepraszam”, i ruszyła do źródła dźwięku.

Dziennikarka, pozostawiona sama z ojcem, uśmiechała się, próbując nawiązać rozmowę, ale mężczyzna już się nią nie interesował.

Patrzył w miejsce, gdzie zniknęła jego żona.

– Kurier – usłyszeli w końcu głos kobiety.

Kamerzysta cały czas pokazywał siedzących na kanapie. Pewnie w tym momencie wiele osób wyłączyło transmisję – i się nie dziwię. Ja też już byłam bliska. Po dłuższej ciszy rozległ się cichy kobiecy głos, która jakby pytała sama siebie:

– Co to?

– Co się stało? – Mężczyzna wstał i ruszył do żony.

Dziennikarka ruchem głowy dała znać operatorowi, aby poszedł za nimi. Posłusznie wykonał polecenie i po chwili szli w kierunku małżeństwa.

– Ktoś wysłał nam list. – Kobieta spojrzała na męża, a potem na dziennikarkę.

Kamerzysta wczuł się i zrobił najazd na twarz kobiety.

– Ale co w nim jest? Wyglądasz dziwnie.

– Ten ktoś nas... przeprasza... – wyszeptała i zaczęła płakać.

W tym momencie ucięto nagranie, co było dla mnie zaskakujące, bo już tyle razy pokazywano ludzi przeżywających tragedie, zupełnie nie respektując faktu, że cierpią. Pewnie to dlatego, że reprezentowali telewizję, a nie jakiegoś domorosłego dziennikarza, publikującego na swoim kanale. W takich wypadkach im większa katastrofa rozmówcy, tym więcej chętnych do oglądania, a później lajków, udostępnień i komentarzy, co przekłada się na zyski.

Na koniec materiału o rodzinie pogrążonej w rozpacz nie pokazano już ich, ale tylko dziennikarkę. Pewnie przed ich domem, chociaż wiem, że potrafiliby też kręcić przed innym, udając, że to ten rozmówców. W kilku żołnierskich słowach kobieta powiedziała, że

rodzina zmarłej dostała kartkę z wydrukowanym jednym wyrazem:
„Przepraszam”.

Oczywiste pytanie, które się nasuwało, to czy wysłał ją morderca.
A jak nie, to kto?

Rozdział 34

Odnalezienie Bernadetty Miłek, o której wspominał woźny w ośrodku, okazało się nie lada wyzwaniem. Kobieta co chwilę zmieniała adres. Wynajmowała mieszkania przez kilka miesięcy, jednak z powodu niepłacenia czynszu była z każdego wyrzucana. Czasami zdarzało się to po trzech, czterech miesiącach, innym razem po ponad ośmiu.

Nawet jej matka, do której Bogucki wraz z Obrębskim trafili na samym początku, ponieważ Miłek zameldowana była u niej, nie wiedziała, gdzie szukać córki.

– Ona jest jak cyganka, non stop na walizkach. Tylko w odróżnieniu od nich to nie jej wybór – zaczęła kobieta, stojąc w drzwiach swojego mieszkania z papierosem w ustach i w mało atrakcyjnej sukience, szarej w niebieskie mazy. – Ona jest nieogarnięta i czeka na księcia z bajki. Nie wiem, skąd się u niej to wzięło. U nas zawsze prosto było. Zapieprzasz, jest żarcie. Nigdy nie szukaliśmy po śmietnikach, bo ciężko pracowaliśmy, a od święta dobrzy ludzie pomagali. Dawali ciuchy, jedzenie, a nawet meble. – Kobieta wydmuchała dym w stronę policjantów i ponownie się zaciągnęła. – Ta moja córka to czasami taka głupiutka jest. Zupełnie nie wiem po kim. Po zawodówce, zamiast pójść do roboty, to w domu siedziała. Twierdziła, że ten jej chłop, ojciec młodego, tego chce. Ale gówno prawda, leniwe

to takie. Więc siedziała trzy lata, a później już mówiła, że nic nie pamięta z tego, co się uczyła. To wysępiła ode mnie na jakiś tam kurs. Akurat moja matka zmarła, więc dostałam kasę w spadku. Nie jakieś miliony, ale okazało się, że stara odłożyła trochę grosza. Bernia obiecywała, że odda, ale guzik. Zresztą jej obietnice nigdy nie miały pokrycia. Nigdy tysiąka nie zobaczyłam, a ona i tak do roboty nie poszła. Chwilę później ten jej facet ją pogonił. W sumie to się nie dziwię. Sama pewnie na jego miejscu bym to zrobiła. Wstyd mi za nią. Niczego się nie uczy. Potem znowu zaciążyła, oczywiście z kolejnym palantem. I teraz już palcem nawet nie ruszy. Takiego nieroba wychowałam...

– Czy któryś mężczyzna ją bił? – spytał Obrębski.

– Każdy ją bił – prychnęła i ponownie się zaciągnęła, mimo że żar dotykał już praktycznie filtra. – Jej ojciec bił mnie latami, chociaż córeczki nigdy nie tknął. Po każdej awanturze przychodziła do mnie, przynosiła mi mrożonkę lub wyskrobywała lód z obudowy zamrażarki, ładowała w cokolwiek i przykładała mi do twarzy. Ten skurwiel walił mi plomby gdzie popadnie, nie przejmując się tym wcale. I ona to widziała, pocieszała mnie, a i tak teraz sama zazwyczaj wybiera damskich bokserów. – Kobieta wzruszyła ramionami i rzuciła sobie pod nogi końcówkę papierosa, jakby zapomniała, że to jej własne mieszkanie.

– Smutne – skomentował Bogucki i lekko się uśmiechnął. – Czy wie pani, gdzie teraz jest córka?

Kobieta przecząco pokręciła głową.

– A w sumie to czemu o nią wypytujecie? Zrobiła coś?

– Musimy z nią porozmawiać w związku z prowadzoną sprawą – odpowiedział Obrębski na jednym wydechu.

– Aha – westchnęła tylko i wyjęła kolejnego papierosa.

– Może pani wstrzymać się na sekundę? – Bogucki spojrzał na papierosa. – Czyli nie wie pani, gdzie córka przebywa i z kim ostatnio się spotykała?

– Nie wiem. – Ścisnęła dłonią wypchany tytoniem kawałek papieru.

– A wie pani, gdzie wnuczki chodzą do szkoły?

– Młody nie chodzi. Nie dawał rady, ale młoda tak! – Klasnęła w ręce, a trzymany papieros wypadł jej z ręki. Aspirant schylił się po niego i schował do kieszeni. Kobieta zmierzyła go wzrokiem i uśmiechnęła się do Obrębskiego, który właśnie stał się w tym ducie dobrym gliną. – Czasami, jak córka coś nawywijała i nie zdążyła, to chodziłam po młodą. Ale ostatnio już nie prosi mnie o pomoc.

– No i coś mamy! – Komisarz uśmiechnął się. – To poproszę adres szkoły i spadamy. Będzie mogła pani dalej truć się w spokoju.

Kobieta spochmurniała, rzuciła nazwę placówki, do której chodziła córka poszukiwanej, i trzasnęła drzwiami. Znalezienie szkoły nie stanowiło problemu. Niestety nie przewidzieli, że dziecko kobiety nosi nazwisko po swoim ojcu. Nie wiedzieli, jak Miłek wygląda, ile ma lat jej córka, zupełnie nic.

Zmuszeni sytuacją, wrócili do jej matki. Tym razem na krótką rozmowę poszedł już sam Obrębski. Przemieszczając się jak paraliż, wspiał się na pierwsze piętro i sprawę, którą Bogucki ogarnąłby w dwie minuty, załatwił w dziesięć.

Gdy ponownie wrócili do szkoły, właśnie trwała przerwa. Tłum wrzeszczących dzieci kręcił się po boisku w każdym kierunku, powodując problemy z przemieszczeniem się funkcjonariuszy.

– Nauczanie tych bachorów to przecież praca w ciężkich warunkach. Jakaś masakra! – sapnął zdecydowanie za głośno Bogucki, gdy zatrzymali się przed wejściem.

– Moja mama pracowała jako nauczycielka. Tyle razy jej pytałem, jak to znosiła, ale ona zupełnie nie czuła tego jako katorgi. Za to ja za żadne pieniądze świata nie mógłbym pracować w szkole.

– Oj, ja też – westchnął aspirant.

Pięć minut później po kolejnym dzwonku zapanowała cisza, a wtedy ruszyli do budynku. Uzbrojeni w imię i nazwisko dziewczynki, skierowali swoje kroki do gabinetu dyrektorki. Ta z uśmiechem na twarzy siedziała za wielkim drewnianym biurkiem. Szybko nakreślili jej sprawę, z którą przyszli, ale to, co usłyszeli, z jednej strony ich zasmuciło, jednak z drugiej nie zaskoczyło.

– I tak nic nie mogę panom powiedzieć.

– Czyli ukrywa pani coś? – Obrębski uśmiechnął się, jednocześnie zaciskając pięść.

– Takie są przepisy i tego niestety nie obejdę – kontynuowała. – Tak w ramach dobrej współpracy mogę tylko powiedzieć, że ta uczennica kończy zajęcia o czternastej dwadzieścia, a jej mama jeździ starą zieloną toyotą avensis – rzuciła i sięgnęła po telefon, dając znać, że ich spotkanie dobiegło końca.

Pożegnali się i wyszli przed budynek. Do wskazanej godziny mieli jeszcze czterdzieści minut. Gdyby pogoda była trochę łaskawsza, pewnie by usiedli na jednej z ustawionych przed wejściem do budynku ławek, które zapewne zostały przygotowane dla oczekujących swoich pociech rodziców. Zimny wiatr i mżawka siąpiąca z nieba spowodowały jednak, że bez namysłu skierowali swoje kroki do zaparkowanego nieopodal samochodu Boguckiego. Naturalne

było również to, że jak tylko zamknęli za sobą drzwi, aspirant przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył grzanie.

– Mam nadzieję, że ta pani wniesie coś do sprawy – zaczął Obrębski, grzebiąc w telefonie.

– Tego chyba nigdy się nie wie.

– Niestety nie. Ale sam wiesz, że często cenne informacje mają najbardziej zaskakujące osoby, a za to ci, co powinni coś wiedzieć, nie mają o sprawie zielonego pojęcia albo nic nowego do niej nie wnoszą. Kiedyś zaginęła dziewczyna, trzynastolatka. Przepadła jak kamień w wodę. Poszukiwania ruszyły na całkiem sporą skalę. Mnóstwo zaangażowanych osób. Rodzice zupełnie nie mieli pojęcia, co mogło się stać. Córka nie dotarła do szkoły. Wyszła rano z plecakiem przewieszonym przez ramię i tyle.

– Ktoś ją porwał?

– Nie. – Obrębski odwrócił się w stronę kolegi i uśmiechnął. – Sprawa okazała się bardzo prosta i, co ważne, skończyła się happy endem, ale nie o tym. Generalnie szukano jej wszędzie. Przepytowano wszystkich, aż zgłosiła się do nas pani woźna. Kobieta po pięćdziesiątce, niewiarygodnie niska, ale z taką krzepą, że hej. I wyobraź sobie, że dwa dni przed zniknięciem młodej ona stała koło niej w autobusie. Powiedziała, że pewnie nie zwróciłaby na nią uwagi, ale dziewczyna miała przyklejony do buta kawałek papieru toaletowego. Kobieta zastanawiała się, czy to może ona gdzieś czegoś nie posprzątała i tym sposobem ten kawałek znalazł się na bucie zaginionej. Stała koło niej i patrzyła, jak to sama określiła, jak ciele na malowane wrota, gdy dziewczyna nagle radośnie podskoczyła. Zaginiona gadała z kimś przez telefon. Po tym wystrzale radości padło krótkie zdanie: „To widzimy się w piątek pod Pekinem”. Na początku jakoś

nie wyłapaliśmy, o co chodzi. I nagle jeden z naszych przypomniał sobie rozmowę ze swoją córką, która wspominała, że w Pałacu Kultury i Nauki, nazywanym przez niektórych warszawiaków Pekinem, odbywał się konkurs śpiewacki, na który rodzice dziewczyny nie wydali pozwolenia. W kolejnym tygodniu miała sprawdzian czy coś w tym stylu i nie chcieli, żeby się rozpraszała. Ona jednak poszła i zakwalifikowała się do kolejnego etapu. Później twierdziła, że napisała SMS do rodziców, że nocuje u koleżanki, ale ten się chyba nie wysłał. Następnego dnia odbywał się kolejny etap i ponownie jej się udało. Tylko zupełnie nie wiedziała, co się dzieje, bo rodzice poblokowali jej wszystkie aplikacje, chcąc ją ochronić przed światem. A to, że do niej dzwoniли, jakoś jej nie dziwiło. W końcu ją namierzyliśmy, akurat schodziła ze sceny z uśmiechem na twarzy. To było słodko-gorzkie zwycięstwo.

– To faktycznie ciekawe – westchnął Bogucki i zapadła krępująca cisza, którą po kilku minutach przerwał dźwięk przychodzącego SMS-a. Powoli wyciągnął telefon ze spodni i zerknął.

Beata.

– Przeczytaj, mamy czas – rzucił kolega, widząc jego zmieszana minę.

Wyświetlił wiadomość, starając się nie zdradzać emocji. Dziewczyna informowała go o przyjeździe jej młodszego brata do Polski i o tym, że chciałyby go mu przedstawić. Wiedział, że to kolejny krok w ich znajomości.

Rodzeństwo stanowiło dla niej podporę i ważny element życia. Obaj bracia mieszkali w Wielkiej Brytanii, ale robili wszystko, aby utrzymywać stały kontakt. Każdy zorganizował sobie swój świat, mimo to starali się cały czas być dla siebie ważnym elementem tego

życia. Dzwonili do siebie regularnie, a gdy działo się coś szczególnego, to nawet i częściej. Dwa dni wcześniej młodszy z nich zadzwonił, bo nie wiedział, jaki czajnik ma wybrać. Beata obejrzała wszystkie, które brał pod uwagę, i wskazała ten, który jej się podobał najbardziej.

– I jak tam nowa dziewczyna? – rzucił komisarz, nie odrywając wzroku od swojego telefonu.

– Dziewczyna? – powtórzył po nim Bogucki i poczuł ucisk w brzuchu.

– No, ta, co się z nią spotykasz...

– Ale...

– Przecież wiem. Widać, jak ci się wyraz twarzy zmienia, gdy ktoś pisze. Nawet teraz niby próbowałeś się nie uśmiechać, ale oczy ci się zaświeciły. Pamiętaj, że w końcu jestem detektywem. – Wyszczerył zęby, a Bogucki poczuł, że cały się napina. Zupełnie nie wiedział, czy kolega ma pełen zestaw informacji, czy tylko niewielki, nieszkodliwy wycinek. Wolałby opcję numer dwa.

– Strach się bać – powiedział i momentalnie pożałował, bo zabrzmiało to tak, jakby coś ukrywał.

– Ja cały czas obserwuję – kontynuował ostrzał komisarz. – To opowiadaj. Jak się poznaliście? Czy coś z tego będzie i takie tam.

– Ale...

– Mamy pół godziny siedzenia beczynnie. Możemy gapić się tępo w telefony albo pogadać o czymś w miarę interesującym, na przykład, jak to mówiła moja babcia, o damach naszego serca albo dupach, jak mówi mój brat cioteczny.

– To może ty zaczniesz – rzucił Bogucki, czując, jak z sekundy na sekundę poci się coraz bardziej.

– Ale u mnie nuda. Po zerwaniu z ostatnią kobietą jakoś nie mogę się pozbierać.

– Aha – westchnął i rozejrzał się dookoła, jakby szukał gdzieś pomocy. – No, mam kogoś, ale nie wiem, co z tego będzie. Na razie się poznajemy.

– Brunetka, blondynka, masz jakieś zdjęcie?

– No... Yyy... Nie, jakoś tak wyszło, że nie zrobiliśmy jeszcze. – Pierwsze krople zimnego potu pojawiły się na plecach aspiranta.

– A ma profil na Facebooku lub innym TikToku?

– Nie. – Pokręcił głową przecząco. – Ona z tych, co unikają mediów społecznościowych. – Poczul, że koszulka na plecach robi się coraz bardziej wilgotna.

– No tak, w sumie się nie dziwię, ja też unikam. Bo niby po co to nam. To pokazywanie ludziom swojego życia, wrzucanie swoich poglądów i takie tam farmazony. Ja mam wrażenie, że ludzie przez to jakoś mniej się komunikują. – Cały czas gapił się w telefon, co mocno kontrastowało z tym, co z siebie wyrzucał. – A coś lubi?

– No... To jakieś przesłuchanie? – Bogucki w końcu nie wytrzymał.

– Sorka, ale moja eks zawsze mi wypominała, że nie interesuję się innymi. Nie zadaję im pytań, co u nich, jak się czują, jak im dzień mija. Czy się z kimś spotykają i takie tam. Ostatnio jakoś trochę o tym myślałem i w sumie to nawet miała rację. Może przez to, że nasza praca to interesowanie się innymi, to jakoś zapominam czasami o tych, z którymi spędzam czas. Z pracownikami, rodziną, dziewczyną.

– Aha, rozumiem – westchnął ponownie.

– Przepraszam, ale muszę zadzwonić. – Obrębski spojrział na telefon i wysiadł, zostawiając kolegę w środku nagrzanego samochodu. Wrócił dokładnie w momencie, kiedy usłyszeli dzwonek szkolny, a kilkanaście sekund później z budynku wypadła chmara uczniów, więc obaj opuścili pojazd.

Przez chwilę stali zupełnie zdezorientowani, jakby nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić. Dzieci biegały dookoła i krzyczały, jakby ktoś je oblał czymś gorącym lub inną nieprzyjemną w odbiorze substancją.

Po kilku minutach rwetes zaczął cichnąć. Część uczniów szła na pobliski przystanek autobusowy, a innych zabrali rodzice, robiąc przed szkołą korek.

Stali bezpośrednio przed wejściem, ale żadne z nich nie mogło dojrzeć kobiety w zielonej toyocie. Zamiast niej zauważyli dziewczynkę, która powoli noga za nogą szła w stronę ulicy. Nie tryskała entuzjazmem, nie krzyczała. Zbliżyła się do jednej z ławek i usiadła. Nie rozglądała się, jakby wiedziała, że i tak nikt nie będzie na nią czekał.

Niespiesznie ruszyli do niej. Nie chcieli jej przestraszyć, chociaż dobrze wiedzieli, że widok dwóch dorosłych mężczyzn może tak zadziałać. Niestety w takich sytuacjach męski skład nie stanowił najlepszego rozwiązania, ale nie mieli co z tym zrobić.

– Jesteś córką Bernadetty Miłek? – odezwał się Obrębski z przyjaznym uśmiechem.

Dziewczynka podniosła na nich wzrok i zmarszczyła brwi, a w jej oczach pojawił się strach.

– Nic jej się nie stało – dodał natychmiast Bogucki i wyjął ręce z kieszeni, żeby wyglądać mniej groźnie. – Chcielibyśmy z nią poroz-

mawiać, jesteśmy z policji.

– Tak, moja mama to Bernadetta Miłek, a ja jestem Agata Jackowska. Tak na nazwisko ma mój tata. Niestety pani w urzędzie nie chciała dać mamy nazwiska. Podobno takie są przepisy. Tata mnie nie chciał, ale trudno. – Dziewczynka wzruszyła ramionami, jakby nie mówiła o niczym przykrym. – Powinna zaraz być, ale jak zawsze się spóźnia.

– Możemy z tobą poczekać? – spytał Obrębski.

– No dobrze.

Kilka minut później przed budynek szkoły wtoczyła się toyota avensis. Obdrapany przedni zderzak i wgniecenie na wysokości tylnych drzwi za pasażerem wskazywały, że aktualny lub poprzedni kierowca raczej nie należał do mistrzów kierownicy. Kobieta zahamowała z piskiem opon, po czym samochód zrobił delikatny podskok do przodu. Policjanci spojrzeli na siebie z politowaniem i ruszyli w jej stronę.

– Komisarz Maksymilian Obrębski i aspirant Bartosz Bogucki. Pani Bernadetta Miłek?

Dobrze wiedzieli, jaka jest odpowiedź, ale i tak musieli zapytać. Kobieta odruchowo spojrzała na swoją córkę i wróciła wzrokiem na starszego rangą policjanta.

– Co ona zrobiła? Przywalała temu koleśowi z ósmej, co ją obmacywał w łazience? I bardzo dobrze! – krzyknęła i podeszła do córki. – Tak nie może być, że facet się znęca nad Bogu ducha winną dziewczynką. Powinniście go gdzieś zamknąć, żeby już nie mógł nikogo zranić.

– Pani Bernadetto – odezwał się spokojnie Maksymilian Obrębski. – My w innej sprawie, ale jeżeli coś działo się niepokojącego, po-

winna pani zgłosić to na najbliższym komisariacie.

– To o co chodzi? – Kobieta założyła ręce na brzuchu, powodując, że już i tak mocno wyeksponowane piersi podniosły się jeszcze bardziej.

– Czy pani córka mogłaby chwilę poczekać w samochodzie? – Obrębski wskazał ruchem głowy na siedzącą nieopodal dziewczynkę, która bez problemu mogła wszystko usłyszeć.

– Nie mam nic do ukrycia...

– Nalegalibyśmy.

– No dobrze, Agatko, mogłabyś na chwilę? – Wyciągnęła kluczyki do samochodu i rzuciła je córce.

Dziewczyna nic nie powiedziała, tylko smutno spuściła głowę.

– Dorastanie... – skomentowała Miłek. – Ostatnio wszystkie dzieci jakieś takie nostalgiczne są. Nie wiem, o co chodzi. Zamiast biegać, skakać, robić coś fajnego, to ona siedzi na tym telefonie. – Kobieta spojrzała na samochód. – Dobra, ale nie o tym, co się stało? Sąsiad do mnie doniósł, że śmieci nie segregują?

Mężczyźni spojrzeli na siebie ponownie, zupełnie nie łapiąc, o co chodzi.

– Czy zna pani Grzegorza Mazura?

– Grześka? Z ośrodka? – Widząc kiwnięcie głowami funkcjonariuszy, rzuciła: – Fajny pomocny facet, a co?

– Niestety nie żyje.

– Pierdoli pan! – Oczy kobiety momentalnie zrobiły się większe, a żuchwa oddaliła się od szczęki. Miłek pokręciła głową z dezaprobatą. – Jezu, że już tacy dobrzy ludzie umierają... To jakaś masakra. Dwa miesiące temu umarła moja kochana babcia. Jedyna normalna osoba w mojej rodzinie. Nigdy nikogo nie biła, nie krzyczała, może

za bardzo wierzyła w Boga, ale mi nie kazała, więc w sumie to miałam to gdzieś. Cudowny człowiek. Miała swoje lata, ale nie to ją do grobu wpędziło, ale oszczędności. Spółdzielnia obsługująca jej budynek zatrudniała ekipę debili, bo tańsi byli, i proszę sobie wyobrazić, że mojej osiemdziesięcioletniej babci pod drzwiami ustawili betonowe bloczki i bidulka, wychodząc rano po bułki, wywaliła się i uderzyła o schodek. To naprawdę trzeba być kretyńcem, żeby coś takiego zrobić. Niestety uraz głowy był śmiertelny.

– Bardzo nam przykro – zaczął Obrębski i spojrzał na samochód, upewniając się, że córka kobiety już w nim siedzi i nie słyszy ich rozmowy. – Czy coś łączyło panią ze wspomnianym mężczyzną?

– Tak, sypiałam z nim – rzuciła i uśmiechnęła się łobuzersko, łącząc usta w dzióbek i zawadiacko unosząc jedną brew. – Nie powiem, dobry był, skubany.

– Dziękujemy za tę informację, ale czy mogłaby pani opowiedzieć coś więcej o waszej znajomości?

– Nooo, jakieś dwa, może trzy miesiące się spotykaliśmy, i to już było z pół roku temu. A może trochę więcej. Nie było to jakieś love story. Czasami kawka, ciastko, potem seks.

– Dlaczego się skończyło?

– Niezgodność charakterów – zaśmiała się. – A tak serio, to ja nie jestem zbyt dobrym materiałem na partnerkę. Nie potrafię gotować, sprzątać, jako tako zajmuję się dziećmi. Podobno w łóżku jestem nieziemską, ale to nie starcza im na dłużej – rzuciła i puściła oczko do Obrębskiego, który zaczerwienił się lekko.

– Czy prawdą jest, że ze względu na panią jakiś mężczyzna chciał pobić Grzegorza Mazura?

– Tak – prychnęła i zaśmiała się ponownie. – Jeden taki się przyczepił do mnie, zresztą nie tylko do mnie, jak się później okazało. Spotkałam się z nim raz czy dwa, ale to zdecydowanie nie było to. Ja nie z tych królewiatek, co księcia szukają, ale minimum oglądy wymagam. Tak żeby nie zachowywał się jak cham, potrafił złożyć zdanie po polsku, takie proste sprawy. A ten nic. Klął jak szewc i dukał strasznie. Nie chciał się odzepić. No i nie wiem dlaczego, ale powiedziałam, że mam kogoś. Zupełnie nie mam pojęcia czemu, ale wymyślił sobie, że to Grzesiek, i tym sposobem wylądował w ośrodku i chciał pobić Grześka.

– A proszę powiedzieć, dlaczego pani tam bywała? – Obrębski spojrzał ponownie na samochód.

– Mam jeszcze syna. – Uśmiechnęła się smutno. – Niestety nie jest w stanie chodzić bez pomocy. Całymi dniami z nim siedzę, przez to nie mogę pracować. Jak wychodzę po córkę, to zostaje chwilę sam lub sąsiadka zagłada.

– Rozumiem, a czy mężczyzna, który zaatakował Grzegorza Mazura, mógł nadal żywić do niego urazę?

– Ten gość ledwo pamiętał w południe, co jadł na śniadanie. Poza tym podobno się ożenił. Jakaś szybka akcja z koleżanką z podstawówki i został zaobrączkowany – parsknęła śmiechem.

– Mam jeszcze jedno pytanie – powiedział Obrębski. – Czy orientuje się pani, czy Grzegorz Mazur później z kimś się spotykał?

– Tak – sapnęła, a na jej twarzy pojawił się grymas zniesmaczenia. – Z Dominiką Kamińską. Jeju, jak ja jej nie lubię. Zawsze chodzi w zbyt krótkich spódniczkach, cycki wypina, jakby ją coś bolało, poza tym śmieje się non stop, i to wtedy, gdy nie ma nic zabawnego.

Ma syna, niestety też niepełnosprawnego jak mój Aleks, ale tamten jest jakiś taki niesympatyczny, no i starszy.

Rozdział 35

ONA

Ludzie są obłudni. Od dawna o tym wiedziałam. Roztaczają przed nami pewną wizję, pewien swój wizerunek, który w zderzeniu z rzeczywistością okazuje się bzdurą.

Niczym prawdziwym.

Zlepkiem kłamstw, którymi jesteśmy karmieni.

Miłosz pracował ze mną trzy lata.

Podobny do mnie. Wycofany, cichy.

Czasami siadałam z nim w kantine i gadałam o życiu. Zdziwił mnie swoją miłością do Boga.

– Ludzie już w nic nie wierzą – stwierdził kiedyś, jedząc zrobiony, z tego, co pamiętam, przez swoją mamę gulasz z ziemniakami. Nigdy takiego nie jadłam, gdy byłam mała. Moja matka raz próbowała zrobić dla „swojej” rodziny. Obserwowałam ją z daleka, jak się męczy z mięsem. Po godzinie duszenia stwierdziła, że chyba kupiła złe, bo cały czas takie twarde. Nikt jej nie powiedział, że to trzeba wiele godzin dusić, aby uzyskać odpowiedni smak i konsystencję. Ja zrobiłam dwa razy, wyszło super, ale na co dzień nigdy nie mam tyle czasu, aby go pilnować i co jakiś czas mieszać, żeby się nie przypalił.

– Oj nie! – Zastygłam z łyżką w połowie drogi do ust. Ostatnio akurat o tym rozmyślałam i miałam kilka spostrzeżeń. – Wierzą w Netflixa, Facebooka i Instagrama. Jak to zniknie z ich życia, rozpadną się i już nigdy nie pozbierają.

– No tak – rzucił, powoli żując mięso. – Tylko to nic im nie daje. Żadnych wartości, a wręcz w drugą stronę. Antywartości. Bóg obdarowuje nas wieloma pięknymi rzeczami, nie wiem, jak mogą nie chcieć z tego korzystać.

– Na przykład jakimi? – Wlepiłam w niego wzrok.

Przeżuł kolejny kęs, położył widelec obok i splótł dłonie, trzymając łokcie na blacie stołu.

– Miłość, radość, wybaczenie...

– Serio? – Nie wiem dlaczego, ale ta rozmowa mnie irytowała. Chciałam mu wykrzyknąć: „Gdzie był Bóg, gdy mnie krzywdzono? Jak potrzebowałam jego pomocy? Gdzie był Bóg, gdy działa mi się krzywda?”.

– Oczywiście. Nie wiem, czemu w to wątpisz.

– Bo jakoś nigdy... – Głos mi zadrżał.

– Nigdy ci nie pomógł? – dokończył za mnie, a ja poczułam się naga. Jakby mnie przejrzał. Dopiero po chwili zrozumiałam, że każdy z nas gdzieś kiedyś na jakimś etapie życia zostaje skrzywdzony. – Ale Bóg nie pomaga tak po prostu. On często rzuca nam pod nogi kłody, żeby nas wzmocnić, sprawić, abyśmy stali się jeszcze silniejsi.

– Aha – westchnęłam i zerknęłam wymownie na zegar.

Prawie zaszufłkowałam Miłosza jako bardzo wierzącego, ale niegroźnego, jednak zmieniłam zdanie, gdy przypadkiem wyłapałam go na zdjęciu z organizowanego przez jakąś prawicową organizację

marszu. Generalnie uważam, że każdy ma prawo do przeróżnych poglądów, ale jeśli nie wpływają one na życie innych, nie wymuszają na nich rzeczy, z którymi oni się nie zgadzają.

Nie lubisz koloru żółtego? Nikt nie powinien cię zmuszać do kupowania samochodu w takim kolorze.

Nie wierzysz w Boga? Nikt nie powinien ci wmawiać, że przez to nie jesteś wartościową osobą.

Kochasz osobę tej samej płci? Jeżeli nie krzywdzisz tym innych, rób, co chcesz. Komu co do tego, co robisz w sypialni.

Tylko że Miłosz, na co dzień wycofany, skromny i tak podobny do mnie w kwestii komunikacji ze światem facet, zdawał się nafaszerowany nienawiścią niczym bomba trotylem, a loncik miał tak krótki, że chyba ledwo sam go widział.

- Polska dla prawdziwych Polaków!
- Zdecydowanie nie dla zboków!
- Rodzina wartością nadrzędną!

Śmieszyło mnie szczególnie ostatnie w odniesieniu do mojej osoby. Rodzina w moim mniemaniu była jednostką społeczną, którą śmiało można byłoby zlikwidować. Nie dała mi nic pozytywnego, może z wyjątkiem sprowadzenia mnie na ten świat. Poza tym tylko cierpienie, ból, w konsekwencji chęć skończenia ze sobą.

Patrzyłam na hasła wypisywane przez kolegów Miłosza i jego samego, zastanawiając się, co się dzieje z ludźmi. Co się z nimi stało, że tak bardzo chcą narzucić swoją wolę innym? Chcą ich zmienić na siłę, uważając, że tylko ich racje są tymi właściwymi, a jak ktoś sądzi inaczej, to używają pięści jako środka przymusu.

Kolejny szok przeżyłam, obserwując chłopaka koleżanki zabitej Magdaleny Boczarskiej. Nie wiem dlaczego, ale poszłam za nim po

jednej z ich randek, która skończyła się niezmiernie soczystym pocałunkiem i obłapywaniem się, co dość dziwnie wyglądało w kontekście młodej dziewczyny. Ten chłopak mnie przerażał, więc postanowiłam trzymać się na sporą odległość. Z internetu wiedziałam, że jest fanem koszykówki, polskiego rapu i celebrytów, którzy słyną z tego, że są słynni, nie reprezentując sobą żadnych wartości.

Szłam za nim, ciesząc się, że nie przyspieszył znacząco. Moja noga ostatnio mocno dawała o sobie znać, czego efektem był rozchodzący się po nodze prąd.

Przeszedł jakieś pięćset metrów i zatrzymał się na przystanku. Od razu wiedziałam, że nie jedzie do domu, ale w przeciwnym kierunku. Jego adres oczywiście już znałam, wiedziałam też, że ma starszą siostrę i dwóch młodszych braci. Jego rodzice zajmowali się usługami brukarskimi i nieźle im szło. Mieszkali w Łomiankach w całkiem sporym domu, który kupili dwa lata temu. Ot, taka zwykła rodzinka.

Tylko ja czułam pod skórą, że coś z nim jest nie tak.

Już od jakiegoś czasu odnoszę wrażenie, że mam jakiś w sobie wykrywacz dziwnych rzeczy.

Wykrywacz ludzi, którzy skrywają w sobie tajemnicę.

Wpatrzony cały czas w telefon chłopak wszedł do autobusu. W tym momencie rzuciłam chyba jakimś przekleństwem, bo nienawidzę jeździć na gapę. Mam aplikację i szybko ją uruchomiłam. Ten czas między wejściem do pojazdu a kupieniem biletu jest dla mnie jak tortury. Rozrywanie kołem. A co, jak wyjdzie skądś kanar? Co mu powiem? Jak się powinnam zachować?

Od kiedy byłam mała, zawsze sytuacje, gdy ktoś mnie o coś pytał, nawet gdy wszystko było w porządku, stresowały mnie. Takie to irra-

cjonalne, bo co mógł mi zrobić człowiek, który sprawdzał bilety, a ja miałam miesięczny i legitymację zawsze przy sobie.

Teraz jednak strach był jak najbardziej uzasadniony. Przecież ktoś mógł mnie sprawdzać. Może coś wyskoczyłoby mu w systemie. Zaciągnąłby mnie na komisariat i wtedy wszystko mogłoby się zdarzyć.

Oczywiście taki splot zdarzeń jest równie nieprawdopodobny jak wizyta kosmitów, ale ja już wiem, że imają się mnie rzeczy dziwne, więc chuchając na zimne, szybko kupiłam bilet i stanęłam w optymalnej odległości, tak aby widzieć chłopaka, ale aby on nie zwracał na mnie uwagi.

Zresztą czemu by miał.

Jestem nikim.

Jestem szaro-czarną masą, która niczym się nie wyróżnia.

No, może czasami kuśtykam, ale robię wszystko, co w mojej mocy, aby tak się nie działo.

Aby żaden szczegół mojego wyglądu nie skupiał uwagi innych.

Za to Kacper Niedźwiecki, zwany przez kolegów i znajomych, co niezbyt zaskakujące, Niedźwiedziem, uwielbiał być w centrum uwagi, przyciągać wzrok innych, a w szczególności dziewczyn. Nawet teraz w autobusie, w którym było kilkanaście osób, stała jedna młoda siksa i gapiała się na niego w taki sposób, w jaki ja chyba nigdy na nikogo nie patrzyłam. Dziewczyna oczy miała jakieś bardziej rozbiegane, usta delikatnie rozchylone i uśmiechała się co chwilę, powodując, że końcówka nosa szła jej do góry. A on był tym zachwycony. Patrzył to na nią, to na telefon, szczerząc się. Nie tak delikatnie jak ona, ale pełną gębą, pokazując najdalsze zęby.

Postali tak chwilę i już myślałam, że do niej podejdzie i zagada, zupełnie zapominając, że chwilę wcześniej penetrował swoim językiem usta innej, ale nie odrywając od niej wzroku, podszedł do drzwi i nacisnął guzik. Autobus się zatrzymał i chłopak wysiadł.

Tak zapatrzyłam się na tę dwójkę, że prawie przegapiłam przystanek. Wyszłam za nim i lekko się przeraziłam. Poza kilkoma latarniami świecącymi przy drodze panowała totalna ciemność. Zero budynków, tylko pole przechodzące w czarny las, złowieszczo majaczący w oddali.

Chyba pierwszy raz w mojej pseudodetektywistycznej karierze się przestraszyłam. Jakoś zawsze krążyłam po obszarach miejskich i nigdy nie sądziłam, nigdy nie pomyślałam, że moim przeciwnikiem może być ciemność.

Chłopak zupełnie nie zanotował mojej obecności i szedł w przeciwnym kierunku, niż odjechał autobus. Wyciągnęłam z torebki telefon i włączyłam GPS. Nigdy nie dotarłam w te rejony warszawskich przedmieść, więc nie wiedziałam, jak wygląda okolica. Na szczęście na ekranie z radością dostrzegłam, że zaraz wkroczymy w obszar bardziej cywilizowany, gdzie nie będę tak łatwym celem. Tak naprawdę wystarczyłoby, żeby się odwrócił i zrobił „buuu!”, a ja porobiłabym się w gacie.

Gdy zobaczyłam pierwszy budynek i samochód przed nim zaparkowany, poczułam, jak moje ciało się rozluźnia. Nawet nie wiem, w którym momencie się napięło, ale teraz wyraźnie czułam, jak wielka taśma, która je ścisnęła, puszcza, a ja mogę zacząć normalnie oddychać.

Chłopak minął pierwszy z niewielkich rozmiarów bloków po naszej prawej stronie i dynamicznym krokiem szedł przed siebie. Pew-

nie mierzył dobre trzydzieści centymetrów więcej niż ja, więc zasięg jego kroków był znacząco większy niż mój. Musiałam się nieźle postarać, aby iść w podobnym tempie, inaczej szybko zyskałby nade mną przewagę.

Od dawna planuję zacząć dbać o siebie. Wiem, że moje ciało jest niedoskonałe i fizjoterapia, na którą chadzam co dwa tygodnie, nie da nigdy spektakularnych efektów. Zawsze jednak są lepsze zajęcia niż sapanie, męczenie się, wykonywanie ćwiczeń, po których człowiek czuje się zmęczony i niezbyt ładnie pachnie.

Poza tym na co dzień jakoś jeszcze tego nie odczuwam, ale jak to powtarza mój dość mocno przypakowany fizjo, ten dzień nadejdzie szybciej, niż myślę, więc lepiej przeciwdziałać niż leczyć. Tylko że leżąc na kanapie, czytając książkę, nie czuję potrzeby, aby zmienić ten stan.

Niestety mój dzisiejszy przeciwnik był wysportowany i wiedziałam, że jeżeli za chwilę się nie zatrzyma, to przegram z nim, bo uda mnie piekły, a lewą stopę przeszywał ostry ból, taki na granicy, po której przekroczeniu padnę.

Chyba ktoś tam na górze – czasami w myślach nazywam go dyrygentem, bo w Boga nie wierzę – wysłuchał mnie, bo chłopak stanął.

Jezu, w końcu.

Najchętniej podbiegłabym do niego i rzuciła mu się w ramiona, wykrzykując „dziękuję”.

Ale nie mogłam. Stałam i patrzyłam.

Po chwili zobaczyłam, że podnosi głowę znad telefonu i uśmiecha się. Nie widziałam, do kogo, bo zasłaniał mi budynek. Ten uśmiech był dziwny. Przeraził mnie, bo nikt nigdy tak na mnie nie

patrzył i nie wiem, czy chciałam tego. U niego już to widziałam i chyba wiedziałam, co zaraz ujrzę.

Bingo!

To jest dziewczyna.

Miałam ochotę parsknąć śmiechem.

Chłopak znowu zapomniał o swojej ukochanej. Zapomniał o niej już raz, gdy w autobusie lubieżnie gapił się na inną pasażerkę.

Tym razem blondynka, niska, filigranowa, z upiętym wysoko kołkiem, rzuciła mu się na szyję i bez zbędnych słów zatopiła swój język w jego ustach. On nie oponował. Przyciągnął ją do siebie, lekko unosząc znad ziemi. Chwilę ją tak przytrzymał, po czym opuścił, a jego ręce zaczęły przesuwac się w dół po jej plecach, aż wylądowały na pośladkach.

Chętnie bym gdzieś poszła, schowała się, a tak stałam na widoku i gapiłam się na całujących się i obściskujących nastolatków jak jakiś zboczeniec czy inny dziwoląg.

Rozejrzałam się dookoła. Ani ławki, ani sklepu. Niczego, co mogłabym wykorzystać. Na szczęście po intensywnym przywitaniu odkleili się od siebie i ruszyli w przeciwnym kierunku niż ten, z którego ja i chłopak przyszliśmy.

Teraz już mój obiekt zwolnił. Może dlatego, że jego partnerka miała nogi podobnej długości jak ja, a może dlatego, że już nigdzie mu się nie spieszyło. Mógł delektować się czasem z nią. Przeszli jakieś dwieście metrów i skręcili w prawo.

Plac zabaw, a przy nim park. Z jednej strony kręcili się tu ludzie, ale z drugiej – widziałam już oczami wyobraźni te zaułki, których nic nie oświetlało. Niestety tam usiedli na ławce, a mnie sparaliżował strach. Co teraz?

Nie mogłam ich opuścić w tym momencie. Przejechałam pół miasta. Odkryłam jego drugą dziewczynę i teraz miałam zrezygnować?

Nie!

Wtedy coś dostrzegłam.

Ławeczkę za nimi, za gęstymi krzakami. Wprost idealnie.

Usiadłam i nasłuchiwałam. Od dawna wiem, że moje lewe ucho jest lepsze, więc skrzyłam się nim w ich stronę.

Niestety zupełnie nic interesującego nie usłyszałam.

Poza tym, że chłopak nie należał do zwolenników monogamii, więcej nie miał na swoim sumieniu.

Rozdział 36

Bartosz Bogucki od rana chodził jakiś podenerwowany.

Wczorajszy wieczór spędził w towarzystwie Beaty i jej młodszego brata, który okazał się niezwykle miłym, niewiele od niego młodszym chłopakiem, który wyjechał do Wielkiej Brytanii po studiach w poszukiwaniu pracy. Zaczynał od zmywaka, później awansował na kelnera. Zasuwał przez kilkanaście godzin dziennie przez sześć dni w tygodniu. Padał na twarz każdego dnia, aby następnego grzecznie wstać. Nie miał czasu na przyjemności, a wszystkie zarobione pieniądze odkładał. W końcu dostał awans, mógł mniej pracować i korzystać z życia. Zapisał się na kurs gotowania, potem kolejny. Początkowo traktował to jako formę spędzania wolnego czasu, bo w końcu go miał, ale wkrótce okazało się, że jest w tym niezły, a nawet i bardzo dobry. Po trzech latach krzątania się po warsztatach dla amatorów jeden z prowadzących zajęcia dostrzegł jego talent i zaprosił do siebie na praktyki. Początkowo odmówił, ale w końcu za namową siostry stwierdził, że może jednak spróbuje. Przeszedł wszystkie szczeble, od pomocnika po głównego kucharza, a od dwóch lat zarządzał stworzoną przez siebie niewielką knajpką, w której pełnił również funkcję szefa kuchni.

Siedzieli w mieszkaniu Beaty, jedząc zamówione jedzenie meksykańskie, które chłopak żuł uważnie, analizując każdy kęs.

– Zabiłeś kiedyś kogoś? – spytał nagle, wkładając do ust porcję quesadilli.

– Michał! – upomniała go siostra i szturchnęła łokciem w bok. Ostrzegała swojego aktualnego partnera przed wścibskimi uwagami brata, który zawsze potrafił wyskoczyć z jakimś zaskakującym pytaniem. – Przepraszam, on zawsze był taki niewychowany. Zupełnie nie potrafi się zachować wśród ludzi. Jakby dorastał w dżungli. Rodzice chcieli go oddać, ale nikt nawet za dopłatą nie wziął! – mówiła coraz głośniej, śmiejąc się co chwilę.

Bogucki patrzył na nich trochę zazdrośnie, widząc, jak bardzo są ze sobą związani. Sam nie miał nikogo tak bliskiego. Jednocześnie wypełniała go radość, że potencjalnie kiedyś mogliby zostać rodziną. Nigdy nie myślał o rodzinie swojej dziewczyny jako o kimś bliskim. Zawsze jego związek kończył się na niej. Na wybrance serca. Poprzednia dziewczyna była jedynaczką, a jej rodziców postrzegał raczej jako problem, a nie ludzi, z którymi chciałby spędzać więcej czasu, a w szczególności z matką, która do perfekcji opanowała umiejętność czepiania się. Generalnie obserwował, jak robi to w stosunku do córki, czasami i męża, ale wiedział, że kiedyś przyjdzie i na niego czas. Na szczęście, ku swej radości, nie doczekał tego momentu.

– Nie, no spoko. Odpowiem na każde pytanie – rzucił Bogucki, a Beata uniosła zawadiacko brwi.

– Na każde? – upewniła się.

– No... chyba tak.

– No dobrze, to kiedy szanowny aspirant poinformuje komisarza o swojej dziewczynie? – wystrzeliła kobieta, ubiegając brata.

– To on nic nie wie? – wtrącił się Michał i zaczął się śmiać. – Ale jaja. Maksiu pewnie będzie taki szczęśliwy, że kolega z pracy mizia się z jego byłą.

W tym momencie dziewczyna wyprowadziła cios i uderzyła brata w ramię.

– Panie władzo – zaczął – ona mnie bije. Proszę ją zakuć w kajdanki i zaprowadzić do lochu, najlepiej gdzieś głęboko pod ziemią, i zgubić kluczyk.

– Ta, zapłakałbyś się na śmierć – skomentowała natychmiast. – Kto by ci przypominał o urodzinach mamy, taty, twoich własnych, wszystkich głupich świętach, o których istnieniu nie masz pojęcia? Nie dałbyś rady beze mnie. Poza tym jestem twoim wsparciem przy podejmowaniu każdej decyzji. Ty nawet zakup papieru toaletowego musisz ze mną konsultować.

– No dobra, to możesz przynajmniej zaciągnąć ją na nudny film i spróbować utrzymać na fotelu do końca seansu. Ona nie wytrzyma w jednym miejscu. Ja strzelam, że ma robaki w dupsku, ale nie chce się zbadać.

W takiej atmosferze śmiechów i chichów przesiedzieli cały wieczór i mimo że Bogucki wiedział, że rano musi stawić się jak najwcześniej w pracy, nie ograniczał się. Pił, jadł, gadał do późna.

Gdy budzik zadzwonił o siódmej, Beata ostentacyjnie naciągnęła kołdrę na głowę, sygnalizując, że zamierza spać dalej. Nie dał jej nawet buziaka, tylko po cichu wyszedł z sypialni. Chociaż w salonie mógł się zachowywać normalnie. Brat uparł się i wrócił do starego mieszkania ich rodziców, które stało puste poza sporadycznymi odwiedzinami któregoś z członków rodziny. Nikt nie chciał go sprzedawać, a tym bardziej wynajmować. Każdy się bał, że obcy przyjdzie,

zniszczy i jeszcze będzie się kłócił. Pieniądzy nie potrzebowali, a każde z nich lubiło okazjonalnie wracać na stare śmieci.

Teraz więc mógł cieszyć się i rozkoszować ciszą i spokojem poranka, przerywanym panującym już za oknem harmidrem miasta, które nie szanowało snu swoich gości. Ubrał się, wybierając jeansową koszulę bez żadnej plamy i czarne spodnie, na których nawet jakby coś było, to i tak nikt by tego nie dostrzegł. Zgarnął resztki nachosów, które pochrupywali, gdy ciepłe dania już zniknęły ze stołu.

Wyszedł na zewnątrz i trochę modląc się w duchu, zbliżył do swojego auta. Ostatnio było jak rozkapryszone dziecko, które w zależności od humoru pomoże w porządkach lub wpadnie w histerię, rzucając się na ziemię i uderzając zaciśniętymi piąstkami o podłogę. Tym razem udało się. Silnik tylko delikatnie zakaszłał i po chwili zadowolony Bogucki jechał już na komisariat.

Był przed czasem, ale taki miał plan. Od kilku dni wisiało nad nim sprawdzenie kamer z bankomatów w okolicach domu Błażeja Zaremby, który cały czas siedział w areszcie. Dzięki sprytowi Obrębskiego uzyskali dostęp do wszystkich ośmiu kamer zlokalizowanych w okolicy mieszkania muzyka.

Jeżeli ich koncepcja miała jakikolwiek sens, to prawdziwy morderca musiał zajechać od tyłu, co oznaczało, że przydatne były tylko trzy z nich. Dwie z nich nagrywały tylko teren bezpośrednio przed bankomatem, jedna wychodziła poza, ale jej zasięg też był dość ograniczony. Łapał się obszar przed i kawałek ulicy. Niestety na nic lepszego nie mógł liczyć.

Powoli klatka po klatce sprawdzał nagrania od dwudziestej trzeciej do czwartej nad ranem. Założył, że skoro patolog określił czas zgonu na okolice północy, to biorąc pod uwagę jakiś błąd, który mógł

się wdrzeć, morderca mógł podrzucić ciało w tym przedziale czasowym.

Po dwóch godzinach oglądania nagrania do pokoju wszedł Obrębski.

– Co ty tu robisz? – rzucił zamiast standardowego „cześć” lub „dzień dobry”.

Bogucki obrócił się w jego stronę i momentalnie wyczuł lekki zapach alkoholu. Zupełnie to nie pasowało do kolegi.

– Przeglądam nagrania z kamer z bankomatów, które udało ci się zdobyć. Na razie nic nie ma, ale kto wie, może jakimś cudem.

– Okej, oglądaj. Niestety często za wynikami stoi właśnie taka mrówcza praca, a nie, jak niektórzy myślą, spektakularne pościgi i spadające z kosmosu rozwiązania. – Policjant z impetem osunął się na swoje krzesło i włączył komputer. – A właśnie, zapomniałbym. Wczoraj zadzwonił do mnie jakiś funkcjonariusz i powiedział ciekawą rzecz. Wyobraź sobie, że przed domem Zaremby wśród gapiów stał jeden znany człowiek. Nie mieszka w pobliżu, bo już to sprawdzili... – Obrębski uciął w połowie zdania i zaczął czegoś szukać w papierach.

– Brzmi intrygująco, a więcej szczegółów? – Bogucki postukał palcami po blacie, uważnie przyglądając się koledze. Wyglądał jakoś inaczej. Uśmiechał się tajemniczo i miał w sobie jakiś luz. Ubrany był w krzywo zapiętą koszulkę polo, narzucił na to zwykłą szarą bluzę, której nie zapiął, a do tego jasne jeansy z podwiniętymi nogawkami.

– Sorka, mam dzisiaj mały mętlik w głowie. – Podrapał się po głowie i usiadł na swoim krześle. – Jeden z naszych, który pilnował porządku przed domem Błażeja Zaremby, zauważył jakiegoś typka. Wy-

sokiego, w kapturze. Dziwnie się zachowywał, więc ruszył w jego stronę. Odniósł wrażenie, że skądś go zna. Facet niestety zniknął, a policjant wrócił na wyznaczone miejsce. Następnego dnia się pochorował na grypę, i to tak mocno. Dostał gorączki, duszności, prawie w szpitalu wylądował. No i jak leżał, oglądał gazety żony i wtedy go zobaczył. Leonarda Małkowskiego, znanego wszystkim jako Leo.

– Tego piosenkarza?

– Dokładnie. Ten policjant cały czas leży w domu, ale stwierdził, że musi mi to powiedzieć, więc zadzwonił.

– Miło z jego strony.

– I to bardzo. No więc trzeba sprawdzić, co ich łączy. Na bank się znają, bo to ta sama branża, ale pytanie, po co on tam stał, szczególnie że było dość wcześnie. To ty jeszcze posiedź chwilę nad tymi nagraniami, ja dojdę do siebie i...

– Dojdiesz do siebie? – powtórzył po nim Bogucki cicho, ale i tak kolega usłyszał.

– Tak, tacy starsi panowie jak ja też czasami umilają sobie życie. – Przełożył kilka teczek na inną kupkę, robiąc przed sobą wolną przestrzeń. – Wczoraj byłem na piwie z kumplem, ten już poszedł, bo żona wydzwaniała, ja chwilę zostałem i już miałem wychodzić, gdy wpadłem na brata mojej eks...

W tym momencie Bogucki odwrócił się w stronę swojego komputera. Nie chciał, aby kolega zobaczył wyraz jego twarzy, opadającą delikatnie żuchwę i wytrzeszcz.

– Fajny gość, chociaż zupełnie inaczej zachowywał się niż kiedyś. Boże, ile my piwa i wody razem wyłoilśmy... – mówił dalej, mimo że rozmówca nie dawał sygnału, aby kontynuował. – Kiedyś uciekliśmy z imprezy urodzinowej jakiejś ich cioci. Beata koniecznie chciała zo-

stać, a Michała nosiło, więc wyszliśmy. Jezu, jaką później miałem aferę, ale było warto. Pojechaliśmy do skate parku i pożyczyliśmy od dzieciaków deskorolki. One dostały po pięć dyszek, a my, stare konie, bawiliśmy się jak nigdy. Oczywiście piliśmy do tego alko, więc nieźle się poturbowaliśmy. Ja skręciłem sobie kostkę. Ledwo później łąziłem. Dobrze, że nikt nie wezwał policji, bo byłaby niezła wtopa.

– Aha – mruknął tylko.

– No, ale teraz jestem już eks, więc nic szczególnego. Można mnie zbyć, olać i tyle. Dobra, widzę, że porządny z ciebie pracownik, więc nie przeszkadzam. Umówmy się – zerknął na wiszący na ścianie zegarek – o jedenastej i jedziemy do tego lalusia. Ja postaram się dowiedzieć, gdzie pan piosenkarz jest teraz, żeby nie latać za nim jak jakieś psychofanki.

Tak też zrobili. Równo o jedenastej wyszli z zajmowanego przez nich gabinetu, zeszli po schodach na parter, a następnie głównymi drzwiami, którymi wchodzili interesanci, na parking.

Tym razem wybrali saaba Obrębskiego. Podróż nie zajęła im długo, bo okazało się, że muzyk aktualnie je śniadanie na Krakowskim Przedmieściu. Chcąc uniknąć zainteresowania, które na bank wywołałaby rozmowa z funkcjonariuszami w restauracji, mężczyzna sam z siebie zaproponował, że przyjdzie do nich, aby pogadać w aucie. Jak stwierdził, tak będzie najdyskretniej i najprzyjemniej.

Z uśmiechem na twarzy stanął przed maską, a właściciel auta pokazał ruchem głowy na tylne drzwi.

– Dzień dobry – rzucił na wejściu i umościł się na skórzanej kanapie.

– Aspirant Bartosz Bogucki, a ja jestem komisarz Maksymilian Obrębski. Może jednak jedźmy na komisariat... – zaczął, widząc

wkurzony wyraz twarzy piosenkarza, jakby podczas pokonywania tych kilku metrów coś mu się stało.

– Mnie tu jest wygodnie, prawie jak w Ritzu! – Zaśmiał się, ale widząc zdziwienie na twarzach policjantów, od razu dorzucił: – Chodź mi o ten hotel.

– Taaak, domyślam się – odpowiedział Bogucki i przekreślił się, aby jak najlepiej widzieć piosenkarza, który od lat robił furorę na polskiej scenie.

Przed spotkaniem poczytał o nim trochę, chociaż większość informacji raczej nie należała do wiarygodnych. Był to zlepek wyznań kobiet, które się z nim przespały, a później twierdziły, że niedługo odbędzie się ślub, a niektóre nawet zapewniały, że mają z nim dziecko. Z bliżej nieokreślonych powodów każda myślała, że skoro jest przystojny i robi zawrotną karierę, bo większość ludzi kojarzyła jego hit *Gdzie płynie woda szeroka*, to jest idealnym mężczyzną do spędzenia z nim reszty życia.

Wiarygodnych artykułów na jego temat było niewiele, ale fakty w nich przedstawione mówiły co innego. Jedna z nielicznych kobiet, które faktycznie były z nim związane, Grażyna Gołębiowska, nie wypowiadała się o nim w takich superlatywach. Uważała go raczej za wyrośniętego chłopca, którego przytłacza prawdziwe życie. Który nigdy nie przepracował swoich traum z dzieciństwa i stąd jego życiowe problemy. Wspominała o seksoholizmie, potrzebie kontroli oraz uzależnieniu od alkoholu i innych używek.

Obreński spędził dłuższą chwilę na poszukiwaniu informacji o jego przeszłości w ich bazach, ale nic nie znalazł. Żadnego konfliktu z prawem, żadnych zatargów.

Leonardo Małkowski, znany jako Leo, urodził się w Polsce, mimo że jego ojciec był rodowitym Włochem. Matka poznała go podczas wyjazdu na wakacje z rodzicami. Mieli wtedy po dziewiętnaście lat. Zakochali się, jednak uczucie nie przetrwało dzielących ich kilometrów. Wróciła do Polski i gdy okazało się, że jest w ciąży, rodzice, zamiast pomóc, wyrzucili ją z domu. Wylądowała na warszawskiej Pradze u koleżanki. Dopiero po kilku miesiącach udało jej się nawiązać kontakt z ojcem nienarodzonego jeszcze dziecka. Chciała, aby on również wziął na siebie związany z tym ciężar. Ten ku jej zdziwieniu przyjechał do kraju nad Wisłą. Zamieszkali razem, również na osiedlu nieszczyjącym się renomą. Latami lecieli na oparach, aż w końcu udało im się wybić. Ojciec chłopaka grał w zespole i ktoś go zauważył. Dał szansę i zaskoczyło. Udało im się wyrwać z menel-skich klimatów, gdy Leonardo miał kilkanaście lat.

Chłopak nigdy nie poszedł do szkoły muzycznej, ale nauczył się grać na skrzypcach i saksofonie, które ojciec trzymał w domu. Ten drugi instrument wybrał dlatego, że dziewczyny na to leciały, co podkreślał w wielu wywiadach. Ale to nie miłość do gry zawładnęła jego życiem, ale śpiew, który odkrył dużo później. Nikt nie wie, czy historia była stworzona na potrzeby kreowania wizerunku, czy faktycznie tak się wydarzyło, ale twierdził, że podczas występu w jakimś podrzędnym barze, gdzie śpiewał w ramach zabawy, podszedł do niego pewien mężczyzna i zapytał, czy nie byłby zainteresowany współpracą. Rzekomo szukał nowych talentów do programu muzycznego.

Leonardo nigdy wcześniej o tym nie myślał, bo niby czemu, ale zawsze lubił się pokazywać. Zgodził się i tym sposobem trafił do programu telewizyjnego, który zrobił z niego gwiazdę. Pół kraju pa-

trzyło, jak z nieopierzonego podlotka przeistacza się w prawdziwego artystę.

A teraz siedział na tylnej kanapie starego saaba i szczyrzył się, jakby był na randce.

– Chcielibyśmy porozmawiać o Błażeju Zarembie...

– To jest jakaś popieprzona sprawa – zaczął, nie znając do końca pytania. – Ja cały czas nie mogę w to uwierzyć. Znamy się całkiem dobrze. Błażej kilka razy mi pomógł, gdy ktoś nawalił... – Zawiesił głos i westchnął. – Żal mi go.

– Jeszcze nie został skazany.

– No tak. Pewnie trzeba długo czekać na rozprawę i takie tam. Ale niewiele to zmieni. Media już wydały wyrok, nawet jak sąd tego nie potwierdzi, smród będzie się ciągnął latami.

– Co robił pan dwudziestego ósmego listopada rano?

Mężczyzna spojrzał na rozmówców zdziwiony.

– Hmm... Nie pamiętam. Pewnie smacznie spałem, jak zazwyczaj rano.

– Może pan sprawdzić? – Obrębski głową wskazał na trzymany przez niego telefon. – Znając życie, ma pan w smartfonie kalendarz i wszystkie informacje, co robił danego dnia.

Leonardo Małkowski niechętnie go odblokował i zaczął szukać.

– Dzień wcześniej miałem mały koncert, taki urodzinowy, na niecałe sto osób. Skończył się o dwudziestej pierwszej, bo na więcej nie mieli kasy. Później pojechałem coś zjeść, bo mieli słaby catering, no i wróciłem do domu.

– Później pan nie wychodził?

– Nie, spałem do rana. Później poćwiczyłem. Mam taki zestaw, który robię codziennie. Potem pewnie pooglądałem lub w coś pograłem. O dwunastej – mężczyzna ponownie spojrzął na telefon – miałem spotkanie z agentem. Pojechałem do jego biura, gdzie omawialiśmy najbliższe miesiące. Trochę się pokłóciliśmy, bo ja chciałem wyjechać na trochę dłużej za granicę, a dla niego to przestój w przychodach z mojej strony. Ma jeszcze innych podopiecznych, ale nie skromnie mówiąc, ze mnie ciągnie najwięcej kasy. To nie byłoby dla niego dobre, jakbym zniknął na trochę.

– Czemu chciałby pan wyjechać?

– A czemu nie? Stać mnie. Potrzebuję trochę spokoju. Poza tym rodzice są coraz starsi, chciałem zabrać ich na wycieczkę po Włoszech, chociaż to bardziej na wiosnę. A teraz może jakieś ciepłe miejsce, Zanzibar lub Martynika. Nie wiem jeszcze. – Przekręcił głowę w stronę okna i uśmiechnął się do przechodzącej obok auta kobiety.

– Skąd ten pomysł teraz? – dopytywał Obrębski.

– Czy panowie mnie o coś oskarżają?

– Nie, tylko sobie rozmawiamy. – Komisarz cały czas nie odpuszczał. – To proszę nam wyjaśnić, skąd pan wiedział, że pana kolega Błażej Zaremba ma kłopoty i znaleziono u niego martwą kobietę.

Leonardo Małkowski zrobił wielkie oczy. Nie spodziewał się takiego pytania. Przez chwilę w samochodzie panowała cisza, której nikt nie chciał przerwać. W końcu muzyk sapnął i zaczął drapać się po nosie.

– Nie pamiętam. – Wzruszył ramionami. – Pewnie w sieci coś przeczytałem.

– Ale dlaczego pan pojechał pod jego dom? – Teraz to aspirant zaatakował pytaniami.

– Nie wiem. Może z ciekawości. Może dlatego, że się o niego denerwowałem. Wiem, to dziwne... – Mężczyzna ponownie sapnął i wzruszył ramionami. – Ja od zawsze mam ciagoty do takich strasznych rzeczy. Jak byłem mały, palił się blok obok naszego. Zarządzono ewakuację, a ja stałem dobrą godzinę, patrząc, jak wszystko płonie. Jak strażacy ganiają z tymi wężami, rozstawiają drabiny i próbują ugasić to wielkie ognisko. Innym razem, gdy staliśmy w korku, bo był wypadek, to przeszedłem kilometr, żeby dojść do miejsca, gdzie się zderzyło pięć samochodów. Mama się wkurzyła, bo akurat noga ją bolała i nie mogła za mną pójść. Dała mi później niezły wpierdziel pasem, bo się mega zdenerwowała.

– Tylko dlaczego poszedł pan zakamuflowany i uciekł, gdy policjant pana zauważył?

– Bo nie lubię, gdy ludzie się na mnie gapią...

– Ciekawe – wtrącił Obrębski i zaśmiał się. – A nie na tym polega pana zawód? Na przyciąganiu uwagi?

– Tak, ale... – Mężczyzna spojrział na swój zegarek. – To co innego. Poza tym muszę już iść. Jakby mieli panowie więcej pytań, to wolę przez adwokata, bo przestałem czuć się komfortowo.

Nie czekając na ich reakcje, piosenkarz szarpnął za klamkę, popchnął drzwi i wyszedł.

– Trochę to było dziwne – skomentował Bogucki, gdy oddalające się plecy piosenkarza były już w odległości kilkunastu metrów.

Rozdział 37

– Cały czas mnie dręczy ta kartka, którą dostała rodzina Boczar-
skich. To nie jest normalne, że bliscy zamordowanej osoby dostają
przeprosiny od mordercy. Szczególnie takiego, który zachował się
jak zwierzę wypuszczone z klatki. Jakoś ciężko mi uwierzyć, że nagle
poszedł po rozum do głowy. – Obrębski szedł powoli obok kolegi.
Znów poruszał się tym zboląłym krokiem, charakterystycznym dla
starszej osoby.

– A może ma jakieś zaburzenia i dopiero po wszystkim zreflektowa-
wał się, że postąpił źle?

– Może, trzeba byłoby z jakimś psychologiem lub z psychiatrą po-
gadać. Kiedyś to mojej eks pytałem i od razu było po kłopotcie, a te-
raz dupa. – Wypuścił powietrze ustami, a jego wargi, objając się
o siebie, wydały dziwny dźwięk.

– Przecież mamy do dyspozycji psychologa, zawsze może po-
móc – rzucił Bogucki, a komisarz pokiwał głową. – Ja mogę się do-
wiedzieć. Może się okazać, że odpowiedź na pytanie, dlaczego prze-
prasza, da nam jakąś wskazówkę. A może...

– Tak? – Kolega na chwilę stanął i złapał się za plecy w dolnym
odcinku.

– A co, jak to nie on, w sensie sprawca, przeprasza, ale na przy-
kład osoba, która go do tego zmusiła lub zachęciła, a po czasie

stwierdziła, że żałuje albo że to poszło niezgodnie z jej planem?

– Grubymi nićmi szyte, chociaż mnie już nic nie zaskoczy. Kiedyś gość zatłukł młotkiem młodą kobietę. Trafiliśmy na sprawcę, bo uchwyciła go jedna z kamer. Pokazaliśmy zdjęcie pracownikom firmy, w której ofiara pracowała. I co się okazało? Był to mąż jednej z koleżanek zamordowanej. Aresztowaliśmy faceta, przez pierwsze kilka dni milczał jak zakłęty, aż w końcu powiedział, że zrobił to dla swojej żony, bo ta, gdy tydzień wcześniej wróciła z pracy, to powiedziała, że kiedyś zabije koleżankę, ponieważ ta zabiera jej klientów. No i gość wziął to bardzo do serca. Nawet za bardzo. Co najdziwniejsze, ona tak tylko rzuciła. Później powiedziała, że nigdy by nie sądziła, że on weźmie to na serio. Psychiatra, który go przebadał, stwierdził, że jest chory psychicznie. Nigdy nie trafił do więzienia, zamknięto go w szpitalu, gdzie niestety się zabił.

– O matko, co za sprawa! – skomentował podniesionym głosem Bogucki.

– No właśnie. Stąd więc moja wielka miłość do rozmów i gdybania.

– Rozumiem. A wiadomo coś więcej o samej kartce?

– No właśnie, dobrze, że o tym wspominasz – rzucił, ale już nie skończył. Wyjął telefon i wybrał jakiś numer. – Technik do mnie dzwonił. Oddzwonię szybko, może to w tej sprawie.

Po chwili usłyszeli dźwięk wybieranego numeru, bo policjant włączył na głośnomówiący. Po trzech sygnałach mężczyzna odebrał.

– Cześć, Maksiu, czego chcesz?

– Mnie też miło cię słyszeć. Pamiętasz ten kawałek kartki, co dostała rodzina zabitej dziewczyny? Udało ci się może coś ustalić?

– Ty myślisz, że ja mam sto lat i nie pamiętam roboty wykonywanej wczoraj?

– No wiesz, nie wyglądasz na najmłodszego – zaśmiał się Obrębski i wyszczerzył zęby.

– Dzięki, ostatnio zrobiłem sobie lifting i wstrzyknąłem botoks, a ty mnie tak ranisz.

– Widocznie za mało, a tak serio... Powiedz, udało ci się coś ustalić?

– Gdybyś odbierał albo oddzwaniał od razu, tobyś wiedział, że tak. Oczywiście na kartce zabezpieczyłem odciski matki dziewczyny, ale nie ma co się dziwić, w końcu to ona otworzyła list. List nadano w punkcie pocztowym na Bielanach. Gostek zupełnie nie pamięta, kto nadawał. Powiedział, że codziennie obsługuje setki ludzi. Nie ma kamer, bo nie czuje potrzeby, u niego nie ma co ukraść. Na kopercie były też odciski jego i kuriera. W sortowni noszą rękawiczki, więc tam nikt nie dotykał. To, co powinno cię ucieszyć, to fakt, że mamy sporo materiału tego kogoś. Po pierwsze, odciski palców na kopercie i kartce. Po drugie, do kleju na kopercie przyczepił się włos, krótki. Jakbym miał się założyć o kawę, to stawiałbym, że jest kobiecy.

– Kobiecy? – spytał zdziwiony Bogucki i położył rękę na ustach.

– O, słyszę, że nie jesteśmy sami – zaśmiał się technik. – A myślałem, że cenisz sobie intymność, Maksiu. – Mężczyzna już drugi raz użył zdrobnienia imienia komisarza, a ten ani razu nie zaproponował. – A co do włosa, to tak kobiecy, chociaż badania DNA powiedzą pewnie więcej. Cały czas czekamy na testy, które na podstawie próbki włosa dałyby nam jasność, czy należy do osoby w wieku dwudziestu, czy pięćdziesięciu lat. Teraz można ustalić, czy ma niebie-

skie oczy, tylko nie wiem, czy to ma aż tak ogromne dla was znaczenie.

– Rozumiem, że jakiś łut szczęścia nas nie dosięgnął i nie ma tego kogoś w bazie.

– No niestety nie. W tym rozdaniu szczęście nie sprzyja aż tak, ale... – Mężczyzna na chwilę zamilkł, a dwóch słuchających policjantów dobiegł dziwny dźwięk. Coś jakby pralka albo odkurzacz. – Przepraszam, ale musiałem kawę zmielić. Zasypiam już, a dopiero jedenaście. No więc po analizie śladów przyjrzałem się kartce. Na pierwszy rzut oka całkiem normalna, ale na nasze szczęście drukarka, z której list wyskoczył, zakodowała informacje o sprzęcie.

– Co? – wyszeptał zdziwiony Bogucki i zrobił duże oczy.

– No tak, młody jeszcze nie wie – zaczął technik. – Część drukarek koduje na wydrukach informacje o sobie. Datę wydruku, a czasem, jak w tym przypadku, też swój unikatowy numer seryjny. Teraz wystarczy tylko skontaktować się z producentem, ustalić, dokąd wysłali dany model o tych numerach. Oni zazwyczaj mają pełen rejestr. Dzięki temu dowiemy się, gdzie została dostarczona, a możliwe, że i to, komu ją później sprzedano.

– Oj, gdyby to tak wyglądało... – westchnął komisarz. – Niestety w praktyce staje to na etapie miejsca sprzedaży. Oni nie zawsze wszystko skrupulatnie rejestrują. Nie czują takiej potrzeby, a troska o naszą pracę nie jest dla nich priorytetem – powiedział z lekkim przekąsem.

– No niestety taki life – rzucił technik. – Ale i tak macie mi za co dziękować. – Mężczyzna zamilkł i usłyszeli szelest kartek, po czym coś huknęło, a rozmówca krzyknął: – Kurwa mać! – Potem rozległ się dźwięk, jakby odłożył telefon gdzieś obok. Chwilę czekali, pa-

trząc to na aparat, to na siebie. – Już jestem, przepraszam. Mam ostatnio taki zapierdziel, moje biurko wygląda, jakby robiono na nim testy udźwigu i na razie dobrze się sprawdza. Jestem zadowolony. – Zaśmiał się ze słyszalną w głosie ironią. – Mam! – krzyknął. – Przed chwilą stażysta, którego się dorobiłem, przyniósł mi dokładną nazwę modelu. – W tym momencie rzucił im nazwę producenta, którego zupełnie nie znali, wraz z ciągiem liczb i liter, wskazującym konkretny typ. – Zaraz wam prześlę SMS-em i teraz wy się bawcie w szukanie igły w stogu siana.

Po chwili faktycznie Obrębski dostał pełną nazwę i numer seryjny. Od razu zlecił to jednemu z policjantów, a on i Bogucki wsiedli do samochodu. W międzyczasie dostał jeszcze jedną wiadomość z namiarami na Dominikę Kamińską, wspomnianą przez Bernadettę Miłek kobietę, z którą podobno spotykał się Mazur. Gdy zobaczył adres, aż zdębiał. To nie mógł być przypadek.

Rozdział 38

– No i ja jej mówię: „O co ci, kobieto, chodzi?”, a ta się na mnie drze, że ukradłam jej narzeczonego. Że zastosowałam jakieś psychologiczne sztuczki, aby cię uwieść. Bo jako psycholog wiem, jak wpływać na człowieka! – Beata siedziała z kieliszkiem wina w ręku, a drugą dłonią cały czas intensywnie gestykulowała. – Gdyby wiedziała, jakich problematycznych mężów i partnerów mają moje koleżanki ze studiów, to zmieniłaby zdanie. Nikt nas nie uczy takich rzeczy jak uwodzenie facetów. Naoglądała się jakichś głupich filmów.

Bartosz Bogucki patrzył na swoją partnerkę z lekkim niedowierzaniem. Gdy napisała mu, że w galerii handlowej zaczepiła ją jakaś kobieta i okazało się, że to jego eks, cały się napiął. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, to aby Ala psuła mu związek, na którym z każdym dniem zależało mu coraz bardziej.

Przyjechał do Beaty najszybciej, jak się dało, co okazało się bezproblemowe, bo kobiety, do której się wybierali z Obrębskim, nie było w domu. Gdy wszedł, zastał Beatę na kanapie z kieliszkiem. To nie był standardowy widok, więc nieco się przestraszył.

Siedziała skulona, a makijaż na jej twarzy wyglądał zupełnie inaczej, niż gdy rano się rozstawali. Pod oczami ciągnęły się czarne smugi rozmazanej maskary wymieszanej z kredką do oczu. Nie wy-

glądała elegancko i pewnie jak zazwyczaj. Przysiadł obok niej i otulił swoim ramieniem.

– Ona zachowywała się jak nienormalna...

– Przepraszam – wyszeptał do ucha i delikatnie pogłaskał po głowie.

Dobrze wiedział, do czego jest zdolna jego była dziewczyna. Nie mówił tego Beacie, ale cały czas otrzymywał od Alicji SMS-y prośzące, błagające, a czasami grożące, że zrobi coś sobie, jeżeli on nie zgodzi się z nią spotkać. Ignorował je, bo nie wiedział, jak ma odpisać. Czy powinien kazać jej spadać na drzewo, a może ze względu na spędzone ze sobą lata umówić się w miejscu publicznym i grzecznie poprosić, aby odpuściła. A może stanowczo napisać, aby się odwaliła i odpuściła raz na zawsze.

Jedyną osobą, której się zwierzył, był jego były partner z patrolu. Tylko Jaworski o tym wiedział i radził definitywnie zerwać z nią jakiegokolwiek kontakty, twierdząc, że to psychopatka, która tylko czeka na okazję, a gdy ta się nadarzy, ona nie odpuści i uczepli się jak rzep psiego ogona.

Zupełnie się nie spodziewał, że będzie gotowa do czegoś takiego. Poza tym w jego głowie zrodziły się kolejne pytania. Skąd wiedziała, jak wygląda Beata? Nigdy nie wrzucił żadnego ich wspólnego zdjęcia. To, co mu przyszło do głowy, było chore, chociaż teraz miał przeczucie, że mogło być prawdziwe. Śledziła go. Obserwowała albo wynajęła kogoś do tego.

– Krzyczała na mnie! Machała rękoma jak nienormalna. Ludzie chodzili wkoło i się na mnie gapili. Generalnie nie mam z tym problemu, ale gdy jest to wynikiem tego, że mam coś do powiedzenia lub zajebicie wyglądam! – W tym momencie zaśmiała się, a on po

raz kolejny pogłaskał ją po ramieniu. – Kurde, czułam się osaczona. Na początku nie wiedziałam, o co jej chodzi. Ani się nie przedstawiła, ani nic. Tylko od razu atak. Mówiłam do niej cicho. Starłam się uspokoić, ale bezskutecznie. W końcu pomógł mi ochroniarz. Widział od początku całe zajście i chyba wyczuł, że dzieje się coś złego. Młody chłopak, a ogarnięty. Podszedł powoli i spytał, czy wszystko okej. Wtedy dopiero ona jakby się trochę uspokoiła. Najpierw ja powiedziałam, że ta pani ma chyba atak paniki, chociaż miałam ochotę powiedzieć, że grozi podpaleniem centrum handlowego i powinien rzucić ją na glebę i wezwać policję. Ale powstrzymałam się. Po części ją rozumiem, straciła superfaceta – w tym momencie puściła Boguckiemu oczko, a ten odwdzieczył się uśmiechem – więc ma czego żałować, ale atakowanie mnie to głupi pomysł i raczej nic nie da. To znaczy na pewno nic nie da, bo ja cię nie oddam. – Wtuliła się w jego klatkę piersiową, a on otoczył ją najpierw prawym, a później lewym ramieniem. – Poza tym zachowując się w ten sposób, pokazała, że jesteś wart walki o ciebie.

– I to mi się podoba. – Pocałował ją w czoło. – I co było później?

– Gostek stał chwilę z nami. Powiedziałam jej, że powinna usiąść i popracować nad oddechem, takie farmazony. Dałam jej też wizytówkę koleżanki, co zajmuje się traumami, i poszłam. Ten ochroniarz stał przy niej, aż się oddaliłam.

– Przepraszam.

– Ale za co?

– To moja wina – wyszeptał i podrapał się za uchem.

– Zwariowałaś? Żadna twoja wina. Nie gadaj tak! – Wyswobodziła się z jego ramion i sięgnęła po kieliszek. – Ona jest niepoważna i nie masz za co przeproszać. Lepiej powiedz, jak wam idzie śledztwo.

– Które? W tym momencie to w sumie mamy dwie sprawy. Tej kobiety znalezionej u muzyka i faceta na budowie. No, właściwie trzy, bo toczy się też śledztwo dotyczące dziewczyny przywiązanej do drzewa. To ostatnie jest zdecydowanie najgorsze. Nie wiem, co za zwyrol mógł zrobić coś takiego. My nad tym bezpośrednio nie pracujemy, ale jesteśmy do dyspozycji prokuratora, który nad tym siedzi. A właśnie! – Bogucki poprawił leżącą za nim poduszkę i położył nogi na stojącym przy kanapie pufie. – Jak myślisz, dlaczego sprawca mógł wysłać rodzicom kartkę z przeprosinami?

– Hmm... Trudne pytanie, mogę prosić o kilka słów wprowadzenia?

– Ktoś zamordował młodą dziewczynę. Szesnaście lat. Matka nie mogła po nią przyjechać po zawodach, aplikacja Uber chwilowo nie działała, autobus miał pojawić się za kilkadziesiąt minut, więc ruszyła przez park. W dzień trochę ludzi się tam kręci, ale po zmroku ciemno jak w dupie. Jakby ktoś zapomniał zamontować latarni. Niestety miała pecha, bo trafiła na jakiegoś psychopatę. Zabił ją, zgwałcił i przywiązał do drzewa.

– O matko. Strach wychodzić z domu... – Twarz kobiety widocznie posmutniała, jakby każde z wypowiedzianych przez Boguckiego słów ją raniło.

– Też jestem przerażony. Dziewczyna miała całe życie przed sobą.

– A o co chodzi z tymi przeprosinami?

– Jej rodzice dostali kartkę, na której ktoś napisał jedno słowo, „przepraszam”. No i tutaj pojawia się pytanie: dlaczego?

Beata postawiła nogi na podłodze i wstała, po czym zaczęła chodzić po pokoju.

- Hmm... - sapnęła. - Dość to dziwne, ale pomyślmy. Po pierwsze, może obudziła się w nim resztką człowieczeństwa. Wpadł w jakiś amok, zabił, a gdy zrozumiał, co zrobił, zaczął żałować. Oczywiście nie na tyle, żeby oddać się w ręce policji, ale list zaspokoił już jego potrzebę wyrażenia skruchy. A może... - Podrapała się po głowie i obróciła do Boguckiego. - Może jest też rodzicem i chciał, bo zakładam, że to mężczyzna, złagodzić cierpienie rodzinie. Chociaż gdybym miała dziecko i ktoś mu coś zrobił, a następnie ten psychol napisał list z przeprosinami, chyba miałabym to gdzieś, a może nawet wpadłabym w jeszcze większą rozpacz.

Beata sięgnęła po kieliszek i zapominając o swoim przesądzie, że nie powinno się sobie samemu nalewać alkoholu, wlała resztkę ze stojącej na stoliku butelki, w której znajdowało się kilka kropli.

- No i mamy jeszcze opcję osobowości wielorakiej. I tutaj hulaj dusza, piekła nie ma. Może morderca był przekonany, że jej pomagał wyrwać się z życia, które nic dobrego je nie przyniesie, a po wszystkim doszedł do wniosku, że jednak się pomylił, i wyraża skruchę. - Wypiła zawartość na raz i wyciągnęła rękę do Boguckiego. - Może zmienimy temat. Ostatnio koleżanka pokazała mi książkę z kamasutrą i kilka pozycji mi się wyjątkowo spodobało. Może jakąś przetestujemy?

Rozdział 39

ONA

Mam wewnętrzne przekonanie, że ten typek jest śliski, ale po trzech dniach łożenia za nim nie mam nic poza dowodami na zdradę. Tylko kogo dokładnie on zdradza, to nie wiem, bo w ciągu kilku dni widziałam go aż z trzema dziewczynami. Niby ta tancerka jest jego główną, bo tylko ją pokazuje w mediach społecznościowych, ale czy to oznacza, że byłby w stanie zrobić dla niej coś tak okrutnego jak zabicie, a następnie zgwałcenie jej konkurentki? Nie wydaje mi się, to raczej fałszywy trop.

Musiałam odpuścić. Na szczęście czekało mnie spotkanie z Aleksą. Umówiłam się z nią na starówce. Nie lubię tego miejsca, ale nie mogłam wybrzydzać. Nie mogłam napisać, że niedaleko prawie mnie zgwałcono. Że jakiś napalony koleś ściągnął spodnie i dobierał się do mnie. Od tego czasu omijam te rewiry, ale musiałam się przemóc. Nie patrzeć w stronę Wisły, która spokojnie płynęła w dole, jakby zapomniała, czego była świadkiem.

Usiadłam w knajpce wybranej przez kobietę i czekałam. Napisałam jej, co mam na sobie, i otworzyłam kupioną ostatnio książkę pod

intrygującym tytułem *Zanim dojrzeją granaty*. Nikt mi jej nie polecał, jednak zwała mnie z nóg nie tylko treścią, ale i nietypową formą.

Wciągnęła mnie tak bardzo, że nie zauważyłam młodej, niskiej kobiety, która nagle stanęła obok mojego stolika. W pierwszym momencie pomyślałam, że to kelnerka, nie miała jednak żadnej karty, a jej strój był za mało elegancki. Już wcześniej zwróciłam uwagę, że cały personel chodzi ubrany na biało-czarno, kobiety zazwyczaj w czarnych spódnicach do kolan lub dłuższych, a panowie w długich spodniach. Do tego wszyscy nosili białe koszule bez logo, a i tak wyglądali bardzo spójnie i każdy gość wiedział, do kogo się odezwać w sprawie zamówienia.

Dziewczyna stojąca przede mną ubrana była w zielony sweter, a na to narzuciła granatowy płaszcz. Z siedzącej perspektywy nie widziałam reszty, ale raczej nie miała butów na obcasie, bo oznaczałoby to, że jest niezwykle niska.

- Dzień dobry, byliśmy chyba umówione.

Z jej ust wydobył się cichy głos, który ledwo wychwyciłam w zgiełku rozmów toczących się w restauracji. Dokładnie takim samym do niedawna sama komunikowałam się ze światem. Teraz robię to dużo rzadziej. Kilka tygodni temu, gdy poszłam z dziewczynami na kolację, to one mi powiedziały, że bardzo się zmieniłam. Oczywiście to czułam, ale gdy wróciłam do domu, zaczęłam analizować zmiany, jakie we mnie zaszły. Na pewno przytyłam, zaczęłam o siebie bardziej dbać, ale również zaczęłam głośniej mówić.

- Aleksa? - Posłałam jej delikatny uśmiech. Dobrze wiedziałam, że w przypadku takich wystraszonych osób to jedyny sposób, aby się otworzyły. - Miło mi, Basia. - Wyciągnęłam do niej rękę. Nie uściśnęła jej, tylko delikatnie musnęła, ale nie liczyłam na wiele. Ja też

zawsze bałam się tego momentu. Dotyk innej osoby paraliżował mnie jeszcze bardziej. – Siadaj! – Pokazałam na krzesło naprzeciwko. – Napijesz się czegoś? A może zjesz?

Jednak dziewczyna milczała. Przez chwilę patrzyłam na jej twarz. Zdecydowanie należała do tych pięknych. Delikatna, a zarazem szlachetna. Szczupły nos, do tego nieproporcjonalnie duże oczy i usta sporych rozmiarów muśnięte błyszczkiem. Tak niewiele, a powodowało, że wyglądała niezwykle zmysłowo. Jej wygląd na bank wspomógł specjalista, ale w żadnym elemencie nie przesadził.

– Nie, dziękuję. Spieszę się. Chciałam dać pani...

– Mów mi Basia.

– Chciałam dać ci te dane i muszę iść. Oni mogą mnie zobaczyć. – Rozejrzała się dookoła, a na jej twarzy zagościł jeszcze większy strach. Wzrokiem przeskakiwała na kolejne osoby w naszym otoczeniu, a zaciśnięte usta podkreślały jej napięcie.

– Kto? – spytałam, bo jej zachowanie zaczęło mnie nieco przerażać.

– Ci ludzie, dla których pracuję. Oni nie lubią, jak z kimś gadam. I nigdy dotychczas tego nie robiłam, ale teraz... Musisz znaleźć tego, co ją zabił. Tylko dzięki Oldze dawałam radę. Ona była taka dobra. Dbała o swoją rodzinę, o mnie. Nienawidziła tego, co robiła, ale nic innego nie potrafiła. To jest takie niesprawiedliwe... Gdy poszła do zwykłej pracy, bo próbowała żyć normalnie, jakaś głupia baba oskarżyła ją o kradzież, więc odeszła. Okazało się, że tamta suka była zazdrosna o szefa, który był zachwycony Olgą i chciał ją awansować zamiast niej. Nikt nie uwierzył, że jest niewinna. Tamta twierdziła, że Olga zabrała jej z torebki pamiątkowy zegarek, ale ja wiem, że to nieprawda. Ona była najuczciwszą osobą, jaką w życiu poznałam. Na-

wet w tych parkometrach zawsze płaciła, dawała jedzenie bezdomnym, a jednej starszej pani niedaleko swojego domu robiła zakupy raz w tygodniu. Anioł, a teraz... – Kobiecie po policzku popłynęła łza, pozostawiając za sobą lśniący ślad. – Zostałam sama w tym wszystkim.

– Możesz zawsze od nich uciec – rzuciłam, sama nie wiedząc, co mówię.

– Tak, i zacząć życie od nowa. – Zaśmiała się na głos, ale w tym dźwięku nie było nic radosnego. – To tak nie działa. Ja nie mogę po prostu zniknąć. Oni będą mnie szukać, a jak znajdą, to... – Jej oczy znowu się zaszkliły. – Nie szczypią się. Za każdym razem robią pokazówkę. Ściągają dziewczynę siłą, szprycują narkotykami, a później bawią się jak szmacianą lalką. Widziałam to wielokrotnie, oni nie mają skrupułów. Nic. Są jak zwierzęta, i to te najokrutniejsze. Rozszarpują ofiary na strzępy, nic nie zostawiając, to znaczy ciało tak, ale po ich ataku w środku zostaje pustka. Ja nie mam sił, aby próbować z tym walczyć.

– A Olga próbowała?

– No... Raz tak, zeznawała przeciwko nim. Ja to wiem, ale na szczęście nikt z nich się nie dowiedział. Wtedy wszystko się im posypało. Przestali kontrolować dziewczyny, bo paliło im się pod dupami. Wykorzystała to i uciekła do chorej mamy. A później chciała to wszystko przeczekać.

– Wszystko, czyli co?

– Jak poczuli zagrożenie, to sami zaczęli węszyć. Próbowali znaleźć przecieki. Nikt ani przez chwilę Olgi o nic nie podejrzewał, w sensie nasi szefowie. Nikt nie odkrył, że po części ona stoi za odsiadką paru z nich.

– To może teraz coś się zmieniło? – Przyglądałam jej się uważnie i serce mi się krajało.

– Nie sędzę. Olga była ich ulubienicą. Zawsze była poza kręgiem podejrzeń. Dobrze grała. Poza tym przyciągała szychy, nie każdy mógł ją zamówić. Przepraszam, że mówię o niej jak o przedmiocie, ale kiedyś stwierdziłyśmy, że tak jest lepiej. Czujemy wtedy, jakby to nie chodziło o nas. Była Olga i Aleksa. Przedmioty do wynajęcia. – Dziewczyna ponownie zaśmiała się smutno. – Ja nie wiem, co się stało. Nie rozumiem nic z tego. – Sięgnęła do przewieszanej przez krzesło torebki, wyciągnęła telefon i zaczęła w nim grzebać. – Zawsze miałyśmy taki zwyczaj, że wysyłałyśmy sobie nawzajem pinetki, gdzie jesteście. Tak na wszelki wypadek. Już wielokrotnie zdarzało się, że któraś z naszych koleżanek zniknęła. Ktoś którąś pobił. Parę razy było i tak, że któraś została zabita w szale alkoholowym czy narkotykowym. Nikt nas później nie informował. Na pytanie, gdzie jest Katia czy Jessica, wzruszali tylko ramionami. Te lokalizacje miały nas w jakimś stopniu chronić, ale jak widać, nic z tego nie wyszło. – Aleksa posmutniała, a jej broda zaczęła delikatnie drżeć.

– Pokazałaś mi, co ci podesłała? – Przerwałam ciszę, bojąc się jej reakcji na moje zachowanie. Mogła odebrać ją jako brak szacunku dla zmarłej przyjaciółki, na szczęście jednak wyciągnęła tylko w moją stronę komórkę.

– Ja nic z tego nie rozumiem. Według tego, co mi wysłała, powinna być w hotelu w centrum. Lubiła go za dyskrecję i za to, że nikt na nią nie zwracał uwagi. Tylko że to miejsce jest oddalone od mieszkania tego muzyka o kilka dobrych kilometrów.

– To może pojechała na kolejne zlecenie?

– O nie! – rzuciła podniesionym głosem, a jeden z blond kosmyków spadł jej na twarz. – Olga się szanowała. Wiem, że to dziwnie brzmi w kontekście naszej pracy, ale czasy, gdy obskakiwała pięciu facetów jednego wieczora, a bardziej nocy, skończyły się bezpowrotnie. Teraz to my dyktujemy warunki, cena za noc znacząco wzrosła, ale nikt nie oponuje. Dzięki temu możemy ograniczyć się do jednego fiuta, poświęcić mu pełną uwagę i zgarnąć sporo kasy. Czasami zdarzają się nawet tacy, co szukają tylko towarzystwa. Idziemy na kolację, potem na drinka, posiedzimy chwilę w pokoju hotelowym, oglądając film, po czym delikwent zamawia taxi i wracamy do domu.

– To jakim cudem przemieściła się do mieszkania Błażeja Zaremby? Może się przyjaźnili?

– Przyjaźnili? Olga i przyjaźń z mężczyzną? Proszę pani... Basiu, ona była zbyt piękna i pociągająca, aby jakikolwiek facet chciał mieć ją za przyjaciółkę. Każdy patrzył na nią tylko jak na obiekt seksualny. A co do Zaremby, to nigdy o nim nie wspominała, chociaż... raczej starałyśmy się nie rozmawiać o klientach. No, chyba że byli jacyś wyjątkowi... – Przewróciła oczami, unosząc brwi.

– To jeszcze dwa pytania i nie będę cię już męczyć. O której według twojej wiedzy Olga dotarła do tego hotelu?

Dziewczyna jeszcze raz zaczęła grzebać w telefonie.

– O dwudziestej drugiej.

– I nie wiesz, o której wyszła?

– Nie. Chociaż często mi wysyłała i tę informację. Mam ustawiony tryb nocny, więc mi to nie przeszkadza, ale tym razem nic. – Wzruszyła ramionami, a po jej twarzy spłynęła łza.

– Przepraszam. Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną porozmawiać.

Dziewczyna uśmiechnęła się, a ja odpowiedziałam tym samym. Naprawdę mi pomogła. Nie wiem, czy wyczuła, że jestem po ich stronie, czy zaufała mi dlatego, że miałyśmy podobną energię.

Rozdział 40

Aramis usiadł na kanapie i sięgnął po drinka, którego nalał sobie już jakiś czas temu. Od paru dni cały czas się zastanawiał, co się stanie, jeżeli media zorientują się, że to on stoi za zabójstwem Olgi Kowalunek. Niestety odpowiedź była jedna, jego życie skończyłoby się natychmiast. Nawet gdyby nie udowodniono, że to on dokonał tej zbrodni, ale potwierdzono jedynie to, że spotkał się z piękną prostytutką, panią do towarzystwa, jak wolał myśleć, nigdy nie wróciłby na pełnione stanowisko. Nikt nie chciałby powierzyć mu żadnej funkcji. Każdy bałby się złej prasy. Wszystko, co dotychczas zrobił w ramach swojej pracy, zostałoby umniejszone. Teraz tak naprawdę nie miało znaczenia, kto jakim jest człowiekiem, jakie wartości promuje, ważniejsze było to, co się o nim mówi w badaniach. Partia co chwilę robiła research, aby sprawdzić, który z polityków tak naprawdę jest lubiany. Niestety często osoby, które niewiele sobą reprezentowały, miały niezwykle dobre notowania, a to tylko ze względu na to, że dobrze działały w mediach społecznościowych. Pokazywały swoje niby ciekawe życie, które było zupełnie inne od życia zwykłych szarych Polaków, a ludzie to lubią. Lubią, gdy pokazuje się im rzeczy, których nie znają, które obserwują tylko na ekranie telefonu, a że nie idą za tym żadne wartości, to nie ma znaczenia.

Pociągnął kolejny duży łyk whisky z colą, którą według lekarza powinien czym prędzej odstawić, bo źle wpływała na jego żołądek. W tym momencie nie miał jednak ochoty się tym przejmować. Najważniejsza była jego psychika, a procenty dobrze na nią działały.

Jego myśli krążyły wokół tego, co może się wydarzyć. Zastanawiał się, co zrobi jego żona. Na pewno każe mu spadać na drzewo, jak to powtarzała wielokrotnie, ale tym razem prawdopodobnie faktycznie wdroży w życie swoje groźby. Nigdy nie uważał jej za twardą kobietę, ale już zdrada, i to jeszcze z prostytutką, na pewno szybko by ją zmotywowała do konkretnego działania. Dotychczas nigdy go nie złapała, ale oskarżenie rzucała przynajmniej raz w tygodniu. Jednak to, czego bał się najbardziej, to chyba opinia jego babci. Miała już ponad dziewięćdziesiąt lat, trzy razy wzywała księdza na ostatnie namaszczenie. A mimo to jeszcze żyła i ostatnio czuła się całkiem nieźle. Bał się, że newsy o nim zmieniąby ten stan rzeczy.

Całą resztę miał gdzieś.

Z rodzicami niewiele go łączyło. Tylko dzięki kolegom wyrwał się z tego menelstwa, w którym spędził dzieciństwo. Nie zapomnieli o nim, gdy wyprowadzili się z syfiastej Pragi, gdzie na każdym kroku śmierdziało szczynami, a mało który mieszkaniec miał ukończoną szkołę średnią. On swoją skończył z dużym opóźnieniem, tak samo jak studia, ale nikt nigdy tego nie sprawdził. W CV kłamał, a w wywiadach udawało mu się omijać temat daty ukończenia uczelni.

Wszystko, co wywalczył w życiu, zawdzięczał sobie i swoim kumpłom, a rodzice stanowili tylko smutne wspomnienie z przeszłości. Od lat ich nie odwiedzał i nie interesował się ich losem. Gdyby ktoś zapilo się na śmierć, pewnie nawet by się o tym nie dowiedział.

Opinia jego pociech również średnio go interesowała. Rozpieszczone, rozwydrzone, zawsze wyciągały tylko ręce po pieniądze, miał więc gdzieś, co o nim pomyśla, jeśli wpadnie.

Liczyła się tylko babcia, która zawsze opiekowała się nim, jak mogła.

Wspominając minione lata i walkę z przeciwnościami na różnych frontach, przypomniał sobie morderstwo jednego ze swoich rywali. Nie znosił gościa jak mało kogo. Lewicowy polityk, który chciał, aby geje i lesbijki mogli brać ślub. Popierał legalizację marihuany, eutanazję oraz aborcję niezależnie od okoliczności. „Tęczowy do wyrzucania” – tak o nim myślał Aramis.

Mimo absurdalnych poglądów facet mógł liczyć na wiele głosów, a wtedy on przegrałby z nim w swoim okręgu wyborczym. Wiedział, że takiej porażki by nie zniósł. Gdyby za swojego przeciwnika miał kogoś wartościowego, kogoś, kto faktycznie wnosi coś do polityki, to jeszcze by się podniósł. Wiele razy już przegrał. Ale wizja porażki w pojedynku z facetem, który chciałby umożliwić dwóm mężczyznom adopcję dzieci, przerażała go.

Dlatego podczas jednego ze spotkań z przyjaciółmi rzucił pomysł pobicia go. Pewnie w każdym innym towarzystwie zostałby zrugany za tak absurdalną myśl, ale swoich przyjaciół znał nie od dziś. I jak zwykle się nie zawiódł. Od razu mu przyklasnęli i ruszyli do przygotowań.

To była idealna akcja. Niczym wojownicze żółwie ninja przebrali się w maski i czarne stroje, które kupili przez internet na fałszywe dane. Następnie wkradli się do domu mężczyzny, w którym w tym czasie poza nim przebywały jeszcze trzy osoby, dwoje jego dzieci i żona. Młode związali i wrzucili do szafy. Nie chcieli nic im zrobić.

Za to kobietę zamierzali upokorzyć, szczególnie Aramis. Już wcześniej o tym wspominał. Mimo że jej mąż mówił rzeczy uwłaczające porządnym ludziom, ona to powtarzała, jakby w ogóle nie czuła sensu wypowiedzianych słów. Stała koło męża, uśmiechała się głupkowato, gdy on opowiadał, jak wiele dzieci znalazłoby dom, gdyby wdrożyli możliwość adopcji przez pary jednopłciowe.

Na oczach swoich kolegów Aramis rozebrał ją do naga, przerzucił na brzuch i zgwałcił, jak to robił już wielokrotnie, ale tym razem miał z tego niesamowitą satysfakcję. Czuł niewyobrażalną podniecie, mimo że kobieta nie należała do najładniejszych, a to wszystko dlatego, że kazał jej mężowi na to patrzeć. Potem pobili go do nieprzytomności. Nie chcieli robić mu ostatecznej krzywdy, woleli, aby cierpiał jeszcze długo, przypominając sobie szczegóły tego wieczora. Niestety okazało się, że nie potrafią właściwie zarządzać swoimi siłami, i mężczyzna po trzech dniach olbrzymich katuszy zmarł w szpitalu. Nie żałowali go.

A najważniejsze, że nigdy nikt nie wpadł na ich ślad, a ta wywłoka, która nie знаła swojego miejsca, na zawsze zniknęła z widnokregu. Aramis miał nadzieję, że i tym razem tak będzie. Dolał sobie jeszcze drinka i włączył muzykę klasyczną. Musiał na chwilę wyłączyć głowę, a tylko dźwięki symfonii Mozarta mu na to pozwalały.

Rozdział 41

Bartosz Bogucki podjechał pod komisariat pół godziny przed rozpoczęciem swojej zmiany. Była dziewiąta rano, miał jeszcze chwilę, więc sięgnął po jedną z kanapek przygotowanych przez Beatę i momentalnie się uśmiechnął. Taka zwykła rzecz, a bardzo ich różniła. Nawet w jedną z prostszych potraw wkładała tyle serca. On zazwyczaj kładł na bułkę kawałek szynki, nawet nie przekrajając jej, następnie dodawał sera, rzadko kiedy przyozdabiając jakimś warzywem, a ona za każdym razem równiutko smarowała masłem, następnie kładła wędlinę tak dobrą, że nawet nie wiedziałby, gdzie taką kupić, następnie kawałek sera. Zawsze musiał być też pomidor, papryka, czasami trochę szczypiorku. Po zjedzeniu takiej kanapki miał wrażenie, że dzień zaczyna się o wiele lepiej, niż gdy spożywał taką, jaką jadł całe życie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Czuł, że to będzie dobry dzień. Już ubierając się, tak postanowił. Miał więcej czasu, więc przyjrzał się dokładnie temu, co zakłada. Nie zauważył żadnej plamy. Dotychczas rzadko zwracał uwagi na niuanse, dlatego za każdym razem w zestawieniu z Obrębskim czuł pewien dyskomfort. Nikt nigdy mu tego nie wypomniał, ale jednak prawda była taka, że komisarz zawsze wyglądał dobrze, a on przy nim jak ubogi krewny. Teraz na

szczęście pierwszy raz od dawien dawna czuł się równie wartościowy, jakby to te plamy sprawiały, że jego notowania spadały.

Dojadł kanapkę i wysiadł ze swojego wiekowego auta, które miał nadzieję niedługo zmienić. Awans sprzed paru miesięcy spowodował, że w jego kieszeni zostawało więcej pieniędzy, mimo że musiał dokładać się Jaworskiemu do czynszu. Zamknął nieśpiesznie drzwi, ruszył w stronę komisariatu i zdębiał. W odległości stu pięćdziesięciu metrów stał Obrębski. Opierał się o samochód i z kimś rozmawiał. Z daleka widział tylko kawałek damskiej sylwetki, fragment jej ramienia, na podstawie czego wiedział, że jest całkiem niska. Na pewno dużo niższa niż kolega. Za to widział dobrze jego twarz. Dawno nie rozpierała go aż taka radość. Uśmiechał się, gestykułował żywiołowo, o czymś opowiadając.

„Oho, mój kolega w końcu kogoś sobie znalazł!”, pomyślał Bogucki i zrobił kilka kroków do przodu. Gdy zobaczył z boku fragment twarzy kobiety, świat zawirował. Kilkakrotnie zamrugał, licząc, że jego mózg wygenerował błędny obraz. Niestety cały czas widział to samo. Była to osoba, której najmniej by się tu spodziewał.

Maksymilian Obrębski ucinał pogawędkę z Alicją, tą samą, która tak niedawno naskoczyła na Beatę, robiąc jej wielką aferę w centrum handlowym. Zdecydowanie nie mógł być to przypadek.

Jeszcze do niedawna liczył, że w końcu odpuści. Zrozumie, że ich drogi się rozeszły i każdy powinien zacząć swoje życie. On to zrobił i bardzo mu się podobało. Beata była idealna. Tak zrównoważona, tak zaangażowana, ale jednocześnie dawała mu przestrzeń. Nie wchodziła mu na głowę, a za każdym razem, gdy rzucała jakiś pomysł, traktowała go jak partnera, a nie wykonawcę swojej woli. Nawet w przypadku spływu, który zaproponowała, wiedział dobrze, że

jeżeli powie jej, że nie chce, nawet nie wyjaśniając przyczyn, ona to zrozumie. Alicja nigdy by nie zrozumiała. Zawsze wszystko musiało być tak, jak ona chciała, dlatego ich drogi musiały się rozejść.

Teraz był pewien, że Alicja jest zdolna do wszystkiego.

Gdy po dziesięciu minutach do ich wspólnego gabinetu wszedł Obrębski, Bogucki przyglądał się koledze dużo wnikliwiej niż zazwyczaj. Był zadowolony ponad normę, z uśmiechem od ucha do ucha, a nie tak jak ostatnio – strapiony, zmęczony i zdołowany tym, że ma zdecydowanie za dużo pracy jak na jednego człowieka. Teraz błysk w oku aż raził, co potwierdzało dobitnie, że właśnie kogoś poznał. Bogucki dobrze znał to uczucie i gdyby nie fakt, że wiedział, kto jest powodem tego stanu rzeczy, byłby szczęśliwy. Nie miał pojęcia, co zrobić. Z jednej strony nie chciał poruszać tego dramatycznego tematu. Z drugiej górowała ciekawość, przyglądał się koledze jeszcze minutę i nie wytrzymał:

– Widziałem cię. Poznałeś kogoś? – spytał wpatrzony w ekran komputera, jakby to, co na nim miał, było zdecydowanie ciekawsze od odpowiedzi Obrębskiego.

– No tak, czego miałem się spodziewać, pracując na komisariacie pełnym ludzi ciekawskich ponad normę. Tu się nic nie ukryje, ale skoro już o tym mówimy, to tak, ostatnio poznałem dziewczynę w barze. Siedziała sama, piła drinka. Powiedziała, że czekała na kogoś. Nie wiem, czy to była randka w ciemno, czy coś innego, ale wiadać było, że została wystawiona. Postawiłem jej drinka i tak od słowa do słowa zaczęła mi opowiadać, że ostatnio zakończyła związek, ponieważ facet nie był gotowy na to, żeby związać się z nią do końca życia, a ona nie chciała na niego czekać. Mówiła, że to frajer, który nie doceniał, co ma, i zrezygnował z tego.

– Aha – skomentował Bogucki obrażony, ponieważ dobrze wiedział, że to było o nim.

– No więc zaproponowałem jej, że może ja będę teraz jej księciem. Oczywiście nie na długo, bo związki nie są w moich planach na najbliższą przyszłość. Tego oczywiście już jej nie powiedziałem. A tak poza tym to nieźle trafiłem. Piękna, urocza, pociągająca... – westchnął i uniósł brwi. Bogucki dobrze wiedział, że Alicja potrafi owijać sobie ludzi wokół palca. Robiła to zarówno z ojcem, jak i z matką, którzy zawsze skakali wokół niej. Obserwował to też wśród jej znajomych. To ona zawsze była głównodowodzącym, choć jej pomysły niekoniecznie były tymi najlepszymi. Mimo to nikt nie chciał stawać jej na drodze. Nikt nie chciał mieć z nią do czynienia. – Prowodzi chyba biuro nieruchomości i ubezpieczeń, a już zresztą nie pamiętam. Umówmy się, czy to jest ważne? Fajna laska, żeby trochę się odstresować.

Bogucki mimowolnie zacisnął pięść. Nie tego się spodziewał. Przez chwilę myślał, że kolega podejdzie do nowo poznanej dziewczyny troszeczkę bardziej jak dżentelmen, a nie jak facet, który tylko szuka okazji do wyżycia się seksualnie. Zupełnie nie wiedział dlaczego, ale chciał, żeby Alicja ułożyła sobie życie. Chciał, aby trafiła na kogoś porządnego. Tylko nie sądził, aby na ten moment ona też tego chciała. Nie wierzył, że fakt, iż ta dwójka się poznała, wynika z przypadku. Dobrze wiedział, że Alicja polowała na Obrębskiego i że to całe spotkanie wyszło z jej inicjatywy.

– Ale dość tego porannego plotkowania – rzucił komisarz. – Myślę, że to jest dobry moment, żebyśmy ruszyli. Ogarnij, co masz na tapecie, i o dziesiątej w dwuszeręgu zbiórka.

Wkrótce siedzieli w samochodzie Obrębskiego i jechali do Dominiki Kamińskiej, która, jak się okazało, mieszkała po sąsiedzku z miejscem, gdzie zostawiono ciało Grzegorza Mazura z nadzieją, że następnego dnia pochłonie go beton i ludzie na zawsze o nim zapomną, że pozostanie nie do odnalezienia. Było raczej mało prawdopodobne, żeby po czasie ktoś zaczął go tam szukać. Takie rzeczy zdarzały się raczej w amerykańskich filmach, a nie w polskiej rzeczywistości.

Droga pod wskazany adres minęła im w ciszy. Po kilkunastu minutach zajechali pod dom Kamińskiej, która już raz uniknęła spotkania z nimi. Teraz mieli nadzieję, że będzie inaczej. Zaparkowali blisko miejsca, w którym kilka dni wcześniej odnaleziono ciało Mazura. Wysiedli z samochodu i stanęli przed płotem. Dom, tak samo jak przy pierwszej wizycie, wyglądał, jakby był niezamieszkały. Żadnego ruchu. Nic. Obrębski nacisnął guzik przy furtce.

Minęła dłuższa chwila i Bogucki już chciał powiedzieć, że powinni ruszać do auta, bo nikogo nie ma, gdy Obrębski klasnął w dłonie i niewiele myśląc, położył je na ogrodzeniu i jednym susem przez nie przeskoczył. Chwilę później do uszu Boguckiego dobiegł przeraźliwy wrzask „Kurwa mać!”, a na twarzy kolegi pojawił się grymas jednoznacznie mówiący, że wykonany przez niego ruch był nieprzemyślany. Mając problemy z kręgosłupem, nie powinien wykonywać takich akrobacji. Jego ciało prosiło raczej o wyrozumiałość i spokój, a nie o skoki wzwyż. Komisarz zacisnął szczęki i na adrenalinie podreptał do drzwi wejściowych, ciągnąc nogę za sobą jak jakiś paralityk albo człowiek z niedowładem. Zaczął stukać, dodatkowo wrzeszcząc przy tym głośno:

– Policja! Proszę natychmiast otwierać! Wiemy, że jest pani w domu!

Bogucki szybko powtórzył jego wyczyn i po sekundzie obydwaj tkwili przed drzwiami, które nagle się otworzyły. Za nimi stała niska kobieta o przeraźliwie chudej twarzy, wielkich oczach okolonych sztucznymi rzęsami, którymi machała zdecydowanie za szybko. Ściągnęła usta w dzióbek i uniosła wysoko brwi.

– Dlaczego pani nie otwiera? – rzucił Bogucki, zupełnie zapominając, że powinien się przedstawić.

– Ale... ale... ja...

– Proszę pani – powiedział już spokojniej aspirant. – Jesteśmy z policji. Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa i bezwzględnie musimy z panią porozmawiać, a pani się od tego uchyla, co może wiązać się z nieprzyjemnościami.

– Ale ja... – Kobieta wzięła głęboki oddech. – Ja bardzo przepraszam, ale ostatnio ciągle nachodzą nas sąsiedzi. Ja wiem... – kontynuowała łamiącym się głosem. – Mój syn jest bardzo problematyczny. Ja wiem, że on czasami przesadza w swoich różnych reakcjach, zachowaniach, ale oni nie powinni... – Zawiesiła głos i smutno spojrzała na Boguckiego, delikatnie przekrzywiając głowę.

– Dobrze, proszę spokojnie, co się stało?

– No, bo mój syn jest niepełnosprawny. Ma siedemnaście lat, ale niektóre rzeczy zupełnie do niego nie docierają. Nie potrafi się zachowywać tak, jak jest przyjęte za normalne, i ludzie zamiast podchodzić do tego racjonalnie, bez emocji, to się wkurzają, żeby nie powiedzieć brzydziej. Ja wiem, że nie powinien grać w piłkę i kopać jej gdziekolwiek, ale on nie robi tego złośliwie. Ostatnio obił trochę samochód sąsiadowi. Powiedziałam mu, że zapłacę za szkody, tylko

za dwa, maksymalnie trzy miesiące, a on mimo to przychodzi praktycznie codziennie. Wrzeszczy mi pod oknem. Dlatego stwierdziłam, że nie będę otwierać, to przynajmniej nie będę musiała znowu słuchać tego, jaką jestem straszną matką i... – Głos zaczął jej drżeć, a całe ciało jakby bujało się na boki. – Bo już po prostu nie mam sił... – wydukała, a po jej twarzy popłynęła kolejna łza.

Gdy w końcu wytłumaczyła im swoje dziwne zachowanie, zaprosiła do niewielkich rozmiarów salonu. W pierwszym momencie Bogucki nie wychwycił, co nietypowego jest w tym pomieszczeniu. Dopiero po chwili zreflektował się, że nie było w nim żadnych półek. Wszystko zostało pochowane po szafach, a każdy kant zabezpieczony gumowymi łapkami, które kojarzyły mu się z małymi dziećmi. Widząc ich zdezorientowane twarze, kobieta zaczęła tłumaczyć:

– Mój syn się non stop przewraca. Już miałam dość wszelkich wizyt w szpitalach, na SOR-ach. W związku z tym stwierdziłam, że w domu tak to zorganizuję, żeby zmniejszyć możliwość jego urazów. Wszystko mam poustawiane w taki sposób, że gdyby przypadkiem się przewrócił, to żeby miał jak najmniejsze szanse na zrobienie sobie krzywdy. Dzięki temu od paru lat mam większy luz, chociaż wypadki zdarzają mu się praktycznie cały czas. Ostatnio idąc ulicą, potknął się i walnął ręką o krawężnik. Na szczęście rana była mała. Tylko niewielka strużka krwi poleciała z łokcia i wystarczył plasterk, aby zakleić ranę, ale tak i tak chucham na zimne i zabezpieczam wszystko, jak tylko się da. W domu wszystko jest tak pochowane, aby młody przypadkiem, jak się w nocy obudzi i będzie chciał się pobawić, nie wziął noża. Parę lat temu wymyślił, że zrobi mi niespodziankę. Postanowił przygotować sałatkę owocową. Akurat nie było mnie kilka minut w domu, bo skoczyłam do sklepu po proszek do

prania. Kiedy wróciłam, stał cały we krwi. Uciął sobie kawałeczek kciuka, więc nie ma na nim opuszka, a ja od tego czasu chowam wszystko, co ostre. – Kobieta przeczesła ręką włosy i pomachała długimi rzęsami. – No więc dobrze, a tak naprawdę to z jaką sprawą panowie tutaj przychodzą? Bo chyba nie chcieli państwo posłuchać historii o moim synu.

– Chcieliśmy panią spytać o Grzegorza Mazura – rzucił Obrębski, bacznie obserwując kobietę.

– O Grześka? – Wydeła usta i zmarszczyła brwi. – A co się stało?

– Niestety pan Grzegorz Mazur został zamordowany.

– Jezus Maria, jak to zamordowany? – Jej oczy momentalnie zaszyły łzami, a ręce zaczęły drżeć. – To jest przecież niemożliwe. On zawsze wszystkim pomagał. Mnie też wielokrotnie. To jakaś pomyłka.

– Niestety nie. – Komisarz na chwilę przerwał i czekał, aż kobieta się uspokoi. – W czym pani pomagał?

– Kilka razy przywiózł nas z ośrodka, gdzie Adrian miał zajęcia z psychologiem i TUS-y, znaczy treningi umiejętności społecznych. Nigdy nic za to nie chciał.

– A spotykała się pani z nim? Tak prywatnie, na randki?

Kobieta wydała dziwny dźwięk ustami i oblała się rumieńcem.

– No. Tak, spotykaliśmy się, ale to było taka raczej przygodna znajomość. Ja już tyle razy zostałam zraniona, że stwierdziłam, że nie chcę się z nikim wiązać. Ja wiem, że Grzegorz był jednym z niewielu mężczyzn, który byłby w stanie zaakceptować mojego syna, ale wolałam nie próbować. Ten stan rzeczy, który mam, mi wystarcza. To jest ciężkie życie z moim młodym. Bardzo go kocham, jednak wiele muszę dla niego poświęcić. – Kobieta przetarła oczy, mimo że żadna łza już nie poleciała.

– Rozumiemy, a proszę powiedzieć, kiedy ostatni raz pani widziała się z Grzegorzem Mazurem?

– Nie wiem, już dawno temu przestaliśmy się spotykać.

– A kiedy to dokładnie było? – Obrębski przyglądał się uważnie kobiecie.

– Jakies dwa miesiące temu, a może i więcej.

– I od tego czasu się pani z nim nie widywała? – dopytywał dalej komisarz.

– No, widziałam się z nim, ale w ośrodku, jak znajomi.

Mężczyźni patrzyli to na kobietę, to na siebie, ponieważ Kamińska cały czas dziwnie się zachowywała. Wyglądała na bardzo roztrzęsioną. To zupełnie nie pasowało do całej sytuacji. Jeżeli faktycznie Grzegorz Mazur nie był dla niej nikim ważnym, jej reakcja zaskakiwała.

– Czy widziała pani może ostatnio tutaj w okolicy kogoś nietypowego? Kogoś nieznanego, kto się tu kręcił?

– No nie, chociaż wie pan, mamy tę budowę... – Głową skinęła w stronę placu budowy, na której znaleziono ciało Grzegorza Mazura. – Oni tam cały czas się drą, samochody jeżdżą w tę i z powrotem. Miałam nadzieję, że to pójdzie jakoś szybko, ponieważ facet, który tym zarządza, jest jakiś narwany, ale pomyliłam się. Liczyłam, że będzie ich za mordę trzymał, a jestem zniesmaczona. Cały czas od rana do nocy piją, a teraz będzie tylko gorzej. Jak wyleją fundamenty, zaczną budować i wtedy zacznie się nawalanka. Nie wyobrażam sobie tego. Mój młody to dostanie przy tym hopla. On się boi głośnych sytuacji. Niestety dzieci z autyzmem bardzo źle znoszą hałas. Wszystkie takie sytuacje są dla nich traumatyczne. Wie pan – zwróciła się do Obrębskiego, jakby Boguckiego uznała za policjanta

gorszego sortu – jest piękna akcja dbania o psy, koty i inne zwierzęta w czasie sylwestra, a nikt w ogóle nie zwraca uwagi na to, co przeżywają dzieci takie jak mój syn. Przecież one nie są w stanie się schować i siedzieć w kącie przez kilkanaście godzin. Bardzo cierpią, szczególnie że te oszołomy to trzy dni przed sylwestrem już napażają. I nikt się nimi nie przejmuje, tylko biedne kotki i pieski, jakby chorzy to zupełnie się nie liczyli – bulwersowała się, wyraźnie rozżalona.

Obaj policjanci jak najbardziej rozumieli jej sytuację, jednak to nie był właściwy moment na dyskusję o tym.

– Czyli nikt tutaj się nie kręcił, nikt nie dzwonił do państwa, nie zaczepiał nikogo? Szczególnie interesują nas ostatnie trzy, cztery dni.

– Poza tymi za płotem to nie. Zresztą my z synem siedzimy w środku. Teraz, jak zaczęła się ta budowa, nie wychodzimy. Staram się nie otwierać okien, bo młody się bardzo, bardzo denerwuje.

– Moglibyśmy porozmawiać z pani synem? – rzucił nagle Obrębski, a kobieta momentalnie spochmurniała.

– Teraz śpi, a poza tym – zawiesiła na chwilę głos – jeżeli jest to konieczne, wolałabym, aby zrobiła to kobieta, najlepiej psycholog. Niestety syn źle reaguje na mężczyzn.

– No dobrze, to w takim razie nie będziemy pani już zawracać głowy, jeżeli coś by pani sobie przypomniała, to bardzo proszę dzwonić.

Obrębski wyciągnął w jej kierunku wizytówkę, a ona przyjęła ją, kokieteryjnie mrugając, jakby zupełnie nie czuła, że to nieodpowiednie w zaistniałej sytuacji. Schowała ją do kieszeni i ponownie spojrzała na komisarza.

– A ja bym miała pytanie... – zająknęła się i spuściła wzrok na podłogę. – Czy wiadomo już coś na temat tej dziewczynki, która została zamordowana tam w lesie?

Jej głos drżał jeszcze bardziej niż chwilę wcześniej podczas rozmowy na temat jej znajomego, tak jakby los dziewczynki bardziej ją poruszył.

– Jeszcze nic nie wiemy. A znała ją pani? – Obrębski zmrużył oczy.

– Nie! – krzyknęła i pokręciła przecząco głową. – To jest po prostu przerażające. Ja nie wyobrażam sobie, co ci rodzice teraz przeżywają. Ja chyba bym umarła, gdyby mojemu dziecku stało się coś tak okropnego.

– Tak, to prawda. Wszyscy są w szoku, że ktoś w tak okrutny sposób potraktował młodą dziewczynę, która miała całe życie przed sobą – skończył Bogucki, mimo że kobieta nadal patrzyła na jego kolegę.

Odwrócili się i ruszyli do wyjścia, zostawiając pociągającą nosem Kamińską.

Rozdział 42

ONA

Wypłaciłam pięćset złotych, mając nadzieję, że tyle wystarczy, by ktoś z obsługi hotelu poszedł ze mną na układ. Planowałam powiedzieć, że jestem dziennikarką i chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o kobiecie, która odwiedziła ich kilka dni wcześniej.

Na szczęście szybko wychwyciłam odpowiedni cel. Namierzyłam sporo młodszego ode mnie chłopaka, który stał za rogiem i palił papierosa. Do marynarki miał przypiętą plakietkę z imieniem i nazwiskiem oraz logiem hotelu. Przedstawiłam się jako Wiktoria Koniczna, dziennikarka z *Gazety Wyborczej*. Specjalnie wybrałam tytuł, który każdy zna, niezależnie od tego, czy czyta gazety. Oczywiście nie podałam żadnego konkretnego działu. Zresztą chłopak, kiedy zobaczył banknoty w mojej dłoni, przestał o cokolwiek pytać. Ważniejsze było to, czy informacje, które ma dla mnie, są godne takiej kwoty.

– Więc tak, tak, pracowałam trzy dni temu, a o co chodzi? – powiedział podekscytowany.

– Nie wiem, czy słyszał pan o Oldze Kowalonek?

– Olga Kowalonek? Nie, nie kojarzę. A kto to taki?

– To młoda kobieta, która została zamordowana...

– Ale nie u nas... – wszedł mi w słowo, zmarszczył brwi i zaczął wpatrywać się w moją twarz. Momentalnie poczułam się niekomfortowo.

– Nie, nie, nic u was się nie stało. Państwo są jak najbardziej czyści i w ogóle nikt niczego wam nie zarzuca, więc proszę się nie stresować, tylko chcielibyśmy tak dla czytelników ustalić, jak wyglądały dni poprzedzające to, co się wydarzyło. Jestem tutaj, ponieważ chciałabym w całości nakreślić jej historię.

Trochę naciągnęłam prawdę, ale liczyłam, że nie będzie zbyt ciekawski.

– Aha, to dobrze, a może ma pani jej zdjęcie?

Pokiwałam głową, wyciągnęłam z torebki wydruk, na którym Olga Kowalonek w czarnej sukience do połowy uda nie wyglądała jak prostytutka, ale jak kobieta, która po prostu wychodzi z przyjaciółmi na elegancką kolację czy może na urodziny do znajomego.

– Kojarzę ją, wpadała do nas. – Chłopak uśmiechnął się, pokazując zęby zabezpieczone aparatem.

– Naprawdę? – Podskoczyłam na jego odpowiedź.

– Tak, odwiedzała nas dość regularnie, a czy ona nie była...?

Spojrzał na mnie przestraszonym wzrokiem i zrobił jeszcze większe oczy. Zmarszczył brwi, jakby w jakiś sposób bał się wypowiedzieć słowo określające jej profesję.

– Tak, faktycznie trudniła się najstarszym zawodem na świecie, ale przy tym była bardzo dobrą osobą. Niestety została w pewien sposób do tego zmuszona. – Nie wiem, dlaczego zaczęłam ją tłumaczyć, jakby moje słowa były wymagane przez rozmówcę. – A kiedy ostatni raz pan ją widział?

- No, trzy dni temu. Przyszła oczywiście sama, bo one zawsze przychodzą same. Pewnie ci mężczyźni, co je wynajmują, nie chcą, żeby ich łączyć z kobietami jej pokroju, bo umówmy się, który by chciał, żeby jego żona wiedziała, że za pieniądze z tymi ładnymi laskami robią rzeczy, których pewnie w domu unikają, udając świętych.

- Dobrze, a wie pan, z kim była tu te trzy dni temu? - spytałam, wykorzystując chwilę przerwy w jego wypowiedzi.

- Wie pani, bardzo dużo osób przychodzi do naszego hotelu, wchodzi, wychodzi. Nie ukrywam, często wynajmują pokoje na godzinę. Szefostwo ma to gdzieś. Kasa to kasa. Kiedyś próbowali z tym walczyć, ale stwierdzili, że no, nie będą bić się z koniem, czy jak to tam się mówi. No bo po co? Jak nie u nas, to pójda gdzie indziej, a tak to przynajmniej my zarobimy. Cenią nas za dyskrecję. Za to, że mamy dobre żarcie i dobry room service, więc mogą sobie zamawiać wszystko z karty do pokoju. Nikt nikogo nie szpieguje. Nie mamy tutaj żadnych kamer.

- Aha, okej - powiedziałam prawdopodobnie dużo smutniejszym tonem, bo chłopak od razu dorzucił:

- Proszę się nie stresować, ja co nieco wiem, jestem dobrym obserwatorem. Jeżeli chodzi o tamtą noc, to wydaje mi się, że ona spotkała się z takim gościem. Z tego, co zapamiętałem, to koło czterdziestki, lekko łysiejący, bez brzucha, nieco przypakowany. Może kiedyś i był przystojny, ale teraz już nie bardzo.

Od razu wiedziałam, że to nie oskarżony, bo Zaremba wygląda zupełnie inaczej.

- Rozumiem, że nie ma pan jego danych.

- Oczywiście, że nie. Wiem, że bywał tutaj wielokrotnie, nie tylko z tą panią. Z innymi też się umawiał, ale nic pani nie powiem. Oni tutaj wszyscy płacą gotówką. To jest według mnie taki znak rozpoznawczy. Jeżeli przychodzi facet i płaci gotówką, to wiadomo, że nie spotka się tutaj z żoną na romantyczną noc. Nie jest to zwykły wyjazd służbowy, tylko spotkanie w wiadomym celu. - Ponownie zaprezentował mi swoje druty na zębach i uniósł sugestywnie prawą brew.

- No dobrze, a to jeszcze jedna sprawa. Wie pan może, jak ona przyjechała?

- Taksówką. - Chłopak rozejrzał się nerwowo, jakby nagle zaczął obawiać się, że ktoś go zobaczy.

- A widział pan, jak wychodzi?

- W sumie, to nie, nie widziałem.

- A ten mężczyzna, jak przyjechał?

- Kurde, w ogóle o tym nie pomyślałem. - W tym momencie oczy mu się zaświeciły, a na twarzy zagościł szeroki uśmiech. - Faktycznie to było trochę dziwne, bo też przyjechał taksówką, a po kilku godzinach widziałem, jak siedzi na tylnym siedzeniu jakiegoś takiego dużego samochodu typu Land Cruiser. Nie wiem, nie znam się, to takie samochody dla bogatych, ale... - Zawiesił głos. - Tylko nie wsiadł przed głównym wejściem. Akurat wtedy stałem od ulicy. To oznacza, że musiał wyjść klatką dla personelu. Generalnie mało kto tak robi.

- Faktycznie dziwne... Rozumiem, że nie jest pan w stanie powiedzieć, jaki to dokładnie był samochód? - Zacisnęłam pięść, licząc jeszcze na ostatni łut szczęścia.

- Nie, niestety nie pomogę pani, bo nie widziałem go z przodu. Tylko z boku. Nie wiem, może ma prywatnego szofera, w ogóle on mi się wydawał znajomy.

- Może jakiś aktor? - momentalnie podłapałam temat.

- Nie wiem. - Zaczął kręcić głową na boki, a przydługa blond grzywka podskakiwała energicznie. - Nie przyglądałem mu się. Widziałem tylko przelotnie. Oni oczywiście zawsze, jak tu przychodzą, to zakładają czapeczki, kaptur, tak żeby nikt ich nie poznał. Mieliśmy tu już paru celebrytów, aktorów. Część udało nam się zidentyfikować. Bawimy się z resztą obsługi, ale tego akurat nikt nie rozszyfrował. Zresztą tego dnia panował straszny ruch. Organizowano jakąś imprezę firmową. Oczywiście nie ma mowy o żadnym zdjęciu ani niczym takim, bo szefostwo urwałoby nam jaja. Oni naprawdę tutaj bardzo pilnują, aby wszystko było na jak najwyższym poziomie i by dyskrecja stanowiła jedną z dominujących cech. Każdy z nas, kto tu pracuje, podpisał jakieś papiery, nawet nie wiedziałem o tym. Nie przeczytałem umowy - zaśmiał się smutno. - Ostatnio powiedziała mi o tym koleżanka, która popełniła ten błąd i sprzedała zdjęcie aktora całującego się z jakąś laleczką jednemu z paparazzi. Matko, co za afera wybuchła! Momentalnie straciła pracę, a miała na utrzymaniu dwójkę małych dzieci i męża nieroba, więc naprawdę tragedia rodzinna, poza tym ma teraz sprawę w sądzie o złamanie umowy. A tam się okazało, że jest sto tysięcy kary i jeżeli by wyszło, że dostała od gazety więcej, to nie dość, że wszystko by straciła, to jeszcze musiałaby dużo więcej dopłacić. Dlatego więc może z ludzkiej ciekawości czasami się przyglądamy, ale nie dokumentujemy. Takie rozmowy to nic straszego, chociaż wolałbym już wrócić do pracy. - Spojrzał wymownie na komórkę.

- To jeszcze ostatnie pytanie: na pewno nie wie pan, skąd zna mężczyznę, który przyszedł z Olgą Kowalonek?

- Wiem, że kojarzę skądś głę, ale niech pani mnie zabije, nie wiem, kim on był.

Podziękowałam chłopakowi i nie wiedząc, co zrobić z tą wiedzą, wróciłam do domu. Dostałam właśnie kolejne potwierdzenie na to, że Błażej Zaremba nie zabił Olgi Kowalonek. Że nie wyszła z hotelu, a prawdopodobnie zabił ją ten, z kim się umówiła, po czym wyjechał dużym samochodem. Tylko jak mogłabym się dowiedzieć, co to było za auto?

Rozdział 43

Bogucki swoim zwyczajem, który ostatnio tak bardzo pielęgnował i z którego był niezmiernie dumny, przyjechał chwilę przed rozpoczęciem służby. Poza tym potrzebował chwili samotności. Od kilku dni nie mógł się odnaleźć w tym, co się dzieje w jego życiu prywatnym. Z jednej strony się cieszył, bo Beata dawała mu tyle szczęścia, ile dotąd mógł sobie tylko wymarzyć. Nie sądził, że znajdzie kogoś, do kogo będzie tak bardzo pasować. Z drugiej jednak strony czuł się niekomfortowo z tym, że Obrębski zaczął spotykać się z Alicją, a na dodatek jeszcze mówić o niej rzeczy, które nie bardzo mu pasowały. Nie czuł się wobec niej w żaden sposób zobligowany, żeby ją chronić, ale przeżyli razem na tyle dużo, że gdzieś w głębi serca chciał, żeby spotkało ją coś dobrego, a Obrębski swoim zachowaniem wcale się w to nie wpisywał. Była jeszcze jedna sprawa, a mianowicie to, że nie powiedział o tym Beacie. Czuł się trochę jak zdrajca, ale bał się, że źle to zinterpretuje. Będzie zazdrosna. Dobrze pamiętał, jak Alicja zachowywała się w stosunku do jego byłych dziewczyn. Powtarzała wielokrotnie, że nie ma prawa się z nimi spotykać, widywać, myśleć o nich, mieć z nimi jakichkolwiek relacji, ponieważ dla niej oznaczałoby to zdradę.

Teraz był zupełnie skołowany. Wiedział, że Beata jest przeciwieństwem jego byłej i że w wielu aspektach kieruje się rozsądkiem, ale

ten obszar był mu nieznany. Nigdy nie rozmawiali za dużo o swoich byłych. Może dlatego, że Obrębski był mu zbyt bliski, żeby poruszali nagminnie jego temat, a dla niego mówienie o Alicji tylko wywoływało złe wspomnienia.

To, jak go ograniczała, jak próbowała nim manipulować... Wolał to odciąć grubą kreską. Żeby trochę odciągnąć myśli od tej sytuacji, włączył komputer i zaczął jeszcze raz przeglądać materiały nagrane przez bankomat w pobliżu mieszkania Zaremby – ten, który pokazywał również fragment ulicy.

Od wczoraj cały czas miał wrażenie, że jeden element się powtarza. Po przejrzeniu nagrania po raz czwarty wiedział już, o co chodzi. Na kilku z nich pojawiał się land cruiser, który musiał co najmniej dwa razy w dość dziwny sposób zawrócić. Każdy bok samochodu widział dwukrotnie, a ponieważ był to środek nocy zdecydowanie zasługiwał na większą uwagę. Na ich nieszczęście prokurator, dzięki któremu udało im się dostać do bankomatów, zaliczył niesamowity sukces i złapał swojego przestępcę. W związku z tym teraz nie mogli już na nim polegać i zwrócić się do niego o dostęp do kolejnych kamer, ponieważ nie miało to żadnego uzasadnienia.

Spisał raport i wysłał do Obrębskiego, odruchowo wpisując również adres prokuratora prowadzącego sprawę Olgi Kowalonek. Gdy tylko nacisnął „Wyślij”, krzyknął przeraźliwie „Kurwa mać!” i złapał się za głowę. Wiedział dobrze, że będą mieli przez to problemy, ponieważ nie dostali od Borowicza zgody na sprawdzenie kamer. Przecież dla niego Błażej Zaremba był jedynym podejrzanym i tylko wokół niego mieli szukać, jakby facet nie brał pod uwagę innych opcji.

Gdy już zeszło z niego wkurzenie, ruszył z następną rzeczą z długiej listy do zrobienia – komórką Błażeja Zaremby. Na szczęście na

jej sprawdzenie prokurator wyraził zgodę, jakby wyszedł z założenia, że nic nie znajdą. Informacja o ostatnim logowaniu potwierdziła, że mężczyzna nigdzie się nie przemieszczał.

Bogucki przeszedł do kolejnego maila, który otrzymał. Były to dane związane z drukarką, na której wydrukowano list do rodziców Magdy Boczarskiej. Okazało się, że sprzedano ją w jednym z dużych sklepów komputerowych. Następnie drukarka wylądowała w firmie na warszawskich Bielanach. Właściciel po roku pozbył się jej i sprzedał jednemu z pracowników, który następnie wystawił ją na Allegro. Osoba, która kupiła ją na platformie, sprzedała ją znajomemu, a ten oddał do komisju, bo ledwo dychała. Tam niestety urywał się wszelki trop, ponieważ w komisji nikt nie prowadził identyfikacji kupujących. Komis znajdował się na Żoliborzu, jednak sprzęt mógł kupić dowolny mieszkaniec Warszawy, pobliskich miejscowości, a tak naprawdę to i również przejezdny, dlatego nie mieli żadnego punktu zaczepienia i nie wiedzieli, gdzie teraz drukarka mogła się znajdować. Podobnym ślepym zaułkiem okazał się papier, który został użyty do wydrukowania krótkiej wiadomości. Nie był w żaden sposób charakterystyczny. Najbardziej standardowy format A4, gramatura 80 g/m², który sprzedają na tony w wielkich supermarketach oraz małych lokalnych sklepach papierniczych.

Rozdział 44

ONA

Gdy obudziłam się rano, miałam wrażenie, że jestem w jakimś innym nierzeczywistym świecie. Że moje ciało ktoś zaatakował milionem małych igiełek i wbija je głębiej i głębiej, wywołując coraz większy ból. Nie byłam w stanie ruszyć ręką ani nogą, nawet uniesienie powiek było wyczynem z kategorii tych niemożliwych. Znowu to się stało. Myślałam, że leki, które dał mi lekarz, wyeliminują ten problem na długo. Pojawiał się czasami sporadyczny ból, ale to było bardziej uczucie dyskomfortu. Uczucie, które szybko byłam w stanie wyeliminować jedną dawką leków, a teraz nie wiedziałam, jak w ogóle wstanę.

Leżałam w łóżku i modliłam się o kres tego bólu.

Jakikolwiek.

Nawet jeżeli wiązałby się z moim końcem. To, co się ze mną działo, było niewyobrażalne.

Nie wiem, jak ludzie, którzy żyją w takim bólu, dają radę miesiącami, a czasami nawet i latami. Nie wyobrażam sobie, że będę żyła tak samo. Chciałabym wtedy zniknąć. Przestać oddychać.

Kiedyś się zastanawiałam, jak mogłabym umrzeć. Co bym zrobiła, gdybym faktycznie postanowiła ze sobą skończyć.

Powieszenie jakoś nie wydaje mi się dobrym rozwiązaniem. Wiele czytałam na ten temat. Po pierwsze, czasami ludziom się nie udaje. Lina się zrywa albo po prostu przychodzi ktoś, kto ratuje, ale ratuje na tyle późno, że z człowieka zostaje tylko roślinka, którą rodzina i bliscy próbują utrzymywać przy życiu, myśląc, że kiedyś stanie się cud. W większości przypadków nigdy nic się nie dzieje i ta osoba trwa i trwa, leżąc w łóżku, gapiąc się tępo w sufit, sparaliżowana, z uszkodzonym mózgiem, który przed dłuższą chwilę był niedotleniony.

Skoczyć pod pociąg chyba też nie dałabym rady. Nie wiem, czy znalazłabym w sobie odwagę, żeby nagle zrobić „hop!” i wylądować pod kołami rozpędzonego pociągu. Poza tym wizja, że obciążylabym moją śmiercią Bogu ducha winnego maszynistę, jakoś by mnie blokowała.

Podciąć żył bym nie zdołała. Nie mam tyle jaj, żeby po prostu pociągnąć ostrym nożem po nadgarstku i rozerwać nim naczynia krwionośne. Tak samo strzelenie sobie w głowę. Poza tym skąd ja bym wzięła broń? Znając życie, jakbym bardzo pokombinowała, to dałabym radę, ale są łatwiejsze sposoby.

Chyba najbardziej do mnie przemawia zażycie tabletek. Gdzieś czytałam, że jest to najprzyjemniejsza forma śmierci, ponieważ jeżeli bym je dobrze dobrała, mogłabym nie być w ogóle świadoma tego, że już odpłynęłam. Że już mnie nie ma. Że cierpienie już przestało być dominującą częścią mojego życia, bo po prostu nie mam tego życia.

Teraz, leżąc na łóżku sparaliżowana bólem, znowu zaczęłam na ten temat myśleć, mimo że okoliczności diametralnie się zmieniły. Kiedyś chciałam to zrobić, ponieważ nie widziałam sensu w moim życiu. Nie marzyłam nawet o tym, że kiedyś ktoś przyjdzie mi z odsieczą i wyciągnie z tego bagna.

Gdyby nie Gabrysia i Wiola, myślę, że w moim życiu cały czas byłoby tak samo. Byłoby smutno. Myślę, że moja rodzina dalej by trwała w swoich zwyczajach, ignorując mnie jako wartościowego członka swojej gromady. Patrzyliby na mnie z tym samym wyrzutem, licząc na to, że kiedyś sama od nich odejdę, a gdy w końcu bym się od nich uwolniła, nie widziałabym ich latami, a może już nigdy.

Lub może bym nie wytrzymała i sięgnęła po ostateczne rozwiązanie.

Jednak ta wersja, która się wydarzyła, bardziej mi pasuje.

Ale teraz musiałam zrobić coś, żeby ten ból minął. W szafce w kuchni miałam tabletki, które według słów lekarza miałam brać w ostateczności. Nie wiem, jak mi się to udało, ale w końcu wstałam i doczłapałam się tam na czworaka. Wzięłam leki i położyłam się z powrotem na podłodze. Była tak przyjemnie zimna.

W końcu po trzydziestu minutach tabletki zaczęła działać i mogłam wstać. Miałam tyle do zrobienia. To, czego dowiedziałam się o Oldze Kowalonek, rozłożyło mnie na łopatki. Poniekąd udowadniałam sobie, że zginęła kolejna dobra osoba, która po prostu, tak jak ja, nie miała szczęścia w życiu. Może mnie nie spotkał aż tak tragiczny los, ale czułam z nią niesamowitą więź. Szkoda, że nie miałam okazji jej poznać. Może jakimś cudem udałoby mi się jej pomóc. Może dzięki temu, gdzie pracuję, udałoby mi się dojść do tego, jak ją z tego wszystkiego wykaraskać, wywieźć dokądś tak, żeby już jej nie dopa-

dli. By mogła w końcu żyć normalnie i czuć się wartościową osobą. Jej zawód przecież wcale jej nie definiował.

Musiałam jakoś doprowadzić do tego, aby policja trafiła na to, do czego ja doszłam. Tylko w jaki sposób? Jedyne, co przyszło mi do głowy, to najłatwiejsze z najłatwiejszych, czyli anonim. Dobrze wiedziałam, że istnieje zarówno skrzynka mailowa, jak i numer, pod który każdy obywatel może zadzwonić. Nie wiem, jakoś tego dzwonięcia i wysyłania maili się bałam. Obawiałam się, że ktoś namierzy telefon, z którego zadzwonię, lub IP komputera, z którego wyślę maila. Potem będą tak długo szukać, szperać, aż trafią na mnie.

Zdecydowanie łatwiejszy wydawał się list. Dobrze wiedziałam, co zrobić, żeby nie było na nim żadnych śladów. W końcu sama się tym zajmowałam, dlatego wybrałam najprostszy dla mnie sposób.

Odręcznie, wykorzystując papier z policyjnego zapasu i najprostszego bika, jakiego używa połowa Polaków, naskrobałam kilka zdań drukowanymi literami, których nigdy nie używam. Wyglądały dziwnie, jakoś... „niemojo”. Po latach szlifowania charakteru pisma, bo mój ojciec miał na tym punkcie świra i kazał mi godzinami klepać te same wyrazy w jednej linii, uważam, że piszę naprawdę ładnie.

Jednak nie to miało teraz znaczenia. Liczyło się, aby moja informacja otworzyła im oczy. Pozostawała jeszcze kwestia tego, jak dostarczyć moje wypociny, ale to zostawiłam sobie na później.

Teraz musiałam odpocząć. Lekarz uprzedzał mnie przed stresowymi sytuacjami, przed nadmiarem pracy. Powiedział, że wtedy moje ciało reaguje jeszcze większym napięciem, a to napięcie mi nie służy, ponieważ wtedy wszystkie mięśnie w moim ciele pracują na wyższych obrotach, a bardzo tego nie lubią. Naprężają się do granic

możliwości, a ból, który rozsadza mnie od środka, jest nie do zniesienia.

Myślałam, że trochę naciąga rzeczywistość i jak zwykle wyolbrzymia, jak większość lekarzy, ale niestety ten wyjątkowo mówił prawdę. Problem polegał na tym, że nic nie wskazywało na to, że bym w najbliższym czasie miała zrezygnować ze swojej pracy. Była jedynym, co utrzymywało mnie przy życiu. Nie byłoby mnie bez niej.

W końcu zebrałam się, wstałam i wykąpałam. Ból, który paraliżował mnie od momentu, kiedy otworzyłam oczy, gdzieś się rozmył. Czułam go jeszcze w sobie, ale był na tyle lekki, że mogłam ruszyć do pracy. „Taki ból to nie ból” – pomyślałam. Delikatny jak muśnięcie motyla, a nie miazdzący, rozrywający jak ten, którego doświadczyłam po przebudzeniu.

Ubrana w granatowy kostium, który ostatnio kupiłam podczas wyprawy do sklepu z dziewczynami, ruszyłam do pracy. Mimo że ten dzień nie zaczął się dobrze, miałam jakąś wewnętrzną ciekawość i chęć przeżycia go jak najlepiej. Wczoraj, wychodząc, nie zdążyłam sprawdzić jednej rzeczy.

Moja szefowa nagle pojawiła się w laboratorium, ponieważ została wezwana przez ekipę prowadzącą śledztwo i musiała jak najszybciej przeprowadzić badanie, które tylko ona była w stanie zrobić. Dlatego nie mogłam sprawdzić pewnego swojego podejrzenia. Czegoś, co tkwiło gdzieś z tyłu głowy, ale bez dostępu do danych nie mogłam tego zweryfikować.

Zupełnie przypadkiem dostałam do analizy ślady z miejsca, gdzie zabito nastoletnią dziewczynę. Ktoś dokonał czynu, który nigdy nie powinien był się wydarzyć, ale stało się i wiedziałam, że po części

moim zadaniem jest doprowadzenie do sytuacji, kiedy będzie można złapać przestępcę, a następnie skazać go na długie lata w więzieniu.

Śladów na miejscu zbrodni było bez liku, tak jakby morderca w ogóle nie brał pod uwagę tego, że my będziemy to sprawdzać, że zrobimy wszystko, aby go złapać. Prawdopodobnie działał w jakimś amoku i szale, kiedy to górowały jego żądza i szaleństwo. No, chyba że należy do niewielkiego grona przestępców, którzy również czerpią satysfakcję z tego, że kiedyś zostaną złapani i że prowadzą z policją pewnego rodzaju zabawę w kotka i myszkę.

Czytałam kiedyś o mordercy, który zostawiał liściki. Pisał je odręcznie. Zawsze w taki sam sposób. Wykaligrafowany, elegancki. Kartki skrapiał własnymi perfumami. Okazało się, że to było jego wielkie hobby i zawsze marzył, aby otworzyć perfumerię z samodzielnie komponowanymi i produkowanymi wodami toaletowymi.

Bawił się tak z policją dość długo, aż w końcu trafili na niego, ponieważ kupował w bardzo dużej ilości materiały potrzebne do produkcji perfum. Niestety zupełnie bez zastanowienia zamawiał je z zagranicy, a policja, rozszerzając zakres swoich poszukiwań, sprawdziła paczki przechodzące przez Urząd Celny. Okazało się, że jednostka w stolicy odnotowała kilka takich zakupów i powolutku, po nitce do kłębka doszli do mężczyzny. Co ich bardzo zaskoczyło, wcale nie opierał się podczas aresztowania. Wręcz emanował dumą, że udało mu się pozbawić życia aż sześć młodych dziewczyn. Podobno jednemu z policjantów wytknął nawet opieszałość. Mogli go aresztować już dwie ofiary wcześniej. Okazało się, że był już przesłuchiwany, ponieważ pracował z jedną ze swoich ofiar, ale nie uznali go za podejrzanego.

Dlatego wiedziałam, że moja praca jest niezwykle ważna i muszę analizować wszystko jak najdokładniej. Oczywiście nikt nie wymagał ode mnie łączenia faktów, jednak moja wewnętrzna potrzeba nie dawała mi wytchnienia.

Od wczoraj czułam, że na coś trafiłam. Pół nocy nie mogłam spać, ponieważ to tkwiło gdzieś z tyłu mojej głowy i pukało w okno niczym zwisający z dachu kabel, który odłączył się od instalacji i przy każdym powiewie wiatru napażał w szybę.

Wiedziałam, że coś jest nietypowego w tych odciskach, które zostały zdjęte na miejscu zamordowania dziewczyny. Jeszcze przed wyjściem z pracy przejrzałam większość spraw, które ostatnimi czasy prowadziłam. Moja głowa podpowiadała mi, że już wcześniej takie widziałam. Oczywiście ktoś mógł powiedzieć, że po prostu dłoń nie odcisnęła się w całości, ale ja jakby gdzieś w sobie czułam, że to nie o to chodzi.

W końcu doszłam do pracy.

Nawet nie poszłam po kawę, co zawsze robię po przyjściu, ale od razu pognałam do komputera. Uruchomiłam go, licząc, że nikt mi nie będzie przeszkadzać. Zegar ścienny pokazywał szóstą trzydzieści. O tej godzinie laboratorium świeciło pustkami.

Gdy w końcu system się załadował, zaczęłam przeglądać po raz kolejny wszystkie interesujące mnie sprawy z ostatnich dwóch miesięcy. Wiedziałam dobrze, że nawet jeżeli bym trafiła na te odciski dużo wcześniej, też bym je zapamiętała. Bardzo często zdarzało mi się, że w mojej pamięci długi czas siedziały informacje o dowodach, które większość osób już dawno by wymazała.

Teraz siedziałam przy komputerze, próbując wyszukać właściwą sprawę. Mijały minuty, a ja niczego nie miałam. Frustracja narastała,

bo takie rzeczy nigdy mi się nie zdarzały. Mogłam powiedzieć, że moja pamięć jest niezawodna, nigdy nie szwankowała, a teraz siedziałam przed komputerem i czułam, że coś jest nie tak, że może przez ten ból, może przez nieprzespaną noc, która była niczym rozrywanie na kole, zaszły we mnie jakieś zmiany.

I ja nie jestem już sobą.

Już chciałam pójść po kawę, licząc, że może ona pomoże, gdy poczułam to.

Jakby nagle spłynęło na mnie jakieś jasne światło. Trybiki w mózgu przeskoczyły na właściwe miejsce. Nie wiem, jak to się mogło wydarzyć. Skupiłam się tylko na śledztwach, w których coś badałam, zupełnie zapominając, że trzy dni temu przeglądałam akta sprawy, w którą nie byłam formalnie zaangażowana.

Sprawy Grzegorza Mazura.

Sprawy mojego prawie sąsiada, który wylądował w dziurze w pobliżu mojego domu. Weszłam w dokumenty i wtedy mnie zatkało.

To nie mogła być prawda, ale wszystkie dowody na to wskazywały. Tylko dlaczego oni tego nie połączyli? Patrzyłam na odciski i zastanawiałam się, co zrobić. Kolejny anonim nie wchodził w grę. W końcu na mnie trafią, a tego bardzo bym nie chciała.

Rozdział 45

– Kurwa mać! – Mężczyzna krzyczał wniebogłosy, jakby ktoś robił mu fizycznie krzywdę. – Co za debile!

Wrzeszczał raz po raz, zupełnie zapominając, że za ścianą są inni ludzie. I tak miał to gdzieś. W tym momencie był tylko on i raport, który dostał przez pomyłkę i dobrze o tym wiedział. Niedawno zatrudniony w wydziale kryminalnym Bogucki cały czas nie do końca się odnajdywał. Bywało, że coś nieprofesjonalnie skomentował, a teraz zupełnie przez przypadek wysłał mu dokumenty, które nie powinny do niego trafić, ponieważ nie dał zgody na to, aby sprawdzać bankomaty.

Po pierwsze, Błażej Zaremba był doskonałą ofiarą, na którą mogli rzucić morderstwo. Po drugie, zgodnie z przepisami prawa to on jako prokurator wyznaczał wszystkie kierunki działania policji. Oni bez niego nie mogli nic zrobić. Byli po prostu robotami, którzy powinni wykonywać wydawane przez niego rozkazy. Po części za to uwielbiał swoją robotę. Za to, że pokazywał jełopom palcem, co mają robić, a oni grzecznie niczym malutkie psiaczki latali tam, gdzie im rzucił patyk, i zwykle nikt się nawet nad tym nie zastanawiał.

Robili dokładnie to, co im kazał, a jemu było to bardzo na rękę. Oczywiście z reguły nie miał żadnej ochoty na wpływanie na śledztwo. No bo po co? Co go obchodziło, kto zostanie skazany za gwałt

czy pobicie obcej osoby. Szedł wtedy po linii najmniejszego oporu, zrzucając na policjantów wszystkie działania, a polecenia wysyłał im z reguły mailowo, bo nie chciało mu się z nimi komunikować w żaden inny sposób. Czasami, gdy jeszcze za dawnych czasów podnosił słuchawkę i wydawał im rozkazy słownie, wchodzili z nim w dyskusję, rzucali swoje pomysły, a to wymagało od niego pracy, przygotowywania zezwoleń, podpisywania większej ilości papierów. Nie o to w życiu chodziło, żeby się narobić.

Jego ojca nigdy nie było w domu. Najpierw dlatego, że chlał z me- nelami. Zresztą sam też nim był, aż pewnego dnia ich los się odmie- nił i zupełnie przypadkiem pomógł facetowi, który dał mu robotę i wyciągnął z osiedla pijaków, rzezimieszków, na którym nikt ni- czego nie osiągnął w życiu. No i się zaczęło. Powolutku piął się po szczeblach kariery. Nadal pił, a nawet i więcej, bo często służbowo, jednak inne były typ alkoholu i towarzystwo.

Dzięki temu po latach jego syn nie stresował się zatrudnieniem. Mimo że dzięki koneksjom ojca mógłby wiele osiągnąć, nie chciał żyć dla pracy. Chodził do niej tylko po to, żeby godnie żyć. Gdyby wy- silał się bardziej, jego konto wyglądałoby niewiele lepiej. To, co nato- miast przynosiło zacny zastrzyk gotówki, to sporadyczna pomoc ja- kiemuś gangusowi. Nie miał żadnych skrupułów. Tak samo nie miał skrupułów w stosunku do Zaremby. Nie znał gościa, ale skoro Portos powiedział mu, że nikt za nim nie zapłaci, nie zastanawiał się ani sekundy.

Teraz patrzył na kadry z nagrania pochodzącego z kamery banko- matu i widział samochód przyjaciela, którym zgarnęli Aramisa i tę martwą dziwkę, po tym jak posprzątałi niczym zawodowcy. Prosto z hotelu pojechali do mieszkania muzyka. Wszystko poszło spraw-

nie. Może dlatego, że mieli wprawę. Zanim weszli do pokoju, który kumpel wynajął, zgarnęli ze składziku dla sprzątaczek potrzebne rzeczy. Na szczęście o tej porze nikt się nie kręcił. Zrządzeniem losu okazało się, że pokój był obok klatki schodowej prowadzącej na parking. Szybko wynieśli ją tamtędy, sprawdzając po drodze, czy nie ma gdzieś jakiejś kamery. Na szczęście nie było. Wrzucili ją na tylne siedzenie na przygotowaną wcześniej folię, jakby była workiem ziemniaków, mając nadzieję, że w czasie podróży nie dojdzie do dodatkowych obtarć ani śladów, które później mogą wskazać, że została przetransportowana. Wzięli też zakrwawioną kołdrę, a na jej miejsce położyli czystą ze składzika, licząc, że minie trochę czasu, zanim ktoś się zorientuje, że jednej brakuje. Gdy dojechali do Zaremby, ten zgodnie z opisem Portosa leżał w swoim łóżku i ledwo oddychał. Najpierw myśleli, że nie żyje, ale gdy podeszli w trójkę i stanęli nad nim, okazało się, że cicho posapuje. Ułożyli kobietę w wannie, dokładnie w taki sposób, w jaki leżała w hotelowej łazience. Specjalnie napstrykali serię zdjęć, aby później jak najlepiej odwzorować to ułożenie.

Teraz wszystko mogło pójść w komin, a to za sprawą jednego przygłupa, który bez jego przyzwolenia postanowił być dociekliwy ponad wymagany pułap. Czy to jest istotne, kogo wrzuci się do więzienia? Ma się zgadzać statystyka. Za morderstwo ktoś musi odpowiedzieć. Nie raz, nie dwa zdarzało się, że niewłaściwa osoba trafiała do więzienia, i nikt się zbytnio tym nie przejmował. Dzięki temu prokuratura i policja miały lepsze statystyki. Teraz nagle ludzie zrobili się tacy dokładni, przestrzegali wszystkich przepisów, a on miał to w dupie. Dla niego ważne było to, żeby kogoś skazać, a Zaremba był najlepszą ofiarą.

Spojrzał jeszcze raz na odebranego maila i uderzył w stół, rozlewając kawę, którą chwilę wcześniej przyniosła asystentka. Dobrze wiedział, że dochodzące z jego gabinetu dźwięki nie spowodują, że ktoś do niego wejdzie. Każdy wiedział, że obowiązuje zakaz wstępu, gdy drzwi są zamknięte. Nikt nie miał prawa do nich pukać, a tym bardziej otwierać bez zapowiedzenia się. A gdyby nawet ktoś pomyślał, że coś mu się stało, miał pełną świadomość, że nikt nie przyleciałby mu na ratunek. Był jedną z najbardziej znienawidzonych osób w prokuraturze i wcale mu to nie przeszkadzało. Zapracował sobie na to i był z tego dumny.

Rozdział 46

Bogucki podstawił swój kubek pod ekspres i nacisnął guzik. Nie przepadał za kawą, ale w tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Musiał się dobudzić. Wczorajszy wieczór się przeciągnął. Znowu wpadł do nich brat Beaty i spędzili trzy godziny, grając w planszówki. Nigdy nie lubił takich gier, ale dopiero poświęcając im więcej czasu, zorientował się, że nie chodziło o same planszówki, ale o fakt, że tak naprawdę nigdy nie miał z kim grać, albo o to, że towarzystwo, w którym grał, po prostu mu nie odpowiadało.

Jednak poprzedni wieczór spędził, śmiejąc się i chichocząc, obserwując, jak Beata z bratem cały czas się przekomarzają, robiąc sobie docinki. Obcy ludzie za większość z tych tekstów by się na siebie obrazili. Oni jednak znosili to z wielką pokorą i uśmiechem na twarzy. Dla policjanta niesamowite było to, jak bardzo się kochali, mimo że różniło ich praktycznie wszystko. Michał był zdecydowanie lekkoduchem, a Beata stała mocno dwiema nogami na ziemi. Ona wszystko planowała, a on do wszystkiego podchodził z wielkim luzem. Może się uda, może nie, a jak będzie, tak będzie. Ona stresowała się wieloma rzeczami, zupełnie niepotrzebnie, a i tak, jak mu powiedziała, kiedyś było jeszcze gorzej. Dlatego poszła na psychologię – bo chciała się z tego wyleczyć. Po części jej się udało, ale nadal nie wyeliminowała całkowicie strachu przed rzeczami, na które nie

miała wpływu i które nie powinny jej stresować. To, że pani w sklepie krzywo na nią spojrzała. To, że zapomniała torby na zakupy. Zawsze lubiła mieć wszystko zaplanowane, przygotowane. Bogucki tego nie rozumiał, ale mimo to kiwał głową potakująco, jak przystało na dobrego i wspierającego partnera.

Skutkiem ubocznym wczorajszej wizyty brata Beaty, który zagościł u nich dopiero po dwudziestej drugiej, bo właśnie wracał z kina i stwierdził, że jeszcze nie chce mu się spać, było to, że teraz kofeina była jego najlepszą przyjaciółką.

Stał przy kawiarence, gdy wpadł Obrębski. Wyglądał niewiele lepiej, a może w sumie i gorzej. Małe oczka przesłaniały powieki, które były mocno napuchnięte, ale mimo to na jego twarzy gościł uśmiech.

– No, no, widzę, że się ktoś dobrze bawił – rzucił Bogucki, mimo że chciał powiedzieć coś zupełnie innego, a tym bardziej wolałby nie wiedzieć, co jest źródłem tej radości.

– Aha, wczoraj spotkałem się z Alą. Byliśmy w barze, wypiliśmy co nieco, a później wpadliśmy do mnie. No, powiem szczerze, że laska jest całkiem, całkiem. – Uśmiech na twarzy jeszcze bardziej się rozciągnął, a w oczach pojawił się błysk, który Bogucki zinterpretował jednoznacznie. Komisarz podstawił swój kubek pod kawiarkę i nacisnął kombinację guzików. – No, ale chyba nie będziemy teraz o moich seksualnych podbojach rozmawiać. Nadal jestem wkurzony z powodu tego anonimu. Dlaczego my o tym nie wiedzieliśmy i nikt nie wpadł na to, żeby sprawdzić, gdzie wcześniej tego wieczora była Olga Kowalonek i że wcale jej klientem nie był Błażej Zaremba?! Wszystko to jednoznacznie pokazuje, że jest to jedna wielka ściema.

I jeszcze te zdjęcia samochodów, w których grzebałeś. Nie ma mowy o zbiegu okoliczności. Gdybyśmy tylko wiedzieli, czyj to samochód...

– Właśnie, samochód... – Bogucki podrapał się po głowie. – Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

– Jezus Maria, Bartek, do brzegu, do brzegu, lecimy! – ponaglał go kolega, machając ręką.

– No bo wczoraj zaliczyłem straszną wtopę.

– Wtopę? Na pewno nie jest to nic strasznego.

– Pewnie się wkurzysz, ale wysłałem przez pomyłkę maila nie tylko do ciebie, ale również do pana prokuratora.

– Ja pierdolę... – skomentował to mężczyzna. – To faktycznie popłynąłeś. Ale dobra, nie przesadzajmy. Przecież robimy dobrą robotę, więc dlaczego miałyby się do nas przyczepić? Chyba powinien się cieszyć, że siedzi w gabinecie, nie rusza stamtąd swoich czterech liter, a sprawa idzie do przodu.

– No wiem, wiem, tylko słyszałeś, jak on wydawał rozkazy i mówił, że nie możemy robić niczego, czego on nam nie rozkazał.

– Walić go, facet jest jakiś popieprzony. Mamy sprawę do rozwiązania i na tym się skupmy. Trzeba jeszcze raz przeanalizować to, co mamy, i...

Przerwał, bo drzwi do pomieszczenia się otworzyły i weszła kobieta, którą spotkali tu parę dni wcześniej. Teraz wyglądała jeszcze gorzej. Szła jakoś dziwnie, ciągnąc za sobą nogę trochę w stylu Obłębskiego.

Usiadła w kącie i wyciągnęła z torby przewieszanej przez ramię jakieś pudełko. Włożyła je do mikrofali, a oni cały czas stali w milczeniu, nie odzywając się do siebie. W końcu jako pierwszy przemó-

wił Bogucki, wykorzystując fakt, że urządzenie głośno szumi, jakby zaraz miało wybuchnąć:

– Ty, ta babka jest podobna do tej z portretu, który zrobiono na podstawie zeznań sąsiadki Mazura.

Obrębski powoli odwrócił się w jej stronę i pokręcił głową przecząco.

– Nie, no co ty. Tamta wyglądała jakoś tak normalniej. Ta sprawia wrażenie, jakby miała zaraz umrzeć. Poza tym co ty myślisz, że taka kobieta bawiłaby się w Sherlocka Holmesa? Taka to raczej siedzi w domu i modli się o to, żeby przetrwać do następnego dnia albo wyszywa obrusy na spotkanie kółka różańcowego.

– No dobra, w sumie to masz rację – mruknął Bogucki, chwycił swój kubek, po czym obaj ruszyli do gabinetu.

Rozdział 47

Bogucki od tygodnia miał klucze do mieszkania Beaty, chociaż na razie się do tego nie przyzwyczyił. Gdy godzinę wcześniej stanął przed drzwiami, zaczął pukać. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie, że w kieszeni spodni ma niewielki brelok z trzema kluczami, jednym do klatki i dwoma do drzwi wejściowych. Wiedział dobrze, że Beata jeszcze nie będzie, ponieważ po pracy planowała pojechać na zakupy i na szybką kawkę z przyjaciółką, z którą nie widziała się od dłuższego czasu.

Po całym dniu pracy kiszki grały mu marsza, a z każdą minutą miał wrażenie, że dźwięk dobywający się z jego jelit i żołądka jest coraz głośniejszy i za chwilę któryś z sąsiadów wyjdzie na korytarz, żeby go upomnieć, aby tak nie hałasował. W końcu gdy dostał się do mieszkania, zdjął buty w locie i pobiegł do kuchni, gdzie w lodówce czekała na niego przygotowana przez Beatę pyszna potrawka. Wystarczyło ją podgrzać na patelni. Nie zdążył jednak tego zrobić, bo zanim rzucił cokolwiek do rondla, zaczął wyżerać z opakowania łyżką. Od razu poczuł, że luzuje mu się całe ciało. Pół godziny później do mieszkania wpadła Beata. Była zadowolona jak nigdy i krzyczała od progu:

– No i mamy po kłopocie! Czasami nie można zakładać najgorszego, bo człowiek się denerwuje bez powodu.

Patrzył na nią i zupełnie nie rozumiał, o co chodzi. W końcu gdy odłożyła wszystkie rzeczy na miejsce, co zawsze robiła po przyjściu do domu, stanęła przed nim w delikatnym rozkroku, założyła ręce na brzuch i zaczęła:

– Wpadłam dzisiaj przypadkiem na Maksa i wyobraź sobie, że mu wszystko powiedziałam.

– Co?! – krzyknął Bogucki i zachłysnął się herbatą, którą właśnie wlewał sobie do ust. – Jak to powiedziałaś mu wszystko? Co on na to?

– Człowieku, spokojnie. – Podniosła prawą rękę i poklepała go po plecach. – Jest w porządku. Wszystko mu wyjaśniłam. Wytłumaczyłam, powiedziałam, kim jest mój wspaniały nowy facet. W związku z tym on również potwierdził moje przypuszczenia, że to jest znakomita dla mnie partia. I wszyscy są szczęśliwi! – Uśmiechnęła się, zominając, że ona również obawiała się tego wyznania.

– A czy on wie o Alicji? – W tym momencie poczuł palący ból w brzuchu.

– O czym ty mówisz?

– No, no właśnie, bo to jest tak, że ja nie wiem, jak to się wydarzyło, ale Maksymilian spotyka się z Alicją.

Beata odsunęła się od niego i przybrała srogą minę.

– Możesz od początku?

Bogucki oparł się o blat kuchenny i odstawił trzymany w ręku kubek.

– Ostatnio widziałem ich przed komisariatem – zaczął, patrząc na kobietę błagalnym wzrokiem, jakby prosił ją o łagodniejszy wymiar kary. – Później Maks zaczął mi opowiadać szczegóły znajomości. Okazało się, że zupełnym przypadkiem wpadli na siebie w barze. Ale

ja w takie przypadki nie wierzę. Szczególnie że owinęła sobie go wokół palca i spotykają się dość regularnie na niezobowiązujący seks.

Beata przez chwilę stała z kamienną twarzą. Boguckiemu aż nogi się ugięły. Sekundy mijały, a ona nic, aż w końcu parsknęła śmiechem, aż drobinki śliny poleciały w jego kierunku.

– To dobre, takiego scenariusza nikt by chyba nie wymyślił. Myślisz, że teraz baraszkują w łóżku? – Beata zrobiła duże oczy, a usta ułożyła w dzióbek. – A tak serio, to ona jest jakąś stalkerką pomieszaną z nimfomanką. Może trzeba byłoby powiedzieć Maksowi?

– On ma do tego bardzo luźne podejście. Przynajmniej tak mi powiedział. Generalnie znalazł sobie fajną dziewczynę do... no wiesz...

– Pobzykania – skończyła za niego Beata, tak jakby jemu przez gardło nie przeszło takie słowo. – Niezły czworokąt zrobiliśmy. Jakbyśmy mieli dzieci, to pewnie zapraszaliby nas do telewizji jako przykład idealnej rodzinnej wymiany partnerów.

Kobieta zaśmiała się, ale Boguckiemu nie było do śmiechu. W końcu spoważniała i podeszła bliżej policjanta.

– A jaki ty masz do tego stosunek?

– Wiesz co, mam to w dupie. – Przyciągnął ją do siebie i oplótł ramionami. – W tym momencie najważniejsza jest pewna brunetka, która ma wspaniały uśmiech, włosy pachnące lenorem i której najchętniej nie wypuszczałbym z łóżka. Ale teraz niestety ma bardzo dużą konkurencję. – Beata spojrzała na niego zdziwiona, a on w tym momencie wskazał głową na kuchenkę i podgrzewane na niej jedzenie. – W pierwszej kolejności muszę zająć się tym, bo inaczej zemdleję i nici będą z namiętnej nocy, którą zamierzam ci zaserwo-

wać. – Uśmiechnął się i odwrócił w stronę swojego jedzenia, które domagało się wymieszania.

Rozdział 48

Bogucki bał się tego spotkania jak chyba nigdy wcześniej żadnego, mimo to czym prędzej chciał stanąć naprzeciwko Maksymiliana Obłęskiego i mieć tę konfrontację już z głowy. Zupełnie nie wiedział, jakiej jego reakcji się spodziewać. Czy to, co opowiadała Beata, jest prawdą, czy może tylko udawał przed nią? A może będzie wściekły? Po pierwsze za to, że się z nią związał, a po drugie – że nie zdradził się ani słowem.

Gdy wszedł do ich wspólnego biura, choć do rozpoczęcia służby miał jeszcze dobre pół godziny, komisarz siedział już za swoim biurkiem i przeglądał nagrania. Bogucki był pewien, że są to nagrania sprzed domu Zaremby. Sam porównywał je z innymi dzień wcześniej.

– Masz rację, to jest to samo auto. A co najważniejsze, udało się dostać do kilku kamer przed hotelem i mam już nawet numery rejestracyjne. Będziesz zdziwiony, kim jest właściciel, w sumie gadaliśmy już z nim.

– Serio? Kto to?

Bogucki zmarszczył brwi, a nozdrza wyduły mu się. Jego reakcja nie dotyczyła tylko faktu rozmowy z podejrzanym, ale zachowania kolegi, które nie odbiegało od normy. Ani jego ton głosu, ani mimika w żaden sposób nie wskazywały na to, że raptem dzień wcześniej do-

wiedział się czegoś, za co mógł się wkurzyć. Nie każdy facet chciałby, żeby jego była kobieta wiązała się z jego współpracownikiem, a szczególnie takim, który wiele mu zawdzięczał.

Fakt, że to właśnie Obrębski pozwolił zrealizować Boguckiemu jego marzenie sprzed lat, spokojnie można było kwalifikować jako wielką przysługę, dlatego teraz młody policjant musiał się zastanowić, jak prowadzić rozmowę. Z jednej strony chciał zabrznieć sympatycznie, ale z drugiej zaznaczyć, że nie zrezygnuje z Beaty, i liczył, że kolega to zaakceptuje.

– Nasz piosenkarz. – Głos kolegi wyciągnął go z zamyślenia. – Leo, bożyszczce tłumów. To nie może być przypadek, że był zarówno pod hotelem, gdzie widziano Olgę Kowalonek, jak i w okolicach domu Zaremby, więc chyba musimy z nim jeszcze raz pogadać. To co, lecimy!

Wstał zza biurka, ignorując fakt, że jest dopiero ósma czterdzieści rano. Bogucki już chciał to skomentować, ale momentalnie pomyślał, że w sumie w przypadku takiego człowieka jak piosenkarz to i lepiej, ponieważ o tej porze mieli większe szanse, że zastaną go w domu.

W milczeniu wyszli z komisariatu i ruszyli do saaba. Wsiedli i Obrębski wpisał adres w nawigacji. Przekręcił kluczyk w stacyjce, spojrział na kolegę i uśmiechnął się.

– Już tak się nie stresuj, bo wybuchniesz. Beata wszystko mi wyjaśniła. No nie powiem, że bym był tym zachwycony, ale chyba wolę, żeby spotykała się z kimś, kogo znam i kogo cenię. Kto wiem, że jej nie zrani. To jest świetna babka, której ja po prostu nie doceniłem. Może gdybym inaczej się w stosunku do niej zachowywał, wyważył trochę życie między pracą a tym, co jest po, to może nadal byłiby-

śmy razem, ale nie dałem rady. Jestem tego pewien, dlatego bardzo cię proszę, szanuj ją, dbaj o nią, bo inaczej... – Pokręcił głową. – Wiem, gdzie mieszkasz, wiem, gdzie pracujesz, i nie zawaham się tego użyć. – Stuknął go żartobliwie pięścią w ramię i włączył się do ruchu.

Rozdział 49

ONA

Cały czas nie mogę dojść do siebie po spotkaniu z Flipem i Flapem w pomieszczeniu socjalnym, mimo że minęło już trochę czasu.

Staralam się wsłuchać w każde słowo wypowiedane przez tych dwóch policjantów. Jeden z nich jeszcze do niedawna wydawał mi się taki ciapowaty, mało ogarnięty. Wiem, że pracował wcześniej w prewencji, a tam często gęsto przyjmują niezbyt rozgarniętych ludzi. Ten ku mojemu zdziwieniu okazał się jednak zaskakująco inteligentny. A w połączeniu ze swoim szefem stanowili team, który znakomicie dawał radę. Rozpracowywali podejrzanych w sposób dla mnie nieprzewidywalny. Mając czasami garstkę dowodów, wpadali na rozwiązania, które innym zajęłyby długie miesiące.

Ale to, że dotarli do kobiety, z którą rozmawiałam i która ku mojej rozpaczy bardzo dobrze mnie zapamiętała i przekazała informacje rysownikowi, spowodowało, że dopiero teraz doszło do mnie, co tak naprawdę robię.

Że nie powinnam aż tak angażować się w śledztwa.

Nie jestem policjantką.

Nie pracuję w prokuraturze. Jestem tak naprawdę wyrobnikiem. Zwykłym pracownikiem laboratorium, który powinien robić swoją robotę, a łączenie kropek i prowadzenie dochodzenia zostawić innym osobom, które są za to odpowiedzialne i którym za to płacą.

Gdy usłyszałam, że wiedzą, jak wyglądam, przeraziłam się. Na szczęście stworzony przeze mnie image powodował, że ani przez moment nie pomyśleli, że faktycznie to mogłabym być ja. Moje cierpienie na twarzy, noga, którą w pracy powłóczę – okazało się, że wbrew pozorom to wszystko działa na moją korzyść. Wszyscy myślą, że jestem taką ciapą. Osobą, która nigdy by nie zrobiła niczego niezgodnego z przepisami prawa. Po prostu nie dałaby rady. Nie miałyby w sobie tego czegoś.

Gdy minęło przerażenie, miałam ochotę się zaśmiać im w twarz. Gdyby znali prawdę o mnie, szczęki by im opadły i na długo by zaniemówili. Teraz szczęście mi sprzyja, ale to może się zmienić, dlatego powinnam jeszcze bardziej uważać. Skuteczniej odciągnąć od siebie uwagę.

Rozdział 50

Gdy Leonardo Małkowski zobaczył policjantów, na jego twarzy na ułamek sekundy zagościło zdziwienie połączone ze strachem. Mięśnie jego twarzy się napięły, źrenice rozszerzyły, jednak szybko przybrał wypracowany grymas i uśmiechnął się.

– Dzień dobry panom, nie takich gości spodziewałem się o poranku.

Po chwili stania w ciszy uchylił szerzej drzwi i wpuścił ich do mieszkania, w którym na kanapie siedziała młoda dziewczyna i wyglądała, jakby się właśnie budziła. Jej wzrok był mętny, ale mimo to prezentowała się niezwykle ponętnie. Długie włosy spływały jej po nagich plecach, które widzieli, bo siedziała do nich bokiem. Zupełnie nie zważała na to, że jest w samym ręczniku. Uśmiechnęła się filuternie do piosenkarza, puściła oczko i ruszyła do łazienki, jakby zachęcała, żeby jak najszybciej pozbył się intruzów.

– Czemu zawdzięczam taką wczesną wizytę? – zaczął muzyk, cały czas marszcząc czoło. Ból wywołany za dużą ilością alkoholu powodował, że cały pokój mu się kręcił, a postacie stojące przed nim były nieco niewyraźne.

– Mamy do pana kilka pytań...

– Ale o ósmej rano? Przecież to jakaś nieludzka pora – jęknął piosenkarz.

– Wie pan co, proszę się cieszyć, że nie wpadliśmy tutaj jeszcze wcześniej. – Obrębski założył ręce na brzuch i przyjął pozycję bojową, widząc, że mężczyzna cały się napina. Prawą dłoń zacisnął w pięść, a z jego twarzy zniknął głupkowaty uśmiech. – I proszę spokojnie, bo możemy to inaczej załatwić.

– Ja nie jestem w żaden sposób agresywny, tylko po prostu nie lubię, jak ktoś wpada z niespodziewaną wizytą. Przecież to można było załatwić zupełnie inaczej. Stawiłbym się na wasze żądanie w każdym momencie. Jestem czysty jak łąza, więc nie stanowiłoby to żadnego problemu.

– Możemy gdzieś usiąść? – Obrębski kiwnął głową na duży stół w salonie.

Stał na nim dzbanek z kawą, który kusił obu policjantów. Mężczyzna kiwnął głową potakująco i chwilę później zasiedli, a gospodarz rozlał napój do filiżanek i odczekał chwilę, aż każdy umoczy usta.

– No dobra. Mam nadzieję, że nie będę musiał zakończyć tego spotkania szybciej. Tak jak wspominałem poprzednio, panów towarzystwo mnie stresuje. – Małkowski odstawił swój kubek i wlepił wzrok w komisarza.

– Oczywiście. – Obrębski uśmiechnął się sztucznie. – Chcielibyśmy się dowiedzieć, co robił pan w dniu, w którym zginęła Olga Kowalonek.

– Przecież rozmawialiśmy na ten temat już wcześniej. Tak jak mówiłem, z tego, co pamiętam, to pojechałem na próbę, później wróciłem do domu. Nic szczególnego nie robiłem.

– Tylko sęk w tym... – Komisarz przerwał i wydał policzki. – Że kamery wychwyciły pana samochód.

– Mój samochód? Może to był inny. Jeździ takich sporo.

– Generalnie mogłoby tak być, gdyby nie jeden detal, a mianowicie tablica rejestracyjna. Wie pan, to taka mała plansza, którą montuje się z przodu i z tyłu samochodu i która jednoznacznie wskazuje...

– Dobra, dość tego chrzanienia! – Mężczyzna zaczął nerwowo stukać palcami o blat stołu. – Dobrze wiem, co to jest tablica rejestracyjna, więc nie musi mi pan teraz gadać jakichś głupot. Nie wiem, może jeździłem. Czasami mam taką akcję, że jak w nocy nie mogę spać, to jeżdżę po okolicy. No, ale nie przypominam sobie...

– Czyli pan tego później nie pamięta? Choruje pan na coś? – Obrębski nie odpuszczał.

– Nie, no, pamiętam, ale wie pan, u mnie bardzo dużo się dzieje. Moje życie to ciągłe spotkania, wyjazdy, koncerty. Czasami zapominam o niektórych rzeczach.

– Aha – sapnął niczym lokomotywa policjant. – Czyli nie pamięta pan, że był pod domem Zaremby w nocy, a trochę wcześniej jakimś zbiegiem okoliczności kręcił się pan pod hotelem, gdzie ostatni raz widziano żywą Olgę Kowalonek?

– Tylko niby skąd ja mam wiedzieć, gdzie ona była? – Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Proszę spróbować sobie przypomnieć ten wieczór. Gdzie pan dokładnie jeździł? To jest bardzo ważne.

– Tak jak mówiłem, ja po prostu sobie krążyłem po mieście. Lubię pojeździć. Kupiłem auto za niezłą sumkę. Ma dużą moc. Nie będę ukrywać, czasami zdarza mi się przycisnąć, ale jeżeli panowie chcą, mogą mi wlepić mandat za zbyt szybką jazdę, ale nic więcej na mnie nie znajdziecie. Myślę, że jest jeszcze paru innych kierowców, którzy również jak ja zupełnie bez celu przemierzają się po mieście. –

Leo Małkowski przejechał dłonią po swoich ciemnych włosach, jakby brał udział w reklamie szamponu. – Ja zaczynam się zastanawiać, czy ten Zaremba nie ma pleców. Gdyby u mnie ktoś znalazł martwą kobietę, to nie sądzę, żeby policja tak ochoczo szukała innego winnego. Nie rozumiem, czemu mając podejrzanego, który jest w stu procentach winny, szukacie innego. To jest jakaś nowa zasada policji. Poza tym Zaremba, z tego, co mi wiadomo, już miał jakieś epizody z przemocą. On ma coś w głowie nasrane. Jak można zabić kobietę i ułożyć ją w wannie? To jest chore.

Bogucki i Obrębski spojrzeli na siebie wymownie. Mało kto wiedział o tym szczególe. Udało im się zachować go dla siebie i nawet węższą niczym psy myśliwskie prasa nie dotarła do informacji, że kobietę znaleziono w wannie.

Rozdział 51

ONA

Miałam wrażenie, że cały komisariat mówi tylko o jednym. O tym, że Leonardo Małkowski jest jakoś wplątany w zabójstwo kobiety. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób i dlaczego, ale fakty były niepodważalne. Pojawił się niedaleko miejsca, gdzie Olga Kowalonek była ostatni raz widziana żywa, a potem kręcił się wokół domu muzyka. Nie mogło być to przypadkowe, a ja czułam, że kryje się za tym jakaś głębsza historia.

Od razu po pracy ruszyłam pod adres, który znalazłam w jego aktach. Pojechałam pod jego dom i czekałam. Na szczęście miałam do dyspozycji swój samochód, który kupiłam jakiś czas temu.

Zawsze bałam się prowadzić, wydaje mi się, że mój mózg nie przetwarza sygnałów, które wysyła otoczenie. Nie wiedziałam, czy ktoś zaraz nie wyskoczy mi zza winkła albo czy dobrze interpretuję znaki, choć wkułam je wszystkie na pamięć. Jednak wiedziałam, że muszę się przemóc. To był często jedyny sposób, aby móc śledzić interesujące mnie osoby.

Raz chciałam sprawdzić jednego z moich kolegów. Od dawna strasznie mnie denerwował. Rzucił niewybredne żarty w moim kie-

runku i nie tylko. Wszyscy mieli go dość. Pojechałam za nim. Przez kilka godzin jeździł po mieście. Stawał raz na jakiś czas. Na początku nie wylapałam, o co chodzi, bo za każdym razem były to obszary dość gęsto zaludnione, a wokół sklepy, domy mieszkalne, firmy i szkoły. Dopiero przy trzecim postoju zdałam sobie sprawę, że facet przygląda się wychodzącym ze szkoły dzieciakom. Nie wiedziałam, co zrobić. W końcu wysiadłam z samochodu, stanęłam koło jakiejś kobiety i rzuciłam:

– Przepraszam, wiem, że jestem trochę przewrażliwiona, ale tyłu teraz zboczeńców grasuje... Czy ten mężczyzna – w tym momencie pokazałam głową w stronę samochodu kolegi – nie wydaje się pani podejrzany?

Kobieta najpierw spojrzała na mnie jak na wariatkę, ale chwilę później zaczęła mu się bacznie przyglądać. Po pięć minutach podeszła do niego z miną pitbulla. Zaciśnięte szczęki i małe oczka. Słyszałam z daleka, jak wali mu w okno, a potem pyta:

– Po kogo pan przyjechał?

Mężczyzna się zmieszał. Coś chciał powiedzieć, ale w tym momencie kobieta zagroziła mu drogę wyjazdową i zaczęła krzyczeć:

– Zboczeniec, zadzwonieć po policję!

Chwilę później podjechał radiowóz. Stałam w bezpiecznej odległości i przyglądałam się. Spisali gościa i puścili, jednak następnego dnia nie przyszedł do pracy. Ani kolejnego. Nigdy.

Okazało się, że zaczęto go sprawdzać i w okolicy jego samochód pojawiał się wielokrotnie jako podejrzany, a dwa razy udało mu się zwabić do niego jakieś dziewczynki, które obmacywał. Żadnej nie zgwałcił, ale na bank zaserwował im traumę do końca życia. Na

swoje szczęście wyjechał z miasta, bo miałam ochotę zrobić mu krzywdę.

Od tego czasu zawsze mam sprawny samochód. Mój mechanik dziwi się, jak podjeżdżam raz na dwa miesiące tylko po to, aby dowiedzieć się, że wszystko jest w porządku.

Zaparkowałam pod domem Małkowskiego i czekałam. Minuty upływały niezmiernie wolno. Jakby każda miała zdecydowanie więcej niż sześćdziesiąt sekund.

Czekałam.

I czekałam.

Dopiero o dwudziestej trzeciej wyszedł z domu i wsiadł do swojego wypasionego land cruisera. Nie wiem, po co ludzie wydają tyle pieniędzy na samochody. Gdy zobaczyłam cenę tego modelu, myślałam, że padnę. W pierwszym momencie uznałam, że to jest błąd, ale zaczęłam przeglądać katalog i zauważyłam jeszcze droższą wersję.

Jechał powoli, jakby nie chciał rzucać się w oczy, chociaż w tym aucie było to niezmiernie trudne. W końcu dotarł do celu. Był to parking przed supermarketem. Dostyc dziwne miejsce na spotkanie. Stałam w odpowiedniej odległości i znowu czekałam. Nagle, jakby były ze sobą zsynchronizowane, podjechały dwa samochody. Każdy z innego kierunku. Stanęły po bokach auta Małkowskiego i z każdego wysiadł mężczyzna. Teraz na środku pustego parkingu stali we trójkę. Dochodziła północ. Jak się szybko zorientowałam, nigdzie w okolicy nie było kamer. Myślę, że to nie było przypadkowe miejsce. Dobrze wiedzieli, że tutaj nikt ich nie namierzy i nie utrwali ich spotkania.

Oczywiście Leonarda Małkowskiego kojarzyłam, ale gdy zobaczyłam dwóch pozostałych, to już mnie wcięło. Jednego dobrze znałam,

ponieważ czasami widywałam go na komisariacie. Wiedziałam, że nie jest zbyt lubiany za swoją postawę, za swój stosunek do pracy. Trzeciego też kojarzyłam, chociaż musiałam chwilę pogłówkować. Moja pamięć fotograficzna działa trochę jak wyszukiwanie obrazem w Google. Wreszcie w głowie otworzył mi się właściwy folder i już wiedziałam, z kim mam do czynienia.

Teraz patrzyłam na trzech gości i miałam już bolesną wręcz pewność, że to nie są niewinni panowie, tylko tacy, co mają na swoim koncie grube przekręty i przestępstwa, które karze się wieloletnim więzieniem.

Ale co było jeszcze ważniejsze, wiedziałam, że jeden z nich przypomina dokładnie tego faceta, którego opisał mi chłopak z hotelu. A to mogło oznaczać jedno: to on był tej nocy z Olgą Kowalonek i mógł pozbawić ją życia.

Postałam jeszcze chwilę na parkingu i pojechałam do pracy.

Trzy razy zdarzyło mi się zjawiać tu w nocy, więc wiedziałam, że nikt nie będzie na mnie patrzył jak na kosmitkę.

Siedziałam dobrą godzinę, czytając o nich.

Sprawdziłam ich i wyglądało to intrygująco, dlatego postanowiłam wkroczyć w ich życie.

Tylko jak? Przecież nie zapukam do jednego z nich i nie powiem, że chciałabym poszperać w jego domu, a najlepiej też u jego przyjaciół. Przez cały dzień chodziłam struta, jakbym w głowie miała rosnącą piłkę, która zaraz wystrzeli, a czaszka rozsypie się na miliony małych kawałków, jeżeli czegoś nie wymyślę.

Nie wiem, jak policjanci łączą kropki, ja chyba nie mam do tego drygu.

W końcu bez wiary w sukces zaczęłam od najprostszej rzeczy. Postanowiłam sprawdzić ich aktywność internetową, używając ich numerów telefonów.

Wiem, że ludzie wrzucają czasami do sieci różnego rodzaju ogłoszenia, w których udostępniają swój numer do kontaktu, mimo że ukrywają się pod pseudonimami. Nawet ostatnio czytałam o kobiecie, która nudząc się w pracy, wpisała numer telefonu swojego męża w wyszukiwarkę. Na początku trafiła na kilka ogłoszeń ze sprzętem, który sprzedawał, ale na kolejnej stronie znalazła jego seksogłoszenia. Szukał towarzyszy do trójkąta, ale nie tylko. Niestety małżeństwo nie przetrwało kryzysu, a ona zyskała pseudosławę.

Znalezienie ich numerów telefonów nie stanowiło większego problemu, a następnie wpisałam je po kolei w wyszukiwarkę. Wyskoczyło mi kilka ogłoszeń Małkowskiego, piosenkarza, który sprzedawał rzeczy na Allegro. Tego polityka, Sosnowskiego, z oczywistych względów nie było, ale ostatni, widywany przeze mnie na komisariacie prokurator Borowicz, pojawił się w wynikach z obiecującym wpisem. Aż podskoczyłam z radości.

„Szukam sprzątaczkii...”, a pod spodem tylko numer do kontaktu.

Gdyby wynajął mnie do sprzątania? Wow! Nie widziałam swojego odbicia, ale byłam święcie przekonana, że oczy mi się zaświeciły.

Dobrze wiedziałam, że konserwator powierzchni płaskich, jak pięknie określa się panią sprzątającą, to najbardziej ignorowana, a zarazem dopuszczana do wielu tajemnic osoba.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła ósma rano. Chwilę się zastanawiałam, czy to dobry moment. W końcu zrobiłam to. Wysłałam szybko SMS z mojego zapasowego numeru, zupełnie nie myśląc o tym, co zrobię, gdy odpisze. Serce waliło mi jak oszalałe. Przez

dziesięć minut sprawdzałam telefon co kilkanaście sekund, żebym nie przegapiła wiadomości od mężczyzny. W końcu stwierdziłam, że muszę się uspokoić i zająć czymś innym. Siedziałam dłuższą chwilę, myśląc, co mogę zrobić. Wszystko, co zostało mi zlecone, już dawno wykonałam. Z reguły wtedy szłam do przełożonej i dostawałam kolejne zadania, ale teraz nie miałam na to sił.

Sprawa Mazura! Nagle w głowie niczym w kreskówce zapaliła mi się lampka.

Nie wiem, czemu znowu o niej zapomniałam, jakby ci faceci skupili na sobie całą moją uwagę. Koniecznie musiałam sprawdzić, czy odciski znalezione na miejscu zamordowania dziewczyny faktycznie mogą pasować do zebranych tam, gdzie znaleziono ciało mojego sąsiada, jak o nim myślałam.

Ślad dłoni, który zabezpieczono przy Grzegorz Mazurze, był dość osobliwy. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że po prostu nie odcisnął się w pełni. Nic nietypowego. Przecież ostatnią rzeczą, o jakiej myśli sprawca, jest zostawianie po sobie śladów, i to w pełni wartościowych.

Wyświetliłam obraz na monitorze i przybliżyłam. Odciski ewidentnie wskazywały, że morderca nie ma kawałka palca. To dawało podstawy, by przypuszczać, że tej jednej nocy zamordował aż dwie osoby: Grzegorza Mazura i młodą Magdę Boczarską.

Siedziałam przez dłuższy czas, zastanawiając się, dlaczego nikt nie wyłapał, że materiał zebrany na obu miejscach zbrodni jest identyczny. System robił to za ludzi. Weszłam najpierw w wyniki, które ja dodałam, bo zawsze szukam w sobie winy. Tutaj wszystko wyglądało okej. Niestety inaczej sprawa się miała w przypadku materiałów z miejsca zbrodni Grzegorza Mazura. Mój kolega, któremu urodziło

się dziecko i w ostatnich dniach chodził jak zombie, nie kliknął jednego małego polecenia.

„Wyślij do bazy”.

Tak mało, a jednak wystarczyło, aby dane nie poszły dalej i nie połączyły się z inną sprawą.

Rozdział 52

– Panowie, to, co się dzieje, to jest jakaś rzeźnia. Mam wrażenie, że ruszyło jakieś polowanie na czarownice, a my jesteśmy jego głównym celem. Nie ukrywam, zaczynam czuć, że wpadamy w coraz większą dziurę. Chwila moment i nie będzie jak się z niej wykarać.

Portos zacisnął dłoń na szklance, do której wlał sobie czystą wódkę bez żadnego rozwadniacza czy lodu, jak to czynił zazwyczaj. Gdy tylko wyszli od niego policjanci, wyrzucił młodą dziewczynę, która w biegu się ubierała i wykrzykiwała średnio miłe teksty, ale go to nie obchodziło. Gdy zamknął za nią drzwi na zamek, bojąc się, że wróci, zadzwonił do swoich przyjaciół. Najpierw umówili się na jednym z parkingów. Musieli na szybko obgadać zaistniałą sytuację.

Następnego dnia spotkali się w ich tajnym mieszkaniu, kawalerce Atosa. Mieli nadzieję, że chociaż tam są naprawdę bezpieczni. Raz na jakiś czas sprawdzali je nawet pod kątem urządzeń podsłuchowych sprzętem, do którego zarówno Aramis, jak i Atos mieli dostęp. Teraz jednak odnosili wrażenie, że nawet mimo tego, że tak bardzo się pilnowali, gówna, które ich otacza, już nie uda się już zmyć nawet wielką drucianą szczotą. Teraz było gorzej niż kiedykolwiek.

Tylko jeden raz w przeszłości najedli się strachu. Wtedy jednak udało im się uniknąć oskarżenia o gwałt na byłej pracownicy Atosa, która zdenerwowała go tak bardzo, że postanowił się zemścić. Okazało się, że notorycznie donosiła na niego przełożonym. Opowiadała o tym, że nie wypełnia swoich obowiązków, że ignoruje prowadzone przez siebie sprawy. Że przestępca, którego mogli skazać, został wypuszczony przez jego niedopełnienie obowiązków. Oczywiście wszyscy to zignorowali, bo nikt nie chciał mieć na pieńku z nim, a bardziej z jego ojcem. Jednak mimo to wkurzył się na tę sytuację i na tę zdradziecką sukę, jak nazywał ją w rozmowach z przyjaciółmi, i postanowił wymierzyć karę.

Zgwałcił kobietę ze szczególnym okrucieństwem. Pociął jej piersi nożem, wywołując głębokie rany, które, jak czytał później w aktach, nie chciały się goić. Dziewczyna przez dwa miesiące leżała w szpitalu, a w międzyczasie dostała sepsy i podobno cudem ją odratowano.

Wtedy też, choć bardzo się starali, żeby zrzucić winę na faceta, z którym umówiła się tego wieczora na mieście, poczuli, że tracą grunt pod nogami. Portos, przechodząc obok ich stolika, wrzucił jej do drinka pigułkę gwałtu. Nikt tego nie zauważył, a w środku nie było kamer. Ta zamontowana przed barem sprzyjała im. Na nagraniu było widać, jak kobieta ledwo idzie, bujając się na boki i wspierając na ramieniu mężczyzny. Wszystko wskazywało, że to on jest winny, tylko jedna rzecz w tej sprawie raziała niczym neon. Kobieta cały czas upierała się, że napastnik miał twarz jej przełożonego. Każdy patrzył na nią z niedowierzaniem, jak na wariatkę, która straciła resztki zdrowego rozsądku. On sam zapewniał o swoim wsparciu i zorganizował nawet wizytę psychologa. Podesłał na szpitalny od-

dział koleżankę, która słynęła z mało empatycznego podejścia do ofiar przemocy. Ona również usłyszała obciążającą go wersję zdarzeń, ale ją zignorowała.

Tylko ich trójka wiedziała, że kobieta nie kłamała. W pewnym momencie zerwała mu z twarzy maskę. To była chwila nieuwagi, jednak na szczęście nikt jej nie uwierzył. Każdy tłumaczył jej zwidy faktem, że została naćpana, a przez nienawiść w stosunku do swojego byłego przełożonego po prostu widziała jego twarz zamiast twarzy prawdziwego gwałciciela.

Oskarżony facet oczywiście wypierał się wszystkiego i do samego końca mówił, że jest niewinny. Po dwóch latach odsiadki został śmiertelnie raniony przez współwięźnia, który w niewyjaśnionych okolicznościach dostał sporą dawkę psychotropów, przez co wpadł w szal. Wyciągnął przygotowany wcześniej mały nożyk zrobiony z zaostrej szczoteczki do zębów i w nocy zadał kilkadziesiąt ciosów śpiącemu pod nim człowiekowi.

Wtedy im się upiekło. Teraz mieli jednak poczucie, że jest źle, a nawet i jeszcze gorzej. Krążący niczym muchy wokół gówna policjanci byli coraz bliżej prawdy. Coraz bliżej udowodnienia im dużo gorszej zbrodni, morderstwa. Może jeszcze gwałt jakoś udałoby się zatuszować, wyjść z tego z twarzą, ale nie było takiej opcji przy przestępstwie największego kalibru. Dlatego musieli zrobić wszystko, aby to nie wypłynęło.

– Dobra, musimy ustalić jakiś plan. – Atos dolał sobie kolejną porcję alkoholu, ignorując puste szklanki kolegów. – Policja grzebie i grzebie, aż zaraz coś wygrzebie.

– No dobra, ale co zrobić? – wydukał z pełnymi ustami Portos, który najmniej ogarniał niuanse śledztwa.

– Przede wszystkim popracowałbym nad tymi prowadzącymi. To są zbyt agresywni gracze, żeby sobie ot tak odpuścili, szczególnie teraz, gdy mają informacje o samochodzie.

– To może zrobimy coś z nimi, w sensie zabijemy? – Portos zastukał wypielegnowanymi paznokciami o szkło.

– Nie o to chodzi, żebyśmy ich zabili. Musimy spowodować, aby byli mniej wiarygodni. – Aramis pociągnął spory łyk, po czym się wzdrygnął.

– Ale co, zamierzasz im podrzucić jakieś dowody?

– Nie wiem jeszcze, ale myślę, że trzeba się mocno zastanowić nad tym, w jaki sposób możemy ich zdyskredytować. Niech śledztwo idzie do przodu, jak szło. – Aramis kiwnął głową na siedzącego po jego lewej stronie Atosa. – Może trzeba byłoby podstawić jakąś kobietę, która zezna, że została przez Zarembę brutalnie pobita. Masz jakąś, która chętnie by to dla nas zrobiła?

Atos podrapał się po głowie. Miał kilka osób, które wynajmował, jeżeli były potrzebne do brudnej roboty.

– Dobra, zastanowię się, ale nie wiem, czy coś uda mi się zrobić. Musimy się koniecznie zastanowić, jak to ogarnąć, bo na ten moment wygląda to bardzo źle. Jeżeli czegoś nie zrobimy, będziemy umoczeni. I to na dobre. Jedna prośba. – Mężczyzna spojrzał na przyjaciół. – Wszystko konsultujemy. Musimy być w stu procentach zgodni i spójni w działaniach.

Parę godzin później, po burzliwych naradach okraszonych mierzem alkoholu, Atos został sam w swoim mieszkaniu. Dopił drinka i dla relaksu wyciągnął swój zeszytek, w którym wszystko notował. Nawet jego przyjaciele nie mieli o nim zielonego pojęcia. To była jego jedyna rzecz, o której tylko on wiedział. Od kiedy był mały,

uwielbiał wszystko uwieczniać na papierze. W szafce, w podwójnym dnie, chował swoje zapiski. Jak miał zły dzień, wyciągał je i wracał myślami do zdarzeń z przeszłości. Teraz też pomogły mu one ode-
rwać się od bieżących zmartwień. Przy okazji upamiętnił w notesie szczegóły ostatniego wyczynu Aramisa, uśmiechając się pod nosem.

Rozdział 53

ONA

Pierwszy raz w życiu szłam na tego typu rozmowę o pracę. Bałam się, bo zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Zawsze lubiłam porządek i mimo że mama czepiała się praktycznie o wszystko, zdawałam sobie sprawę, że mam do tego smykałkę.

A teraz nagle miałam to robić za pieniądze dla jakiegoś gościa, który prawdopodobnie był ostrym psychopata. Ale trudno, musiałam zebrać się w sobie. Najważniejszy był cel, a nie to, że mogło mi się coś stać.

Z moim ciałem jest coś nie tak. Czuję, że moje dni są policzone. Dziewczyny umówiły mnie do lekarza na konsultację, bo nie mogły doprosić się o reakcję z mojej strony. Wiem, że mi tego nie odpuszczą. Na razie nie chcę o tym myśleć.

Wolę skupić się na zadaniu.

Obiecałam sobie, że przestanę się aż tak angażować...

Ale chyba nie potrafię.

Jakaś wewnętrzna siła każe mi szukać.

Łączyć kropki i liczyć, że coś z tego wyjdzie.

Tak jest i tym razem.

Ubrałam się jak najskromniej. Zresztą nie stanowiło to dla mnie problemu. Mam w swojej szafie sporo niezwykle prostych i raczej tanich ubrań. Nigdy nie lubiłam wydawać pieniędzy, chociaż teraz trochę się tego uczę, bo przecież w końcu je mam.

Chwilę postąpiłam przed szafą i wybrałam strój idealnie pasujący do mojej roli: ubogiej kobiety, która szuka pracy jako sprzątaczką. Jest oddana, dyskretna i zwraca uwagę na wszelkie szczegóły. Wiedziałam, że takie cechy są doceniane przez pracodawców. Sprawdziłam sobie nawet w Internecie, jak najlepiej przygotować się na tego typu spotkanie. Gdy ubrałam się i stanęłam przed lustrem, aż się uśmiechnęłam. Wyglądałam dobrze. Jak siedem nieszczęść, czyli to, co standardowo prezentuję swoją osobą na co dzień, ale teraz w wersji jeszcze bardziej żalosznej.

Piętnaście minut przed czasem usiadłam przed blokiem na drewnianej, rozpadającej się ławeczce i czekałam, aż zegar pokaże za pięć osiemnastą, czyli kilka minut przed właściwą godziną spotkania. Dobrze wiedziałam, że żeby zrobić dobre wrażenie, najlepiej być trzy minuty przed czasem. Nie można się spóźnić, ale też przychodzenie za wcześnie nie jest w dobrym guście, bo wtedy człowiek wychodzi na nadgorliwego.

Nacisnęłam na domofonie numer 27. Po chwili usłyszałam dźwięk luzowanej zapadki i mogłam wejść. Powolutku krok po kroku weszłam na drugie piętro. Cholerny lekarz miał rację, jakby znał się na wykonywanym zawodzie. Znowu moje ciało zaczęło mnie boleć, a to prawdopodobnie za sprawą stresu, który mu zaserwowałam. Jednak teraz nie mogłam pozwolić, aby wziął nade mną górę. Nie chciałam wyjść na jakąś kalekę, dlatego przed wyjściem wzięłam kilka tabletek, licząc, że zaczną szybko działać.

Zapukałam delikatnie w drzwi i czekałam. Po chwili otworzyły się i stanął w nich mężczyzna, którego widziałam wtedy na parkingu i okazjonalnie w pracy. Łysiejący blondyn, z ogorzałą twarzą i koszulą, której guziki rozchodziły się na sporych rozmiarów brzuchu wylewającym się znad spodni.

Uśmiechnęłam się nieśmiało. Musiałam go przekonać do siebie. Nie mogłam się gapić na niego jak sroka w gnat. Powinnam też trzymać głowę nisko, żeby mnie nie skojarzył, jeśli kiedykolwiek jego wzrok padł na mnie na komisariacie, ale w to akurat wątpię.

– Dzień dobry – wydusiłam cicho, żeby nie pomyślał, że jestem niemową.

– Jesteś, nie ma co przedłużać. – Wpuścił mnie do mieszkania, zupełnie zapominając o standardowych słowach powitania. – Nie ukrywam, że nie mam teraz czasu i głowy do tego, więc szybko wszystko opowiem. Szukam kogoś, kto będzie tutaj u mnie sprzątał. Raz, czasami dwa razy w tygodniu. Wszystko ma być na błysk. Nie ma opieprzania się. Jeżeli zobaczę, że gdziekolwiek jest brud, kurz, jakiś farfocel, to nie będę się chrzanił i zwolnię cię natychmiastowo. Było tutaj już kilkanaście takich jak ty. Tak naprawdę żadna nie dawała rady, jakby sprzątanie to było coś skomplikowanego. – Mężczyzna mówił coraz szybciej, a z jego ust pryskały dookoła małe kropelki śliny. – Wszystkie się opieprzały i na dodatek myślały, że znalazły jakiegoś jelenia, który będzie im płacił, jak one siedzą na kanapie. Nawet kiedyś jedną przyłapałem na oglądaniu Netfliksa. Powiedziała, że zrobiła sobie na chwilę przerwę. Przerwę to można sobie w domu robić. Tu przychodzisz latać na szmacie i robić wszystko, co ci każę, bo inaczej wynocha.

Spojrzałam na niego przerażonym wzrokiem, ale miałam nadzieję, że tego nie zauważył. Facet ewidentnie był dziwny. Na tym etapie większość ludzi wychodziłaby z założenia, że trzeba się dobrze zaprezentować. Umówmy się, w dzisiejszych czasach, nawet jak ktoś szuka pracy, to nie weźmie wszystkiego. Ludzie mają godność, a szczególnie młode dzieciaki, które są wychowywane w duchu bez troski i którym praca, a także pracodawca muszą pasować pod wieloma względami. Nie tylko finansowym.

Zacisnęłam usta, żeby nie wygarnąć mu, że jest ostro popieprzony i żeby spadał na drzewo. Zamiast tego kiwnęłam tylko głową.

– Jestem bardzo pracowita, będzie pan zadowolony.

– No, mam nadzieję. Teraz wychodzę na dwie godziny. W łazience pod zlewem i w szafce obok są detergenty. Jak wrócę, chcę zobaczyć wypucowany dom. Nie masz tutaj za dużo przestrzeni do sprzątania, więc zrób to na tip-top.

– Oczywiście – wydukałam. Wyszedł bez słowa, a ja ruszyłam z robotą.

Nigdy się tak szybko nie uwijam, ale wiedziałam, że efekt jest piorunujący. Wcześniej w mieszkaniu nie walały się brudne naczynia, panował jako taki porządek. Widać, że ktoś regularnie o nie dbał, jednak znalazłam rzeczy, które można było zrobić lepiej. Szybko przeleciałam wszystkie powierzchnie preparatami, które sama przyniosłam, bo zdawałam sobie sprawę, że większość ludzi używa takich kupionych w supermarketach, których efekty mnie nie zadowalały. Dodatkowo wyczyściłam wszystkie powierzchnie, nawet te, o których normalny człowiek w ogóle nie pamięta, nie dosięga wzrokiem. Górne szafki w kuchni, te w łazience, których nawet nigdy chyba nie otwierał. Wszystko było na cycuś glancuś. Dawno się tak

nie spociłam, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze było to, że-
bym dostała tę robotę.

Wrócił równo po dwóch godzinach. Już na wejściu zrobił wielkie
oczy, ponieważ w mieszkaniu pachniało czystością.

Spojrzał na mnie troszkę zmieszany. Myślę, że nie tego się spo-
dziewał, ale kolejnej dziewczyny, która będzie się opieprzać i która
w ciągu tych dwóch godzin niewiele zrobi. Stał jak zaklęty i przypa-
trywał mi się.

– Przeszłaś test. Za dzisiaj ci oczywiście nie zapłacę, bo to było
próbne sprzątanie.

Staralam się zachować kamienną twarz, ale moje ciało napięło
się momentalnie. Najchętniej naplułabym mu w twarz i wyszła, trza-
skając głośno drzwiami, ale nie mogłam. Facet myślał, że trafił na je-
lenia. Musiałam jednak grać rolę.

– Oczywiście, tak, rozumiem. – Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam
się delikatnie.

– Za dwa dni, równo szesnasta. Na trzy godziny. To, co dzisiaj,
plus prasowanie.

„Boże, jak ja nienawidzę prasowania”, pomyślałam, ale nie mo-
głam mu tego powiedzieć. Ze względu na moje nogi długie stanie za-
wsze powoduje u mnie problemy z biodrami. No ale cóż, musiałam
się poświęcić. Musiałam znaleźć coś u niego w domu. Coś, co da mi
przewagę i sprawi, że to ja wygram w tej grze. W końcu lubię gry.

Rozdział 54

– Nie uwierzysz.

Bogucki usiadł przy swoim biurku i włączył komputer. Ledwo wszedł na komisariat, a od razu został zaczepiony przez komendanta.

– Co się niby takiego stało? – odparł Obrębski, który cały czas wisiał nad aktami.

– Przed chwilą szef poinformował mnie, że sprawy Mazura i tej dziewczyny są...

– Zaczepił akurat ciebie? – Komisarz obrócił się w kierunku kolegi i zmarszczył brwi, jednocześnie przygryzając długopis.

– Powiedział, że już szedł tutaj, ale ja mu się nawinałem, więc stwierdził, że już mi wszystko wyłuszczy. Dowody wskazują na to, że Mazura i Boczarską zabił ten sam człowiek. Dlatego łączą te dwie sprawy, dwa zespoły śledcze i teraz jesteśmy głównodowodzącymi.

– Jak to głównodowodzącymi?

– Ten gość, co prowadził śledztwo w sprawie tej dziewczynki, porchorował się, więc on odpada.

– Grzegorzcyk. – Obrębski uśmiechnął się do kolegi.

– Przepraszam, wypadło mi z głowy.

– Spoko.

– Więc mamy oficjalnie kolejne śledztwo obok tego Zaremby. – Bogucki przeciągnął się i wszedł w akta sprawy Magdaleny Boczar-skiej. – Musimy się sprężyć, ponieważ jest ogromne ciśnienie w tym momencie. Nie dość, że ktoś zamordował i zgwałcił dziewczynę, to jeszcze okazuje się, że wcześniej ubił Grzegorza Mazura...

– Oby nie żaden seryjny.

– Szef też ma taką nadzieję.

– Kurczę, to są dwie zupełnie różne zbrodnie. Dzieli je raptem kilka godzin, ale nie pasują do siebie. – Obrębski westchnął i obrócił się na krześle w stronę kolegi. – Najpierw ktoś zabił Mazura, a później zgwałcił dziewczynę. Odstęp czasowy między tymi zbrodniami wynosi około dwóch godzin. Co robił w międzyczasie? Schował się gdzieś? No i jak do tego doszło?

– Może czymś się zdenerwował. – Bogucki zamknął oczy. Już jakiś czas temu stwierdził, że tak myśli mu się najlepiej. – Najpierw zabił Mazura, ten czymś mu się naraził. W amoku kręcił się po okolicy i trafił na dziewczynę. Z jakiegoś powodu wpadł w szal, uderzył ją, raz, drugi. Zabił, po wszystkim zgwałcił. – Otworzył oczy i spojrzał na kolegę.

– Mów dalej.

– Myślę, że był wysoki, bo Mazur nie należał do najmniejszych.

– No tak, ale pęknięcie czaszki świadczy o tym, że przywalił mu w jakiejś dziwnej pozycji.

– Tak, ale później przeniósł jego ciało, więc musiał mieć dość siły. – Bogucki podrapał się po nosie i sięgnął po ołówek, którym zaczął stukać o blat. – Na miejscu zbrodni znaleziono sporych rozmiarów odciski butów. Mogły należeć do kogoś innego, ale równie dobrze do sprawcy.

- Masz rację. A myślisz, że ofiary się znały?

Bogucki wzruszył ramionami i pokiwał głową.

- Trzeba to sprawdzić. - Zapisał na kartce: „Czy się znali?”. - Mieszkali blisko siebie, więc może z widzenia. Dzieliło ich ponad trzydzieści lat, więc nie sądzę, żeby mieli wspólnych znajomych, ale może jej rodzice...

- Jak mówiłem wcześniej, każdy pomysł jest dobry. A co z narzędziem zbrodni?

- Nie znaleziono kija, sam pojechałem i przeszukałem okoliczne krzaki. Albo sprawca ma go ze sobą, albo najzwyczajniej w świecie go nie znaleźliśmy. W końcu mógł go wyrzucić gdzieś dalej.

- A widzisz jakieś punkty styczne? Mamy inny typ ofiary, inne narzędzia... - Obrębski wstał z krzesła i zaczął się przechadzać po ich biurze.

- To, co je łączy, to fakt, że oba morderstwa były moim zdaniem niezaplanowane. Zupełnie nieprzemyślane. Mazur go jakoś sprowokował, świadomie lub nie. A może coś mu wcześniej zrobił i się mścił. Morderca nie hamował się, walił, ile wlezie. Ale to mu nie wystarczyło... Potem dziewczyna po prostu mu się nawinęła. Przecież nigdy wcześniej nie chodziła tamtędy. Wyładował na niej swoje frustracje...

- Brzmi to sensownie. Trzeba byłoby pogadać z prokuratorem, jaki on ma pomysł na to. Ustalić plan działania...

Bogucki spojrział na telefon leżący na blacie, który zaczął nagle dzwonić. Na świecącym wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie, które niedawno zrobił Beacie.

- Może odbierz - rzucił rozbawiony Obrębski.

On tylko się uśmiechnął i niepewnie sięgnął po telefon.

– No, odbierz! – Komisarz zmarszczył srogo brwi. – No już bez przesady, nie musicie się kryć. Ja już wszystko wiem.

Aspirant odebrał telefon i ruszył w stronę drzwi.

– Bartek, no wreszcie!

Gdy usłyszał głos Beaty, od razu wiedział, że coś musiało się stać.

– Co jest? – Stał na korytarzu i oparł się o ścianę.

– Nie wiem, ale ktoś przebił mi wszystkie opony w samochodzie.

– Ale jak to? – Jego pytanie zabrzmiało, jakby nie dotarł do niego sens usłyszanych słów.

– Nie wiem, jakiś debil, używając czegoś ostrego, poprzebijał wszystkie opony w moim samochodzie – powiedziała nieco wolniej i spokojniej. – Mam oczywiście jeden zapas, ale przecież nie cztery.

– Gdzie jesteś?

– Przed swoim gabinetem i zastanawiam się, co mam zrobić.

– Dobra, zaczekaj, niedługo przyjadę i ci pomogę.

– Nie kłopotz się, tylko zastanawiam się, czy ktoś to zrobił specjalnie, bo po części pracuję dla policji.

– Nie wiem, ale warto byłoby się temu przyjrzeć. Może komuś nadepnęłaś na odcisk.

– Wiesz, generalnie to ja jestem raczej z tych dobrych. – Usłyszał cień uśmiechu w jej głosie.

– Oczywiście, nawet tych najlepszych. Obiecuję ci, zajmę się tym. A na razie zaczekaj chwilkę, a ja już lecę.

Bogucki rozłączył się, wrócił do gabinetu i spojrzał wymownie na kolegę.

– Co się stało?

– W sumie to nie wiem. Beata ma poprzebijane wszystkie opony w samochodzie. Chciałbym pojechać jej pomóc.

– Oczywiście. – Obrębski aż wyprostował się na fotelu, na którym usiadł podczas nieobecności kolegi. – A co z nią? Nic jej się nie stało?

– Chyba nie, nic przynajmniej nie powiedziała, a ja nie zapytałem. – Bogucki pokręcił głową i zgarnął z biurka kluczyki do auta.

– Dobra, nie ma co zwlekać, leć do niej i jeżeli czegokolwiek byś potrzebował... jeżeli wy byście potrzebowali – poprawił się – to dzwoń do mnie natychmiast.

Rozdział 55

ONA

Pierwszy etap zaliczyłam na pięć z plusem, ale wiedziałam, że to dopiero początek.

Ubrałam się w ciuchy, w których kiedyś chodziłam. Z dawnego życia. W bawełniane spodnie dresowe i w koszulkę, które wyglądały, jakby nadawały się tylko i wyłącznie na ścierki do podłóg. Przed wyjściem jeszcze skontrolowałam swój wygląd w lustrze i gdy z radością stwierdziłam, że wyglądam jak siedem nieszczęść, wyszłam.

Przyszłam swoim zwyczajem siedem minut przed czasem. Akurat z klatki wychodziła jakaś kobieta, więc po chwili stanęłam w korytarzu na drugim piętrze. Już chciałam zadzwonić, gdy usłyszałam krzyki zza drzwi. Dwóch mężczyzn się kłóciło. Darli się tak głośno, że praktycznie słyszałam każde ich słowo.

– Miałeś jej nie ruszać! – krzyczał chyba gospodarz.

– Ale ja jej nic nie zrobiłem! – odpowiedział drugi, którego zupełnie nie kojarzyłam.

– To kto niby poprzebijał jej wszystkie opony?!

– Nie mam zielonego pojęcia – zapiszczał.

– Umówiliśmy się na coś, a ty jak zwykle musisz działać po swojemu. – Stanowczy głos mojego pseudopracodawcy robił wrażenie.

– Nie możesz mnie obwiniać o wszystko, co dzieje się na świecie.

– Nie obwiniam cię, ale uważam, że to za duży zbieg okoliczności. Pewnie liczyłeś, że się nie dowiem, że wymyśliłeś swój sposób na odciążenie policjanta od sprawy. Tylko nie wyszło! – Do moich uszu dobiegł złowrogi śmiech. – Wpadł na mnie i zaczął się tłumaczyć, że biegnie ratować swoją kobietę, więc zaliczyłeś niezłą wtopę.

– Dobrze wiedzieć, jakie masz o mnie mniemanie. – Głos zza drzwi przypominał trochę naburmuszonego dzieciaka.

– To nie o to chodzi, jakie mam o tobie mniemanie, ale wiem dobrze, że często nie jesteś w stanie poskromić swoich emocji.

– Ja nie potrafię poskromić swoich emocji? – pisał znowu gość. – A kto pobił faceta do nieprzytomności, bo ten krzywo na ciebie spojrzał? Chyba coś pamięć ci szwankuje!

Po chwili usłyszałam jakiś trzask, jakby ktoś rzucił szklanym naczyniem, które następnie rozpadło się na miliony kawałków. Zupełnie nie wiedziałam, co to było, ale zdawałam sobie sprawę, że będę miała więcej sprzątanina, a tym samym mniej czasu na to, po co tak naprawdę przyszłam.

W tym momencie drzwi otworzyły się z łoskotem i pojawił się w nich wysoki mężczyzna. Opuściłam wzrok, ponieważ zupełnie nie chciałam, żeby mnie zapamiętał. Na szczęście kątem oka dostrzegłam jego odbicie w szybie okiennej naprzeciwko drzwi i zdębiałam. To był muzyk – Leonardo Małkowski, do którego wzdychają tysiące kobiet w całym kraju. Który swoimi głupkowatymi tekstami piosenek powoduje, że ludzie świetnie bawią się na imprezach typu wesela czy urodziny dziadka.

Teraz stał przede mną z miną, która wskazywała na jedno. Był wkurzony, nie, nawet nie wkurzony, on był wkurwiony. Odsunęłam się na bok, bojąc się, że to na mnie wyleje swój gniew. Gdyby w tym momencie ktoś chciał przenieść go w świat kreskówek, to byłby bykiem, spod którego wydobywałyby się tumany kurzu, a z jego nozdrzy buchałoby gorące powietrze.

Nawet się do mnie nie odezwał, tylko ruszył szybkim krokiem w stronę klatki schodowej. Ominął windę, a po chwili usłyszałam energiczne kroki świadczące o tym, że zbiega w dół. Wtedy w drzwiach pojawił się mężczyzna, który mnie zatrudnił.

– O, jesteś już? Masz dzisiaj więcej do posprzątania. Mój bardzo emocjonalnie podchodzący do życia przyjaciel przed chwilą niestety rozwalił telewizor.

– Rozumiem. – Wzruszyłam tylko ramionami i poszłam za nim.

– Już wiesz, gdzie wszystko jest. Ja wychodzę, wrócę za trzy godziny i ma ciebie już tutaj nie być. – Poklepał się po spodniach, wyciągnął portfel, a następnie pieniądze i położył je na stole. – Jeżeli mi się nie spodoba, to już się nie odezwę. Jeżeli będzie wszystko okej, dam ci znać, kiedy masz pojawić się następnym razem. Drzwi zamykają się automatycznie. W związku z tym nie potrzebujesz klucza. Jeżeli chciałabyś wynieść śmieci, postaw je przy drzwiach i dopiero jak będziesz wychodzić, zabierz je ze sobą. Nie otwieraj nikomu. Zrozumiałaś?

Patrzyłam na niego jak na kosmitę. Nie spodziewałam się, że ludzie mogą się tak odzywać do innych. U mnie w domu nigdy nie było proszenia, miłych gestów, ale myślałam, że moja rodzina jest pod tym kątem wyjątkowa i nikt inny się tak nie zachowuje. Ten facet spokojnie mógłby być spokrewniony z moją matką czy ojcem, którzy

zdawali się nie znać słów „proszę”, „dziękuję” ani żadnego innego, które uznawane jest za grzecznościowe.

– Dość tego pieprzenia, idę. – Cały czas nabuzowany, jakby przed chwilą wypił co najmniej cztery energetyki, ruszył do drzwi. Założył buty, kurtkę i trzasnąwszy mocno drzwiami, zniknął z pola widzenia.

Ruszyłam do pracy. Niczym mały robocik napędzany wielkim akumulatorem latałam po obcym mieszkaniu. Nie wiem dlaczego, ale sprzątanie zawsze mnie wycisza. Powoduje, że moją głowę ogarnia spokój, który rozchodzi się po całym moim ciele. Tak jakbym zażyła jakąś magiczną tabletkę, dzięki której odpływam, a wszystko dookoła przestaje mieć znaczenie. W pewnym momencie zupełnie zapomniałam, po co tak naprawdę jestem w tym mieszkaniu. Czyściłam fugi, których chyba nikt nie dopieszczał od wielu, wielu tygodni. Myłam okna, na których ślady palców dawno temu już zaschły i pewnie nawet nikt nie wiedział, kto je tam zostawił. Nastawiłam zmywarę, zgarnęłam wszystkie brudy. Wyprasowałam kilka koszul leżących na łóżku. Nawet posprzątałam te resztki małego telewizora, który stał wcześniej w kuchni, a który wylądował na podłodze w salonie. Miałam jeszcze dobrą godzinę na to, żeby przejrzeć mieszkanie. Postawiłam przy drzwiach wielki kubeł, który przewróciłby się, gdyby właściciel mieszkania nagle wrócił. To była moja autorska forma alarmu, która w razie czego miała mnie ostrzec.

Przejrzałam po kolei wszystkie meble w jego kuchni. Następnie przeszłam do salonu. Każdy sprzęt oglądałam dookoła po kilka razy. Pukałam w szafki z każdej strony. W końcu przeszłam do sypialni. Stało tam tylko wielkie łóżko, które nie miało ukrytej pod materacem szuflady, co wielokrotnie już widziałam. Z każdej ze stron posta-

wiono szafkę, tak jakby kiedyś spały tutaj dwie osoby, choć dobrze wiedziałam, że to jest kawalerka, w której mężczyzna raczej z nikim nie mieszkał.

Zaczęłam dokładnie oglądać małe komódki i od razu na mojej twarzy zagościł uśmiech. Niby z zewnątrz wyglądały tak samo, jednak już ich środek się różnił. W obu były szuflady, ale w jednej górna była wyraźnie płytsza. Oznaczało to jedno: miała podwójne dno, jednak żeby je podważyć, potrzebowałam sprzętu.

– Kurde, ale jestem głupia... – skarciłam się na głos.

Zupełnie nie pomyślałam, że powinnam mieć ze sobą jakieś narzędzia, bo jeżeli będę musiała się do czegoś dostać, to przecież nie zrobię tego łyżką czy nożem kuchennym. Bezwzględnie potrzebowałam śrubokrętu. Przeszłam przez całe mieszkanie, otwierając po kolei poszczególne szafki, mimo że znałam ich zawartość. W żadnej z nich mężczyzna nie przechowywał jednak tego, czego potrzebowałam. Widocznie narzędzie do podważania wieka miał przy sobie, może przy kluczach, których mi nie dał.

Odłożyłam szufladę, wcześniej zrobiwszy jej odpowiednie zdjęcie, żeby nic mi nie uleciało z głowy, i wróciłam do sprzątnia. Zostało mi niewiele, tylko podłoga w łazience. Doczyściłam ją, zgarnęłam śmieci przed drzwiami i ze smutkiem stwierdziłam, że niestety dzisiaj nie dowiem się, co ukrywa przed światem.

Rozdział 56

Aspirant Bartosz Bogucki zgarnął swoje rzeczy i wybiegł z komisariatu jak oparzony. Powinien teraz pomagać Obrębskiemu przy sprawie Mazura i młodej dziewczyny, a najlepiej jeszcze dowiedzieć się, jaki udział w śmierci Kowalonek miał piosenkarz, jednak dobrze wiedział, że jego myśli cały czas będą uciekać w stronę tego, co przydarzyło się Beacie.

Już chciał wsadzić kluczyk do drzwi samochodu, aby je otworzyć, ponieważ dzień wcześniej rozwalił się automatyczny system odblokowywania, gdy poczuł, że w jego kieszeni zaczyna wibrować telefon. Od razu pomyślał oczywiście o ukochanej. Coś znowu się stało. Na ekranie telefonu nie zobaczył jednak jej zdjęcia, które ostatnio zrobił podczas wspólnej kolacji na Krakowskim Przedmieściu. Zamiast tego pojawiło się na nim imię jego byłej – Alicji.

Już jakiś czas temu obiecał sobie, że nie będzie odbierał od niej telefonów ani odpisywał na SMS-y. W żaden sposób nie będzie się z nią komunikować. Teraz jednak miał jakieś dziwne przeczucie, że powinien odebrać ten telefon. Nacisnął zieloną słuchawkę i od razu usłyszał jej piskliwy głos:

– Pomocy, pomocy! Proszę cię, pomóż mi!

Alicja nie brzmiała jak ona. Zazwyczaj niezwykle opanowana, wydawała rozkazy jemu lub innym bliskim, często nawet i znajo-

mym, a czasami nawet i zupełnie nieznanym sobie ludziom. Jednak teraz jej głos brzmiał rozpaczliwie.

– Błagam cię, pomóż mi! Pomóż mi, proszę cię...

I nagle urwało się połączenie. Wsiadł do auta i uderzył z całych sił pięściami o kierownicę. Ostatnią rzeczą, której teraz chciał, było, by eksdziewczyna znowu pojawiła się w jego życiu, ale wiedział, że liczy się czas. Szybko odblokował telefon i już chciał wybrać numer do Obrębskiego, ale zrezygnował. Nie miał teraz ochoty na długie tłumaczenia.

Musiał działać. Z bliżej nieokreślonych powodów cały czas nie usunął programu do śledzenia, który kiedyś sama Alicja mu zainstalowała, żeby w sytuacji zgubienia telefonu móc go namierzyć. Nigdy nie sądził, że może tak mu się przydać.

Włączył aplikację i po chwili wiedział, że Alicja jest raptem sześć kilometrów od niego. Niewiele myśląc, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył zgodnie ze wskazówkami nawigacji. Po kilku minutach dotarł na stare osiedle bloków z płyty, których nie znosił, a w których spędził dużą część swojego życia. Zaparkował pod jednym z nich i ze wzrokiem cały czas wlepionym w telefon zaczął iść w stronę niebieskiej kropki.

Przyspieszył kroku, a w pewnym momencie już nie szedł, tylko biegł. Bał się, że Alicji coś się stało. Jego wyobraźnia podpowiadała coraz gorsze scenariusze. Nie kochał jej już, oddał swoje serce innej, jednak fakt, że spędzili ze sobą kilka lat, powodował, że tak po ludzku się martwił.

Gdy wszedł między bloki, momentalnie poczuł odór starego moczu, który wydobywał się z krzaków, tak jakby wiele osób stwierdziło, że to jest najlepsze miejsce na wysikanie się. Przyspieszył jesz-

cze bardziej i wtedy ją zobaczył. Stała przy swoim samochodzie i opierała się o niego pośladkami. Wcale nie zachowywała się, jakby coś jej się stało. Podeszedł do niej bliżej i wtedy zobaczył na jej twarzy zadrapania i siniaki.

Już chciał spytać, co się stało, gdy ona spojrzała na niego... i zaczęła uciekać, tak jakby się go przestraszyła. Dobrze wiedział, że za młodu uprawiała lekką atletykę, więc jej nogi pracowały niczym szalone, ale on nie odpuszczał. Miał przewagę w postaci swojego wzrostu, a tym samym długości nóg.

Nagle wybiegła na ruchliwą ulicę i niemal wpadła pod nadjeżdżającą z lewej strony samochód. Wtedy jego uszu dobiegł jej krzyk:

– Pomocy, on chciał mnie zgwałcić! Pomóżcie mi! – krzyczała wniebogłosy, machając rękoma.

Bogucki poczuł, jakby dostał cios w twarz. To nie działo się naprawdę. Wiedział dobrze, że Alicja jest skłonna do wielu niemoralnych zachowań, jednak to, co teraz się działo, to było jakieś nierealne.

– Pomocy! – krzyczała, a po jej policzkach płynęły łzy.

Dopiero teraz zauważył, że ma rozdartą spódnicę, a jej koszula pozbawiona jest większości guzików. Patrzył na nią i zupełnie nie wiedział, jak ma zareagować. Nie była już jego Alicją, którą znał i którą kiedyś nawet kochał. Miała w oczach jakiś obłęd, którego nie rozpoznawał.

W ich stronę zmierzali już ludzie chcący pomóc kobiecie, dlatego wykorzystując ostatni moment, gdy nikt nie stał zbyt blisko, podeszła do niego.

– Trzeba było mnie zostawiać? – wyszeptała przez zaciśnięte zęby, cały czas prezentując światu zbolalą minę. – To początek. Zała-

twię siebie i tę swoją sukę. No i Maksia też. Wszyscy pójdziecie na dno. Ja już tego dopilnuję. Jesteście obrzydliwi.

Rozdział 57

ONA

Zawsze wydawało mi się, że jestem w stanie poskromić moją ciekawość. Może dlatego, że w moim dawnym życiu nie spotykało mnie zbyt wiele sytuacji, które mogłyby ją wzbudzać.

W domu nikt nigdy nie czekał na mnie z żadnym prezentem, żadną niespodzianką. Wiedziałam dobrze, że moje koleżanki szperają w domach po szafkach, żeby znaleźć upominki, które rodzice kupowali im pod choinkę. Chciały wiedzieć, co tam wyląduje, tak jakby ten element zaskoczenia zupełnie ich nie kręcił. Ja nie miałam takiego problemu, bo po prostu nikt nigdy nic dla mnie nie ukrywał. Mama co roku kupowała mi pod choinkę jakąś szkolną lekturę i wymagała ode mnie wylewnego dziękowania.

Gdy poznałam Wiołę i Gabrysię, a one pierwszy raz dały mi prezent, byłam wniebowzięta. Miałam wrażenie, że złapałam Pana Boga za nogi. Gdyby ktoś mi wcześniej powiedział, że gdzieś w szafie mają dla mnie coś ukrytego i że może jestem w stanie to znaleźć, odpuściłabym sobie, bo ta radość związana z niespodzianką była tak olbrzymia i tak dla mnie zaskakująca, że wołałabym zaczekać i przez jakiś

czas czuć, że spotka mnie coś miłego, a na końcu być wielce zaskoczona, gdy to dostanę.

Jeśli jednak chodzi o zawartość szafki mężczyzny, u którego sprzątałam, chciałam wiedzieć tu i teraz, dlatego dwie godziny po wyjściu od niego z domu stwierdziłam, że muszę jakoś tam wrócić. Problem polegał na tym, że nie miałam do niego klucza. Oczywiście dysponowałam swoim zestawem, który niejednokrotnie pozwalał mi wejść tam, gdzie nie powinnam wchodzić, gdzie nie zostałam zaproszona. Miałam wielką nadzieję, że moje umiejętności wystarczą w zupełności do pokonania jego drzwi.

Mogłam poczekać, aż zaprosi mnie ponownie, bo wysprzątałam jak nikt inny, tego byłam pewna. Ale wiedziałam, że jeżeli nie spróbuję, to nie zasnę. Sprawę trochę ułatwiał fakt, że to nie był jego prawdziwy dom, ale zapasowa kawalerka, która służyła raczej do spotkań.

Wsiadłam do swojego samochodu, który wydawał ostatnio jakieś dziwne dźwięki, mimo że mechanik zapewniał, że wszystko jest w porządku. Gdy dojechałam pod budynek, gdzie mieściło się sprzątane przeze mnie mieszkanie, było już ciemno. Trochę to ułatwiała sprawę, bo nie musiałam się ukrywać jak złodziej, a palące się światło potwierdzało, że jest w środku.

Siedziałam w samochodzie i obserwowałam. Nie była to może ekscytująca robota, ale mnie się podobała, ponieważ byłam tylko ja i moje myśli. Oczywiście żadnych paczków niczym w amerykańskich filmach o policjantach nie kupowałam, choć wiedziałam, że zjadłabym każdą ilość.

Rozsiadłam się wygodnie i czekałam. Dobrze, że życie nauczyło mnie cierpliwości. Minuty mijały, a on nie wychodził. W końcu po

ponad trzech godzinach, podczas których dwa razy miałam wrażenie, że głowa mi lekko opadła, w końcu światła zgasły, a po chwili on pojawił się na dole. Skierował się do taksówki, którą musiał zamówić wcześniej.

Już chciałam wysiąść z samochodu, gdy zauważyłam coś nietypowego. Mężczyznę w kapturze, który stał w odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów od klatki i bardzo się ożywił, gdy mój obiekt wyszedł. Od razu wiedziałam, że coś jest na rzeczy. Do wyboru miałam kilka opcji. Mógł być to policjant, który w jakiś sposób wpadł na trop mojego podejrzanego, a może i również jego przyjaciół. To było najbardziej prawdopodobne, jednak po chwili już wiedziałam, że tak nie jest. Wyglądał inaczej niż policjanci. Nie był pewny w ruchach. Jakiś taki połamany. Typ cierpiętника. W sumie trochę przypominał mnie samą.

Siedziałam w aucie przed blokiem i czułam, jakbym była w rozroku. Z jednej strony chciałam wejść do mieszkania mężczyzny, ale z drugiej ta postać mnie intrygowała. Drugi raz tego dnia ciekawość, która nigdy nie przysparzała mi kłopotów, nagle zaczęła wpływać na moje decyzje. Teraz znowu musiałam zrobić to, co mi nakazuje, i zamiast wejść do mieszkania i sprawdzić szufladę, ruszyłam za zakapturzoną mężczyznę, który śledził mój obiekt. Podobnie jak ja dysponował rozpadającym się samochodem, który miał już swoje lata i w wielu krajach zostałby skierowany na szrot.

Czułam się jak w jakiejś grze. On jechał za taksówką, ja za nim i tak pokonaliśmy kilkanaście kilometrów do centrum. Stanęliśmy przed budynkiem biurowym, gdzie mężczyzna wysiadł. Wtedy wszystko zaczęło się od nowa, tylko teraz zmienił się przedmiot mojej obserwacji. Już nie śledziłam mojego pracodawcy, ale kogoś zu-

pełnie mi nieznanego. Czas dłużył się niemiłosiernie. Minuty leciały, a ja miałam wrażenie, że to się nigdy nie skończy. Pierwszy raz od dawien dawna mnie to nużyło i zaczęłam się zastanawiać, czy ja naprawdę powinnam to robić. Czy to jest to, co chcę robić po pracy? Jednak gdy przypomniałam sobie zdjęcia Olgi Kowalonek z miejsca zbrodni oraz te przed jej śmiercią, wiedziałam, że robię dobrze. Wiedziałam, że jeżeli mi się uda, ktoś poniesie karę za niewyobrażalną zbrodnię, jakiej dokonał.

Patrzyłam na deskę rozdzielczą, na której godzina zmieniała się nieśpiesznie, tak jakby wiedziała, że ktoś czeka, aby minuty upływały trochę szybciej, żeby mężczyzna w końcu wyszedł z budynku, a ten, którego ja teraz obserwowałam, ruszył za nim, a po pewnym czasie wrócił do swojego domu.

Po ponad trzech godzinach zakapturzony facet, podobnie jak ja znudzony obserwacją, która nie przynosiła efektów, w końcu odpalił samochód i ruszył. Jechałam za nim, choć bałam się, że zobaczy mnie w lusterku. Przestrzeń między nami musiała być na tyle niewielka, żebym nie straciła go z oczu, żeby nie uciekł mi nagle, bo zmieni się światło albo wykona manewr tak szybko, że ja nie zdążę go powtórzyć. Na szczęście nie należał do tych kierowców bombowców, którzy nie używają kierunkowskazów, jakby parzyły, i nie zmieniają nagle pasa ruchu, jakby byli sami na drodze.

Ten był podobny do mnie. Jechał nieśpiesznie, komunikując się z otoczeniem za pomocą świateł kierunkowych. W końcu stanął. Dotarliśmy do warszawskiej sypialni, jak wielu nazywało wypełniony blokami Ursynów. Mężczyzna wjechał w małą uliczkę otoczoną niskimi budynkami, które dobrze pamiętały zapewne lata osiemdziesiąte, a może i wcześniejsze. Postawił samochód na niewielkim par-

kingu, gdzie migąła latarnia, i wysiadł. Stałam niedaleko, ciesząc się, że znalazłam miejsce, ponieważ wcale nie było tak dużo pustych. Zaczekałam chwilę, aż oddalił się od samochodu, po czym sama wysiadłam. Ruszyłam za nim, naciągając kaptur na głowę.

Wszedł do drugiej klatki najbliższego bloku i zniknął. Stałam na dole, modląc się, żeby nie wszedł do mieszkania na trzecim piętrze, bo na tym poziomie wszędzie pozapalane były światła mimo drugiej w nocy, którą pokazywał mój zegarek. Na szczęście po kilkudziesięciu sekundach rozjaśniło się okno piętro niżej. Wiedziałam, gdzie mieszka. Spojrzałam na małe naklejki na domofonie i poznałam jego nazwisko: Kazimierczak. Adres znałam, teraz musiałam sprawdzić, kim jest. Ale najbardziej zastanawiające było to, dlaczego śledził Borowicza. Dlaczego poświęcił tyle czasu, aby za nim jeździć.

Rozdział 58

Obrębski kręcił się przy swoim biurku, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Nie chciał się do tego przyznać, ale martwił się o Beatę. Już trzy razy podnosił telefon, żeby do niej zadzwonić, jednak po chwili go odkładał. Dobrze wiedział, że nie powinien tego robić. Jego była dziewczyna miała teraz nowego chłopaka, który był odpowiedzialny, opiekował się nią jak mało kto. Komisarz był boleśnie świadom, że tak naprawdę Bogucki poświęca jej o wiele więcej uwagi niż on sam, kiedy stanowili parę. Nie robił tego, co kolega. Nie chodził z nią na imprezy, do kina na filmy, które ona wybierała. Zawsze musiało być wszystko tak, jak on chciał. Oczywiście pod warunkiem, że znalazł na to chwilę. Wtedy wychodził z założenia, że ten wolny czas chciałby spędzać tak, jak on najbardziej lubi. Poświęcenie dla Beaty, w ogóle dla kogokolwiek innego, stanowiło dla niego zawsze wielkie wyzwanie.

Żeby zająć czymś myśli, postanowił przejrzeć po raz kolejny sprawy Grzegorza Mazura i młodej dziewczyny. Fakt, że były ze sobą powiązane, wiele zmieniał. W sumie sam nie wiedział, czy to ułatwiało mu pracę, czy wręcz jeszcze mocniej ją komplikowało. Ktoś z jakichś bliżej nieokreślonych powodów zabił dwie osoby, diametralnie się od siebie różniące. Młodą ładną szesnastolatkę, która miała powodzenie u chłopaków i całe życie przed sobą. A chwilę

wcześniej mężczyznę, który wiele w życiu już przeżył, nie był chuchrem i mógł spokojnie odeprzeć atak. Jednak obydwójce zostali pokonani. Co zaskakujące, w zupełnie różne sposoby, jednak koniec był ten sam: śmierć.

Obrębski przeczytał jeszcze raz cały zgromadzony materiał dotyczący zarówno sprawy dziewczyny, jak i faceta, w tym dorzucony kilka minut temu do akt raport z rozmowy z rodzicami. Boczarscy, poinformowani o fakcie, że najprawdopodobniej mają do czynienia z mężczyzną, który nie tylko zabił ich córkę, ale również pozbawił życia czterdziestoparoletniego mężczyznę, nie byli w stanie znaleźć nic łączącego ich córkę albo ich samych z Mazurem. Zupełnie nie kojarzyli go ani z nazwiska, ani z twarzy, którą policjanci zaprezentowali im na zdjęciach. Oczywiście istniał cień szansy, że dziewczyna poznała gdzieś Mazura. Może w szkole, może przy okazji spotkania ze znajomymi, może na zawodach, a może po prostu gdzieś na ulicy ich losy się skrzyżowały i nikt o tym nie wiedział.

Obrębski siedział i dalej studiował wszystkie zebrane dowody, aż dotarł do zabezpieczonych na miejscu zbrodni odcisków. Palców, butów, dłoni. Patrzył na nie przez dłuższy czas, aż nagle poczuł to rzadkie, lecz dobrze mu znane mrowienie w brzuchu, który kiedyś kole-dze opisał, że to tak, jakby się zakochał. Ciało dawało sygnał, że właśnie na coś wpadł. Tylko mózg jeszcze nie wypluł całego zestawu danych.

Wstał od biurka i już chciał ruszyć do wyjścia, gdy na ekranie telefonu pojawił się numer podpisany „Bogucki”. Wiedział dobrze, gdzie jego partner teraz przebywał, więc czym prędzej odebrał.

– No cześć, i jak, wszystko w porządku?

- Nie. W ogóle nie wiem, od czego zacząć... - usłyszał dziwnie brzmiący głos kolegi.

- Może od początku? Co z Beata? - Obrębski zaczął zakładać kurtkę, cały czas nasłuchując uważnie.

- Nie udało mi się do niej dotrzeć.

- Jak to nie udało ci się dotrzeć? - Wyprostował się i wygiął lekko plecy do tyłu, czując, jak w lędźwiach zaczyna mu coś trzaskać. - Ale przecież do niej jechałeś.

- Tak, ale...

- Bogucki, proszę cię, o co chodzi, co się stało, miałeś wypadek?

- Nie, nie miałem wypadku, ale moja eksdziewczyna oskarżyła mnie o napaść.

- Co ty pieprzysz?

- To dosyć skomplikowane i... ja nie wiem. Nie wiem, co teraz... - Znowu urwał w połowie wypowiedzi. Obrębski oparł się o biurko i zamknął oczy. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebował, to dramaty rodem z serialu brazylijskiego

- Dobra, pierwsza rzecz i najważniejsza. Zrobiłeś to?

- Oczywiście, że nie. Nigdy bym nie podniósł na kobietę ręki. Ona się po prostu mści.

- Ja pierdolę, te byłe to potrafią człowieka... - Teraz to komisarz nie skończył.

- No, ale niestety to nie wszystko... - przerwał mu Bogucki. - I chyba teraz jest dobry moment, żeby ci powiedzieć całą prawdę.

- Jezus Maria, naprawdę postradaliście zmysły? Nie dość, że spotykasz się z moją byłą, to jeszcze coś masz mi do powiedzenia.

- Tak, otóż ty spotykasz się z moją byłą.

– Co ty pieprzysz? – jęknął Obrębski i usiadł ciężko na fotelu. – Ale że co, że Alicja...?

– Tak, Alicja jest moją byłą i to ona właśnie oskarżyła mnie o napad.

– Wiesz co? To jest posrane.

Rozdział 59

ONA

Węszenie to coś, co lubię. Zbieranie informacji o ludziach, o ich życiu, o tym, co lubią, a czego nie lubią – to jest sposób spędzania czasu, który jak najbardziej mi pasuje.

Wiktor Kazimierczak. Człowiek tak zwykły, tak przeciętny jak wielu z nas. Szary, niezapamiętywalny. Niecharakterystyczny.

Nauczyciel matematyki w jednym z warszawskich liceów. Człowiek wychwalany pod niebiosa przez swoich kolegów, koleżanki, a nawet przez uczniów, choć mam wrażenie, że ci ostatni od lat traktują nauczycieli jako wyrobników do odwalania pańszczyzny. Nie nawiązują z nimi relacji, nie szanują, a jak uczniowi nie idzie w nauce, to całą winę zwalają na pedagoga. Nieważne, że bachor jest leniwy, nic mu się nie chce, nie odrabia prac domowych, a do nauczenia się na klasówkę to trzeba go zmuszać elektrowstrząsami. Zawsze wina jest nauczyciela, dlatego od lat już patrzę na nich jak na ludzi z misją. Jak dla mnie zawód nauczyciela to jeden z najtrudniejszych, jaki mogę sobie wyobrazić. To wieczna walka z nastolatkami, w których buzują hormony, a na dodatek z ich rodzicami, którzy uważają, że wszystko wiedzą najlepiej.

Moi rodzice zawsze unikali kontaktów ze szkołą – i chwala im za to. Nigdy przez to nie miałam problemów, ale wiedziałam, jak to wyglądało w przypadku moich koleżanek z klasy. Raz na jakiś czas trafiał się jakiś nagrzany ojciec lub wściekła matka, którzy przychodzili na wywiadówki i robili aferę. A powody były żenujące. Bo nauczyciel za dużo zadaje. Bo nauczyciel źle pyta, przecież jego pytania są głupie. Bo robi klasówki albo bo ich nie robi. Przecież dzieci muszą mieć motywator do nauki. Zawsze znalazł się powód, żeby na kogoś z nauczycieli ponarzekać. Później po każdej wywiadówce słyszałam, jak koleżanki opowiadały, co tym razem zrobili ich rodzice, i nie mogłam uwierzyć, jak bardzo to się różni od dawnych lat. W czasach, o których kiedyś gdzieś czytałam, każdy szanował nauczyciela, nieważne, czy uczył dobrze, czy nie. Trzeba było go słuchać i okazywać szacunek. Dlatego tak się zdziwiłam, że o Wiktorze Kazimierczaku wszyscy mówią pozytywnie, łącznie z tymi najważniejszymi, czyli uczniami.

Mężczyzna wyglądał na zwykłego, przeciętnego, ale z jakiegoś względu popołudnia i wieczory spędzał, śledząc człowieka, który prawdopodobnie miał wiele na sumieniu. Wyszukałam Kazimierczaka w sieci, ale nic szczególnego nie znalazłam, dlatego przeskoczyłam na jego media społecznościowe. Znalazłam kilka wpisów, takich zupełnie o niczym: jakieś filmiki o przyrodzie, trochę zagadek matematycznych, ale zupełnie nic ciekawego w kontekście moich poszukiwań.

Następnie sprawdziłam konto jego żony. Oznaczył ją na swoim profilu w statusie związku. Ona na szczęście była bardziej wylewna. Publikowała raz na jakiś czas ich zdjęcia. Przeglądałam miesiąc po miesiącu, rok po roku, aż w końcu trafiłam na coś zastanawiającego.

Na tych sprzed lat byli we czwórkę, ale dwa lata temu nagle zaczęli pojawiać się tylko we troje. On, żona i syn, na oko dwudziestoparoletni, trochę przed trzydziestką. Zniknęła gdzieś dziewczyna, nastolatka u progu dorosłości. Szczupła brunetka o dosyć smutnej twarzy, podobnej do ojca, podobnej do mojej. Takiej zwykłej, której w życiu średnio się udaje. Czasami się próbowała uśmiechać, ale nie wyglądała tak radośnie jak te modelki na zdjęciach, które za każdym razem szczerzą się tak bardzo, że myślisz, że nawdychały się jakiegoś rozweselającego gazu.

Coś musiało się wydarzyć, że zniknęła z ich życia. Może wyjechała na studia, wyprowadziła się do innego miasta i przestała spędzać czas ze swoją rodziną. Wszystko mogło się zdarzyć, jednak ich miny w ciągu tych dwóch lat zrobiły się jeszcze smutniejsze. Każde z nich wyraźnie schudło, a kobieta wyglądała, jakby wpadła w sidła jakiejś katorżniczej diety, podczas której gubiła po kilka kilogramów każdego miesiąca.

Coś musiało się wydarzyć.

Zaczęłam szukać. Jak wprawny pies zaglądałam w każdy zakamarek internetowych labiryntów. Jestem w tym dobra, więc po dwudziestu minutach już miałam wgląd w to, co się wydarzyło. Co zniszczyło ich rodzinę i co spowodowało, że niektórzy prawdopodobnie zaczęli intensywnie rozmyślać o zemście.

Marysia Kazimierczak została znaleziona przez swojego brata w wannie. Oczywiście w artykule, na który trafiłam, nikt nie napisał wprost, że o nią chodzi, ale mając imię, nazwisko i miejsce zamieszkania, udało mi się dotrzeć do informacji o rodzinnej tragedii.

Jej starszy brat wszedł do łazienki chwilę po tym, jak podcięła sobie żyły. Gorąca woda, do której weszła, spowodowała, że krew są-

czyła się z niej dużo szybciej niż w normalnych warunkach. Leciała strumieniami i chłopak nie był w stanie w żaden sposób pomóc siostrze. Medycy, gdy dotarli do ich mieszkania, od razu stwierdzili zgon, a dziewczyna na zawsze odeszła z ich rodziny. Była podobno niezwykle miłą i sympatyczną osobą, którą rodzice kochali ponad wszystko.

Szukałam dalej. W artykule nic nie wspomiano o motywach, ale wiedziałam, że nie mógł być to przypadek. Musiało się zdarzyć coś strasznego, bo z byle powodu młoda dziewczyna nie wzięłaby noża, nie weszła do wanny i nie rozpruła sobie naczyń krwionośnych. Przeczesałam sieć dalej. Gdy odnalazłam artykuł o gwałcie, którego ofiara miała takie same inicjały, zgadzał się wiek i miejsce zamieszkania, wiedziałam, że to musi być z tym związane. Nagle wszystkie kropki się połączyły.

Dziewczyna została brutalnie zgwałcona, gdy poszła na randkę z poznanym w sieci mężczyzną. Policja nie miała nikogo podejrzanego, a mimo to ojciec chodził na prokuraturę i opowiadał, że może pomóc znaleźć sprawcę. Że ma jego numer telefonu, którego użył.

Dziewczyna w końcu nie wytrzymała i wiedząc, że sprawcy nigdy nie dosięgnie sprawiedliwość, postanowiła zrobić to, co zrobiła.

Tylko co mój pseudopracodawca miał z tym wspólnego?

Rozdział 60

Beata stała przed wejściem na komisariat i czekała na swojego chłopaka. Nie mogła zrozumieć tego, co się właśnie stało, choć przecież w swojej pracy niejednokrotnie widziała zaskakujące przypadki. Przypadki osób, które w sytuacji uznanej za zagrażającą albo po prostu zbyt pełną emocji zaczynały działać irracjonalnie.

Dobrze wiedziała, że każdy człowiek w pewnych okolicznościach potrafi wyjść z siebie i zrobić rzeczy zupełnie dla siebie nietypowe. Dlatego nie dziwiła się, że Alicja postanowiła wyprowadzić przeciwko Boguckiemu ciężkie działa, ale nie miała pojęcia, jak w tym wszystkim się odnaleźć. Jak spowodować, żeby jej facet nie zamknął się nagle w sobie. Znała ten mechanizm obronny, gdy bliscy oddalają się od kochanych osób, aby nie skrzywdzić ich jeszcze bardziej.

Ani przez sekundę nie pomyślała, że to, co głosiła Alicja, mogło być prawdą. Nie rozmawiała jeszcze z Bartkiem, ale wiedziała, że całe to zajście jest wymysłem chorego umysłu kobiety, która zraniona postanowiła zrobić coś niezwykle okrutnego, nie patrząc na ofiary.

Gdy pojawił się u szczytu schodów, od razu ruszyła w jego stronę. Bogucki nie zdążył nic powiedzieć, a ona już się w niego wtulała, otaczając go swoimi ramionami, tak jakby był małym pokrzywdzonym dzieckiem.

- Będzie dobrze – wyszeptała.

- Mam nadzieję – odpowiedział, wypuszczając powietrze. Jego twarz wyglądała inaczej niż rano, gdy się zegnali. Oczy miał puste, a kąciki ust opadnięte.

- Masz po swojej stronie dobrych ludzi. – Uśmiechnęła się do niego i pocałowała w usta. – Wszystkiego dowiedziałam się od Maksa. Przejął się. Niezależnie od tego, co między nami było, uważa cię za dobrego glinę, a takiego broni się jak lwica lwiątko.

Bogucki nie odezwał się, tylko delikatnie kiwnął głową.

- Musimy do tego podejść racjonalnie. Masz od niej jakieś SMS-y? – spytała.

- Nie. Wszystko kasowałem. Miałem wrażenie, że każda wiadomość od niej parzy... – Mężczyzna wzniosł głowę ku niebu i sapnął. – Nie wierzę w to, co się dzieje. To jest chore, a najgorsze, że te twoje opony to pewnie też jej sprawka.

- Serio? – Beata zmarszczyła brwi, a między nimi pojawiła się lekka zmarszczka.

- Tak. Ona powiedziała, że nas wszystkich zniszczy.

- A miało być tak pięknie, a wyszło jak zwykle – zaśmiała się kobieta i przyciągnęła go do siebie. – Teraz jedziemy do domu. Muszę cię nakarmić, bo jakiś licheń się zrobiłeś przez ten stres – rzuciła, cmoknęła go w usta i pociągnęła za ramię.

Rozdział 61

ONA

Pół nocy nie spałam.

Myśli w mojej głowie wirowały jak szalone.

W końcu o czwartej nad ranem się poddałam.

Mój organizm chciał spać, ale głowa nie pozwalała.

Powoli wstałam z łóżka, czując znowu ten ból. Może poza stresem brak snu też miał na mnie wpływ.

Długo tak nie pociągnę. Wiem o tym z całą pewnością, tylko okoliczności nie sprzyjają, żeby zająć się zdrowiem akurat w tym momencie.

Narzuciłam na siebie cokolwiek i usiadłam przy biurku, na którym stał komputer. Włączyłam go, a sypialnię rozświetliła luna od ekranu. Poszperałam chwilę w sieci, licząc, że znajdę coś jeszcze o Marysi Kazimierczak. Niestety wszystkie portale powtarzały po sobie te same informacje.

Dziewczyna została brutalnie zgwałcona przez faceta, z którym umówiła się na randkę. Niby byli jacyś świadkowie, ale nic konkretnego nie przekazali policji. Sprawa umarła.

Siedziałam tak dobrą godzinę i wreszcie postanowiłam się ruszyć. Miałam ochotę coś porobić. Ubrałam się, chwilę porozciągałam, tak jak kazał mi fizjoterapeuta, i o szóstej wyszłam z domu.

Wsiadłam do samochodu i w tym momencie zreflektowałam się, że nie mam pomysłu, dokąd jechać. Byłam tak skupiona na tym, aby zrobić cokolwiek, że nie pomyślałam o planie działania. Jakby mój mózg się wyłączył.

Siedziałam dobre kilka minut, zastanawiając się.

Jechać do pracy nie miałam po co. Była sobota. Dzień wolny. Mogłabym na upartego się pojawić, ale to nie miało sensu.

Śledzić mojego pseudopracodawcy nie miałam jak. Zupełnie nie wiedziałam, gdzie może teraz być.

Zostawała mi jedna osoba.

Wiktor Kazimierczak.

Czułam, że chciałabym poznać jego historię.

Było w nim coś tak podobnego do mnie. Widziałam go tylko z daleka, ale ten smutek, ta przygarbiona postawa, te nogi, które przy każdym kroku zostawały z tyłu.

Pojechałam na Ursynów.

Stałam na tym samym miejscu co wcześniej i obserwowałam. Tak bardzo skupiałam się na patrzeniu w jego okna, że omal nie przepięłam mężczyzny wychodzącego z klatki.

To był on. Szedł wolno. Bez życia. Minał swój samochód i ruszył dalej.

Tego nie przewidziałam. Sięgnęłam po kurtkę i wysiadłam z samochodu. Zapięłam się pod szyję, bo na zewnątrz przywitał mnie przeszywający wiatr, któremu towarzyszył deszcz.

Zdecydowanie niesprzyjające warunki do śledzenia kogoś pieszo. Nie znam tej dzielnicy, więc zupełnie nie wiedziałam, dokąd zmierzamy. W końcu obrał kierunek, który spowodował, że poczułam ulgę.

Metro.

Powoli zeszliśmy po schodach. Ja w bezpiecznej odległości kilkunastu metrów. Na szczęście miałam w portfelu kilka jednorazowych biletów, więc nie musiałam przystawać przy automacie.

Mężczyzna minął bramki, a ja za nim.

Szedł powoli. Nigdzie mu się nie spieszyło. Zegar pokazywał siódmą czterdzieści pięć. Następny pociąg miał się pojawić za dwie minuty.

Stałam kilka metrów od niego po prawej stronie.

Po kilkudziesięciu sekundach w tunelu pojawił się ledwo dostrzegalny snop światła.

Jechał pociąg.

Odwróciłam głowę i serce mi stanęło.

Kazimierski stał na krawędzi peronu i rytmicznie otwierał i zamykał dłonie. Poza nami na stacji było raptem pięć osób, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi.

Ruszyłam do niego, widząc zbliżające się czoło pojazdu.

Zwalniało, ale wiem, że wypadków w metrze jest sporo i część kończy się najgorzej.

Widziałam, już jak wyciąga nogę do przodu i wysuwa głowę.

W ostatnim momencie złapałam go za kurtkę i z całych sił pociągnęłam do tyłu.

– Pomogę ci! – krzyknęłam, próbując przebić się przez dźwięk sunącego po szynach pojazdu.

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę, a po jego policzkach poleciały łzy.

Rozdział 62

Obrębski usiadł obok Boguckiego i podniósł kufel piwa.

– Będzie dobrze. Już ja się tym zajmę – rzucił, po czym upił spory łyk i odstawił naczynie na blat kuchenny. Dobrze znał to wnętrze. Bywał tu nie raz. Ale zawsze jako chłopak Beaty, a teraz jako... partner jej chłopaka. O dziwo zupełnie mu to nie przeszkadzało. Był problem i musieli go jak najszybciej rozwiązać.

– Dziękuję – powiedziała Beata i oparła się o blat.

Komisarz kiwnął głową i ponownie spojrzał na kolegę.

– W tym momencie musimy skupić się na tym, jak wyjść z tego szamba. Sprawa na pierwszy rzut oka wygląda nieciekawie. Ale jeżeli ktoś przyjrzy się jej bliżej, to już nie jest tak źle. Po pierwsze, przemawiają na naszą korzyść...

– Naszą? – wtrącił Bogucki i po raz pierwszy od kilku minut podniósł zwieszoną głowę.

– Mój drogi, w prewencji pewnie tego nie było, ale u nas, w kryminalnym, jeżeli ktoś zadziera z jednym z naszych, musi liczyć się z tym, że będzie miał przeciwko sobie całkiem sporą grupę upartych do bólu ludzi. My nie odpuszczamy.

– Fiu, fiuuu! – śpiewnie zareagowała kobieta. – Mówiłam ci, że będzie dobrze.

– Chwila, nie chwalmy dnia przed zachodem, ale wiele rzeczy jest po naszej stronie. Po pierwsze fakt, że napadła na Beatę w centrum handlowym. Po drugie, że przyczepiła się do mnie. W takie zbiegi okoliczności to chyba nikt nie uwierzy. A, i jeszcze te opony. To też wygląda podejrzanie. Jak dla mnie to ewidentnie wskazuje na zmasowany atak zranionej kobiety.

– No tak, tylko...

– Nie ma żadnego „tylko”. Trzeba działać. Ja pogadam z gościem, który prowadzi twoją sprawę i...

– A co ze mną?

– Ty teraz musisz odpoczywać.

– Dlaczego? – Bogucki uderzył pięścią w blat, aż jego piwo podskoczyło.

– Takie są przepisy. – Beata podeszła do niego i położyła na jego ramieniu dłonie. – Wiesz o tym dobrze. Muszą to wyjaśnić i zaraz wrócisz do pracy.

– Dokładnie. – Obrębski pokiwał głową i dolał koledze i sobie piwa. – Teraz ty musisz trzymać się od wszystkiego z daleka. Nie kontaktuj się z Alicją, jej rodziną, znajomymi. Gdyby ktoś cię zaczepiał, nie reagujesz. Zero interakcji. Zastanów się, czy może jednak masz jakieś SMS-y, wiadomości, cokolwiek. Z bilingów wyciągniemy, że do ciebie pisała, ale nie dowiemy się, co tam było.

– A sam ten niby napad? Co z nim? Przecież to oczywista podpucha – warknęła Beata.

– My to wiemy, ale prokurator musi zebrać swoje dowody. Niestety długo ze sobą mieszkali, więc gdzieś może mieć jeszcze jakąś szczoteczkę do zębów z DNA, czy gdzieś jakieś włosy, a to oznacza kłopoty.

– Kłopoty?

– Nie takie wielkie, damy radę, ale – w tym momencie ponownie spojrział na kolegę – musisz być przygotowany, że to chwilę potrwa. Nie licz, że za dzień, dwa komendant zadzwoni i powie, że możesz wracać. Takie sprawy niestety zazwyczaj trochę się ciągną. No, chyba że udaje się zdyskredytować ofiarę lub wykazać, że kłamała.

– Ja mogę się tym zająć! – krzyknął podekscytowany aspirant.

– Nie możesz. Musisz teraz grzecznie czekać. Niczego nie możesz robić. Niestety wiem, że podobnie jak ja jesteś w gorącej wodzie kąpany, ale dasz radę. Każdego kiedyś jakieś szambo spotyka.

– Taaa... – prychnął Bogucki.

– Maks mówi prawdę. Nawet go kiedyś zawiesili.

– Serio? Za co? – Mężczyzna uniósł brwi i zmrużył oczy.

– Kiedyś podczas zatrzymania gostek mi przywalił. Więc go rzuciłem na glebę, przez co wykręciłem mu rękę. Musieli go operować. I wszystko byłoby okej, gdyby nie wymyślił sobie, że to ja go zaatakowałem.

– I?

– Zawiesili mnie. – Obrębski pociągnął łyk piwa. – Czekanie nie należało do najmiłszych, ale cóż, nie miałem wyjścia. Wiedziałem, że nic złego nie zrobiłem. Chyba dwa tygodnie później przywrócono mnie do służby. Zgłosił się świadek, który potwierdził moją wersję.

– Z tobą też tak będzie. – Beata przytuliła się do Boguckiego, ignorując obecność siedzącego obok byłego faceta. – A teraz czas coś zjeść. Co zamawiamy? – Sięgnęła po ulotki leżące na blacie i położyła je przed dwójką policjantów.

Rozdział 63

ONA

Siedzieliśmy na ławce nad metrem dobre trzy godziny.

Rozmawialiśmy.

Milczeliśmy.

Sporo łez popłynęło mi po policzkach.

– To wszystko moja wina – powtarzał raz za razem. – Marysia koniecznie chciała znaleźć sobie chłopaka, bo z synem ciągle jej dogryzaliśmy, że jest zbyt wybredna i żaden nie jest dla niej dobry – opowiadał ściszym głosem. – No i znalazła sobie.

„Gwałciciela”, dopowiedziałam w myślach.

Potem opowiedział mi, jak wróciła w nocy.

Zakrwawiona.

Zapłakana.

– Już nie była naszą Marysią. Ona umarła już tamtego dnia. A po trzech miesiącach odeszła drugi raz, tym razem na zawsze – szeptał, a ja czułam, jak żal rozrywa mi serce. – Policja nic nie robiła. Ten prokurator Borowicz twierdził, że postępowanie trwa, ale gdy przyszedłem po miesiąc, powiedział, że nic nie mają. Gdy spytałem o numer telefonu, który córka podała, wydarł się na mnie. Krzyczał,

żebym się nie wtrącał w jego pracę. W końcu to on się zna na tym, jak prowadzić sprawy, a nie ja. Próbowałem wytłumaczyć jego przełożonemu, ale nic to nie dało.

– Tak mi przykro... – wydukałam i rozejrzałam się. Wolałam, żeby naszej rozmowy nikt nie słyszał. – Dlatego go śledzisz? – rzuciłam, a on spojrział na mnie z ukosa. Dopiero teraz zauważyłam czarne kropki na jego tęczęwkach.

– Skąd o tym wiesz?

Przez chwilę patrzyłam na niego, zastanawiając się, jak to rozegrać. Wyłożyć wszystkie karty na stół czy lawirować, pokazując tylko część?

– Też go obserwuję – wybrałam pierwszą opcję.

– Co ci zrobił? – Wyraźnie go zainteresowałam. Jego głos nie brzmiał już tak bez życia.

– Mnie nic, ale... – Przerwałam, zastanawiając się nad doborem słów. – Prawdopodobnie ma coś wspólnego z morderstwem pewnej kobiety...

– Olgi Kowalonek – skończył za mnie, ale nic więcej nie powiedział, bo schował twarz w rękach i zaczął płakać. Na początku cicho, ale z każdą sekundą coraz głośniejsze. Jego ciało drżało, a ja zupełnie nie wiedziałam, o co chodzi. Czy się znali? A może coś wiedział?

Minuty mijały. Ludzie przystawali, spoglądając pytająco, czy wszystko w porządku. Uśmiechałam się delikatnie i kiwałam głową, chociaż wiedziałam, że nic nie jest w porządku.

W końcu wytarł rękawem oczy i spojrział na mnie. W jego oczach był przeraźliwy smutek. Nigdy chyba takiego nie widziałam.

– Boję się, że... – Nagle wstał, jakby się czegoś przestraszył. Zrobiłam to samo, chociaż znowu moje ciało oblał ból.

– Możesz mi zaufać. Pomogę ci – szepnęłam, zupełnie nie wiedząc, jak miałabym to zrobić.

– Grzesiek... On... Jezu, to nie może być prawda.

Zupełnie nic z tego nie rozumiałam.

– Twój syn? – strzełam.

Nie powiedział nic, tylko kiwnął potwierdzająco głową.

– On coś zrobił?

– On tak bardzo kochał Marysię... – Ponownie usiadł na ławce, a ja miałam ochotę go za to wyściskać. Ledwo stałam. – Zawsze mówił na nią Sisi. Opiekował się jak prawdziwy starszy brat. Gdy ktokolwiek coś jej powiedział czy zrobił niemilego, leciał ją bronić. Czasami przesadzał. – Zaśmiał się smutno. – Wtrącał się, mimo że ona tego nie chciała. Ale zawsze robił to w dobrej wierze. Gdy ją ten... Gdy Marysię ten... – Wiktor Kazimierczak zaczął się jąkać. Powiedzenie na głos o tym, co stało się córce, przychodziło mu z trudem. – Wtedy Grzesiek się załamał. Obarczył siebie winą. A gdy znalazł ją w wannie, do reszty popadł w obłęd. Przestał jeść. Twierdził, że to przez niego. I to on... chyba...

– Co on? – nie wytrzymałam. Nic z tego nie rozumiałam.

– Straciłem oboje. Ja tak już nie dam rady żyć. Nie mam już nic.

– Masz syna – szepnęłam.

– On zniknął. Nie wiem, gdzie jest. I boję się, że zrobił coś strasznego. – Po jego policzkach ponownie zaczęły spływać łzy.

Patrzyłam na niego i czekałam. Tak bardzo chciałam spytać, co zrobił, ale czułam, że nie powinnam.

Aż w końcu padły słowa, które mnie zmroziły.

– To on ją zabił.

Rozdział 64

– Ja pierdolę! – wrzasnął Obrębski i rzucił telefon na biurko. Ostatnią rzeczą, o której w tym momencie myślał, był ekran, który prawdopodobnie uszkodził.

Godzinę temu dostał potwierdzenie od technika, którego poprosił o przysługę, że w wannie w domu Zaremby są odciski Leonarda Małkowskiego. Udało się to dzięki małemu podstępowi. Podczas wizyty w domu muzyka komisarz zabrał stojącą na stoliku szklanę i oddał do porównania z zebranymi dowodami.

Okazało się, że podejrzenie się potwierdziło.

Niestety prokurator na chwilę obecną nie wyraził zgody na aresztowanie muzyka. Tłumaczył to faktem, że mężczyzna mógł zostawić je podczas jakiejś imprezy. Brzmiało to absurdalnie. Po raz kolejny Borowicz szedł na łatwiznę, robiąc najmniej, jak się dało.

Jednak tym razem komisarz nie planował odpuszczać. Musiał doprowadzić sprawę do końca. Sięgnął po telefon, który chwilę wcześniej z łoskotem spadł na biurko, i zaczął szukać w nim kontaktu do osoby, która wisiała mu przysługę.

Mieczysław Kowalczyk, były policjant, który od siedmiu lat z sukcesami prowadził agencję detektywistyczną.

Znali się już kilkanaście lat, mimo że nigdy razem nie pracowali. Ich ścieżki przecinały się wielokrotnie. To Obrębskiemu zawdzięczał

jedno z pierwszych zleceń, które pociągnęło za sobą kolejne i kolejne.

Przy każdym spotkaniu powtarzał, że gdyby tylko policjant miał jakiś problem, którego nie mógłby w ramach pracy rozwiązać, ma dzwonić. Przez tyle lat nic się nie pojawiło, ale teraz doszedł do ściany i tylko w koledze widział rozwiązanie.

- No to grubo - skomentował Kowalczyk, gdy Obrębski wyjaśnił mu wszystko. - Czegoś konkretnego mamy szukać?

- Nie. Szukajcie czegokolwiek. Muszę popchnąć sprawę do przodu, i to tak najszybciej.

Pogadali chwilę jeszcze o polityce i piłce nożnej, po czym Obrębski wrócił do pracy.

Rozdział 65

ONA

Nigdy nie byłam zwolenniczką zabijania jako formy kary, no, chyba że system nie dawał szans na osiągnięcie tego zgodnie z przepisami prawa.

Wszystko, co w życiu zrobiłam, wynikało z faktu, że nie było szans na inne rozwiązanie.

W przypadku Olgi Kowalonek liczyłam, że się uda. Liczyłam, że Grzegorz Kazimierczak nie wyręczy policji i nie podejmie drugiej próby.

Pierwsza skończyła się fatalnie.

Według tego, co opowiedział mi Wiktor, jego syn śledził prokuratora i w ten sposób trafił na jego kumpla, tego polityka. Już wcześniej w telefonie siostry znalazł kilka zdjęć fikuśnych drinków z tamtego feralnego wieczora. W tle widać było fragment jej towarzysza. Dłonie trzymał na blacie stolika, a na palcu miał charakterystyczny sygnet – taki sam, jaki Grzegorz zobaczył u kolegi prokuratora. Wiedział, że to nie może być przypadek. To wyjaśniało, dlaczego Borowiczowi wcale nie zależało na znalezieniu sprawcy. Młody Kazimier-

czak poszedł za Sosnowskim do hotelu. Nie myślał racjonalnie. Nie zastanawiał się nad tym, w jakim celu facet się tam wybrał.

Z tego, co opowiedział ojcu podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej, po której zniknął, zapukał do drzwi hotelowych. Trzymał w ręku nóż. Nosił go od dłuższego czasu, tak na wszelki wypadek.

Stał tak całkiem długo, zdążyło już zgasnąć światło.

I wtedy drzwi się otworzyły.

Wyprowadził cios. Nóż wszedł gładko w brzuch.

Wtedy ponownie zapaliły się lampy na hotelowym korytarzu, tylko że rękojeść nie wystawała z brzucha Sosnowskiego, ale kobiety, którą pierwszy raz widział na oczy.

Spanikował.

Zaniósł ją do łazienki.

Żyła jeszcze.

Może wtedy była jeszcze szansa, żeby ją uratować, ale działając w szoku, wziął ręcznik i położył jej na twarzy.

Trzymał tak długo, aż przestała wierzgać.

Wyciągnął nóż, zabrał ręcznik.

Po drodze wytarł ręce o pościel.

Chciał zostawić jakieś ślady na łóżku.

Leżący w nim mężczyzna cały czas spał, pochrapując od czasu do czasu.

Wrócił jeszcze do łazienki, umył ręce i zgasił światło, które pozwalało mu się przemieszczać.

Wyszedł już w totalnej ciemności.

Od razu zadzwonił do ojca i wszystko mu opowiedział. Prosił o przebaczenie.

Od tego czasu w wolnych chwilach Wiktor śledził na zmianę prokuratora i polityka, licząc, że może gdzieś pojawi się jego syn.

Niestety dotychczas to się nie stało.

Przestał odbierać. Nikt nie wiedział, gdzie jest.

Tej ostatniej nocy siedział w domu sam. Żona wyjechała do matki. Oglądał zdjęcia z dzieciństwa swoich dzieci i płakał. Gdy obudził się rano, czuł dojmującą pustkę i jedyne, czego chciał w tym momencie, to odejść.

Zniknąć.

Umrzeć.

Dlatego musiałam mu pomóc.

Nie wiem czemu, ale uznałam, że tylko ja jestem w stanie utrzymać go przy życiu.

Rozdział 66

Obrębski patrzył na zdjęcia, które dostał już po kilku godzinach od rozmowy z kolegą, i nie wierzył w to, co widzi. W pierwszym momencie chciał zadzwonić do Boguckiego, ale wiedział, że nie powinien. Po otrzymaniu takiej informacji aspiranta nosiłoby jeszcze bardziej, co mogłoby skończyć się jakimś nieprzemyślanym zachowaniem.

Brakowało mu spojrzenia drugiej osoby, ale musiał jakoś sobie poradzić. Wielokrotnie pracował w pojedynkę. Przede wszystkim powinien przemyśleć każdy swój ruch. Nie mogło być w nich nierozważnych działań. Czekala go bardzo poważna rozmowa z przełożonym. Ufał mu, wiedział, że zestaw dowodów, który przedstawi, skłoni szefa do działania, ale i tak chciał być doskonale przygotowany. Nie było tu miejsca na niedopowiedzenia, na inną interpretację. Wszystko musiało potwierdzać jego podejrzenia.

Już zdjęcie, które leżało na stole, rzucało nowe światło na wszystko.

Widok Marcina Borowicza wchodzącego do bloku może nie stanowiłby niczego skłaniającego do refleksji. Ale gdy na kolejnym ujęciu do tego samego budynku wchodził Leonardo Małkowski, sprawa robiła się podejrzana. Położył dwa zdjęcia przed sobą i próbował coś jeszcze z nich wyczytać.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi. Szybkim ruchem zgarnął odbitki i wrzucił je do szuflady.

– Proszę! – krzyknął, zupełnie nie wiedząc, kto może mieć do niego sprawę.

Gdy w drzwiach pojawiła się głowa komendanta, zdębiał. Szef rzadko kiedy fatygował się osobiście. Zdecydowanie wolał odbywać rozmowy w zaciszu swojego gabinetu.

– Dzień dobry – zaczął, stając przy biurku podwładnego.

– Dzień dobry. – Obrębski dygnął lekko niczym uczeń przed nauczycielem.

– Przychodzę z dobrymi nowinami. Bogucki został oczyszczony ze wszystkiego.

– To faktycznie dobre nowiny! – Klasnął w dłonie. – A jak to się stało? – Wstał. Rozmowa z pozycji siedzącej zaczynała go denerwować. Nie czuł się komfortowo, zadzierając głowę.

– Wyobraź sobie, że przyszła matka naszej poszkodowanej – zrobił palcami cudzysłów w powietrzu – i powiedziała, że córka nie razi sobie po rozstaniu, więc w ramach zemsty wymyśliła całą akcję. Przyciśnięta do muru potwierdziła to. Prokurator zbiera teraz dowody przeciwko niej. Możliwe, że będziesz musiał zeznawać, twoja była też.

– Damy radę. Najważniejsze, że Bartosz wraca. Potrzebuję go.

– Może dasz mu chwilę wytchnienia? Chciałem mu dać dzień, dwa urlopu.

– Okej, dam sobie radę – rzucił, chociaż wiedział, że nie omieszka już teraz zdradzić koledze kilku szczegółów z prowadzonej sprawy.

Rozdział 67

ONA

Pierwszy raz miałam współnika. Kogoś, kto miał taki sam cel jak ja, chociaż inną motywację.

Szybko wymyśliłam plan.

Wiktor Kazimierczak zajął się śledzeniem prokuratora, miał być niczym jego cień. Ja zaś w pierwszej kolejności musiałam dostać się do skrytki zakamuflowanej w szufladzie szafki nocnej w jego kawalerce.

Nie wiem, czym sobie zasłużyłam, ale poszło nadzwyczaj gładko. Już przy pierwszej wizycie dokładnie sfotografowałam zamki, które musiałam sforsować. Znalazłam odpowiednie filmiki i wyposażona w zestaw MacGyvera szybko pokonałam przeszkodę.

Najchętniej zrobiłabym sobie selfie i wysłała zdjęcie do mężczyzny. Powstrzymało mnie to, że tym razem nie chciałam, aby przez sekundę pomyślał, że miałam cokolwiek z tym wspólnego. Już kiedyś się zdradziłam i żałowałam tego każdego dnia.

Gdy w końcu wyjęłam niczym niewyróżniający się zeszyt, poczułam jego ciężar. Nie wiedziałam, co się w nim znajduje, ale byłam pewna, że odmieni życie prokuratora.

Na zawsze.

I nie myliłam się.

Każda kolejna strona powodowała, że otwierałam oczy coraz szerzej.

Gdyby jakiś hollywoodzki scenarzysta się do tego dorwał, miałby pomysły na długi, tasiemcowaty serial wypchanego po brzegi krwawymi zbrodniami. Aż nie mogłam uwierzyć, że nikt nigdy nie wpadł na ich trop. Nigdy nie pociągnął ich do odpowiedzialności.

Wszystko ustawiłam tak, jak stało dotychczas, licząc, że moment, gdy Borowicz odkryje brak swojego skarbu, odsunie się jak najdalej w czasie.

Teraz przyszedł czas na skierowanie na niego podejrzeń.

Wiedziałam, że gdy pamiętnik trafi w odpowiednie ręce, cała trójka muszkieterów, jak nazywał ich prokurator, używający pseudonimu Atos, nigdy już nie wyjdzie z pudła.

Rozdział 68

Bogucki przyjechał na komisariat mimo urlopu, który dostał od komendanta. Zdziwiła go ta propozycja. Wcześniej tyle się nasłuchał o powierzchownym traktowaniu psychiki policjantów, a tu takie zakończenie.

– Chyba idzie nowe – skomentował to Obrębski. – Multikulti. Dbanie o naszą równowagę. Niedługo zaproponują nam zajęcia z szydełkowania i jogę twarzy, tak jak mojemu kumplowi w korpo.

– O matko. Oby nie – skomentował aspirant i usiadł przy swoim biurku.

– Tylko jakby ktoś pytał, wpadłeś po... – Rozejrzał się po pokoju.

– Klucze do domu. – Bogucki wrzucił pęk do szuflady i zamknął ją.

– Znakomicie. Tak jak mówiłem przez telefon, Borowicz jest w to nieźle umoczony. Nie może być przypadkiem, że kumpluje się z tym muzykiem, którego widziano pod hotelem i którego odciski znaleziono w wannie. To wszystko układa się w logiczną całość. Małkowski zabił Olgę i teraz przyjaciel próbuje ratować mu dupę.

– I jak teraz chcesz to udowodnić? – Bogucki wyciągnął nogi i założył ręce z tyłu głowy. Wyglądał bardziej jak plażowicz niż próbujący złapać przestępcę funkcjonariusz.

- Początkowo miałem plan, aby... - Zaczął, ale nie skończył. Jego komórka zaczęła wibrować mu w kieszeni. Wyciągnął ją i spojrzał na wyświetlacz. Dzwonił jeden z techników.

Odebrał i słuchał. Po chwili na jego twarzy pojawił się uśmiech, a oczy rozbliły.

Rozdział 69

ONA

W końcu mogłam odpocząć. Wykonałam kawał dobrej roboty.

Pamiętnik prokuratora ukryłam w jego domu, tym, w którym mieszkał na co dzień z rodziną.

Zostało jeszcze tylko wymyślić, jak nakierować na to miejsce Ob-
rębskiego.

Położyłam się na łóżku, bo znowu mnie dopadł ten ból.

Tabletki przestawały działać.

Leżałam tak ponad godzinę, gdy zadzwonił telefon. Zmusiłam się, żeby dźwignąć ciało do pozycji siedzącej, i odebrałam.

To był lekarz ze szpitala. Dobre pięć minut przeproszał, że jakoś nie powiązał faktów i od razu nie zdiagnozował mnie prawidłowo.

Dopiero rozmowa z kolegą po fachu podpowiedziała mu rozwiązanie.

Fibromialgia.

Okrutna choroba powodująca ból.

I – co najgorsze – nieuleczalna.

Patrzyłam w ścianę i milczałam.

Coś jeszcze do mnie mówił, ale już nie słuchałam. Wszystko przestało mieć sens, gdy zrozumiałam, że przed tym cierpieniem nie ma ucieczki.

Rozdział 70

Najazd na mieszkanie Leonarda Małkowskiego był niczym wisienka na przepysznym torcie. Gdy stanęli przed jego drzwiami w asyście kilku policjantów, szczerzyli się niczym dzieci w Disneylandzie. Po kilku minutach walenia w drzwi te w końcu się otworzyły, a stojący w progu muzyk krzyknął:

– To jest już nękanie ludzi!

– Może i tak, ale dzisiaj nas to nie interesuje. Jest pan aresztowany... – zaczął Obrębski i z uśmiechem na twarzy wyrecytował formułkę.

Stojący za nim policjanci zakuli muzyka i wyprowadzili do radiowozu. Tam w niewygodnej pozycji miał spędzić dobre kilkadziesiąt godzin, nie uzyskując odpowiedzi na żadne pytania – a na pewno miał ich sporo. Następnie mieli przewieźć go na komisariat, gdzie czekał na niego prokurator.

Wrzucone przez komisarza odciski z lekkim opóźnieniem podobno związanym z kolejną aktualizacją systemu połączyły Małkowskiego ze sprawą sprzed lat. Lista jego przewinień wyglądała całkiem imponująco, a dodatkowo rzucał się w oczy fakt, że tamtą sprawę również prowadził jego przyjaciel – Borowicz.

Teraz Obrębski już miał pełen zestaw, aby pójść do komendanta i poinformować o poczynaniach prokuratora. Z uśmiechem na twa-

rzy podreptał do jego gabinetu i przedstawił zebrany materiał. Chwilę w gabinecie panowała cisza, potem szef przemówił:

– Daj mi godzinę. Muszę zastanowić się, jak to ugryźć i do kogo zadzwonić.

Później cała procedura ruszyła niczym lawina. Przydzielony do sprawy prokurator nie miał skrupułów. Szybko zorganizował potrzebne dokumenty. Borowicz wyklócał się, groził, szarpał. W końcu wyprowadzono go z apartamentu, w którym mieszkał z żoną i dziećmi.

Podczas rewizji lokalu znaleziono notes, w którym dokładnie opisał wszystko, co robił ze swoimi znajomymi. Ku ich radości dodatkowe dowody na nich dostarczył Leonardo, który nieumiejętnie zabezpieczył pliki – policyjny spec od komputerów szybko dostał się do filmików, na których muzyk uwieczniał część ich dokonań.

Na koniec aresztowano Janusza Sosnowskiego, polityka, który spędził ostatnią noc z Olgą Kowalonek. Ku ich zdziwieniu tej zbrodni wypierał się rękoma i nogami, choć nic nie pisał o innych, ale zignorowali to. Mieli dość dowodów, by skazać całą bandę na długie lata. I w tym momencie koneksje Borowicza nie miały już żadnego znaczenia.

Rozdział 71

Obrębski, cały czas zszokowany rozwojem zdarzeń, nie zamierzał zwalniać ani na sekundę. Od jakiegoś czasu coś nie dawało mu spokoju. Ślady zabezpieczone na miejscach znalezienia ciał Mazura i młodej dziewczyny. Przeglądał je niezwykle uważnie, gdy wpadła mu do głowy dość zaskakująca myśl. Myśl, która pojawiła się, gdy zobaczył nietypowe odciski palców. Była dość szybka i ulotna, ale stwierdził, że musi ją zweryfikować. Może to być zupełny przypadek i fałszywy trop, jednak wiedział, że póki tego nie sprawdzi, będzie cały czas się nad tym zastanawiał.

Wyłączył komputer i zarzucił kurtkę. Czuł się niekomfortowo, że jedzie bez kolegi. Obiecał jednak Beacie, że da Boguckiemu kilka dni na regenerację, mimo że wielokrotnie się przekonał, że co dwie głowy to nie jedna i czasami spostrzeżenia partnera są bardzo istotne. Czasami widzi coś, czego on sam nie dostrzega. Jednak życie życiem i nie zawsze jest idealnie.

Zebrał swoje rzeczy i ruszył pod adres, który już dwa razy odwiedził. Podobnie jak za pierwszym razem, dom kobiety wyglądał, jakby nikogo w nim nie było, ale Obrębski już znał zwyczaje Dominiki Kamińskiej. Podeszedł do furtki, wcisnął guzik dzwonka i czekał. Liczył, że nie będzie zmuszony skakać przez płot. Plecy odpuściły i nie bar-

dzo uśmiechało mu się znów je nadwyreżać. Na szczęście po chwili pokazała się kobieta i wpuściła go do środka.

– Czym sobie zasłużyłam na taki zaszczyt? Pana odwiedziny są dla mnie niezwykle miłą odmianą. – Zatrzepotała rękami, tak jak przy poprzedniej wizycie, a on zupełnie nie wiedział, jak ma zareagować.

– Dzień dobry, chciałbym z panią porozmawiać – powiedział stanowczym głosem, żeby kobieta jak najszybciej zrozumiała, że to nie będzie raczej miła rozmowa.

– Dobrze, oczywiście, zapraszam. Czy coś już więcej wiadomo? – spytała, idąc do salonu.

– Jesteśmy w tym momencie na dobrym tropie. Myślę, że niedługo podjęte przez nas działania doprowadzą do ujęcia sprawcy.

Kobieta jakby stężała, mocniej ścisnęła szczęki, a jej oczy lekko się wytrzeszczyły.

– To bardzo się cieszę. Dobrze, żeby ktoś za to odpowiedział – powiedziała, sztucznie się uśmiechając. – A czy wiadomo, kto zabił tę dziewczynę?

– Proszę pani, nie mogę udzielać takich informacji ze względu na dobro śledztwa. Wszystkie informacje, które uzbieraliśmy dotychczas, są objęte ochroną i nie możemy nikomu ich przedstawiać.

– Aha, rozumiem. Przepraszam, nie wiedziałam.

– Dobrze, do rzeczy... Chciałbym porozmawiać teraz z pani synem – rzucił pewnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Wiem, miała być kobieta, ale to ważne.

– Z moim synem? – Kamińska odwróciła w stronę okna wychodzącego na podwórko z tyłu.

– Rozmawiamy ze wszystkimi osobami, które tutaj się kręciły, a niestety dotychczas nie miałem okazji zamienić ani słowa z pani synem.

– Ale co on ma niby wniesć do sprawy? – zdziwiła się. – Mój Adrianek...

– Proszę pani. – Obrębski jej przerwał. – Bardzo proszę o to, żeby pani przyprowadziła syna. Muszę z nim porozmawiać. Teraz.

W pokoju zapanowała cisza, zakłócana tylko brzęczeniem muchy, która latała przy oknie, próbując wydostać się na zewnątrz.

– Ja na to nie pozwolę – wyszeptała w końcu.

– Ale dlaczego?

– No... Mój syn... On jest niepełnosprawny i na pewno przepisy prawa nie pozwalają na to, żeby pan tak po prostu z nim rozmawiał! – Jej głos łamał się, a ręce zaczęły w widoczny sposób drżeć.

– Proszę pani, proszę spokojnie. – Obrębski pokiwał głową i uśmiechnął się serdecznie. – Ja naprawdę nie przyszedłem tutaj nikomu robić krzywdy. Jeżeli dałoby radę, to chciałbym zamienić z nim kilka słów. Jeżeli się nie uda, to poprosimy o wsparcie psychologa.

Kobieta popatrzyła jeszcze chwilę na niego i westchnęła:

– Dobrze, a może zrobię panu jakąś herbatę lub kawę? – Uśmiechnęła się i położyła ręce na biodrach. – Chwilę przed tym, jak pan zadzwonił do drzwi, robiłam sobie kawę, więc może zaparzę też dla pana.

– Bardzo dziękuję, będzie mi niezmiernie miło. Od jakiegoś czasu chce mi się pić, a cały czas w biegu. – Poklepał się po kurtce, szukając swojego notesu. Znalazł go w wewnętrznej kieszeni, wyjął i położył na stole.

Kobieta czym prędzej udała się do kuchni i zaczęła coś przygotowywać. Po chwili wyszła z dwiema szklankami i jedną z nich podała policjantowi.

– Proszę sekundę zaczekać, pójdę tylko po syna. On teraz ma drzemkę, więc muszę go delikatnie wybudzić. Niestety nie lubi, gdy się go tak nagle wytrąca ze snu. Ma taki swój rytm, który pozwala mu zachować spokój.

– Rozumiem, poczekam tu grzecznie. – Obrębski wsypał sobie łyżeczkę cukru i zaczął delikatnie mieszać, tak aby nie stukać o szklankę.

Dominika Kamińska ruszyła schodami na górę. Po chwili jego uszu dobiegł jakiś dziwny dźwięk, a następnie krzyk:

– Ale o co chodzi? – To był głos chłopaka. Dość piskliwy, charakterystyczny dla młodego człowieka przechodzącego mutację, choć tę siedemnastoletni chłopak powinien mieć już dawno za sobą.

– Pewien pan chce z tobą porozmawiać.

– Ale po co?

– Już spokojnie, nie denerwuj się... – Kobieta cichym głosem próbowała uspokoić syna. – Nic ci nie grozi, pan chce tylko z tobą porozmawiać.

– Ze mną? Ale dlaczego?

– Tak, z tobą, nic się nie stało. Wszystko jest w porządku. Ja się wszystkim zajmę, tylko przyjdź na chwilkę.

Słyszac to, Obrębski poczuł się źle. Nigdy nie miał problemów z wchodzeniem do cudzych domów, przepytywaniem ludzi, ale przerażony głos chłopaka sprawił, że ogarnął go dyskomfort. Po chwili na schodach pojawił się wysoki, barczysty młodzieniec. Całą twarz

upstrzoną miał czerwonymi krostami, które rozdrapywał do krwi, a jego brodę pokrywał delikatny zarost.

– Dzień dobry – pisnął głosem zupełnie niepasującym do postury.

Wyglądał jak niedźwiedź, który zaraz może ruszyć do ataku. Popatrzył chwilę na gościa i usiadł naprzeciwko niego, nie wydając z siebie żadnego dźwięku.

Komisarz już chciał coś powiedzieć, ale w tym momencie poczuł, jak powieki zaczynają mu ciążyć, i zupełnie nie był w stanie nad tym zapanować. Nagle kontrolę nad jego ciałem przejęła jakaś obca moc, z którą nie miał siły walczyć. Ręce zrobiły się jak z gumy i zaczęły opadać, a korpus chwiał się we wszystkie strony. Nagle zapadła totalna ciemność.

EPILOG

Aspirant Bartosz Bogucki stanął za szybą odgradzającą go od pokoju przesłuchań i zacisnął mocno pięści. Od trzech dni praktycznie nie spał i nie jadł. Widział parokrotnie swoje odbicie gdzieś w lustrze i z przerażeniem stwierdził, że nie zna postaci, którą tam ujrzał.

Oczy zapadły mu się, a czarne sińce dookoła nich powodowały, że wyglądał jak zombie. Na dodatek brak snu i pokarmu sprawiły, że jego cera zrobiła się jakaś półprzezroczysta. Ale zupełnie się tym nie przejmował, bo na głowie miał prawdziwe problemy.

Komisarz Maksymilian Obrębski zaginął i nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Bogucki nie mógł sobie darować, że do tego dopuścił, mimo że wszyscy z Beatą na czele wielokrotnie powtarzali mu, że to nie jest jego wina. Przecież był na urlopie, a Maks to doświadczony policjant, który wiedział, że jego praca nie należy do najbezpieczniejszych.

Szybko sprawdzono, co komisarz robił przed wyjściem. Okazało się, że ostatnimi dokumentami, które przeglądał, były raporty z miejsc znalezienia ciał Grzegorza Mazura i dziewczyny. Skupiał się zwłaszcza na odciskach dłoni. Bogucki przez długi czas nie mógł się zorientować, o co mogło chodzić, aż doznał przebłysku. Dłoń. Tak,

przecież Kamińska opowiadała o tym, jak jej syn uciął sobie kawałek palca.

To wszystko zaczęło układać się w całość. Początkowo twierdziła, że policjant wyszedł od niej cały i zdrowy. Tylko fakty temu zaprzeczały. Jego saab stał niedaleko, a telefon ostatnio logował się w okolicy. Później ktoś go wyłączył.

W końcu po trzecim przesłuchaniu Kamińska przyznała, że dosypała Obrębskiemu do kawy środki na uspokojenie w dużej dawce, co spowodowało, że nagle odpłynął.

Przestraszyła się, nie wiedziała, co ma robić, ponieważ on chciał rozmawiać z jej synem. Zupełnie tego nie planowała. Chciała przeciągnąć w czasie to, co nieuniknione.

I na tym etapie ucinają się zeznania, które jako tako miały sens. Za każdym razem upierała się, że nic nie zrobiła komisarzowi. Powtarzała raz po raz, że nie wie, gdzie jest ani co się z nim stało.

W międzyczasie policjanci pracowali nad sprawami Mazura i Boczarskiej. Okazało się, że w łóżku kobiety było sporo materiału genetycznego zamordowanego, a jej DNA znaleziono pod jego paznokciami.

Również jej odciski odkryto na liście, który wysłała do rodziców dziewczyny. Drukarzę znaleźli w pokoju chłopaka.

Przyciśnięta zeznała, że to syn uderzył byłego policjanta kijem bejsbolowym. Z bliżej nieokreślonych powodów lubił tę grę. Oglądał na YouTube mecze i sam lubił grać.

Feralnego dnia Adrian Kamiński miał mieć zajęcia wyrównawcze do późnego wieczora, ale wyszedł z nich wcześniej i wrócił do domu sam. Podobno chciał pokazać mamie, że da radę. Był tego dnia bardzo niespokojny. Ktoś w szkole go wyzywał, powiedział, że jest głupi

i nigdy nie będzie miał normalnego życia. Po powrocie zastał mamę w łóżku z Mazurem. Przestraszył się nieznanego sobie sytuacji, którą źle zinterpretował – myślał, że mężczyzna krzywdzi jego matkę.

Z przerywanej atakami hysterii relacji kobiety wynikało, że chłopak wszedł po cichu do sypialni i niezauważony przywalił Mazurowi w głowę. Tym samym rozwiązała się zagadka dziwnego urazu na głowie denata. Wyjaśniło się również, skąd były drzazgi – okazało się, że to właśnie Mazur zrobił dla chłopaka kij bejsbolowy, aby ten mógł sobie się bawić, kiedy chce, i by mama nie musiała wydawać grubych pieniędzy na kawałek drewna. Tego dnia, gdy Adrian wrócił do domu, w złości nie rozpoznał w mężczyźnie, którego zastał z mamą, dobrego wujka, który kiedyś sprawił mu tyle radości.

Po powaleniu Mazura na podłogę zaczął go chaotycznie okładać, a gdy w wyniku kolejnych ciosów jego ciało wylądowało na plecach, chłopak zobaczył jego twarz. Wtedy spanikował, wybiegł z domu i krótko później trafił prawdopodobnie na Magdalenę Boczarską w lasu. Z jakiegoś powodu to na niej wylądował emocje, z którymi nie umiał sobie sam poradzić. Po uduszeniu jej zgwałcił zwłoki i przywiązał je do drzewa. Matka zupełnie nie była w stanie wytłumaczyć jego działania. Kamińska, nie mogąc znaleźć syna, nieświadoma tego, co właśnie robił niewinnej dziewczynie, w panice zaczęła sprzątać dom, a gdy Adrian wrócił, pomógł jej przenieść ciało Mazura na pobliską budowę.

Niestety mimo usilnych starań wyciągnięcia sensowniejszych informacji od kobiety nadal nie wiedzieli, co się stało z Obrębskim. Kobieta twierdziła, że po wszystkim położyła komisarza na sofie i czekała, aż się obudzi. W pewnym momencie, prawdopodobnie pod wpływem stresu, sama odpłynęła. Gdy się obudziła, nie było ani

Obrębskiego, ani jej syna. Wrócił po paru godzinach, umorusany krwią. Próbowała na wiele sposobów, ale ten nie chciał powiedzieć, gdzie był ani co się stało.

Po trzech dniach prób trafienia na jakikolwiek ślad przebywająca w areszcie Dominika Kamińska obiecała, że spróbuje jeszcze raz wydobyć z Adriana informacje na temat losu policjanta. Każdy bał się najgorszego: że chłopak ponownie zrobił coś strasznego i odebrał policjantowi życie.

Kobieta usiadła naprzeciwko swojego syna w specjalnie przygotowanym pomieszczeniu do przesłuchiwania dzieci i czekała, aż ten w końcu na nią spojrzy. Gdy uniósł wzrok, uśmiechnęła się delikatnie i pogłaskała go po dużej owłosionej dłoni, tak niepasującej do młodej twarzy nastolatka, który dopiero wchodzi w dorosłość, a już zaznał tyłu krzywd, a jeszcze więcej ich sam wyrządził.

– Kochanie, wszystko będzie dobrze – skłamała, a mimo to cały czas uśmiechała się do syna.

Znowu pogłaskała go po dłoni, a Bogucki jeszcze mocniej zacisnął pięść. Był strzępką nerwów, którym targały sprzeczne uczucia.

– Adrianek, kochanie, bardzo cię proszę, powiedz mi, co się stało z tym policjantem, co do nas przyszedł.

Chłopiec spojrzał na nią i zmrużył oczy, tak jakby ktoś nagle zaświecił mu w nie latarką.

– Ale ja nie wiem... – wyszeptał tak cicho, że Bogucki ledwo usłyszał.

– Pamiętasz, jak byliśmy w domu i przyszedł do nas pan? Usiadł na kanapie, rozmawialiśmy sobie i nagle pan zasnął, pamiętasz?

Kręcił głową na boki, jakby zupełnie nie wiedział, o czym matka mówi.

– Taki sympatyczny pan. Chciał cię o coś spytać, ale poczuł się źle.

– Mamo, ja nie pamiętam... – odpowiedział, a kobiecie po policzkach pociekły łzy.

Bogucki miał ochotę zawyć z frustracji.

Siedzieli tak jeszcze dobrą godzinę. Kobieta na różne sposoby próbowała wydobyć z syna informacje, jednak powtarzał w kółko to samo.

„Nie pamiętam”.

Jakby ktoś rzucił na niego urok, by nie był w stanie wykrzesać ze swojej pamięci wspomnień dotyczących wizyty policjanta. Każde pytanie, każda próba podejścia z różnej strony kończyły się fiaskiem.

Nic nie wiedzieli.

Jedynie, czego byli pewni, to to, że Obrębskiemu zagrażało wielkie niebezpieczeństwo.

O ile jeszcze żył.

Kilka słów na koniec

Śmiało mogę powiedzieć, że pisanie powieści wciągnęło mnie bez reszty, a historia tajemniczej „Jej” w szczególności.

Plan był taki, aby do kontynuacji „40. Raków” usiąść dopiero w połowie, no, może w drugim kwartale 2024 roku. Palce jednak mnie tak świerzbiły, że nie wytrzymałam. Mam nadzieję, że druga część przypadła Ci do gustu, drogi Czytelniku, i nie możesz doczekać się kolejnej, co jest chyba dla mnie największym komplementem.

Oczywiście, jeżeli nie znasz jeszcze części pierwszej, zapraszam. Zapewniam, że znajomość kontynuacji nie odbierze Ci przyjemności z czytania „40. Raków”.

Przy okazji chciałabym ślicznie podziękować mojemu najukochańszemu mężowi, który dzielnie mnie wspierał, szczególnie podczas poprawek. Wypadły one akurat w czasie naszej długiej podróży, co oznaczało, że czasami już od świtu siedziałam przy komputerze i pracowałam albo skracałam wieczorne wyjście na zwiedzanie.

Dziękuję również mojej redaktorce Dominice, która niczym wprawny detektyw wynajdywała wszystkie moje błędy zarówno językowe, jak i logiczne. Dzięki niej po powieści płynie się jeszcze przyjemniej.

Dziękuję także moim dzieciom, które dzielnie znoszą moje siedzenie w biurze i gdy wiedzą, że piszę, ograniczają wizyty u mnie do

minimum.

Na koniec chyba najważniejsze podziękowania.

Skierowane do Ciebie, Czytelniku. Gdyby nie Ty, moje historie nie ujrzałyby światła dziennego. Lądowałyby w szufladzie, a ja po jakimś czasie zrażona pewnie porzuciłabym pisarstwo.

Dziękuję Ci nie tylko za przeczytanie, ale również za wszystkie wiadomości, komentarze i udostępnienia. Dlatego jeżeli masz ochotę, pisz do mnie, zostawiaj opinie, gdzie się da.

A jeżeli nie znasz jeszcze moich poprzednich powieści, to serdecznie zapraszam do lektury!

Dotychczas wydane zostały:

- seria „Ona”:
 - „40. Raków” – tom 1,
- seria „Dagmara Zatorska”:
 - „Cios za cios” – tom 1,
- seria o Dorocie Czerwińskiej:
 - „Przez pomyłkę” – tom 1,
 - „Dziewczyna z wnęki” – tom 2,
 - „Iluzja doskonałości” – tom 3,
 - „Zabawa w zabijanie” – tom 4,
- „Zasada wzajemności”,
- „I co dalej?”.

Wszystkie powieści są dostępne w trzech formatach w moim sklepie, czyli na www.peszek.pl, ale również na większości platform i sklepów internetowych.

Pozdrawiam
Agnieszka Peszek